

LINN ULLMANN

WE
MIGLE

w
yda
ab
two



Linn Ullmann

WE MGLE

przełożyła Iwona Zimnicka



Tytuł oryginału: *Det dyrebare*
Copyright © 2011, Linn Ullmann
All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXVI

Copyright © for the Polish translation by Iwona Zimnicka, MMXVI

Wydanie I

Warszawa, MMXVI

Spis treści

Motto

Dedykacja

I. Skarb

II. Charles Olson nie miał psa

III. *Sweetheart like you*

IV. Oczka w głowie

V. Pierwsza na zegarze, omlet już się smaży

VI. Półtony

Przypisy

Ale nawet Twoje zniknięcie zostaje.

Gunnar Ekelöf

Dla Nielsa

Jenny Brodal nie wypić ani kropli od ponad dwudziestu lat. Teraz otworzyła butelkę czerwonego wina i nalała sobie duży kieliszek. Tak marzyła o tym ciepło spływającym do żołądka, o mrowieniu w koniuszkach palców. Poczwała rozczarowanie, ale wypić jeszcze jeden łyk, ba, opróżniła kieliszek i zadrżała. Nigdy nie powiedziała: *nigdy!* Żyła każdym dniem z osobna, *każdym dniem z osobna*, i nigdy, *nigdy* nie powiedziała: *nigdy*. Siedziała na brzegu łóżka, umalowana, wystrojona, tyle że w grubych, szarych skarpetach z owczej wełny, które Irma zrobiła jej na drutach. Marzyła w stopy. Miała coś z krążeniem. W dodatku stopy były spuchnięte. Aż bała się je wciskać w wąskie sandały na wysokich obcasach. W kolorze nektarynki. Z lat sześćdziesiątych. Nalała sobie jeszcze kieliszek. Chodziło o to, żeby wino spłynęło aż do stóp. Nigdy nie powiedziała: *nigdy*. Powiedziała: *każdym dniem z osobna*. Usiłowała sobie przypomnieć, dlaczego tak się sprzeciwiała temu przyjęciu, temu świętowaniu. Wstała i okręciła się przed lustrem wiszącym na ścianie. Czarna sukienka na biuście leżała idealnie. Już niedługo zdejmie skarpety i włoży sandały.

Był piętnasty lipca 2008 roku, a Jenny kończyła siedemdziesiąt pięć lat. Mailund, duży biały dom, w którym się wychowała po wojnie, kiedy rodzice zabrali ją ze zrujnowanego Molde, wypełnił się kwiatami. Przeżyła w nim prawie całe swoje życie, w szczęściu i nieszczęściu, a teraz czterdzieścioro siedmioro gości w uroczystych letnich strojach już było w drodze, żeby uczcić jej święto.

I

Skarb

Mille, a raczej to, co z niej zostało, odnalazł Simen i dwaj jego koledzy, którzy szukali w lesie skarbu. Nie zrozumieli, co znaleźli. Ale zrozumieli, że to nie był skarb. To było coś zupełnie przeciwnego niż skarb. Później, kiedy przyszło wyjaśniać policji i rodzicom, po co pojechali do lasu, Simen miał trudności. Dlaczego zaczęli kopać na *tej* polanie? Pod *tym* drzewem? Czego właściwie szukali?

Dwa lata wcześniej wszyscy, dorośli i dzieci, szukali Mille. Wszyscy, którzy spędzali letnie wakacje w nadmorskim miasteczku, wszyscy stali mieszkańcy, policja i rodzice dziewczyny, wszyscy ci, którzy pisali o niej w gazecie i mówili o niej w telewizji, wszyscy oni szukali Mille. W wodzie i na łądzie, w rowach i wykopach, na wydmach na cyplu i wokół niegościnnych skał po północnej stronie miasteczka, w stercie ruin za zlikwidowaną szkołą i w niezamieszkanym, rozpadającym się domu na końcu Brageveien, którego okna już zasłoniła trawa i do którego nie wolno było wchodzić żadnemu dziecku. Rodzice Mille przeczesali każdy metr centrum, chodzili od jednego rybackiego domu do drugiego, od sklepu do sklepu, i pokazywali zdjęcie córki, rozwieszali plakaty na drzwiach spółdzielni, na drzwiach restauracji Bellini, na drzwiach księgarni, niegdyś słynnej wśród miłośników książek w całej Norwegii z powodu niezwykle szerokiego wyboru obcojęzycznej literatury pięknej (było to w czasach, gdy za ladą księgarni stała Jenny Brodal), na drzwiach pizzerii Palermo i na drzwiach nieczynnej już piekarni, w której latem działała nowa restauracja rybna Gloucester MA, wciąż nazywana przez wszystkich starą piekarnią, bo Gloucester było takie trudne do wymówienia. Stara piekarnia znajdowała się tam, gdzie zaczynała się droga do Mailund, długa droga wijąca się wśród skał, lasu i domków letniskowych, z których jeden był brzydszy od drugiego.

Wszyscy szukali Mille, nawet chłopak nazywany KB, ten, którego

później aresztowano za zabójstwo, nawet on szukał Mille, a ona przez dwa lata leżała zakopana pod drzewem w lesie, przykryta ziemią, trawą, mchem, gałęziami i kamieniami. Sama też prawie zmieniła się w ziemię, z wyjątkiem czaszki, kości, zębów, cienkich bransoletek i długich ciemnych włosów, które nie były już ani długie, ani ciemne, tylko cienkie, zwiędłe, jakby wyrwano je z korzeniami.

Tamtego lata, kiedy Mille zniknęła, Simenowi wydawało się, że widzi ją wszędzie. Była twarzą w witrynie sklepu, głową wśród fal, podrywany wiatrem długimi ciemnymi włosami nieznannej kobiety i czerwoną sukienką mamy. Wszyscy o niej mówili, wszyscy się zastanawiali, co się z nią mogło stać. Kiedyś Mille była rzeczywista, kiedyś patrzyła na Simena i się śmiała. Kiedyś miała na imię Mille, ale potem rozplynęła się we mgle. Łopaty były rzeczywiste. Rowery były rzeczywiste. Dół, w którym leżała, był rzeczywisty. Ale Mille przestała być rzeczywista. Mille zmieniła się w woal nocy i mrozu, który czasami w niego przenikał i odbierał mu radość.

Simen jej nie zapomniał. Myślał o niej, kiedy nie mógł zasnąć, albo kiedy zbliżała się jesień, a powietrze pachniało prochem i mokrymi zwiędłymi liśćmi, ale ostatnio dawno już o niej nie myślał.

Simen był najmłodszy z trzech chłopców. Tamci dwaj nosili imiona Gunnar i Ole Kristian. W sobotę pod koniec października koledzy spędzali razem ostatni weekend. Domki letniskowe zabezpieczano na zimę, nadmorskie miasteczko, położone o dwie godziny jazdy na południe od Oslo, wkrótce miał spowić jego własny mrok. Było popołudnie, już zaczęło się zmierzchać, ale chłopcy postanowili wyruszyć po skarb, który zakopali kilka miesięcy wcześniej. Gunnar i Ole Kristian nie widzieli sensu w tym, żeby leżał w ziemi przez całą wieczność. Simen się z nimi nie zgadzał. Uważał, że właśnie o to chodzi, że skarb właśnie dzięki temu stawał się skarbem; ukryty przed wszystkimi z wyjątkiem nich, skarb był tysiąc razy cenniejszy w ziemi niż na ziemi. Nie potrafił wyjaśnić, dlaczego tak jest, po prostu to wiedział. Ale ani Gunnar, ani Ole Kristian w ogóle nie rozumieli Simena, prawdę mówiąc, uważali, że mu kompletnie odbiło; obaj

chcieli odzyskać swój wkład, skarb jako skarb kompletnie ich nie obchodził, aż w końcu Simen się zgodził, powiedział, że jemu wszystko jedno, dlaczego wobec tego nie iść i nie wykopać całego tego szajsu od razu?

Historia Simena i skarbu zaczęła się kilka miesięcy wcześniej, w sierpniu, kiedy Gunnar, najstarszy z trzech chłopców, zaproponował, żeby zawarli braterstwo krwi. Lato dobiegało końca, wieczór był ciepły, czerwony, a wszystko kwitło trochę intensywniej, jak zawsze, gdy coś wkrótce ma się skończyć. Już niebawem mieli się rozstać, rozjechać, wrócić tam, gdzie mieszkali, do jesieni, do szkoły, do drużyny piłkarskiej i innych kolegów.

Gunnar nabrał powietrza i wypalił:

– Braterstwo krwi to symbol wiecznej przyjaźni.

Dwaj pozostali chłopcy podeszli do tego bez entuzjazmu. Myśl o nacinaniu dłoni odłamkiem szkła z rozbitej butelki po oranżadzie nie wydawała się ani trochę kusząca, przecież to musi nieprawdopodobnie boleć, nikt nie ma ochoty zrobić sobie samemu takiej krzywdy, nawet w imię wiecznej przyjaźni, i chociaż głównie kopali piłkę, używając do tego nóg, to przecież ręce też są potrzebne do wielu różnych rzeczy, ręce bez krwawych zadrapań i ran, no ale jak to powiedzieć Gunnarowi, żeby się nie narazić na zarzut tchórzostwa i dziecinności, nie zniszczyć tego dobrego, co ich łączyło?

Siedzieli na podeście przed tajemnym szałasem w lesie, który zbudowali razem rok wcześniej. Rozpalili ognisko i piekli kiełbaski, jedli chipsy i pili colę, wszyscy trzej kibicowali Liverpoolowi, więc tematu do rozmowy nigdy nie brakowało, trochę też śpiewali, bo tutaj nikt ich nie słyszał i przed nikim nie mogli się ośmieszyć, *Walk on, walk on, with hope in your heart*¹, a Simen pomyślał, że kiedy się śpiewa tę piosenkę, człowiek czuje, że życie naprawdę się zaczyna. Potem jednak Gunnar, co było dla niego takie typowe, zaczął mówić, że może nie są *prawdziwymi* przyjaciółmi tylko dlatego, że spędzają razem każde lato. Prawdziwymi przyjaciółmi na dobre i na złe. Gunnar znał faceta, który przez całe lata kibicował Liverpoolowi, a potem nagle przerzucił się na Manchester United tylko dlatego, że

jego nowy sąsiad był kibicem Manchesteru. Co zrobić z kimś takim? Czy to prawdziwy przyjaciel? I nagle Gunnar wplątał się w przemowę o krwi, bólu, prawdziwej przyjaźni i innych rzeczach, o których najwyraźniej wiele myślał tego lata, a ta przemowa zakończyła się propozycją zawarcia braterstwa krwi. Wszystko przygotował zawczasu, ułożył cały plan, co również było typowe dla Gunnara. Odłamki szkła elegancko zapakował w sreberko, butelkę stłukł w ogrodzie za domem, a szkiełka umył w płynie do naczyń, bo – jak wyjaśnił – jeśli człowiek się skaleczy brudnym szkłem, może dostać gangreny i umrzeć. Potem położył na ziemi bezkształtną paczuszkę i delikatnie rozchylił sreberko, jakby w środku były diamenty albo skorpiony. Właśnie wtedy Ole Kristian, najbystrzejszy z nich trzech, wpadł na pomysł, żeby zamiast tego zakopać skarb – jako symbol wiecznej, szczerzej i prawdziwej przyjaźni. Takiej na lato i na zimę. Na dobre i na złe. Wszyscy trzej mieli przynieść jakąś rzecz, a ta rzecz musiała być cenna. Skarb zamiast braterstwa krwi. Taka była umowa.

W szopie w ogrodzie rodziców Olego Kristiana stała stara, jasnoniebieska blaszana kanka z pokrywką, którą jego matka kilka lat wcześniej kupiła w sklepie z używanymi rzeczami. Kanka miała wgniecenia i wypłowiwały na słońcu rysunek przedstawiający krowy i piękne dójki z jednej strony, a z drugiej angielski napis: *MILK – nature's most nearly perfect food*². Ojciec Olego Kristiana cały dzień gniewał się na żonę o to, że wydała prawie czterysta koron na coś tak idiotycznego jak stara kanka na mleko. A wtedy matka Olego Kristiana rozzłościła się dwa razy bardziej i oświadczyła, że jeśli tylko ojciec zbije podest przed drzwiami do sypialni (co obiecał zrobić już całe wieki temu), to ona go ozdobi skrzynkami, doniczkami, pnącymi różami, poduszkami i pledami. Powiedziała, że to by była ich własna mała włoska weranda. Blaszana kanka stanowiła element jej planu i gdy kiedyś pojawiłby się podest, miały w niej stanąć polne kwiaty. Ale podest się nie pojawił, ani tego roku, ani następnego, a teraz kanka stała w głębi szopy, częściowo schowana za zepsutą kosiarką. Ole Kristian zaproponował, że może być ich skrzynią skarbów.

(Sens zakopania skarbu polegał na tym, że skarb nigdy nie zostanie

wykopany. Nigdy. Wiedziało się, że on istnieje. Wiedziało się gdzie. Wiedziało się, jaki jest cenny i jak wiele się poświęciło, decydując się na zakopanie go, żeby już nigdy go nie zobaczyć. I nie wolno było nikomu o nim powiedzieć).

Simen uważał jednak, że Ole Kristian musi znaleźć także coś do włożenia do kanki, a Gunnar się z nim zgadzał. Czy Ole Kristian nie dostał niedawno dwustu pięćdziesięciu koron od babci? Co najmniej dwieście powinien poświęcić. Pieniądze (jeśli to banknoty) można zapakować do foliowej torebki, bo dzięki temu nie zmurszeją. Ole Kristian nie chciał dać pieniędzy, chociaż skarb był jego pomysłem i to on powiedział, że każdy musi dać jakąś rzecz o pewnej wartości, musi coś *poświęcić*. Ale i Simen, i Gunnar uważali, że nie wystarczy, by jego wkład do skarbu stanowiła wyłącznie kanka. To przecież żadna ofiara! Kanka nie była częścią skarbu, tylko tym, w czym skarb ma zostać umieszczony. Tyle że to nie skrzynia, ale kanka. Prawdę mówiąc (a w pewnym sensie, jak podkreślił Gunnar, to była chwila prawdy), Ole Kristian nie miał nic wartościowego oprócz pieniędzy od babci.

To miało kosztować.

Jeśli chodziło o Gunnara, nie było najmniejszych wątpliwości, co to ma być. Simen i Ole Kristian byli co do tego w pełni zgodni. Gunnar powinien poświęcić album z autografami drużyny Liverpoolu.

Kilka miesięcy wcześniej Gunnar był w Liverpoolu razem ze swoim starszym, dwudziestodwuletnim bratem. Spędzili tam cały weekend, mieszkali w hotelu i poszli na mecz Premier League, Liverpool – Tottenham. (Starszy brat Gunnara nie był jego prawdziwym starszym bratem, chociaż Gunnar ciągle mówił: *mój starszy brat to, mój starszy brat tamto*, ale to był tylko w *połowie* starszy brat, bo był synem ojca Gunnara i Gunnar właściwie nie widywał go zbyt często). Do albumu z autografami wpisali mu się między innymi Steven Gerrard i Fernando Torres, Xabi Alonso i Jamie Carragher, a na samym końcu było wklejone zdjęcie Gunnara stojącego razem ze starszym bratem przed stadionem Anfield, obaj w szalikach Liverpoolu na szyi. Starszy brat, ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu, z długimi brązowymi włosami i szerokimi barkami, Gunnar wyglądał przy nim jak pająk,

a pod zdjęciem napis niebieskim długopisem: *Dla najfajniejszego na świecie młodszego brata od Mortena.*

Simen wiedział, że Gunnar właściwie nie chce schować albumu z autografami do blaszanki. Dwieście pięćdziesiąt koron od babci Olego Kristiana to jedno. Album z autografami z Liverpoolu to coś zupełnie innego, mogło porządnie zboleć. Ole Kristian często dostawał pieniądze od babci, natomiast starszy brat Gunnara (choć nie był to prawdziwy starszy brat) nieczęsto zabierał Gunnara do Liverpoolu, nieczęsto też się zdarzało dostawać autografy od Stevena Gerrarda, Fernanda Torresa, Xabiego Alonsa i Jamiego Carraghera. Gunnar, najchudszy z nich trzech, prawie się rozpłakał, kiedy obiecał dwóm pozostałym, że odda swój album.

A kiedy to już zostało postanowione, Simen szepnął:

– Wiem, co włożę do kanki.

Pozostał tylko on. Nad tajemny szalas nadciągnęły chmury, więc Simen chciał pokazać Gunnarowi, że on też jest gotów coś poświęcić.

Matka Simena miała klejnot, nieduży krzyżyk wysadzany brylancikami. Dostała go od ojca Simena na gwiazdkę dwa i pół roku wcześniej. Simen też był wtedy u jubilera i prawie zemdłał, widząc, ile tysięcy koron kosztuje ten krzyżyk. Prezent miał być też trochę od niego, żeby mama naprawdę się ucieszyła. Nie miał jednak pewności, czy wydanie tylu tysięcy koron po to, żeby mama się ucieszyła, naprawdę zadziałało. Mama po świętach była taka sama jak przed świętami. Tyle tyśiąckoronowych banknotów za taką małą rzecz. Simen miał ochotę spytać tatę, czy było warto. Ale się powstrzymał. A teraz wpadł na nowy pomysł.

Mama co wieczór przed pójściem spać zdejmowała krzyżyk i kładła go do niebieskiej miseczki w łazience. Należało tylko zaczekać, aż wszyscy zasną, a to było proste jak drut. Nikt nie będzie go podejrzewał. Simen nigdy niczego nie podwędził. Mamie będzie przykro, przewróci cały domek do góry nogami, żeby znaleźć krzyżyk, ale nawet przez myśl jej nie przejdzie, żeby podejrzewać jego.

Gunnar i Ole Kristian spojrzeli najpierw na siebie, a potem na Simena.

– Ile on dokładnie kosztował? – spytał Ole Kristian.

- Wiele tysięcy. Może siedemnaście.
- To niemożliwe – zaprotestował Ole Kristian.
- Jeśli to prawdziwe brylanty – włączył się Gunnar – to absolutnie możliwe.

Ole Kristian się zastanowił.

- Okej – stwierdził wreszcie, wbijając wzrok w Simena. – No to załatw ten krzyżyk!

Następnego dnia wieczorem przeczesali cały las. Ścigali się na rowerach pod jasnymi koronami drzew, po wąskich, krętych leśnych ścieżkach, żeby znaleźć idealne miejsce na zakopanie kanki. Minęli zielone leśne jezioro, w którym wiele, wiele lat temu utopiło się dwoje małych dzieci. O topielcach w lesie opowiedziała Simenowi Alma, dziewczynka z sąsiedztwa, z Mailund. Była o kilka lat starsza od Simena i od czasu do czasu dostawała pieniądze od jego matki za opiekowanie się nim przez parę godzin. Teraz to się już skończyło. Teraz sam się sobą opiekował. Ale dawniej Alma się nim zajmowała. Kiedy był mały. Kiedy miał pięć, sześć, siedem, osiem lat. Teraz miał jedenaście. Wiedział, że gdy dorośnie i sam będzie miał dzieci, to nigdy, przenigdy, za nic na świecie nie będzie płacił komuś takiemu jak Alma za to, żeby się nimi opiekowała. Nie oddałby swoich dzieci pod opiekę Almy nawet za darmo. Alma była dziwna, ciemnooka i opowiadała różne historie, jedne prawdziwe, inne nie, a on nigdy nie mógł być pewien, które są które. Sądził, że ta historia o dzieciach, które utonęły w zielonym jezioro, jest prawdziwa. Chłopczyk utonął na oczach dziewczynki, a wtedy matka tych dzieci oszalała i utopiła też dziewczynkę.

- Na pewno kochała synka bardziej niż córeczkę – powiedziała Alma.

Siedzieli oboje na trawie i patrzyli na rozgrzaną w letnim słońcu wodę, każde miało po kawałku jabłeczniaka i po plastikowym kubku wody z czerwonym sokiem. To matka Almy przygotowała im prowiant, ale Alma nie lubiła czerwonego soku i wylała wszystko do jezioro. Matka Almy miała na imię Siri, często głaskała go po głowie i mówiła: *Cześć, Simen, jak się dzisiaj miewasz?*

– Chłopczyk wpadł do wody i utonął – opowiadała Alma – a jego siostrzyczka stała i na to patrzyła, a kiedy wróciła do domu bez braciszka, jej mama wpadła w taką rozpacz, że nie wiedziała, co robić. Płakała, płakała i płakała, przez ten płacz nikt nie mógł wytrzymać w domu. Dziewczynka zatykała uszy i też płakała. Ale mamy w ogóle to nie obchodziło. A może obchodziło, tylko nie słyszała. Któregoś wieczoru mama ucichła. Wtedy dziewczynka też ucichła.

– A co się stało? – dopytywał się Simen. – Ta jej mama przestała płakać i znów była wesoła?

Alma się zamyśliła.

– Nie, nie całkiem tak – odparła. – Mama zabrała dziewczynkę do dużego podwójnego łóżka, czytała jej i śpiewała, łaskotała ją w szyję, mierzwiła jej włosy i powtarzała: *Tak cię kocham, mały... mały...*

Alma szukała słowa.

– ...mały szczygiełku – podsunął Simen, bo tak mówiła do niego jego mama.

– No właśnie, mały szczygiełku. Mama powiedziała do dziewczynki: *Tak cię kocham, mały szczygiełku*, a potem wstała z łóżka, poszła do kuchni i przygotowała duży kubek gorącego kakao, bo dziewczynka lubiła kakao najbardziej na świecie.

Alma odwróciła się do Simena. Wtedy, gdy siedzieli nad zieloną wodą w lesie i jedli jabłecznik, miał osiem lat.

– To twoja mama tak mówi, prawda? To ciebie mama nazywa małym szczygiełkiem?

Simen nie odpowiedział.

– Dlaczego mama nazywa cię małym szczygiełkiem?

– Skąd mogę wiedzieć? – odburknął. Żałował, że powiedział o tym Almie.

Właściwie wcale nie chciał jej o niczym mówić, a już na pewno nie o tym. Postanowił, że nic więcej jej nie powie. Nie chciał odpowiedzieć: *Ponieważ co wieczór mama całuje mnie na dobranoc, a potem pyta szeptem: Co ci zaśpiewać, zanim pójde? A ja wtedy odpowiadam: Zaśpiewaj mi o małym szczygiełku. Wszystkie zwrotki! Tak jest każdego wieczoru, już od wielu lat, dlatego mama nazywa mnie*

małym szczygielkiem.

Alma znów odwróciła się w stronę wody i ciągnęła swoją opowieść:
– A kiedy mama już zrobiła kakao, dołała do niego środka nasennego. Takiego bez koloru. I bez smaku. Wiesz, są takie środki – lekarstwa nasenne, których się nie czuje! Nigdy nie wiadomo. To się może zdarzyć w każdej chwili. Tobie też. Twoja mama może ci dodać środka nasennego do kakao, a ty nic nie poczujesz.

– Przestań! – powiedział Simen.

– Sam przestań – odcięła się Alma. – Ja ci tylko mówię, *co może się wydarzyć*. Tak wyglądają twarde realia życia.

– I tak przestań – powtórzył Simen.

– Kiedy dziewczynka wypła kakao – podjęła Alma – zasnęła w łóżku swojej mamy głębokim, bardzo głębokim snem. Mama przyłożyła ucho do ust dziewczynki i wsłuchiwała się w jej oddech, a kiedy nabrała pewności, że dziewczynka się nie obudzi, wzięła ją na ręce i zniosła do lasu. Tu, nad to jezioro, i wrzuciła ją do wody.

– Wcale w to nie wierzę.

– Bo jesteś mały – orzekła Alma. – I nie wiesz, co robią matki, kiedy nie potrafią przestać płakać. A mama tej dziewczynki nie potrafiła.

Minęło już kilka lat od czasu, kiedy Alma opiekowała się Simenem i opowiedziała mu tę historię o chłopcu i dziewczynce, którzy utonęli w jezioro, i Simen, chociaż nie wierzył w nią na sto procent, nie lubił się tu kąpać. Wolał się kąpać w morzu. Nie chciał pływać w zielonej wodzie i myśleć o tym, że te dzieci, przemienione w lilie wodne, złapią go i ściągną do siebie.

Przejeżdżając obok jeziora, nad którym siedział z Alną, kiedy był mały, Simen myślał sobie: *Znam ten las jak własną kieszeń.*

Skarb leżał w niebieskiej blaszanej kance przywiązanej do kierownicy roweru Olego Kristiana. Zawartość kanki: dwieście koron w banknotach, brylantowy krzyżyk o wartości siedemnastu tysięcy koron i album z autografami drużyny Liverpoolu. Jedną łopata sterczała z plecaka Gunnara. Drugą Simen wcisnął do pożyczonej

sakwy rowerowej. Trzej chłopcy, chudzi jak kreski narysowane ołówkiem, pędzili przez mroczną zieleń w poszukiwaniu idealnej kryjówki.

Las się otworzył, zamknął, przyjął ich w siebie, otoczył sobą i nagle Simen, gwałtownie hamując, krzyknął:

– Spójrzcie tam! Pod tamtym drzewem!

Dojechali do leśnej polany, na jej skraju gałęzy układały się w literę S – jak skarb albo Simen albo jak Bill Shankly – a na środku rosnęło drzewo, które wyciągało gałęzie do nieba, jakby radowało się z każdego gola strzelonego przez Liverpool od 1892 roku.

Ale jesienią wszystko wyglądało inaczej. Nic się nie zgadzało. Padał deszcz, zrobiło się zimno i ciemno, trzeba było mieć na sobie czapkę, szalik i gruby sweter, a przy sobie latarkę. Las stał milczący, gęsty i cichy, przepadły jasne polany, na których kamienie układały się w literę S, a drzewa radowały.

Znaleźli jednak w końcu polanę z drzewem, podobnym trochę do tamtego letniego drzewa.

Ole Kristian był najzupełniej pewien, że to właśnie to miejsce, oświadczył, że je poznaje. Simen spojrzał na drzewo, wyciągające prawie nagie gałęzie ku ciemnemu niebu. Nigdy w życiu! W ogóle nie przypominało tamtego. To drzewo przypominało starego człowieka, wygrażającego pięściami i tak pełnego złości, że chciał już umrzeć. I to nie tylko dlatego, że straciło wszystkie liście. To drzewo było oszukane.

Ale nie powiedział o tym chłopakom. Błądzili już tak strasznie długo. Był prawie pewien, że pojechali w złym kierunku i że to nie jest to miejsce. Ale jeśli się mylił i to Ole Kristian miał rację, a skarb naprawdę będzie leżał pod tym drzewem, to nie wiedział, co zrobić: czy odłożyć brylantowy krzyżyk z powrotem do niebieskiej miseczki w łazience, czy raczej go sobie zatrzymać i z pomocą jakiegoś kumpla go sprzedać. Za siedemnaście tysięcy koron można zajechać naprawdę daleko. Przed oczami stanęła mu matka w ogrodzie przed domkiem letniskowym, w czerwonej sukience, z długimi ciemnymi włosami i ciemnymi oczami, uśmiechała się do niego, tak jak wtedy, kiedy

udawała, że nie pokłóciła się z tatą.

Wbili łopaty w ziemię.

– Całe szczęście, że jeszcze nie było mrozu – powiedział Ole Kristian – bo wtedy w ogóle by się nie dało...

– To z całą pewnością tutaj – stwierdził Gunnar. – Widać, że tu już wcześniej było kopane.

– Ale przecież chodziło o to, że mamy tego nigdy nie wykopywać – przypomniał Simen.

– Komu, do cholery, o to chodziło? – spytał Ole Kristian.

– Ten skarb to był twój pomysł – zauważył Simen.

– Zamknijcie się i kopcie! – nakazał Gunnar.

Dalej pracowali w milczeniu. Zrobiło się już całkiem ciemno, na zmianę kopali i przyświecali latarką.

Żaden nie zrozumiał, że to Mille tam leży, kiedy zmęczeni i zdyszani poświecili na nią. Grób przypominał ptasie gniazdo, duże podziemne ptasie gniazdo, uwite z gałęzi, kości, skóry, trawy i ubrania – początkowo Simen, do którego nie od razu dotarło, czym jest zawartość grobu, uznał, że to właśnie szczątki jakiegoś ogromnego ptaka, jedyne w swoim rodzaju, czarnego, trzepoczącego się ptaka, ukrytego przed światem, potężnego i w samotności sunącego na ciężkich, ciemnych skrzydłach tam i z powrotem, tam i z powrotem, przez podziemne tunele, korytarze i sale. Wielkiego, dumnego i samotnego nocnego ptaka, który w końcu runął na ziemię, by pozostawić po sobie zaledwie kilka śladów swojego istnienia – i z tej wizji wyrwał go dopiero Gunnar, który trzymał latarkę i nagle zaczął krzyczeć:

– Cholera, to trup!

Gunnar był zielony na twarzy, nie tylko z powodu upiornego światła latarki.

– Spójrzcie na te włosy – powiedział Ole Kristian. – Rosną na czaszce, to nie jest trawa, to włosy.

I wymiotował.

Od zaginięcia Mille minęły dwa lata. Simen miał wówczas dziewięć

lat, ale już wtedy on i rower stanowili jedność, tak o sobie myślał tamtego lata, że jest chłopcem na kółkach, rowerem, który ma ciało, serce i język, a gdyby mu na to pozwolono, zabierałby rower do łóżka, kiedy wieczorem niechętnie szedł spać. Od wczesnego rana gnał, pędził, ćwiczył ślizgi na wąskich żwirowych ścieżkach rozbiegających się od pomalowanego na biało kościoła albo przejeżdżał na jednym kole samym brzeżkiem drewnianych pomostów koło przystani promu osłoniętej długim falochronem, kierownica roweru migotała w słońcu, a on chłonał ostry zapach krewetek i rybich wnętrzności, bijący od dwóch rybaków, którzy wciąż jeszcze tu łowili.

W tamten wieczór, kiedy zniknęła, piętnastego lipca 2008 roku, trochę mżyło, opadła mgła, a czarne, wilgotne drogi wyglądały tak, jakby w każdej chwili mogły się otworzyć i go połknąć. Rodzice pozwalali Simenowi na samotne przejażdżki rowerowe pod warunkiem, że będzie się trzymał w pobliżu domku. Zmarzył, ale nie chciał wracać. Rodzice się kłócili i nie potrafili przestać, mimo że krzyczał: *NIE KLÓCCIE SIĘ JUŻ!*

Na szczycie drogi, która nazywała się Zakręt (zdaniem ojca Simena powinna się nazywać *Zakręty*. – Przecież na niej jest sto zakrętów, Simen, a nie jeden!) i wiła się jak falująca wstążka po wzgórzach od centrum, stała duża, biała willa w stylu szwajcarskim, dom księgarki Jenny Brodal. Jenny mieszkała z kobietą o imieniu Irma, co wieczór wychodziły razem na spacer. Jenny, niewysoka i drobna, maszerowała dziarsko długą drogą w stronę centrum. Irma, wielka, postawna, jakby przesuwiała się kilka kroków za nią. Kiedy Simen jeździł na rowerze, często się na nie natykał. Irma nigdy się nie odzywała, ale Jenny zwykle chciała się z nim przywitać.

– Dzień dobry, Simen – mówiła.

– Dzień dobry – odpowiadał, nie wiedząc, czy powinien się zatrzymać i porządnie przywitać, czy może jechać dalej. Zanim się zdecydował, zazwyczaj obie znajdowały się już daleko.

Irma była kobietą, nad którą Jenny się *zlitowała*. Simen nie bardzo wiedział, co znaczy to słowo, ale tak odpowiedziała matka, kiedy

spytał, co to za pani mieszka w Mailund razem z Jenny Brodal.

Prawda była taka, że Simen starał się unikać Irmy jak ognia. Najgorzej było, kiedy Irma wieczorem wychodziła sama. Pamiętał, jak kiedyś nadjechał z przeciwka, a ona złapała za kierownicę i zaczęła na niego syczeć. Z ust nie buchały jej płomienie, ale równie dobrze mogłoby tak być. Wydawało mu się, że jest pełna światła. Zauważył to, bo na dworze już całkiem się ściemniło. Tak, świeciła, jakby przed chwilą połknęła połykacza ognia.

Nie miał pojęcia, dlaczego tak się zachowała. Dlaczego syczała. Przecież nie zrobił nic złego. Nie zajechał jej drogi. To ona zatrzymała jego.

Mama powiedziała, że Irma pewnie tylko chciała sobie zażartować i tak niezręcznie jej wyszło, Irma nie ma w sobie nic złego, a Simenowi nie wolno popuszczać wodzy fantazji i wymyślać historii o ludziach, których nie zna. Musi zrozumieć, że Irma jest bez wątpienia dobra i miła, i że kocha Jenny Brodal, która pomogła jej się wyrwać z różnych okropnych sytuacji (i która w dodatku się nad nią *zlitowała*), a to, że Irma jest taka wielka i nie wygląda na zwyczajną kobietę, sprawia, że przypisuje się jej negatywne cechy. Mama tłumaczyła to wszystko Simenowi, ponieważ zawsze dobrze myślała o ludziach. Ale w tym wypadku się pomyliła. Olbrzymka Irma chwyciła za kierownicę roweru, syczała i świeciła w ciemności. Simen był tego pewien.

Jednak tamtego wieczoru w lipcu nie spotkał po drodze ani Jenny, ani Irmy. Na szczęście. Wiedział dlaczego. Jenny miała urodziny, a jej wielki ogród zapełnił się ludźmi, już z daleka słyszał głosy i śmiech. To było wielkie przyjęcie, co Simen uważał za dość dziwne, zważywszy, ile tak naprawdę lat miała Jenny. Na pewno ponad siedemdziesiąt, może nawet ponad osiemdziesiąt. Nie wiedział dokładnie. W każdym razie była stara. Przecież niedługo miała umrzeć. Od tego nie ma odwrotu. Nie da się uciec. Zresztą Jenny nie należała do osób, które uciekają. Jenny maszerowała – ale od śmierci nie da się też odmaszerować. Śmierć ma pełną władzę. Mama umrze, tata, i Simen też kiedyś umrze. Rozmawiał o tym z mamą, odpowiadała mu szczerze. Tata bardziej wymijająco. Więc po co

urządzać takie wielkie przyjęcie, jeśli ma się wkrótce umrzeć? Co się świętuje?

Simen wybrał się rowerem tak daleko, żeby podglądać z krzaków. Mgła wisiała nad nim i pod nim, przed nim i za nim, a głosy z ogrodu Jenny zdawały się wyskakiwać wprost z tej mgły. To mgła wytwarzała głosy. To mgła wytwarzała śmiech. To mgła wytwarzała drogę wijącą się do samego domu i wszystkie sto zakrętów, to mgła wytwarzała wszystkich ludzi na przyjęciu, rzeczywisty był tylko Simen i jego rower. To oni byli krwią, kością, kołami, stałą i łańcuchem. Simen i jego rower stanowili jedność. Przynajmniej do chwili, gdy koło najechało na kamień i Simen przeleciał przez kierownicę. Kiedy uderzył o ziemię, jego krzyk urwał się jak ucięty nożem. Przez chwilę leżał zupełnie nieruchomo, dopóki nie poczuł bólu. Otarte dłonie i kolana. Drobnny żwir w ranach. Krew. Podczołgał się do skraju drogi, usiadł pod drzewem i się rozplakał. Ale bez względu na to, jak głośno płakał, rodzice i tak nie mogli go usłyszeć. Ich domek znajdował się daleko w dole, a odgłosy urodzinowego przyjęcia zagłuszały wszystko dookoła. Simen był zupełnie sam, bolało go całe ciało, zwłaszcza kolana, rower na pewno się zniszczył, a dłonie miał podrapane, bo żeby ochronić głowę podczas upadku, próbował się na nich oprzeć. Tak trzeba robić przy upadku z roweru. Właściwie powinien mieć kask, mama na pewno się rozzłości, że go nie włożył, i nie pozwoli mu więcej jeździć samemu wieczorami. Rower ciągle leżał na środku drogi. Wyglądał dziwnie, był jakiś powykrecany. Simen zapłakał jeszcze głośniej. Właśnie wtedy pojawiła się ona. Dziewczyna w czerwonej sukience, z długimi ciemnymi włosami. Na ramionach miała szal, a we włosach kwiatek. Była najładniejszą dziewczyną, jaką Simen widział w życiu, a mgła zdawała się jej nie dotykać. Jakby ustępowała temu, co jest piękniejsze od niej. Simen płakał dalej, chociaż coś mu mówiło, że kiedy zbliża się coś tak pięknego jak ta dziewczyna, to nie powinno się siedzieć w rowie i mazać jak dzieciak. No ale z drugiej strony: gdyby nie siedział w rowie i nie płakał, dziewczyna nigdy by się nie zatrzymała, nie przykucnęła przy nim, nie objęłaby go i nie szepnęła: *Spadłeś z roweru? Uderzyłeś się? Gdzie cię boli?* Nigdy nie pomogłaby

mu się podnieść, nie spytałaby, jak mu na imię, i nie otarłaby mu brudu i łez z twarzy czerwonym szalem. Nigdy nie pochyliłaby się nad rowerem i nie sprawdziła uszkodzeń. (*Nie jest zepsuty*, powiedziała, stawiając go na koła. *Spójrz, Simen, wcale nie jest zepsuty*). I nigdy nie poprowadziłaby go przez mgłę całą tą długą drogą od domu Jenny do jego własnego domu, drugiego po lewej stronie – jedną ręką trzymając jego dłoń, drugą prowadząc rower. *Mam na imię Mille*, powiedziała, kiedy już doszli na miejsce.

Postawiła rower przy płocie, popatrzyła na Simena i się uśmiechnęła. Potem się nachyliła i pocałowała go w głowę.

Ja mam na imię Mille, a ty masz na imię Simen, i nie płacz już więcej.
Odwróciła się i odeszła.

II

Charles Olson nie miał psa

Jon Dreyer oszukał ich wszystkich. Było lato 2008 roku, a on usiłował pisać. Ale patrzył na Mille.

Pokój, w którym siedział, znajdował się na poddaszu Mailund, rozpadającej się białej willi w stylu szwajcarskim, należącej do Jenny Brodal, w której rodzina spędzała letnie miesiące. Pokój był nieduży, jasny i zakurzony, z widokiem na kwitnącą łąkę i las. Kobieta, z którą żył, ta ze skrzywionymi plecami (jedynie ostrzejsze wcięcie w pasie), otworzyła restaurację w starej piekarni, niewielką, taką dla dwudziestu osób. Miała na imię Siri. Czterdzieści lat. Córka księgarki Jenny Brodal i Szweda Bo Andersa Wallina, byłego właściciela warsztatu kamieniarskiego Wallin Sp. z o.o. w Slite na Gotlandii, od dawna już nieżyjącego. Dzieci Siri i Jona: Alma, dwanaście lat, i Liv, pięć.

Siri nazwała restaurację Gloucester MA od nazwy rybackiego miasta w Massachusetts, gdzie z Jonem i Almą spędzili kilka miesięcy, ponieważ Jon chciał tam dokończyć pierwszy tom swojej trylogii. Pewien daleki, ale życzliwy amerykański kuzyn zaproponował mu wynajęcie dużego domu w Gloucester za symboliczny czynsz. Mieli tam zostać trzy miesiące, od czerwca do września. Kuzyn był uszczęśliwiony, że ktoś zamieszka w domu i zajmie się nim podczas jego dłuższej podróży do Ameryki Południowej. Jon pamiętał, że uznał to wtedy za znak. Mógł dokończyć pisanie książki w tym samym mieście, które poeta Charles Olson uwiecznił w swojej twórczości.

Było to latem 1999 roku, cztery lata przed narodzinami Liv. Alma skończyła trzy. Siri chciała, żeby do Gloucester pojechali całą rodziną, i zgodziła się zostawić restaurację w Oslo pod opieką dyrektorki Kajsy Tinnberg, osoby bardziej niż kompetentnej, i szefa kuchni Påla Pieprza Olsena – młodego utalentowanego kucharza, z którym praca była prawdziwym piekłem (przewrażliwiony perfekcjonista,

rozchwytywany maniak, przezwiska Pieprz dorobił się ze względu na pewien dość maniackalny manewr z młynkiem do pieprzu), ale żywiącego wielki szacunek dla Tinnberg.

Ach, jak on wtedy pisał!

Teraz, dziewięć lat później, Jon pracował nad tomem trzecim, pierwszy i drugi, wydane w latach 2000 i 2002, odniosły wielki sukces, ale trzeci tom mu nie wychodził, książka powinna być skończona już kilka lat temu, lecz coś mu stale przeszkadzało, czegoś brakowało, dni mijały, a on nie posuwał się naprzód. Może miał depresję.

Zajrzał do swoich notatek o Hermanie R. i zapisał: *Historia o człowieku, który chciał opowiedzieć pewną historię*. Dalej nic. Właśnie to usiłował robić, zapisać historię o życiu, o tym, co się na nie składa, z czego składa się przeżyte życie, z czego my się składamy i jak to opisujemy. Na żółtej karteczce przyklejonej do ściany zapisał fragment wiersza Charlesa Olsona:

*Amerykanin
jest zbitką przypadków.*

Czy to była odpowiedź? Czy to wszystko?

Podczas pobytu w Gloucester czytał Siri na głos Charlesa Olsona. Twierdziła jednak, że on, Charles Olson, należał do wszechświata bezbożnych, jednego z wielu wszechświatów, do którego w swoim poczuciu nie miała dostępu. Innym z tych wszechświatów był warsztat kamieniarski jej ojca. Tego lata miała kłopoty ze snem i zasypiała jedynie wtedy, gdy Jon trzymał ją za rękę i opowiadał jej historie. Leżeli obok siebie po ciemku, a on opowiadał. Pragnął umożliwić jej odzyskanie bodaj części tego spokoju, który stracili gdzieś po drodze; tam, w nocy, po ciemku, pośrodku trwającej między nimi wielkiej ciszy, pragnął ofiarować jej coś, co należałoby i do niego, i do niej. Jego głos przybierał ton, jakiego nie osiągał nigdy wcześniej. Jon leżał obok Siri i poświęcał czas na przypominanie sobie wszystkiego, czego – jak sądził – już nie pamięta: urzędzenia mieszkania babci, innych lokatorów kamienicy na Frogner,

kolorowych sukien matki, opisywanych po kolei jedna po drugiej, poszczególnych twarzy ze zdjęć klasowych, odtwarzał metr po metrze drogę do szkoły i każdą rzecz, jaką można było kupić w delikatesach na rogu, kiedy był mały, mówił i mówił, noc po nocy, tym samym monotonnym głosem, o książkach, które czytał dawno temu, o historiach, które opowiadał mu ojciec, gdy wędrowali po górach tamtego lata, gdy szedł mu trzynasty rok, o dwóch papużkach, które miał w klatce u siebie w pokoju i które przez całe życie klóciły się tak, że dosłownie pióra fruwały, trzymał Siri za rękę i mówił, że według niego ptaszki mimo wszystko się kochały, jednak i mimo wszystko, a potem przeszedł do swoich podróży, do drobiazgowych opisów podróży pociągiem wzdłuż i wszerz Europy, a stamtąd do ich wspólnych podróży, leżał w ciemności i przypominał sobie najdziwniejsze rzeczy, urywki z historii rybołówstwa w Gloucester, którą czytał, skoro już tu przyjechali, opowiadał o wszystkich, którzy wypływali na wielkie łowiska i znikali we mgle, o tym, jak ręce przymarzały im do wiosel i pochłaniała ich mgła, o tysiącach chłopców, mężczyzn, synów i ojców, którzy znikali, ale stale pojawiali się nowi, przybywali ze Szwecji, Norwegii i Danii, przybywali z Sycylii, przybywali z Zielonego Przylądka i Azorów, z Nowej Fundlandii, przybywali, żeby zniknąć, przybywali, żeby przymarznąć, żeby zmienić się w mgłę, leżał obok niej, mówił i mówił, ona od czasu do czasu zachrapała, od czasu do czasu westchnęła, a niekiedy udawała, że śpi, nigdy nie mógł mieć pewności, zresztą to nie było takie ważne, leżał przy niej pochłonięty własnymi historiami, ciepłem i bliskością Siri, głaskał jej rękę i mówił, aż wreszcie zasypiał, uśpiony własnymi słowami.

A kiedy Jon przestawał opowiadać, bo na przykład zasnął w pół słowa, zastępowała go Siri. On albo słuchał, albo nie. Opowiadała mu o swoich snach z dzieciństwa i o tych, które śniły jej się teraz, o niekończących się schodach w domu matki w Mailund, tych, które zawsze miały różną liczbę stopni, ale najczęściej dwadzieścia dziewięć, po jednym stopniu dla każdej litery alfabetu, chociaż czasami było ich więcej, a czasami mniej. Opowiadała o obejrzanych filmach, o przeczytanych książkach, o tych książkach, których Jon nie

chciał czytać, może dlatego, że napisały je kobiety, na przykład o *Orlandzie* Virginii Woolf, zwariowanej biografii jej kochanki Vity Sackville-West, czy ty, *Jon*, *jesteś przecież pisarzem*, szeptała, czy *myślisz, że człowiek pisze po to, żeby stać się kimś innym, i czy stanie się kimś innym oznacza ucieczkę od siebie, czy też może oznaczać coś więcej? Czy to może również oznaczać konieczność opuszczenia siebie i wejście w kogoś innego, zajęcie czyjegoś miejsca, współ-czucie, współ-życie, współ-oddychanie; jeśli na przykład nastąpię na szkło, czy poczujesz, jak to boli, poczujesz to we własnej stopie i będziesz umiał napisać o tym tak, żeby wszyscy, którzy to czytają, również to poczuli*, a kiedy nie otrzymywała odpowiedzi, opowiadała mu o *Orlandzie*, który był i mężczyzną, i kobietą, i żył kilkaset lat, mówiła też o swoim dzieciństwie i o ojcu, który zamiast czytać na głos, opowiadał fragmenty dzieł wielkich klasyków literatury, tak samo jak ona teraz, snuł opowieści, których ani Siri, ani Syver nie mieli szansy pojąć, Siri miała sześć lat, a jej młodszy brat Syver cztery, ale to nie powstrzymywało ojca od opowiadania dzieciom o Kareninie, mężu Anny Kareniny, takim złym i surowym, że wszyscy się go bali, ale w rzeczywistości po prostu smutnym. To akurat rozumiała. Siri pamięta, że naprawdę rozumiała, jak to jest być Kareninem, zimnym rosyjskim arystokratą, chociaż miała zaledwie sześć lat. Opowiadała też Jonowi o tym, jak Syver umarł w lesie, o matce, która zaczęła pić i nigdy nie chwiała się na nogach, tylko skokami poruszała się po domu, nagle pojawiała się w rogu pokoju, nagle na brzegu łóżka, nagle nad garnkami i rondlami w przesadnie dużej kuchni, nagle przed lustrem, a *ja usiłowałam ją złapać, ale wymykała mi się z rąk i znikwała w garnkach, w rondlach, w lustrze*. Opowiadała też o ojcu, który uciekł do Slite i ożenił się z Sofią, o warsztacie kamieniarskim Wallin Sp. z o.o., specjalizującym się w gotlandzkim wapieniu, i o tym, jak ojciec przyjechał z wizytą do Mailund, ale zapomniał o prezencie urodzinowym, więc żeby to naprawić, pociął swój prochowiec i wręczył go jej, twierdząc, że to *peleryna niewidka*, i o tym, jak próbowała dać tę pelerynę Almie, *pamiętasz to, Jon*, a Alma jej nie chciała, krzyczała: *NIE, NIE, NIE CHCĘ*, to była chyba oznaka zdrowia, nie sądzisz, z *Almą* wszystko będzie dobrze, mówiła Siri i opowiadała o tym, jak była w zaawansowanej

cięży, a ojciec leżał martwy w łóżku z twarzą obwiązaną chustką jak w czepku, żeby usta mu się nie otworzyły i nie pozostały otwarte na zawsze, kiedy nastąpi stężenie pośmiertne. To ojciec zabrał ją kiedyś do latarni morskiej na wyspie Fårö, podczas jednej z nielicznych wizyt, które jako dziecko złożyła mu w Slite. Lubiła tam jeździć, lubiła fabrykę cementu, który zdawał się wisieć nad całym miastem, lubiła wąskie, senne uliczki w centrum, biały pył pokrywający wszystko i wszystkich, lecz Fårö była czymś innym, Fårö była jałowa i zimna, Siri pamiętała, że nie chciała tam wracać, właściwie nawet nie myślała za wiele o tamtej wycieczce z ojcem, dopóki nie stanęła na plaży Good Harbor w Gloucester z Jonem i małą Almą ponad dwadzieścia lat później, tysiące kilometrów dalej, i nie zobaczyła dwóch pięknych sylwetek bliźniaczych latarni morskich na Thacher Island.

Oboje rzucili się na książki o historii Gloucester i miejscowego rybołówstwa – ten głód podboju nowych terenów, jakby im się spieszyło z nauczeniem się ich na pamięć, z przetworzeniem ich w coś domowego, znajomego – Siri czytała (w czasie, gdy Jon pisał, a Alma spała, wciąż jeszcze na tyle mała, że codziennie musiała się zdrzemnąć po obiedzie) i opowiadała mu o tym, jak w roku 1635 statek „Watch and Wait” z dwudziestoma trzema osobami na pokładzie, w tym dziesięciorgiem dzieci, wypłynął z Ipswich z zamiarem okrążenia Cape Ann w drodze do Marblehead, bo chciano tam zbudować kościół. Statek natknął się jednak na gwałtowny sztorm i gdy porywy wiatru podarły żagle, rzucono na noc kotwicę. *Rano następnego dnia, opowiadała Siri, wzmagający się wiatr cisnął statkiem o skały i roztrzaskał go w drzazgi, które spływały do morza. Uratowali się jedynie Anglik, Anthony Thacher i jego żona Elizabeth. Wszyscy inni zginęli. Zginęła czwórka ich dzieci. A historia tych dwojga ocalonych, którzy stracili wszystko, była tak przeraźliwie smutna, że władze Massachusetts podarowały im wyspę, o którą rozbił się statek. Tak, bo oni, Anthony i Elizabeth, Elizabeth i Anthony, nowi w tym nowym kraju, dobrzy ludzie, bogobojni, zmierzali do Marblehead, żeby zbudować tam kościół, a stracili wszystko, czwórka ich dzieci zniknęła w falach. Natomiast wyspę – tę, na której się uratowali, tę, którą dostali w darze,*

ale jej nie chcieli – nazwano Thachers Woe, Skargą Thacherów. Dopiero w grudniu 1771 roku, mówiła Siri, myśląc, że teraz to on na pewno już śpi, teraz na pewno już zasnął, zapalono dwie latarnie morskie, bliźniacze latarnie, które miały ostrzegać przed groźną rafą rozciągającą się na południowy wschód od wyspy. A ponieważ Thacher Island jest częścią Cape Ann, latarnie nazywano również Oczami Ann, jakby na nas patrzyły, mówiła Siri, jakby nad nami czuwały, jakbyśmy rozmywali się w nich i w nich stawali.

– To ty świecisz – szepnął Jon, przytulając się do niej. – To twoje światło świeci.

Pewnego dnia w Gloucester, daleko od domu, Jon spytał, czy Siri pójdzie z nim szukać grobu Charlesa Olsona. Pamiętał, jak trzymając za rękę maleńką Almę, chodzili razem po wielkim i niezbyt wypielegnowanym, ba, wręcz zarośniętym cmentarzu przy szosie 133 do Essex i szukali grobu Charlesa Olsona. Nie znaleźli go. Po kilku godzinach się poddali i pojechali do Essex, tam włączyli się po sklepach z antykami, a Siri kupiła Almie niebieski wózek dla lalek, ale gdy wyjeżdżali do Norwegii, zostawili go w Gloucester.

Jon wiązał wielkie plany z tomem zamykającym trylogię, chodziło tylko o to, by znaleźć do niego drogę. Siedział teraz w gabinecie na poddaszu w Mailund przekonany, że powieść w pewnym sensie ukrywa się gdzieś w historii o człowieku, który pragnął opowiedzieć jakąś historię, na przykład o kimś takim jak Herman R., i gdyby tylko Jonowi udało się złamać szyfr, to drzwi do jego własnych opowieści otworzą się na oścież.

Zajrzał do swoich notatek.

Kiedy Herman R. miał dwanaście lat i siedział w obozie koncentracyjnym w niemieckim Buchenwaldzie, któregoś dnia zauważył po drugiej stronie drutów dziewczynkę. Głodny i wystraszony spytał ją, czy nie ma dla niego czegoś do jedzenia. Dziewczynka wyjęła jabłko i przerzuciła je przez druty.

Dzień później znów się spotkali po dwóch stronach ogrodzenia, nie odezwali się do siebie, ale dziewczynka rzuciła mu kolejne jabłko.

Tak się spotykali przez siedem miesięcy. Czasami rzucała mu jabłka, a czasami chleb. Potem Hermana przeniesiono do nowego obozu, dziewczynka i chłopiec stracili kontakt, lecz Herman i jego trzech bracia przeżyli wojnę.

Piętnaście lat później Herman R. przeprowadził się do Nowego Jorku i poznał młodą Żydówkę z Polski. Kobieta miała na imię Roma. Opowiedziała mu, że podczas wojny, będąc dzieckiem, ukrywała się z rodziną jako chrześcijanka w Niemczech. Mówiła, że mieszkała w pobliżu obozu koncentracyjnego i rzucała jabłka chłopcu za drutami.

Tak więc Herman odnalazł dziewczynkę, która wtedy, piętnaście lat wcześniej, utrzymywała go przy życiu, tę dziewczynkę z jabłkami. Natychmiast się jej oświadczył i zostali małżeństwem.

Jon przejął pokój na poddaszu w domu teściowej w Mailund wiele lat temu. To tutaj pisał. To tutaj miał powstać trzeci tom, tak w każdym razie myślał teraz. Dzisiaj. W pokoju na poddaszu było pełno longplayów, książek, notesów, stał też domek dla lalek, mebelki dla lalek i miniaturowe laleczki. Lalczynie rzeczy należały do Siri, kiedy była dzieckiem. Po śmierci jej młodszego brata Syvera wystrugał je dla niej stary Ola, najbliższy sąsiad.

Zanim Jon zaczął korzystać z tego pomieszczenia, pokój na poddaszu wykorzystywano jako składzik. Kiedy Siri dorosła i wyprowadziła się z domu, Jenny wyrzuciła większość zabawek, ale pozbyć się domku dla lalek i mebelków nie miała serca.

Jon wpatrywał się w ekran. Napisał słowo „serce”. Wątpił, by zachowanie przez Jenny domku dla lalek miało jakikolwiek związek z sercem. Jeśli Jenny miała serce, to było ono małe i czarne, zamknięte w skrzynce i wrzucone do jeziorka.

Ale co z Irmą? Jak wytłumaczyć Irmę? Kim była Irma dla Jenny? Potężna, i wysoka, i szeroka, wyższa i szersza od Jona, z daleka bardziej przypominała mężczyznę niż kobietę, ale z bliska uderzała go jej uroda, nie ciało, lecz twarz, długie jasne kręcone włosy, pełne wargi, miała w sobie coś niezziemskiego, jakąś delikatność, wręcz eteryczność – tak jak anioł Uriel na obrazie Leonarda *Madonna*

w grocie.

Irma mieszkała razem z Jenny w Mailund i zajmowała suterene. Nie płaciła czynszu, ale pomagała w tym i owym, co było bardzo przydatne dla takiej niepraktycznej osoby jak Jenny. Irma miała brzydki zwyczaj zażywania snusu³, ale to i tak było lepsze niż palenie. Jenny nie znosiła dymu. Kiedy Irma się wprowadzała, Jenny postawiła kilka warunków. Nie palić papierosów. Nie trzaskać drzwiami. Być punktualną. No i te bezdomne zwierzęta, które Irma stale ściągала do domu – koty, psy, świnki morskie – *no dobrze, niech będą, ale mają się trzymać sutereny!*

Siri mówiła, że Irma kocha zwierzęta bardziej niż ludzi. Natomiast Jenny najbardziej ze wszystkich kochała Irmę – jeśli w ogóle była w stanie kogokolwiek kochać. Mówiło się jedynie, i o tym wszyscy wiedzieli, że Jenny uratowała Irmę przed mężczyzną, który ją bił. Jon nie bardzo potrafił sobie wyobrazić, by w ogóle istniał ktoś, kto mógłby się rzucić na kogoś tak wielkiego jak Irma, ale może to właśnie niezwykle wymiary były powodem jej wrażliwości? Mówiono też, że Irma się poddała, że położyła się, postanowiwszy umrzeć, i właśnie wtedy Jenny wyciągnęła do niej rękę: *Chodź, zamieszkaż u mnie.*

Jenny i Irmę łączyło być może coś w rodzaju miłości, chociaż Jon gotów był przysiąc, że jego teściowa nie jest zdolna nikogo pokochać. Myśl o tym, dlaczego może jednak się kochały i w jaki sposób ta ewentualna miłość mogła się zrodzić, o ich umowie (bo Jenny i Irma ewidentnie umówiły się, kim dla siebie będą), o tym, jak wymyślają swoje własne życie, znów przypomniała Jonowi historię Hermana R. i jeszcze raz zajrzał do swoich notatek.

Jak opowiedzieć historię o życiu? Ewentualny początek mógłby wyglądać tak:

Niewiele ponad dziesięć lat temu, kiedy zbliżały się walentynki, w pewnej lokalnej gazecie ogłoszono konkurs na najlepsze opowiadanie z tej okazji. Nieznany, blisko siedemdziesięcioletni mężczyzna postanowił napisać opowieść o miłości. Miała to być historia o dziewczynce, która rzuciła jabłko. Herman ma ten obraz przed oczami. Zawsze mu towarzyszył. To się nigdy nie wydarzyło,

nie mogło się wydarzyć, zostałby natychmiast zastrzelony, gdyby tylko zbliżył się do ogrodzenia z drutu kolczastego pod napięciem, ale mimo wszystko to się dzieje, kiedy siada i zaczyna pisać. Może podnosi wzrok, może jego spojrzenie odnajduje Romeę, kobietę, którą poślubił, teraz już starszą panią. Chce napisać historię o tym, jak byli dziećmi i żyli w najgłębszym mroku. On w Buchenwaldzie, ona – ukrywając się wśród chrześcijan. Ale ta opowieść nie może być na wskroś mroczna. Musi mieć jakiś jasny punkt. Musi nieść nadzieję. (Czy nie to ciągle słyszymy?) I czy jemu zawsze nie towarzyszył ten obraz dziewczynki z jabłkami? Nie wie, skąd mu się to bierze, ale wpatruje się w Romeę, w jej zwyczajny gest przegarniania włosów dłonią, gest, który z pewnością przyswoiła sobie jako młoda dziewczyna i który towarzyszył jej przez całe życie aż do starości, wpatruje się w nią i widzi, że ona jednocześnie objawia się przed nim i rozwiewa. Wszystkie bariery, wszystkie zastrzeżenia, wszelki czas i wszelki smutek, wszystko, co czyni Hermana Hermanem, a Romeę Romą, zostaje zburzone i tam, po drugiej stronie ogrodzenia z drutu kolczastego Herman widzi dziewczynkę z jabłkami. Zawsze o tym wiedział, zawsze za tym tęsknił, a teraz trzeba tylko przelać to na papier.

Herman wygrywa konkurs w miejscowej gazecie, napisał opowieść o nadziei i twierdzi, że jest prawdziwa (Jon zwykle twierdzi, że jego historie nie są prawdziwe, nie mają też w sobie zbyt dużo nadziei), i ta opowieść o dziewczynce z jabłkami zaczyna żyć własnym życiem, bierze górę, staje się prawdziwą historią Hermana i Romy. Zaczynają występować w talk-show i opowiadają ją raz po raz. Herman podpisuje umowę na książkę, dyskutuje się o planach filmowych.

Na wystrzępionym kocu, na wystrzępionej kanapie w kolorze pomarańczy leżał pies Jona, który miał wielki apetyt na serca, nerki i wątróbkę, o suchej karmie nie było mowy, wolałby zdechnąć z głodu, niż zjeść suchą karmę, dlatego też dostał imię Leopold. Był dużym czarnym labradorem z białą plamką na piersi i przygnębionym spojrzeniem. Leopold, zwany również Leo, wiedział, że Jon nie skończy tej książki, i to go martwiło. A martwiło go to – mimo

wszystko był psem, w dodatku niezbyt skłonny do refleksji – ponieważ Jon przestał chodzić z nim na długie spacerunki. Jon nie był w stanie nic robić, dopóki nie skończy książki – oprócz jej *niepisania*. Wszystko zostało przestawione w tryb oczekiwania.

Nie było tak z Siri, która musiała prowadzić dwie restauracje, ale właśnie tak było z Jonem. Mówił sobie i Leopoldowi, że kiedy tylko minie lato, a książka będzie skończona, wszystko zacznie być po staremu. Jon dzień po dniu siedział więc przy laptopie, nie mogąc pisać, albo leżał na podłodze, próbując zasnąć, albo wyglądał przez okno, zastanawiając się, dlaczego tyle czasu upłynęło, zanim historię miłosną Hermana R. obwołano kłamstwem, i dlaczego ta opowieść budziła zainteresowanie, dopóki uchodziła za prawdziwą – to znaczy taką, która *zdarzyła się w rzeczywistości* – albo czytał „Dagbladet” w Internecie, pisał SMS-y do kobiet, które odpowiadały lub nie, albo jadł słone orzeszki i pił lekkie piwo (nigdy nic mocniejszego w ciągu dnia). Herman R. nie skłamał, mówiąc, że siedział w obozie koncentracyjnym. To była prawda. Nie skłamał, mówiąc, że poznał Romę w Nowym Jorku piętnaście lat po wojnie, ani że wraz z rodziną ukrywała się, udając chrześcijankę. Jedynym elementem opowiadania, który nie wydarzył się w rzeczywistości, były jabłka.

Jon miał pokój na poddaszu w domu Jenny w Mailund, a także pokój na poddaszu we własnym domu, w zbyt drogim i pełnym przeciągów szeregowcu w Oslo, zadłużonym w ponad osiemdziesięciu procentach. Tajemnicą pozostawało, dlaczego bank wciąż ufał jemu i Siri i stale rozszerzał granice kredytu.

Jon nachylił się nad klawiaturę i napisał:

Kiedy jakaś historia się zaczyna, a kiedy się kończy? Herman R. nie kłamał o Buchenwaldzie. Kłamał o jabłkach. Ale czy kłamiąc o jabłkach (trywializując, redukując, sentymentalizując), kłamał również o Buchenwaldzie?

W Oslo zdarzało mu się nocować w pokoju na poddaszu. Panowały tam jeszcze większe przeciągi niż w pozostałej części domu, ale mógł mieć spokój. Mógł leżeć pod skośnymi ścianami i ostro zwieńczonym sufitem i popijać whisky. Grać na gitarze. Surfować po sieci. Wysyłać

i odbierać SMS-y, które natychmiast kasował. Nie było jasne, kiedy Jon i Siri zaczęli sypiać osobno. Wcale tego nie pragnął, ona też wcale tego nie pragnęła, no i zdarzało się to tylko od czasu do czasu. Niezbyt często. Nie uważali tego za stałe rozwiązanie. A tu, w Mailund, sypiali razem, kilka razy nawet się kochali. Lubił głaskać Siri po mocno wciętej talii (wciętej tak mocno z powodu krzywego kręgosłupa), lubił przeciągać placem wzdłuż szczupłego karku.

Jon wstał i trochę się przeciągnął. Leopold śledził go wzrokiem. *Będzie teraz spacer?* Nie, z powrotem usiadł.

Wszyscy w wydawnictwie wierzyli, że Jon skończy książkę. Dlatego przyznano mu kolejną zaliczkę w wysokości dwustu tysięcy. Przecież tomy pierwszy i drugi sprzedawały się jak gorące bułeczki. Tak mówili, tak pisały gazety. Ale to było dawno, teraz o książkach Jona już nikt nic nie mówił ani nie pisał, a pieniądze się skończyły. Poza tym, Jon nigdy nie użyłby wyrażenia „sprzedawać się jak gorące bułeczki” – nie dość, że był to wyświechtany frazes, to jeszcze nieprecyzyjny. Gorące bułeczki nie sprzedawały się już jak gorące bułeczki. Nie miał dowodów, ale był o tym przekonany: gorące bułeczki nie sprzedawały się lepiej niż telefony komórkowe czy pełne przeciągów mieszkania (na przykład w okolicy, w której sam mieszkał) lub kremy przeciwzmarszczkowe. Spojrzał na Leopolda. Sens kremu przeciwzmarszczkowego polegał na tym, że kobiety (i z całą pewnością wielu mężczyzn, chociaż nie psy), które kupują krem i wcierają go w twarz, chcą wyglądać młodziej. Czuć się młodziej. Być młodsze. Odwrócić bieg czasu. Przestać się starzeć i rozpocząć proces antystarzenia. Niechętnie pojechał z Siri do centrum handlowego pod Oslo. Kupowali prezenty gwiazdkowe. Kiedy się z tym uporali, chciała jeszcze tylko zajrzeć do perfumerii, żeby kupić krem nawilżający, jak powiedziała.

– Zobacz, jaką mam suchą skórę. – Ujęła go za dłoń i przeciągnęła ją po swoim policzku.

Kobieta za ladą miała na sobie biały fartuch, jakby była lekarką albo naukowcem. *Chociaż tak naprawdę*, pomyślał Jon, *była mityczną półboginią*. Ściszone intymnie głosem rozmawiała z Siri o stanie rzeczy. Jon, który w ciągu swojego pięćdziesięcioletniego życia był

świadkiem wielu przebudzeń politycznych, nie mógł jej nie podziwiać. Gładka biała skóra, gładki biały fartuch, gładki biały głos. Ani słowem nie wspomniała o śmierci, mówiła o pięknie. A Siri, jego mądra, chłodna, krytyczna i umiejąca się złościć Siri, z eleganckim skrzywieniem kręgosłupa i suchymi policzkami, słuchała jak zaczarowana i w końcu wydała tysiąc siedemset pięćdziesiąt dziewięć koron z tego miliona, który bank właśnie przelał na ich wspólne konto pod zastaw szeregowca, na krem zawierający peptydy, retinol, EGF (odkryty przez laureata Nagrody Nobla, według słów ubranej na białą bogini), kolagen i kwasy AHA.

Ostatni tom jego trylogii miał traktować o czasie. Jon pragnął napisać hymn na cześć wszystkiego, co trwa, i wszystkiego, co ginie. Ale, prawdę mówiąc, nie do końca wiedział, co właściwie miał na myśli przez „wszystko, co trwa, i wszystko, co ginie” i jak o tym pisać, ale nikt mu się nie sprzeciwiał, oprócz Leopolda, który leżał rozciągnięty na podłodze, ze smyczą w pysku, czekał i przypominał mu, że jeden rok życia człowieka równa się siedmiu latom życia psa, *no i pomyśl sobie, ile lat minęło, odkąd byłem na porządnym spacerze, jestem skromnym psem, który urodził się z dużymi mięśniami i długimi kończynami, dlatego muszę mieć ruch, niczego innego nie wymagam.*

Przez pewien czas bawił się, to znaczy Jon się bawił, myślą o podjęciu wątku dzieła Waltera Benjamina o pasażach. Oczywiście byłoby to coś zupełnie innego, Jon zamierzał napisać powieść, a nie ogromne, niemające końca dzieło o pasażach dziewiętnastowiecznego Paryża (Walter Benjamin niezbyt wysoko cenił powieści). Miałoby to jednak być coś, co za punkt wyjścia przyjęłoby centra handlowe, będące współczesnymi pasażami, opis rzeczy, nie tylko ludzi.

Jon westchnął.

Siri przyrządzała jedzenie. Prawdziwe jedzenie. Nie na pokaz. Ludzie, jedząc jej dania, czuli radość i nasycenie. A on siedział tu rok po roku i pisał powieść, która może będzie o centrach handlowych, a może nie. Leopold podniósł wielki psi łeb i tylko na niego patrzył.

– Pomysł jest taki – oświadczył Jon swojej redaktorce, która miała na

imię Gerda – żeby napisać książkę poskładaną ze zdjęć (zbliżeń i panoram), cytatów i odniesień... twarzy i głosów... ze wspomnień prywatnych i wspólnych... i no tak, z opisu rzeczy...

– Aha – powiedziała Gerda.

– ...hymn pochwalny na cześć wszystkiego, co trwa, i wszystkiego, co ginie – dokończył Jon.

– Aha – powtórzyła Gerda. – No to siadaj i pisz. Będzie dobrze. Zapominasz, że wpadłeś w panikę również wtedy, kiedy pisałeś dwa pierwsze tomy.

– Nie wpadłem w panikę – odparł Jon, zastanawiając się, czy Gerda w ogóle słyszała, co powiedział. Coraz częściej miał takie wrażenie. Że właściwie nikt go nie słucha. – Nie o to chodzi – dodał. – Po prostu czuję, że coś mi ucieka.

Nikt już nie jadł bułeczek. Ani zimnych. Ani gorących. Pszenica stała się nową trucizną. Ale kiedy Siri po urodzeniu Almy stale płakała, bo karmienie niemowlęcia piersią sprawiało jej taki ból, Jon piekł jej pszenne bułeczki. Niczego innego nie mogła jeść. Była zmęczona do szpiku kości i głęboko wdzięczna. Rozdarta na kawałki z tym obcym maleńkim dzieckiem w objęciach, prosiła jedynie, żeby upiekł jej więcej bułeczek.

Oszukał ich wszystkich. Gotowa była okładka, gotowy tekst do katalogu, zgodził się nawet przeczytać fragment książki na konferencji prasowej wydawnictwa, wyznaczonej na drugą połowę sierpnia. Teraz był lipiec. Jenny Brodal kończyła siedemdziesiąt pięć lat. A książka nie będzie napisana.

– Ale co ci ucieka? – spytała Gerda.

– Nie wiem. Czuję, że wszystko się rozpada – odparł Jon. – Nie wychodzi mi. Nie skończę na czas.

Patrzył na nią z rozpaczą. Dlaczego nikt go nie obejmie i mu nie pomoże?

– Skończysz – oświadczyła Gerda. – Zawsze tak z tobą jest, kiedy zbliża się termin.

Jon wypił łyk lekkiego piwa i wyjrzał przez okno. Na łące bawiły

się jego córki. Alma i Liv. Alma, czarnowłosa i ciemnooka. Liv, jasnowłosa i delikatna. Zrywały kwiaty i tańczyły w słońcu, razem z dziewczyną, którą Siri zaangażowała jako opiekunkę do dzieci. Z tą o imieniu Mille. Ledwie się z nią przywitał poprzedniego wieczoru, kiedy Siri przyprowadziła ją z przystanku autobusowego. Patrzył na Almę i Liv. Dziewczynki skakały w przód i w tył, Liv ze śmiechem położyła się na trawie i robiła orła na śniegu, chociaż nie było śniegu, a w trawie nie zostanie żaden ślad. Nic, co można uchwycić. Nic rzeczywistego. Alma odwróciła się i spojrzała w jego okno, ale na poddaszu było tak ciemno, a na dworze tak jasno, że niemożliwe, by zobaczyła, że on stoi i na nią patrzy. Nie odpuszczać. Próbować żyć przyzwoicie. Obejmować dziewczynki. Chronić je. Nie odpuszczać.

Może jednak Alma wyczuła, że się jej przygląda, bo odtańczyła coś w rodzaju dzikiego tańca w wysokiej trawie, jednocześnie patrząc w okno. Kręciła się i kręciła w kółko i nagle upadła. Jon się roześmiał. Alma wstała i spojrzała w górę, jakby usłyszała jego śmiech. Krótkie ciemne włosy. Okrągła buzia. Drobne, niedojrzałe ciało. Znow zaczęła się obracać. W kółko, w kółko, w kółko.

Jon poszukał wzrokiem Liv, która podeszła bliżej lasu. Najwyraźniej znalazła miejsce, w którym rosło więcej kwiatów. Szła przodem, Mille za nią. Zrobiła wielki bukiet.

Jon dalej stał przy oknie. Ale teraz nie patrzył na Almę, która kręciła się w kółko i upadała, ani na Liv, która zrywała kwiaty. Patrzył na Mille. Miała długie, ciemne włosy i wielkie oczy. Zgrabne ciało. Zwrócił na to uwagę już poprzedniego wieczoru. Dziewiętnaście albo dwadzieścia lat. Nie był pewien. Zawstydzona, trochę niezdarna. Spocone dłonie. Otwarte spojrzenie, kiedy się z nim witała. Przytrzymała jego rękę trochę dłużej niż to konieczne i coś w jej oczach powiedziało mu, że chociaż jest taka młoda, to go dostrzegła. Pobiegła teraz za Liv, z kwiatkiem, który chciała dodać do jej bukietu. Coś w nim się uspokoiło. Uczucie, że wszystko idzie w diabły.

Przyjemnie było tutaj stać, patrzeć na Mille i nie myśleć.

Ale coś było nie tak. Siri wstrzymała oddech. To miało związek z Mille. Coś. Mille zdecydowanie miała z tym związek. Jej obecność w Mailund. Nieco przyciężkie ciało, długie ciemne włosy (pojedyncze długie ciemne włosy na kuchennym blacie, na umywalce w łazience, między poduszkami na kanapie, wzdłuż listew przypodłogowych i futryn), ładna twarz, chociaż bez wyrazu, błagalne spojrzenie.

Siri coraz częściej musiała się wyteżać, żeby trzymać się w ryzach – czy tak się mówi? Trzymać się w ryzach? Być jednym. Jednym ciałem, jednym głosem, jednymi ustami, jednym alfabetem, jedną czerwoną nicią, nie rozpaść się, nie rozpuścić, nie rozlecieć na kawałki.

– Twoim głównym zadaniem – powiedziała Siri – będzie opieka nad Liv, około pięciu godzin dziennie. Ale możesz się też trochę zająć Almą. Alma ma dwanaście lat. Jest... – Siri szukała słowa. – Czasami bywa bardzo samotna.

Mille zaśmiała się ostrożnie, odgarnęła włosy z ładnej, okrągłej jak księżyc w pełni twarzy i powiedziała, że to wszystko brzmi bardzo zachęcająco.

Był ciepły, pogodny majowy dzień. Siri zaprosiła Mille do ich szeregowca w Oslo. Chodziło o to, żeby się trochę lepiej poznały przed wakacjami. Alma była w szkole, Liv w przedszkolu, a Jon wybrał się na długi spacer z Leopoldem. Coś mu nie wychodziło w którymś rozdziale.

Mille odpowiedziała na ofertę wakacyjnej pracy zamieszczoną na portalu Finn.no, a Siri spodobało się jej zgłoszenie. W mailu wydała się ciepłą, wesołą i godną zaufania dziewczyną. *Byłoby fantastycznie móc Was poznać i stać się częścią Waszej rodziny na lato. =) Jeśli dostanę tę pracę, postaram się jak najlepiej być dobrą „starszą siostrą” dla Waszych córek, tak abyście mogli czuć się spokojni, będąc w pracy.*

Może Mille zdołałaby wnieść trochę radości? *Może, pomyślała Siri, może, może, może istnieją ludzie roznoszący radość?* Niewykluczone też, że Siri pozwoliła, by zaimponował jej lub zafascynował ją fakt, że matka Mille, Amanda Browne, była znaną (a przynajmniej dość znaną) amerykańską artystką mieszkającą w Oslo.

Teraz tu siedziały. Mille i Siri. Mille dostała tę pracę. A Siri żałowała.

Uśmiechnęła się.

– Jon jest pisarzem – wyjaśniła. – Musi skończyć książkę. Ja prowadzę niewielką restaurację rybną na rynku, pięć minut od Mailund, oprócz tej restauracji w Oslo. Ta rybna, która nazywa się Gloucester MA, od nazwy niewielkiego miasteczka rybackiego pod Bostonem, jest otwarta tylko latem i będę tam spędzać prawie cały czas. To dużo pracy. Ja... – Urwała. Nie było sensu tłumaczyć Mille, ile pracy jest przy dwóch restauracjach. – No i lubimy mieć wokół siebie porządek – podjęła. – Dobrze by było, żebyś i ty się do tego przyłożyła. Najlepiej jest, kiedy wszyscy w rodzinie pomagają, bo wtedy sprzątanie idzie szybko i gładko. A mieszkając z nami, będziesz w pewnym sensie częścią rodziny.

– No tak – powiedziała Mille, nieco zdezorientowana. – Będzie super. Bardzo się cieszę.

Uniosła rękę i pogłaskała się po policzku. Zadzwończyła bransoletki. Miała ich wiele. (Cienkie. Srebrne). Za każdym razem, kiedy Mille poruszała ręką, na przykład kiedy głaskała się po policzku (dlaczego to robiła?), podzwaniały.

– Muszę też w tym roku urządzić przyjęcie dla mojej matki – kontynuowała Siri. – Kończy siedemdziesiąt pięć lat. Na pewno przyda mi się wtedy jakaś pomoc.

Mille niepewnie skinęła głową.

Siri nigdy nie nosiła biżuterii. Żadnych bransoletek, kolczyków, nic na szyi, jedynie obrączkę, którą co wieczór zdejmowała.

Odgłos bransoletek Mille przypomniał jej, jak – gdy była małą dziewczynką – siadywała obok matki na kanapie.

Wyobraziła sobie matkę. Jenny Brodal czytała, co zresztą robiła często, czytała więcej niż ktokolwiek inny na świecie. Zawsze gdy tak siedziały, panowała całkowita cisza, z wyjątkiem tych chwil, kiedy Jenny przewracała kartkę i dzwoniły jej bransoletki.

– Przyjeżdżamy do Mailund każdego lata – mówiła dalej Siri, żałując wszystkiego. Przecież mogliby z Jonem podzielić się jakoś obowiązkami? Robili już tak wcześniej. Ona mogłaby się zająć Liv rano, a on po południu, po jej wyjściu do restauracji. Przecież tak

robili wcześniej. Ale bez powodzenia. Nie mogła liczyć na to, że Jon się wywiąże. Nie mogła... – To duży stary dom – dodała, przerywając tok własnych myśli. – Mamy aneks z wejściem od ogrodu, tam zamieszkas. Z osobną łazienką i dużym regałem z książkami.

– Aha. – Mille zachichotała.

Siri zmusiła się do uśmiechu. *Dlaczego chichoczesz?* No cóż, starała się zapanować nad swoim zniecierpliwieniem. Blisko dwadzieścia lat w branży restauracyjnej i tak dalej. To nie pozostaje bez wpływu. I wszystko, tu w domu. Coś, czego nie potrafiła nazwać. *Co ja właściwie zrobiłam ze swoim życiem?*

– Moja matka i ja mieszkaliśmy w Mailund, dopóki nie skończyłam czternastu lat, a potem przeniosłyśmy się do Oslo – powiedziała Siri, bo coś musiała powiedzieć. – Moja matka była księgarką. Prowadziła księgarnię w pobliżu starej piekarni, tam, gdzie teraz mam restaurację rybną. Wszystko to zobaczysz, kiedy przyjedziesz. Wszystko ci pokażemy, dzieci i ja.

Zauważyła, że Mille myśli o czymś innym, że nie jest szczególnie zainteresowana tym ukłonem Siri w jej stronę: *wszystko to ci pokażemy, dzieci i ja.*

Drzwi na balkon były otwarte i Siri słyszała głosy córeczek sąsiadki, Emmy, siedmio- i dziewięcioletniej (starszych niż Liv, ale młodszych od Almy), najwyraźniej tego dnia przyprowadzono je wcześniej do domu. Klaskały sobie nawzajem w dłonie i powtarzały wierszyk, który pamiętała z czasów, gdy Alma była młodsza.

*Pod jabłonką siedział
i tak mi powiedział:
Przytul mnie,
Pocałuj mnie,
Pokaż, że kochasz mnie.*

– No a potem przez wiele lat pracowała tu, w Oslo – ciągnęła Siri. – W dużej księgarni, którą już zlikwidowano. Była odpowiedzialna za literaturę zagraniczną. Na emeryturze wróciła na stałe do Mailund. Mieszka razem z Irmą, która pomaga jej w praktycznych codziennych

sprawach. Poznasz obie.

– Nie masz rodzeństwa? – spytała Mille. I jakby już usłyszała odpowiedź, dodała: – Ja też nie mam.

– Nie – odparła Siri. – Nie mam rodzeństwa. – Przemilczała to, co chciała powiedzieć: *Ale uwierz mi, nic nas z tego powodu nie łączy.* Dodała natomiast: – Miałam młodszego brata, ale umarł w wieku czterech lat.

– Ojej. – Mille spuściła wzrok. – Tak mi przykro.

– No tak – powiedziała Siri. Próbowała odnaleźć czerwoną nić.

Jenny miała wtedy miękką skórę, tak miękką, że dawało się całkowicie wtulić w jej ciało, wsunąć nos między piersi w rozpięciu spranej nocnej koszuli. I tak przyjemnie pachniała. Używała perfum, które nazywały się L’Air du Temps.

*Pod jabłonką siedział
i tak mi powiedział:
Przytul mnie...*

Siri pomyślała, że wypadałoby zadzwonić do rodziców Mille. Chciała zapewnić i matkę, i ojca, że ich córka będzie w dobrych rękach. Odpowiednie warunki. Godziwa pensja. Prasa rozpisywała się o złym traktowaniu *au pair* i pomocy domowych, o dziewczynach z Filipin, którym rzucano marne grosze za pracę na okrągło przez całą dobę, o młodych kobietach bawiących cudze dzieci po to, by mogły utrzymać własne w ojczyźnie, o Norwegach, którym spodobała się idea służącej w domu.

– Będziemy się nią opiekować, stanie się częścią rodziny – zapewniła Siri.

– Świetnie – odpowiedziała Amanda Browne. – Ale Sweet Pea jest już pełnoletnia i robi, co chce.

– Sweet co?

Amanda roześmiała się cicho.

– Ach, to takie wspomnienie z przeszłości... Sweet Pea. Groszek pachnący. Tak ją nazywaliśmy, kiedy była mała.

– Jeśli pani i pani mąż zechcecie latem przyjechać do Mailund w odwiedziny do Mille, to w domu jest dużo miejsca. Będą państwo mile widziani. Chciałabym też państwa zaprosić na dobry obiad, do Gloucester MA, naszej letniej restauracji.

Nie miała pojęcia, dlaczego wygaduje takie rzeczy. Przecież wcale nie chciała, żeby przyjeżdżali.

– Ach nie, bardzo dziękuję – odparła Amanda. – Mikkel i ja absolutnie nie chcemy się narzucać.

Siri wychwyciła w jej głosie zakłopotanie.

– Już od dawna mamy inne plany – ciągnęła Amanda. – Mille ma dziewiętnaście lat i cieszy się, że będzie pracować, zarabiać własne pieniądze. Mam nadzieję, że w tym czasie zastanowi się też, co chce robić po szkole średniej.

Teraz Siri siedziała z tą przyciężką i zdyszana nastolatką, której ręka nerwowo drżała na stole. Siri musiała się opanować, żeby nie nakryć ręki Mille własną dłonią, i to mocno. *Przestań! Weź się w garść! Skończ z tym drżeniem, bardzo cię proszę!* Nie było jeszcze za późno. Wciąż nie wyjechali z Oslo. Siri ciągle mogła powiedzieć: *Nie będzie tej wakacyjnej pracy.* Ale nie miała odwagi. Dziewczyna tak na to liczyła. To już było postanowione.

Później Siri przekazała Jonowi:

– Jej matka nazywa ją Sweet Pea.

– Ach tak – powiedział Jon, który w tym czasie jeszcze nie poznał Mille i całym sobą protestował przeciwko planom zabierania do Mailund opiekunki do dzieci.

– My też ją mamy nazywać Sweet Pea?

– Nie, nie, ja tylko... w niej nie ma nic, co by się kojarzyło ze *sweet pea*.

Mille cierpiała na wiosenne przeziębienie, które w ogóle nie

przechodziło. Miała zaczerwienione oczy, była blada i często musiała wycierać nos. W szeregowcu w Oslo Siri usiłowała ją pytać o różne rzeczy, ale z dziewczyny nie udało się wyciągnąć nic szczególnego, szybko więc zrozumiała, że od Mille da się usłyszeć dwa rodzaje odpowiedzi: ciche, pełne wahania „no”, które mogło oznaczać „tak”, „nie” i „nie wiem”. Albo chichot, który również mógł oznaczać „tak”, „nie” i „nie wiem”.

Mille spojrzała na Siri.

Pod jabłonką siedział

Było coś w tej dziewczynie – może spojrzenie – co przypominało Siri o niej samej w tym wieku. Nie chciała do tego wracać. Uśmiechnęła się (zamiast oddychać), myśląc, w jaki sposób się z tego wyplątać. Jon miał rację. To był zły pomysł. Bardzo, bardzo zły pomysł.

I tak mi powiedział:

Emma, sąsiadka, zawołała swoje córki. *Chodźcie do domu!*, a dziewczynki roześmiały się i pobiegły.

– No, to jesteśmy umówione – zakończyła Siri. – Przyjedziesz dwudziestego piątego czerwca, a ja wyjdę po ciebie na przystanek. Będzie dobrze. Bardzo dobrze.

Mille obiecała sobie, że w ciągu lata się odmieni. I w środku, i na zewnątrz. Od stóp do głów. Kiedy w sierpniu wróci do Oslo, wszyscy będą mówić: *Ależ, Mille, co takiego się stało? Wydajesz się zupełnie inna.* A ona wtedy będzie się tajemniczo uśmiechać i odpowiadać: *Nic się nie stało, miałam fajne lato.*

Tu, w aneksie, panowała cisza. Taka, że dało się myśleć. I modlić.

Właścicielką wielkiego, białego domu była Jenny Brodal. *Teściowa z piekła rodem*, powiedział Jon i prędko uśmiechnął się do Mille (a kiedy tak się do niej uśmiechał, czuła, że łączy ich coś wyjątkowego), a potem dodał, że nie wolno jej powtarzać, jak nazwał teściową, która przecież mimo wszystko była babcią Almy i Liv. Ma udawać, że nigdy tego nie słyszała, powiedział i uśmiechnął się jeszcze raz.

Mille była w Mailund od kilku dni, gdy pewnego ranka została sama z Jonem w wielkiej kuchni. On tkwił w swoim własnym świecie, a ona zastanawiała się, czy myśli o książce, którą pisał, czy tak bardzo jest pochłonięty pracą, że jej nawet nie zauważył. Parzył sobie kawę, a ona chodziła po kuchni, wyjmując pieczywo, masło i ser, bo miała przygotować drugie śniadanie dla siebie i dla Liv. Kiedy zaczęła szykować kanapki, stanęła obok Jona. *Powiesz coś? Zwrócisz uwagę na to, że stoję koło ciebie?* Nic. Jon milczał. Nagle jednak wyciągnął rękę i pogładził ją po włosach.

Podniosła wzrok i spojrzała na niego, ale wtedy się odsunął.

– Dobrze – powiedział niemal do siebie. – Jest dobrze.

A potem, nie patrząc więcej na nią, zabrał filiżankę z kawą i wyszedł.

Kiedy Mille była młodsza, lubiła wyszczotkować swoje długie ciemne włosy, włożyć ładną sukienkę albo obcisłe dżinsy, umalować się, a potem wejść do jakiegoś pomieszczenia albo ruszyć ulicą i sprawdzać, czy ludzie zwracają na nią uwagę. Chłopcy i mężczyźni oglądali się za nią, odzywali się, pragnęli jej. Piersi jej urosły, już kiedy miała dziesięć lat. Jej matka była wysoka, chuda, twarda

i zupełnie bez biustu. Nie było w co się wtulić. Ciało matki przypominało napięte płótno trampoliny – gdy się na nie wpadło, człowiek od razu się od niego odbijał.

Matka chciała, żeby Mille ukrywała piersi pod luźnymi dzieciennymi bawełnianymi bluzami. Kupowała brzydkie bluzy i kazała je pakować w ładny papier – jakby były prawdziwymi prezentami. Niespodziankami. *Kupiłam ci drobiazg, kochanie. Mam dla ciebie niespodziankę.* Zawsze była to nowa bluza w rozmiarze medium albo large. Bluzy białe, różowe, niebieskie, z okrągłym wycięciem pod szyją. Mille miała własny styl, oszczędzała pieniądze, chodziła na pchle targi i tam kupowała długie T-shirty, które nosiła jak sukienki do grubych spranych rajstop, albo obcisłe sweterki, krótkie spódniczki w jaskrawych kolorach, szaliki i kozaczki. Ciągle kłóciły się z matką o to, jak Mille ma się ubierać, a kłótnie zaczęły się wtedy, kiedy pojawiły się piersi, duże piersi, które tak przyciągały wzrok mężczyzn, że nie mogli się powstrzymać od patrzenia.

Miała na imię Mille, co było zdrobnieniem od Mildred, ale nazywano ją również Sweet Pea. Podobało jej się to, że mężczyźni się na nią gapią. Chciała, żeby robili coś więcej, niż tylko się gapili. Chciała się w kogoś wtulić, a nie od niego odbić.

Mille mało się odzywała, dlatego wiele osób opisałoby ją jako zawstydzoną albo nieśmiałą. Nikomu nie opowiadała o swoim dzieciństwie. Nikomu nie opowiadała o matce, która robiła jej zdjęcia, podczas gdy ona spała, kąpała się i bawiła. Nie opowiadała przyjaciołom o tym, że matka jest artystką, a fotografie małej Mille wystawiano w galeriach i wydano w albumie zatytułowanym *Moje, Amandy*.

Spójrz na mnie, Mille! O tak! Teraz się nie ruszaj!

Popatrz na mnie!

Postój tak jeszcze chwilę!

Kiedy córka była dzieckiem, Amanda zrobiła jej tysiące zdjęć, a Mille z czasem zaczęła czuć mdłości na myśl o tym, że ma być fotografowana, i na palcach jednej ręki mogła policzyć zdjęcia, które zrobiono jej od czasu, gdy wydorosła i tupnęła nogą. Koniec ze

zdjęciami! Miała wrażenie, że wcześniej matka dokonała na nią inwazji, matka i jej aparat, Mille musiała pozować w takiej pozycji i w takiej, *zrób poważną minę, Mille, teraz się uśmiechnij, udawaj, że mnie tu nie ma*, musiała odgrywać rolę Mille, odgrywać rolę dziecka, odgrywać rolę zamysłonej córeczki Amandy. Nienawidziła tego albumu, nienawidziła swoich zdjęć, tych w ubraniu i tych prawie nago, ten album coś jej odebrał, uszczknął kawałek jej, jakie to podobne do matki zatytułować go *Moje, Amandy*, jakby Mille była jedynie jej przedłużeniem, odrostem, wyrostkiem, dlatego kiedy Mille miała szesnaście lat, obeszła biblioteki w Oslo, wypożyczyła wszystkie egzemplarze albumu i nigdy ich nie zwróciła.

Nikomu też nie opowiedziała o tym, jak ojciec trzymał ją na rękach w wysokiej trawie. Pamięta, że biegli. Pamięta jego oddech na policzku. Duże usta ojca, które szeptały:

– Musimy się pospieszyć, Mille! Nie oglądaj się!

Włosy Mille były wtedy ciemne, krótkie i kręcone. Miała dwa lata, może trzy. Mówiono, że jest mała na swój wiek. Nie pamięta, że tak mówiono, to znaczy, że jest mała na swój wiek, pamięta, że mówiono tak znacznie później, kiedy już była duża: *Byłaś taka mała i drobna na swój wiek, jak laleczka, a spójrz na siebie teraz*.

Pamięta, jak ojciec, który miał na imię Mikkel, biegł przez wysoką trawę, trzymając ją na rękach, i pamięta tamto wrażenie podskakiwania, w górę i w dół, w górę i w dół i jego ciepły oddech na policzku.

W wieku pięciu lat Mille potrafiła wyśpiewać imiona i nazwiska swoje i rodziców, ich adres i numer telefonu. Matka ułożyła dla Mille specjalną rymowaną piosenkę – zawierającą wszystkie niezbędne informacje (nazwisko, adres, numer telefonu), którą Mille mogła zaśpiewać, gdyby się zgubiła i potrzebowała pomocy obcych ludzi. Wszystko łatwiej zapamiętać, jeśli da się to zaśpiewać. Tak uważała matka, która bała się, że Mille zabłądzi albo gdzieś jej zginie.

Mille była więc taka mała (jak laleczka), o wiele mniejsza od innych dziewczynek w tym samym wieku. Ale potem zrobiła się duża – to się stało nagle, jakby z dnia na dzień – jej ciało rozwinęło się zbyt

wcześniej (tak mówiono i robiono smutną minę). Urosły jej biodra, brzuch i piersi, a miała zaledwie dziesięć lat. Wtedy matka powiedziała, że musi przestać śpiewać tę piosenkę.

Ale dużo wcześniej, na długo zanim urosły jej biodra, brzuch i piersi, siedziała na rękach u ojca, a on biegł przez wysoką trawę, pamięta jego ciepły oddech na swoim policzku i jego duże usta, które całowały ją, łaskocząc w brzuch, aż zanosila się śmiechem. Wielkie usta szeptały: *Musimy się pospieszyć, Mille. Musimy się pospieszyć. Nie oglądaj się. W górę i w dół, w górę i w dół.* Pamięta, jak wysoka była trawa, jak wielkie korony drzew, pamięta całą tę zielen, która ich otaczała, ale nie pamięta, gdzie byli (w wynajętym domu na wsi? w odwiedzinach u przyjaciół rodziców?) ani dlaczego musieli się spieszyć.

Uciekali od matki i jej aparatu? A może przed czymś innym? Może to nie było ważne? Wtedy się takie wydawało. I wciąż wydaje się ważne. Ale kiedy po latach spytała ojca, dlaczego wówczas biegli, dlaczego musieli się spieszyć, w ogóle nie zrozumiał, o czym ona mówi.

– Może ci się to przyśniło – powiedział.

Kiedy miała dziewięć lat, ojciec postanowił zabrać ją na łyżwy. Niedaleko ich domu było lodowisko. Mille nie lubiła jeździć na łyżwach. Nie mogła utrzymać równowagi, często się przewracała, tłukła się w inny, o wiele gorszy sposób niż przy upadku na ziemię. Kiedy się przewracało na przykład na asfalt, który był o wiele prawdziwszą powierzchnią niż lód, miało się świeżusienkie otarcia, które można było obejrzeć i obserwować. Bolało, ale dało się przeżyć. A kiedy się upadło na lodzie, rana była niewidoczna. Niszczyło się coś w środku i w ogóle się nie goiło.

Mille nigdy nie złamała ręki, nigdy nie złamała nogi, nigdy nie miała założonego gipsu, ale za każdym razem, gdy przewracała się na lodzie (czyli często), czuła się tak, jakby w jej ciele pękała jakaś mała, ale ważna kosteczka.

– Ona ma słabe kostki u nóg – oświadczyła matka. – Nie zmuszaj jej do jeżdżenia na łyżwach. Nie możecie wymyślić czegoś innego?

– Ona wcale nie ma słabych kostek – odpowiadał ojciec. – Co za bzdura!

– A nie widziałaś jej kostek? – pytała matka. – Przecież są cieniusińkie. Jak u lalki. To dlatego nie może utrzymać równowagi. Nigdy się tego nie nauczy.

– W życiu nie słyszałem nic głupszego.

– JA TEŻ MAM słabe kostki! – krzyknęła matka. – Ona ma to po mnie. W mojej rodzinie wszyscy mają słabe kostki.

Amanda i Mikkel często rozmawiali o Mille tak, jakby w ogóle jej tam nie było. Działo się tak prawie przez cały czas. Może uważali, że nie słucha albo że ciągle jest taka mała i nie rozumie, co mówią? Ale rozumiała.

Poszła prosto do swojego pokoju, ściągnęła rajstopy i zaczęła oglądać swoje kostki. Rzeczywiście były cienkie. Objęła prawą kostkę palcem wskazującym i kciukiem. Uśmiechnęła się. Mogła tak zacząć i dalej na tym budować.

Jestem Mille. Mam słabe kostki. Odziedziczyłam to po matce. Moja matka ma na imię Amanda. Ona też ma słabe kostki. Wszyscy w rodzinie Amandy, czyli w mojej rodzinie, mają słabe kostki.

Co niedziela na łyżwy. Mimo kostek. Ojciec nie wierzył w to, co powiedziała matka. Stwierdził, że sam ma doskonałe kostki. Mille także. *Więc chodź.* Podał jej rękę.

– No chodź, Mille!

Mille stała na skraju lodowiska, trzęsa się z zimna i patrzyła na wszystkich, którzy przemykali obok. Lód był przyjacielem każdego, tylko nie jej. Istniało wytłumaczenie, *słabe kostki*, ale ojciec w nie nie wierzył.

– No chodź, Mille!

– Nie chcę.

– Okej – powiedział. – Rzucam ci wyzwanie! Jeśli wygrasz, nie będziesz musiała jeździć. Wrócimy do domu. Ale jeśli ja wygram, odważysz się wyjść na lód.

Mille się wahała. Ojciec zawsze ze wszystkiego musiał urządzać zawody.

– Raz, dwa, trzy – powiedział. – No chodź, Mille. Raz, dwa, trzy.

Mille niechętnie uniosła rękę i szepnęła:

– Raz, dwa, trzy. – A potem ciut głośniej: – Kamień, nożyce, papier. Powiedzieli to chórem.

– Kamień – szepnęła Mille, podsuwając rękę zaciśniętą w pięść ojcu, który już otworzył dłoń i powiedział:

– PAPIER. – Uśmiechnął się. – No chodź, Mille! Wyjdź na lód!

Mille zrobiła krok naprzód, nie ślizgając się, bo kiedy próbowała się ślizgać – sunąć jak Lodowa Pani – natychmiast był huk i upadek. Wbiła czubek łyżwy w lód, żeby się podeprzeć. Kostki drżały. Zaczęła dreptać do przodu. Nogi jej zmarzły. Ojciec wziął ją za rękę.

– Dobrze – powiedział.

Zaczął padać śnieg, Mille i ojciec przez chwilę stali, trzymając się za ręce, wpatrzeni w młodą dziewczynę w czarnym płaszczu, która przemknęła obok.

Mille chciała, żeby ojciec powiedział: *Postoimy tu sobie chwilę i popatrzymy, zamiast jeździć, bo nauczanie się jazdy na łyżwach wymaga czasu. Wszystko będzie dobrze. Stój spokojnie.*

Śnieg padał gęsty i łagodny. Mille chciała umieć wirować jak ta dziewczyna. Przez dziewięć lat ciało Mille poruszało się po ziemi, *drobne jak na swój wiek*, ale nigdy nie wirowało, a wkrótce miały się pojawić brzuch, biodra i piersi.

– To nienaturalne tak wyglądać, kiedy się ma dziesięć lat – szepnął ojciec do matki.

Ale matka tylko wzruszyła ramionami.

– Musisz z tym żyć – stwierdziła.

Rodzice wciąż uważali, że ona ich nie słyszy, nawet wtedy, gdy była w tym samym pokoju.

Mille podreptała w stronę ojca. *No chodź, Mille.* Czyżby Mikkel sądził, że aktywnością fizyczną zdoła wrzucić wsteczny bieg w rozwoju ciała Mille?

Dziewczyna w czarnym płaszczu złapała się za kostkę i przyciągnęła nogę do siebie. Czarny płaszcz się dostosował. Szkielet dziewczyny się dostosował. Śnieżyca się dostosowała. Wszechświat się dostosował. Dziewczyna wirowała coraz szybciej i szybciej, na oczach Mille zmieniając się w słup dymu.

Gdyby Mille zamknęła oczy, policzyła do trzech i znów je otworzyła, czas również by zawirował, i wirująca dziewczyna całkiem by zniknęła.

Przez kolejne zimy Mille chodziła z ojcem na łyżwy – od czasu do czasu stali i patrzyli na dziewczynę w czarnym płaszczu. Głównie jednak te niedziele były niekończącą się walką z lodem, z ciałem i ze sobą nawzajem.

– No chodź, Mille, no chodź!

– Nie! Nie chcę.

– Odważ się wyjść na lód! – wołał ojciec. – Nie oglądaj się cały czas! Właśnie wtedy tracisz równowagę i się przewracasz.

– Weź Liv i idźcie nazrywać kwiatów – powiedziała Siri, nakręcając na palec lok długich włosów. – Możecie się wybrać na łąkę za domem.

Nie, Siri nie była zachwycona pracą Mille w roli opiekunki do dziecka. Mille to rozumiała. Siri nie mogła się nawet zdecydować, jakiego określenia używać. Dziewczyna do dziecka. Opiekunka. Praktykantka. Przyjaciółka rodziny. Wszystko nie tak. Przede wszystkim dlatego, że Siri w głębi ducha nie podobało się traktowanie siebie samej jako pani, która potrzebuje kogoś do pomocy. A już na pewno nie do opieki nad własnymi dziećmi. Może Siri się wydawało, że Mille jej nie widzi, ale Mille ją widziała, widziała całą Siri, widziała Siri, nawet jeśli Siri nie wiedziała, że jest widziana.

Z Jonem było inaczej. Raz pocałował ją w policzek. W każdym razie wydawało jej się, że to był pocałunek, bo to było podobne do pocałunku.

To się stało w pierwszym tygodniu lipca. Pamiętała, że zapukała do drzwi jego gabinetu, zajrzała do środka i spytała:

– Mogę iść do sklepu kupić jakieś tygodniki dla Liv, skoro pada?

Odwrócił się i spojrzał na nią.

– Gdzie jest Liv?

– W ogrodzie. Nie chce wejść do domu, woli biegać na deszczu. Ale pomyślałam, że wymyślimy sobie jakieś zajęcie, dopóki pogoda się nie poprawi. Ona już przemokła i zmarzła.

– Możecie chyba poczytać książkę? – podsunął Jon.

– No tak – zawahała się. – Sprawdziłam już ten wielki regał w aneksie, ale nie znalazłam żadnej książki dla dzieci.

Jon wstał.

– Możemy zejść do salonu i czegoś poszukać. Tam są książki dla dzieci.

Mijał ją w wąskich drzwiach i właśnie wtedy, prawie jakby to był wypadek, jego wargi musnęły jej policzek. Bez słowa. Bez spojrzenia. Tak jak wtedy w kuchni, kiedy pogładził dłonią jej włosy.

– To są książki z czasów Siri i Syvera – powiedział.

Kiedy zeszli z wysokich schodów, wskazał drzwi do salonu. Sądziła, że pójdzie szukać książki razem z nią, ale najwyraźniej nie miał

takiego zamiaru.

– Najniższa półka z lewej strony – wyjaśnił. – Muszę wracać do pracy. – Zaczął wchodzić po schodach, ale jeszcze zawołał: – Tylko przypilnuj, żeby Liv się przebrała w suche rzeczy!

Kiedy Mille patrzyła na Siri, myślała: Siri zaczyna się starzeć. Ma już ponad czterdzieści lat. Coś jest nie tak z jej plecami, trzyma się krzywo, często ją bolą i podczas rozmowy z nią trzeba się wręcz pochylać na bok. Ja jestem młoda. Mam młode usta. Młodą skórę. Młode ręce. Nie widać moich połamanych kosteczek. Żal mi Siri. Ma krzywe plecy, ciągle ją boli, a kiedy była dzieckiem, jej młodszy brat utopił się w leśnym jeziorze, a ona tylko stała i patrzyła.

Mille bezszelestnie poruszała się po domu, to tu, to tam zbierając fragmenty historii. Jon powiedział jej, że kiedy braciszek Siri umarł ponad trzydzieści lat temu, z Siri nikt nie rozmawiał. Miała wtedy sześć lat. Nawet Jenny się do niej nie odzywała, a Jenny była przecież jej matką.

Jon zniżył głos:

– No i wiesz, co myślę o Jenny.

Ale – i tak tę historię opowiedziano Mille – pewien staruszek o imieniu Ola zrobił dla Siri domek dla lalek, z malusieńkimi mebelkami i malusieńkimi laleczkami, żeby zajęła się czymś innym i już nie myślała o Syverze.

Siri, myślała Mille. Siri była w restauracji, Siri nie należało przeszkadzać, Siri zawsze (albo prawie zawsze) odpowiadała ze złością, kiedy Mille o coś pytała.

Jon nigdy nie odpowiadał ze złością, przeciwnie, sprawiał wrażenie niemal ucieszonego, kiedy pukała do jego gabinetu, żeby o coś się dowiedzieć. Zawsze zapraszał ją do środka, pytał, czy ma ochotę usiąść, no i rozmawiali.

Mille знаła Jona zaledwie od kilku tygodni, ale była najzupełniej pewna, że coś ich łączy. Coś takiego, czego nie da się nazwać.

Prawda była taka, że nie zdołała się przed nim obronić.

Pierwszy raz, kiedy go zobaczyła, stał na rogu Akersgata i Karl Johans gate i się gapił. Był rok 1993, a Siri miała dwadzieścia pięć lat. Zaciekawilo ją, w co się tak wpatrywał, i miała dużo czasu, żeby się tego dowiedzieć, zanim wreszcie ją zauważył.

Był wysoki, ciemny, chudy jak figury Giacomettiego, ubrany w znoszone dżinsy, białą lnianą koszulę i rozwiany prochowiec. Uznała, że jest pięknym mężczyzną, ale w jego błyszczących, intensywnie patrzących oczach było coś niepokojącego.

Stał na rogu zupełnie nieruchomo, jakby niezłomnie, i przypominał pomnik króla Haakona VII, znajdujący się kilka przecznic dalej, ten, z którym się witała, mijając go co noc po drodze z pracy do domu.

A tu stał on, ten, którego jeszcze nie znała, ale wkrótce miał zwrócić spojrzenie na nią: rozwiany płaszcz, przyciśnięta do piersi gazeta zamiast czapki od munduru, szczupły, prosty, owiewany wiatrem, mocny mężczyzna-kolumna.

Siri szła do pracy, na kolejne przyjęcie dla bogatych klientów, którzy dobrze płacili i uważali, że zamawianie win za tysiąc koron równa się dobremu jedzeniu. Dwa lata wcześniej była szefową kuchni w restauracji na Frognerveien, która zbankrutowała. Teraz prowadziła własną firmę cateringową Iris – Przekąski na Przyjęcia i miała czas na myślenie, chociaż *myślenie* niekoniecznie oznaczało coś pozytywnego. Siri wolała, żeby ją to omijało.

Często słyszała pytanie (zadawane przez ludzi niemających nic wspólnego z branżą restauracyjną), czy poszła do szkoły dla kucharzy, ponieważ już jako dziecko wykazywała szczególne zdolności w tym kierunku – na podobieństwo małej baleriny, która tańczy w pokoju, a na ten widok rodzice, dziadkowie, ciotki, wujowie i sąsiedzi wzdychają i mówią: *Tak, tak, ona na pewno któregoś dnia trafi na scenę.* Ale nie, tak nie było.

Jeśli Siri w ogóle zastanawiała się nad swoim wyborem zawodu, to uważała się za rzemieślnika, kogoś takiego jak jej ojciec, a jednocześnie za przeciwieństwo swojej matki. Z dzieciństwa nie wyniosła żadnych wielkich zmysłowych przeżyć związanych

z jedzeniem (oprócz przygotowywanego przez matkę jednogarnkowego dania, perkoczącego na kuchence, i kartonów z lodami pistacjowymi w zamrażarce).

Ale miała talent, była jedną z tych, którym się powiodło. Najpierw została zastępczynią, później szefową kuchni w restauracji na Frognerveien (bez czasu na myślenie) i akurat wtedy, kiedy coś zaczęło naprawdę jej wychodzić, restauracja zbankrutowała. A teraz ten idiotyczny catering, który co prawda od razu przyniósł sukces finansowy i dał jej czas na jakieś *swoje życie*, ale mimo wszystko wydawał się nie do zniesienia. To było jedyne określenie, jakie znajdowała.

Kolacje w męskim gronie, wesela, imprezy firmowe i przyjęcia świąteczne. Tłusci bogacze zamawiający Château Petrus z Pomerol, którym się wydawało, że jej się od tego zrobią miękkie nogi. Nie do zniesienia.

Długie ciemne włosy miała związane w ciasny koński ogon, na sobie pszenicznożółte kozaki na wysokich obcasach i krótki pszenicznożółty jesienny płaszcz z paskiem w talii, odziedziczony po Jenny, miała też nieco skrzywiony kręgosłup, od czasu do czasu powodujący ból. Inni niekoniecznie zwracali uwagę na jej krzywe plecy, była kobietą, którą się zauważało z zupełnie innych powodów.

Ale gdyby Jon, który rok po roku gładził ją po bolącym kręgosłupie, próbując go wyprostować, miałby coś o nim powiedzieć, to może powiedziałby tak:

Krzywość, niewielkie, pełne wdzięku zgięcie w talii, jakby robiła gwiazdę i zatrzymała się tuż przed pełnym wyprostem, zamrożona w pół ruchu przed jego zakończeniem.

Zaprosiła Jona do siebie na obiad. To był pierwszy raz. Otworzyła ostatnią puszkę z confit z kaczki, którą przywiozła z Francji, ugotowała kilka ziemniaków i przyrządziła zieloną sałatę.

Ale wcześniej, zanim ugotowała dla niego obiad, zanim on zdjął prochowiec i położył się na niej, taki chudy, że wbijał się w nią biodrami, zanim obudził ją następnego dnia rano, szepcząc, że

w niego wrosła, przeszła wzdłuż Akersgata, mijając redakcje „VG”, „Dagbladet” i „Aftenposten”, w tamtych czasach mieszczące się jedna obok drugiej, i dostrzegła mężczyznę, który skojarzył jej się z pomnikiem Haakona VII, a stał wpatrzony w Karl Johans gate. Zastanawiała się, na co tak patrzy, bo nie przestawał się wpatrywać. Patrzył i patrzył, ale Siri nie widział.

Stał po drugiej stronie ulicy, powiodła wzrokiem za jego spojrzeniem: żadne, nawet najmniejsze UFO nie wylądowało na Karl Johans gate, ani zamek, ani parlament nie stały w płomieniach, żaden laureat Nagrody Nobla nie machał z balkonu Grand Hotelu, ale – i to jest najprawdziwsza prawda – przed piekarnią Samson na Egertorget stała młoda blondynka w obcisłej krótkiej spódniczce, czarnej we wzorek w białe słonie, i jakby się ku niemu nachylała.

A więc tak.

Wpatrywał się w kobietę. W młodą piękną kobietę. Nie było w tym nic bardziej skomplikowanego.

Siri nabrała powietrza i zaczęła patrzeć to na jedno, to na drugie. On jakby usiłował przyciągnąć wzrokiem do siebie tę młodą blondynkę. To najwyraźniej działało, bo wyciągnęła się i nachyliła jeszcze bardziej.

Siri pomyślała, że jeśli ten nieznajomy (przypominający jej zmarzniętą, dzielną kamienną kolumnę) dalej będzie patrzył na tę młodą kobietę, a ona dalej będzie się ku niemu nachylać, to białe słoniki w końcu oderwą się od minispódniczki i ogarnięte delirium pogalopują do niego.

Siri nie przypomina sobie, by wtedy myślała o czymś więcej niż właśnie o słoniach szalejących po ulicach Oslo, ale gdyby miała opisać, co czuła wtedy, gdy zobaczyła Jona pierwszy raz (zanim on ją zobaczył i zanim dowiedziała się, że ma na imię Jon), powiedziałyby może:

To niewiarygodne, że kobieta może polecieć na coś takiego. Niewiarygodne, że leci na najstarszy podryw na świecie. Na mężczyznę, który na nią patrzy. Co jej się wydaje? Że on ją widzi? Że potrafi ją przejrzeć na wskroś? Że rozbiera ją wzrokiem? Że zdecydował, że właśnie ją chce mieć, i że ta uporczywość jest tylko próbką smakową tego, co jej

pokaże, kiedy będzie miał ją tylko dla siebie? Że on, wielki uwodziciel, już zaczął ją kochać, gdy ona stoi i chwieje się przed piekarnią Samson?

– Głupie kobiety i próżni mężczyźni – mawiała zwykle Jenny, kiedy Siri była mała. – Wszyscy oni są samotni, pragną uwagi jak dzieci, które siedzą w kącie i płaczą.

Siri postanowiła dać porządną nauczkę temu mężczyźnie, który najwyraźniej uważał, że jest w stanie wzrokiem przyciągnąć do siebie każdą kobietę. Zdjęła gumkę i rozpuściła swoje długie ciemne włosy. Stawiając jedną stopę przed drugą, ruszyła przez ulicę, ze swojego rogu ulicy na jego róg. Jeden krok, dwa kroki, trzy kroki. Blondynka w spódniczce ze słoniami uleciała w niepamięć. Cztery kroki, pięć kroków, sześć kroków. Już ją dostrzegł. Siedem kroków, osiem kroków. Już się w nią wpatrywał. Przeszła przez ulicę, a on się zastanawiał, dlaczego to jego gapienie się nie działa. Dziewięć kroków. Siri potrząsnęła włosami. Dziesięć kroków, jedenaście kroków. Mijała go. Dwanaście kroków. Już minęła. Trzynaście kroków. *Teraz to ty ulatujesz w niepamięć.*

Mogło się to zakończyć w tym miejscu, a wtedy wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby Siri nie natknęła się na niego jeszcze raz w pewną deszczową noc, trzy tygodnie później, na placu 7 Czerwca, właśnie tam, gdzie stoi posąg króla Haakona VII i króluje w całej swojej dzielnicy. Siri wracała do domu z pracy, padał deszcz, pod butami chlupało, przemarzła do szpiku kości, zimny deszcz późnego lata nieubłaganie zwiastował jesień, chociaż był dopiero ostatni tydzień sierpnia. I nagle zobaczyła, że on stoi przed pomnikiem króla Haakona VII, jednak wcale nie wygląda jak król Haakon. Sam król nie zważał na pogodę, trzymał się dzielnie i prosto bez względu na to, jak lało. Ale Jon, którego imienia wciąż nie знаła, zmókł i zmarzł jak ten wielki czarny pies, którego sprawił sobie stary Ola, kiedy owdowiał.

Siri popatrzyła na niego zmrużonymi oczami, od razu rozpoznała w nim tego próżnego przystojniaka, zignorowanego przez nią trzy tygodnie wcześniej. Rozpoznała mężczyznę przekonanego o sile swojego spojrzenia, którym potrafi przyciągnąć do siebie każdą kobietę, kojarzącego jej się z tym pomnikiem, przed którym teraz stał.

Czekał na nią? Siri nie wierzyła w brzemienne w skutki zrządzenia losu, ale to właśnie było takie zrządzenie losu, brzemienne w skutki. To, że wpadła na niego tutaj, w środku nocy, przy królu Haakonie VII w roli świadka. Mężczyzna nie mógł wiedzieć, że myślała akurat o tym pomniku ani że w ogóle cokolwiek myślała, to znaczy, że myślała o nim (przecież go zignorowała), kiedy zobaczyła go tam, na rogu Akersgata i Karl Johans gate. Nie mógł wiedzieć, że co noc wracała tą drogą z pracy do domu. W przeciwieństwie do blondynki w minispódniczce ze słoniami nie była kobietą, która daje się złapać na sztuczki – wpatrywanie się, wyświechtane odzywki, ideę brzemienne w skutki zrządzeń losu. (Już samo to określenie – „brzemienne w skutki” – nie, to zbyt niemądre).

– Cześć – powiedział.

Plac 7 Czerwca był pusty. Dochodziła trzecia nad ranem, a noce już przestały być jasne. Ale Siri się nie bała. Nigdy nie bała się w Oslo. Musiał do niej zawołać, żeby w ogóle go usłyszała w deszczu. Stali po różnych stronach pomnika.

– Cześć – odpowiedziała.

Podszedł o krok, uchwycił jej spojrzenie.

– Przestraszyłem cię? – spytał.

– Nie.

Pokazał na siebie, na przemoczony, lepiący się do ciała prochowiec i powiedział:

– *Ubranie ma brudne, ale dłonie czyste*⁴, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Nie zrozumiała. Dopiero po ich ślubie, kiedy urodziła się Alma, dowiedziała się, że to cytat z Dylana.

– Nie brudne, tylko mokre – zauważyła. Siri miała skłonność do porządkowania rzeczy, wszystko musiało się zgadzać. Nie wolno było mylić faktów, poświęcała temu dużo czasu i dlatego często poprawiała innych.

– Twoje ubranie nie jest brudne, tylko mokre – powtórzyła i ostrożnie się uśmiechnęła. – To pewna różnica.

Popatrzył jej w oczy, odpowiedział uśmiechem i ruszył w jej stronę.

– Kompletnie przemoczone! – Delikatnie dotknął jej policzka,

ścierając z niego krople deszcze. – I twoje też.

Dwa lata później, kiedy Siri została już żoną Jona i była w zaawansowanej ciąży z Alną, zmarł jej ojciec. To on nazywał się Bo Anders Wallin. Spakowała torbę i pojechała z Mailund do Slite na Gotlandii, gdzie ojciec żył z Sofią od śmierci małego Syvera w roku 1974.

Przez pierwsze lata Bo Anders Wallin odwiedzał Jenny i Siri dość często. Na urodziny. Na Wigilie. Kiedyś, to musiało być w 1977 roku, zapomniał przywieźć prezent urodzinowy, który – jak twierdził – kupił w sklepie z zabawkami w Sztokholmie (Siri skończyła dziewięć lat), i żeby to naprawić, wyszedł do kuchni, wyjął z kuchennej szuflady nożyczki, pociął swój prochowiec i zrobił z niego pelerynę, którą wręczył Siri.

– Proszę – powiedział. – Bardzo proszę, Siri Brodal Wallin! To peleryna niewidka zaimportowana tu, do Mailund, przez czarnoksiężnika ze Szwecji. Kiedy ją włożysz, nikt cię nie będzie widział, ale ty będziesz widziała wszystkich.

Jenny przewróciła oczami, drepcząc w miejscu na swoich kanarkowożółtych wysokich obcasach. Miała dosyć Bo Andersa. Ale on poszedł, dopiero gdy Siri już zasnęła, pamiętała, że siedział na brzegu jej łóżka i opowiadał o wszystkim, co będzie mogła robić następnego dnia, kiedy się obudzi, mając pelerynę niewidkę.

Będziesz mogła widzieć wszystkich, ale nikt nie będzie widział ciebie.

Będziesz mogła słyszeć wszystkich, ale nikt nie będzie słyszał ciebie.

Będziesz mogła dotykać wszystkich, ale nikt nie będzie dotykał ciebie.

Siri miała trzy fotografie ojca.

Na pierwszej, ziarnistej, czarno-białej, jest razem z nim. Ojciec leży na kanapie z zamkniętymi oczami, ma krótkie, ciemne, gładkie i błyszczące (brylantyna?) włosy, przedziałek i rozpiętą koszulę. Na brzuchu trzyma niemowlę, blade, pulchne i ciepłe jak świeżo upieczona bułka. Siri ma ledwie miesiąc. Oboje śpią.

Kiedy Jenny zmarła jesienią 2010 roku (mniej więcej w tym samym czasie, gdy trzej chłopcy znaleźli szczątki Mille w lesie), zostawiła

dzienniki z krótkimi, niemal telegraficznymi zapiskami. W październiku 1968 roku, a więc wtedy, gdy musiało zostać zrobione to zdjęcie Siri i Bo, zanotowała: *Nie mogę wytrzymać tego płaczu, nie jestem do tego stworzona, nigdy więcej, jedyną osobą, która potrafi ją uciszyć, jest Bo Anders, kładzie ją sobie na brzuchu i oboje wtedy zasypiają. Błogosławiony sen.*

Na drugim zdjęciu jest Bo Anders z Siri i Syverem. To jedyna fotografia ojca z obojgiem dzieci, jaką ma Siri. Z roku 1973. Również czarno-biała. Stoją obok siebie na podwórzu przed domem Jenny w Mailund. Bo Anders pośrodku, trzyma Syvera za rękę, Siri stoi kawałek dalej – ma pięć lat i bardzo poważną minę. Jest jesień. Wszyscy są w grubych swetrach. Wybierają się na wycieczkę do lasu. Syver ma na głowie szarą, robioną na drutach czapkę. Trzylatek uśmiecha się od ucha do ucha. Zdjęcie musiała zrobić Jenny.

Trzecia fotografia jest z roku 1986. Ojciec ma siwe włosy i wielką siwą brodę, która zasłania mu niemal całą twarz. Siedzi na ławce w ogrodzie przed domem z wapienia w Slite. W ręce wyciągniętej do fotografującej go osoby trzyma pęk polnych kwiatów, jakby mówił: *Proszę! To dla ciebie!* Zdjęcie zrobiła Sofia i przysłała Siri. Zostało przypięte spinaczem do białej kartki, na której napisano po szwedzku: *Cześć, Siri! Pozdrowienia od Twojego taty, który miewa się dobrze i tęskni za Tobą! Wszystkiego najlepszego z okazji osiemnastych urodzin!*

Siri zawsze się zastanawiała, dlaczego ojciec sam do niej nie napisał. I dlaczego przysłał jej (on albo Sofia) fotografię, na której nie widać jego twarzy, tylko mnóstwo sterczących włosów na głowie i na brodzie. Co chciał jej przekazać tym zdjęciem? I czy naprawdę za nią tęsknił?

Teraz już nie żył, zmarł w wieku siedemdziesięciu dziewięciu lat, w nocy z czternastego na piętnastego czerwca 1995 roku, a Siri dowiedziała się o tym tego dnia wcześniej rano. Zadzwoiła Sofia.

– No tak. Już umarł – powiedziała tym swoim dźwięcznym, niemal radosnym głosem.

Wiele lat później, z policzkami zaczerwienionymi od kilku kieliszków wina, Siri usiłowała odtworzyć Jonowi dźwięk głosu Sofii. Ale to się

nie udało. Było jak śpiewanie piosenki, która jej się przyśniła.

Jon pogładził ją po włosach.

– Wyjaśnij mi to – poprosił. – Co takiego wyjątkowego było w sposobie, w jaki to powiedziała?

– Nie wiem – odparła Siri. – To było piękne. Nie to, co mi przekazała, przecież mimo wszystko się zasmuciłam, chociaż nie znałam go zbyt dobrze, ale to brzmienie jej głosu. Jak dźwięk dzwonek.

Siri bardzo chciała ostatni raz zobaczyć ojca. Zobaczyć go zmarłego. Połączyć łukiem to, jak leży na kanapie w rozpiętej koszuli, z nią na brzuchu, i jak leży martwy w swoim łóżku.

– Zostawię go na jedną dobę – powiedziała Sofia tym swoim głosem jak dzwonek. – Ale potem przyjadą i go zabiorą.

Siri nie spytała, kim są ci oni. Uznała, że to pracownicy zakładu pogrzebowego z Gotlandii i że Sofia już z nimi rozmawiała, zapewne również z lekarzem, który stwierdził zgon, i ustaliła, że Bo Anders może zostać w łóżku jeszcze przez jedną dobę, tak aby ona (*jedyne żyjące dziecko*) zdążyła przyjechać z Norwegii, żeby się z nim pożegnać.

To była długa podróż. Najpierw samochodem z Mailund do Oslo. Jon ją zawiózł. Chciał jej towarzyszyć przez całą drogę, być przy niej, *no bo co będzie, jeśli nagle dostanie tam bólów porodowych*, ale ona się sprzeciwiła. Postanowiła to załatwić sama, on zresztą miał robotę przy ostatniej korekcie zbioru opowiadań, a gdyby nawet dostała bólów, to zdoła urodzić i w Slite.

Dalej samolotem, z lotniska Fornebu do Sztokholmu, później kolejnym, ze Sztokholmu do Visby, i jeszcze krótka podróż samochodem z Visby do Slite.

W przepelnionym niedużym turbośmigłowcu ze Sztokholmu do Visby siedziała obok mężczyzny w średnim wieku, który w momencie wzbijania się samolotu w niebo zwrócił jej uwagę, że zajmuje zbyt dużo miejsca. Siri była w siódmym miesiącu, więc zdaniem tego człowieka powinna zamówić dwa fotele, bo jej wielki brzuch zajmował część jego miejsca, tego, za które zapłacił, a nie mógł się

ruszyć, nie mógł poruszać kończynami ani swobodnie się rozglądać, bo cały czas przeszkadzał mu jej brzuch. Oświadczył, że to nieprzyjemne i niesprawiedliwe, a potem wezwał stewardesę. Siri czuła, że palą ją policzki. Kiedy stewardesa przyszała, mężczyzna jeszcze bardziej się rozzłościł, słowa wyskakiwały z niego jak czkawka.

– Za dużo... zdecydowanie za dużo... mojego miejsca... nie wybrałbym sobie tego siedzenia... nie mogę się ruszyć...

Gestykulował i krzyczał, ale zagłuszały go śmigła. Stewardesa się rozejrzała – czy powinna wezwać kapitana? Inni pasażerowie kręcili się niespokojnie na swoich miejscach, a kilkaset metrów w dole jaśniał zielenią Bałtyk.

Siri objęła swój duży brzuch, niezauważalnie kołysząc się w przód i w tył, wpatrzona w fotel przed sobą. Dziecko się poruszało. Nie wymierzało lekkich kopniaków i ciosów piąstkami. Na to było już za duże. Teraz całe poruszało się ciężko, z wielką siłą. To była dziewczynka. Ale Siri nie potrafiła jej sobie wyobrazić. Dłonie, stopy, brzuch, płeć, kolana. Skóra. Wszystko maleńkie i idealne rozwinięte, taką miała nadzieję. Malusieńkie obce ciało i malusieńka obca twarz. Nie umiała sobie tego wyobrazić. Dziecko. Twarz. W nocy śniły jej się zwierzęta – koty, żaby, ptaki – i wyniszczone krajobrazy. Czuła, jak brzuch się wypycha, raz tu, raz tam.

Mężczyzna nie ustępował, żądał porządnego fotela, mogącego pomieścić całe ciało. Stewardesa słuchała go bezradnie, może myśląc: *Jeśli mu powiem, jaki jest nierozsądny, mogę jeszcze pogorszyć sytuację. Jeśli ulegnę, to przyznam mu rację i pozwolę mu dalej tak się zachowywać.* A w samolocie było pełno. Nie dało się go przesadzić.

Mężczyzna nie przestawał się skarżyć. Siri chciała, żeby wreszcie przestał. *Niech pan przestanie. Proszę przestać. To nie może dłużej trwać. Nie może.* Nagle poczuła, że dziecko w niej się obróciło, jakby usiłowało owinać się wokół jej kręgosłupa. Zaparło jej dech w piersiach.

– Mam za mało miejsca! – krzyknął mężczyzna, wymachując rękami.

Siri złapała go za ramię, przycisnęła wargi do jego ucha (ucho tego

mężczyzny: duże, różowe, tłuste) i syknęła:

– Niech pan się uciszy!

Wyrwał się i spojrzał na nią, poczerwieniały na twarzy. Siri się opanowała. Wzięła głęboki oddech i powtórzyła, tym razem zwykłym głosem:

– Niech pan się uciszy!

Mężczyzna otworzył i zamknął usta.

– Nie wie pan, że takim zachowaniem może pan wywołać poród? – ściszyła głos. – To udowodnione.

– Co jest udowodnione? – spytał szeptem.

– Udowodnione – powtórzyła. – Że jeśli będzie się pan tak zachowywał, wywoła pan poród. Będę wtedy musiała urodzić tutaj, w samolocie, wysoko nad morzem, obok pana, i z całą pewnością pan to odczuje!

Było już późno, kiedy Siri wreszcie dotarła do domu ojca. Rozpalone czerwone słońce zachodziło, Sofia siedziała na drewnianej ławce pod drzewem w ogrodzie, ale na widok Siri wstała. Jako dziecko Siri spędziła kilka letnich miesięcy z Sofią i ojcem, ale to było dawno, dlatego przeżyła zaskoczenie, kiedy ją teraz zobaczyła. Sofia, którą Siri zapamiętała jako drobną, ciemnowłosą i która przez telefon brzmiała tak pogodnie, zmieniła się w starą kobietę o oczach czarnych jak atrament.

– Wielkie nieba! – powiedziała Sofia słabym głosem, wskazując na brzuch Siri. – Nie mieliśmy pojęcia... Twój tata i ja nie mieliśmy pojęcia... Kiedy masz termin?

– Jakoś nie udało mi się napisać, żeby go o tym powiadomić – odparła Siri. – Termin mam w sierpniu, dwudziestego pierwszego, a dziesiątego kończę dwadzieścia siedem lat, więc to mogą być podwójne urodziny. – Położyła rękę na brzuchu. – To dziewczynka. Będzie miała na imię Alma.

Bo Anders Wallin leżał wyciągnięty na łóżku, nakryty świeżo uprasowanym prześcieradłem. Na nocnym stoliku paliła się świeczka. Był umyty, ogolony, przebrany w czystą flanelową piżamę. Sofia (albo

inna osoba) obwiązała mu zuchwę kraciastą chustką i zrobiła supeł na czubku głowy. Siri wydało się to przykre, jak zdoła z nim porozmawiać, skoro cały podbródek miał tak opatulony, no i jeszcze ten komiczny węzeł na głowie, wyglądało to jak włożony do góry nogami czepek, ale pewnie chodziło o to, żeby nie leżał z rozdziawionymi ustami. Nachyliła się nad nim, oczy miał zamknięte, wyglądał surowo i niedostępnie, wcale nie wydawał się spokojny, łagodny, pogodzony ze swoim nowym stanem, tylko, jej zdaniem, wręcz wrogi, było coś w wąskich, wyrażających pewną dezaprobatę ustach – no i ta kraciasta chustka, oczywiście, ciasno obwiązująca głowę. Chciała rozplątać ten supeł, ale nie miała odwagi.

Przysiadła na brzegu łóżka i powiedziała na próbę:

– Tato.

Ujęła go za rękę. Zimną, z porowatą skórą. Bała się tego, co mogłoby się stać, gdyby ją uścisnęła.

– Tato – powtórzyła.

Rozpląkała się. Ale równocześnie siedziała nieruchomo na brzegu łóżka i wszystko to obserwowała. Płakała i nie płakała. Ta Siri, która nie płakała, szepnęła: *To jakieś przedstawienie, już dawno spisałaś go na straty.*

Przebiegało to niezauważalnie i prawie bezboleśnie. To dzielenie się na dwoje, a niekiedy na czworo. Pierwszy raz, kiedy się to zdarzyło, miała trzy albo cztery lata, pamięta, że zakreśliło jej się w głowie – jakby nawdychała się niewidzialnego gazu. Kiedy Syver zniknął, a ona wbiegła między drzewa, żeby go szukać, jedna ona stanęła nad jeziorkiem (i nigdy się stamtąd nie ruszyła), a ta druga poszła do domu po pomoc.

Rok przed utonięciem Syvera powiedziała mu, że sama ma więcej rodzeństwa. Miał trzy lata, ona pięć i niedawno nauczyła się czytać i pisać swoje imię. I w przód, i wspak. Odkryła, że wspak jest ładniejsze.

– I-R-I-S – przeczytała głośno. Spojrzała na ojca, który czytał gazetę.

– Co to znaczy Iris?

– To takie kwiaty, irysy – odparł, podnosząc głowę. – Rosną u nas w ogrodzie. I to coś w twoich oczach – dodał. – To niebieskie z żółtymi plamkami. Tak się nazywa po łacinie.

– Jedna moja siostra ma na imię Iris – oznajmiła Syverowi. Bawili się wtedy na podwórzu. – Czasami jest niewidzialna, a czasami nie.

– Ty jesteś Siri! – krzyknął Syver.

– Czasami jestem Siri, a czasami jestem Iris. A czasami jestem obydwoma, a czasami żadną.

– Jesteś Siri! – krzyknął Syver jeszcze raz. Ściągnął z głowy szarą czapkę, stanął przed nią. Usiłował złapać ją za rękę, ale go odepchnęła.

– Jesteś Siri!

– Ja nie kłamię – odpowiedziała. – Tak po prostu jest.

To miało związek z matką. Rozdzielanie się było po prostu konieczne. Z czasem weszło w nawyk. Nawet nie kręciło jej się w głowie. Gaz przynosił ulgę, wystarczyło go wdychać i pozwolić, żeby zrobił swoje.

Wściekłość Jenny, kiedy już zaczęła nadciągać, była tak wielka, czarna i niemożliwa do zdławienia, że należało się podzielić i zmienić w całą armię. Jedna osoba stoi na czatach. Jedna walczy. Jedna płacze i błaga o zmiłowanie. Jedna przemawia do rozsądku. Jedna tańczy i się wygłupia. Jedna przeprasza. Jedna przynosi owoce, pociechę i gorącą herbatę. Jedna zawsze stara się wszystko naprawić. Jedna ucieka, ale nie dociera zbyt daleko.

Ciało matki było fantastyczną budowlą – baśniowym zamkiem, piramidą, twierdzą. Ale co tydzień doświadczało ataku od wewnątrz – inwazji mrówek, gzów, kleszczy, szczurów i alkoholu, a kiedy się rozsypywało, należało wszystko, całą Jenny, odbudować od nowa. Kamień za kamieniem, deska za deską, gwóźdź za gwoździem. Atak mógł nastąpić w poniedziałek albo w sobotę, albo we wtorek, albo codziennie, albo w danym tygodniu wcale i to było najokropniejsze – bo wtedy Siri bała się i czekała, aż się to stanie. Lub jeszcze gorzej: czasami między kolejnymi rozpadami Jenny mijał bardzo długi czas – tygodnie, nawet miesiące, a wtedy Siri pozwalała sobie na rozluźnienie. Zaczynała być zbyt swobodna, mówiła trochę za głośno,

rozdawała za mocne uściski, wbiegała do pokoju albo rozlewała coś na podłogę.

Kiedy Jenny była w dobrym humorze (długie, spokojne dni, bez oznak wewnętrznego ataku), przygotowywała fantastyczne obiady w olbrzymiej kuchni. Stół, który można było nakryć dla dwunastu osób, nakrywała dla dwóch, wystawiała delikatną porcelanę i kryształ, obie, Jenny i Siri, ubierały się w eleganckie sukienki i lakierki, używały szminki i L'Air du Temps, zamrażarka była pełna lodów (zielonych lodów pistacjowych), których można było sobie do woli dokładać na deser, a Jenny szykowała swoje specjalne jednogarnkowe danie, składające się z jednej puszki jasnego gulaszu, jednej puszki kielbasek koktajlowych, jednej puszki spaghetti à la capri i jednej puszki klopsików reniferowych w gęstym brązowym sosie, dużej ilości przecieru pomidorowego, kukurydzy, pora, niedużego kawałka brązowego koziego sera dla posmaku dziczyzny i gałązki pietruszki do ozdoby.

Ważne było, żeby nie być zbyt swobodną. Ale Siri stale się zapominała. Nie była dość czujna. Właśnie to stanowiło problem. Nie była czujna. Nie pilnowała.

A Syver leżał w wodzie, a Siri stała na brzegu, a Jenny otworzyła drzwi na oścież i pytająco spojrzała na chudą, zdyszana dziewczynkę.

– Ależ, Siri, kochanie – powiedziała. – Co się stało? Co z tobą? – A potem trochę ciszej, ale bez najmniejszych oznak zaniepokojenia: – A gdzie podziłaś Syvera?

Siri zamknęła za sobą drzwi do pokoju ojca i wyszła do ogrodu. Sofia wciąż siedziała na drewnianej ławce.

Starsza pani odwróciła się do niej.

– Wszystko z tobą w porządku?

– Tak – odparła Siri. – Pójdę się wykąpać, dobrze?

– Świetny pomysł. Na pewno ci gorąco po podróży. Pamiętasz drogę na plażę?

– Tak.

– Napijemy się herbaty, kiedy wrócisz?

– Tak – powiedziała Siri. – Byłoby miło – dodała. – Bardzo dziękuję.

Wiał wiatr, zrobiło się już późno. Na plaży nie było ludzi, ale Siri mimo wszystko schowała się za zamkniętym kioskiem z lodami, żeby się przebrać. Z letniej sukienki i majtek zrobiła niedużą kupkę, którą położyła za kioskiem, i wciągnęła żółty kostium kąpielowy. Zamknęła oczy i dotknęła ręką brzucha. Żadnego ruchu. Cicho, ciężko i obco. Usiłowała wyobrazić sobie twarz dziecka. To była dziewczynka. Dziewczynka Siri. Dziewczynka Siri i Jona. Ocean, morze, rzeka, jezioro. Wyobraziła sobie twarze. Dziecka, własną, Syvera, Jona. Twarze tak blisko jej twarzy, że rozpadały się na plamki, kreski, kropki. Rozmyte, nierzeczywiste. Czasami jej się śniły, te twarze, które zlewały się w nowe twarze, opisywała je w dzienniku, tym, który pisała, kiedy miała takie mdłości, że chciała tylko umrzeć, tym, który pisała, kiedy płód miał dwanaście tygodni i był wielkości raka słodkowodnego, kiedy mózg rósł i się rozwijał, kiedy szpik kostny, wątroba i śledziona zaczęły produkować komórki krwi. Nie było drogi odwrotu. Płód rósł, duży i potężny. Ktoś inny. Obcy. A mimo to wewnątrz Siri, jako przedłużenie Siri, miękki, giętki fragment Siri omotany kłębowiskiem naczyń krwionośnych, wody, skóry i włosów. Gdzie się zaczynała ta druga osoba i gdzie się kończyła Siri? *Nawet jeśli nie czujesz płodu* – pisano w książkach o ciąży, które Siri wyrywkowo w tym czasie czytała – *płód będzie czuł ciebie*. Bała się. Miała mdłości. Miała takie mdłości, że chciała tylko umrzeć. To obraza ciężarnych nazywanie mdłości dokuczających wielu z nich porannymi mdłościami, jakby chodziło o jakieś krótkotrwałe nieprzyjemne uczucie około śniadania. W wielu przypadkach zapewne tak było, ale nie w przypadku Siri. Jej zmysły zostały zaatakowane. Nie mogła gotować. Nie tolerowała zapachu własnej kuchni, z powodu tego zapachu musiała iść na zwolnienie, niemożliwe było gotowanie bez wymiotowania. Obrzydzenie budził w niej szczególnie zapach kawy, halibuta i miodu, ale również warzyw korzeniowych, mięsa (wołowiny, wieprzowiny, jagnięciny i zająca), no i oczywiście cebuli, cytryny i wszelkich ziół, zwłaszcza

kwiatu kopru, który tak lubiła. Co takiego w niej rosło, że tak ją atakowało, wypełniało obrzydzeniem, wstydem i lękiem? Tego obrzydzenia i lęku usiłowała się pozbyć pisaniem dziennika. Chyba niemożliwe, żeby takie samopoczucie było dobre dla dziecka (niewinnego dziecka, które nie prosiło się na świat)? Dziennik nazywała *Czarną księgą*. Zapisywała w nim wszystko, czego nie mogła powiedzieć. Wszystko to, czego nie mogła pomyśleć.

Kiedy mdłości wreszcie ustąpiły – stało się to w szóstym miesiącu – zakopała *Czarną księgę* i książki o ciąży w lesie. Jej ojciec mawiał, że rytuały są ważne, a teraz leżał w swoim łóżku z głową owiniętą chustką. Zakopanie książek było rytuałem. A niedługo miała zakopać ojca. Roześmiała się. Spojrzała na prawie czarne morze. Zwykle miało tutaj rozmaite odcienie szarej zieleni. Zupełnie inne niż w Mailund. I nie było meduz. Weszła kawałek w głąb morza, ułożyła się na wodzie, pozwalając, żeby obmywały ją ciepłe wieczorne fale. Brzuch sterczał ku niebu, okrągły i żółty jak skierowana do gwiazd prośba, aby stać się jedną z nich. Dziecko wciąż się nie poruszało. Zamknęła oczy, wszystko znieruchomiało.

Alma szła za Mille i Liv, a Mille miała długie ciemne włosy, o wiele dłuższe niż włosy mamy. Liv podskakiwała, wesoła i zadowolona. Nadszedł dzień urodzin Jenny i wszyscy (no, z wyjątkiem Liv) byli bardzo spięci. Dzień wcześniej Siri zdjęła z kuchennego blatu długi, gruby włos, pomachała nim Jonowi przed oczami, jakby to była dżdżownica, ślimak czy pajak, i zaczęła krzyczeć, że ma już tego dość. *Wszędzie włosy, krzyczała. W łazience. W kuchni. W jedzeniu.* Jon prosił, żeby się uspokoiła, bo Mille może ją usłyszeć, ale wtedy Siri jeszcze bardziej się rozżłościła.

– Jej włosy w moich włosach – krzyczała, ciągnąc się za włosy.

Alma siedziała przy kuchennym stole, piła herbatę z ciepłym mlekiem i obserwowała rodziców. Nie zwracali na nią uwagi.

Co wieczór Siri przyrządzała herbatę z ciepłym mlekiem, żeby Alma spała. Uspokajającą herbatkę. Żeby ją wyciszyć. Żeby przywołać sen. Wcześniej Alma dostawała kakao, ale teraz, kiedy już była większa, mogła pić herbatę.

Alma zwykle budziła się w środku nocy i przybiegała do Siri i Jona, chociaż miała już dwanaście lat i była za duża na takie rzeczy. W nocy nie chciała leżeć w łóżku sama, okropne też było budzenie się rano w lepkiem łóżku dorosłych. Budzenie się na dźwięk zmęczonego i trochę rozczarowanego głosu Siri: *Musisz już wstawać, Almo.* Budzenie się w zimnym świetle lampy na suficie. Noc była miękka i łagodna, skóra matki, pocałunki matki. *Dobrze, Almo, możesz spać ze mną.* Poranek był zimny i lepki. Mama w nocy to jedno, mama w dzień to coś zupełnie innego. *Może z mamą jest tak samo jak ze mną,* zastanawiała się Alma. Inna Alma nocą i inna Alma w ciągu dnia. To koszmary ją budziły (stąd ta uspokajająca herbatka z ciepłym mlekiem, w której działanie Siri święcie wierzyła).

Na te koszmary pomagało jedynie leżenie w łóżku i myślenie na jawie o tym wszystkim, co mogło zmienić się w koszmar po zaśnięciu. Na przykład o prosiętach. Śniły się Almie. We śnie matka się śmiała i odsłaniała zęby. Ojciec też. Chodziło o to, żeby myśleć. Wtedy się miało kontrolę. Jeśli na przykład pamiętała, żeby przed zaśnięciem pomyśleć o prosiętach, to już nie udawało im się przeobrazić w marzenia senne i zakraść do niej we śnie. Myślenie polegało na

odhaczaniu punktów na liście. *Nie śnić o mięsie. Nie śnić o liliach wodnych. Nie śnić, że spadam. Nie śnić, że mama, tata, Liv i ja gubimy się w wielkim, obcym mieście. Nie śnić o owadach. Nie śnić, że powodują czyjąś śmierć.* Sen czyni człowieka bezbronny. Sen zdradza.

Na ogół kiedy Alma budziła się w nocy, Siri leżała sama w łóżku. Jon nocował na poddaszu. Rodzice udawali, że śpią razem, ważne było dla nich, żeby wszyscy w tej rodzinie przynajmniej *udawali*, że śpią w tych łóżkach, w których powinni spać.

Alma lubiła przybiegać do Jona i rzucać mu się w objęcia, ale teraz była już taka duża i ciężka, że prawie nie mógł jej utrzymać.

Dwanaście lat i rzeczy, które ci wolno robić: możesz siedzieć cicho i popijać herbatę, kiedy twoja matka wymachuje włosami przed nosem twojemu ojcu i krzyczy, możesz śnić o liliach wodnych, możesz biec jak najszybciej i wpadać w objęcia mężczyzny, który nie ma siły cię utrzymać.

– Uważaj na kręgosłup taty! – wołała Siri za każdym razem, kiedy Alma rzucała mu się w ramiona.

Siri zawsze słyszała komplementy na temat swoich włosów – i bardzo to lubiła. Udawała, że wcale tego nie lubi albo że ją to nie obchodzi, ale lubiła. Nigdy nie miała dość komplementów i pochwał. Czerwieniły jej się policzki i nos, oczy się zwężyły i zmieniały w cieniutkie kreski za każdym razem, gdy ktoś mówił o niej coś miłego.

A teraz Siri powiedziała:

– Idźcie nazrywać kwiatków, żeby ozdobić stoły.

Jakby Alma i Liv były jej małutkimi kwiaciarkami. Właśnie dlatego szły po łące razem z Mille.

Alma nie mogła zrozumieć, o co chodzi. Przecież babcia nie chciała żadnego przyjęcia. Sama powiedziała o tym Almie, kiedy siedziały w starym opłu, pędząc drogą w stronę przystani. Było to na trzy dni przed urodzinami, a Jenny miała jakieś sprawy do załatwienia w mieście i – jak często bywało – chciała, żeby towarzyszyła jej Alma.

– Nie chcę tego przyjęcia – oświadczyła, o mało nie wjeżdżając do rowu. – Nie rozumiem, dlaczego twoja matka tak się przy tym upiera.

Aż brzuch mnie boli... chciałabym tylko uciec... nakrzyczeć na wszystkich.

Jenny zamierzała kupić szminkę, rajstopy i nową powieść, czytała o niej w pewnym angielskim magazynie, który prenumerowała. Dziewczyna z księgarni – tej samej, w której Jenny przepracowała tyle lat – nie słyszała ani o nowej powieści, ani o jej autorze, ani o tym angielskim magazynie, najwyraźniej nie wiedziała też, kim jest Jenny, i nie miała pojęcia, w jaki sposób tę powieść ewentualnie zamówić. Alma stała i patrzyła, jak babcia, nie podnosząc głosu, zaatakowała przesadnie umalowaną dziewczynę z szeroko otwartymi oczami.

Wypluj tę gumę do żucia! Zetrzyj to czarne, które masz wokół oczu! Przeczytaj gazetę! Zaczynij żyć!

W końcu Alma wzięła babcię za rękę i szepnęła, że pomoże jej zamówić książkę przez Internet. To nie jest trudne. Mogą to zrobić zaraz po powrocie do domu. Jenny popatrzyła wtedy na Almę i stwierdziła, że dobrze, że na świecie został jeszcze ktoś, kto jest bystry i kogo da się znieść.

Łąka i las rozciągały się za domem. Przed domem był duży ogród, a w ogrodzie Irma poustawiała długie stoły, a później pomogła Jonowi rozpiąć między drzewami dwa stare bawełniane żagle, na wypadek deszczu. Wcześniej rano w ten wielki dzień Siri nakryła stoły białymi lnianymi obrusami, które powiewały na wietrze, ale kiedy po kilku godzinach zaczął kropić deszcz, wybiegła do ogrodu i zaczęła po kolei zbierać obrusy, po czym rozwiesiła je w całym domu, na krzesłach, drzwiach, poręczach schodów, a gdy nieco później znów wyrzało słońce, wyszła do ogrodu w swojej spranej białej sukience i znów nakryła stoły obrusami, nadciągnęła jednak mgła i Siri ponownie musiała je zebrać.

Alma i Liv siedziały na kanapie w salonie, ciągle w nocnych koszulach, i przyciskały twarze do okna. Obserwowały matkę, która nie mogła się zdecydować, czy obrusy mają zostać, czy nie.

– Stoliczku, nakryj się – szepnęła Alma do Liv, a wtedy Liv się roześmiała, marszcząc nos, i powiedziała, że mama bardzo ładnie

wygląda w tym morzu mgły, kiedy tak krąży między stołami wśród powiewających białych obrusów.

Liv, śmiejąc się, zawsze marszczyła nos. Była jedyną osobą z rodziny, która tak robiła. A śmiała się jeszcze bardziej, kiedy Alma spytała:

– Co to jest, co błyszczący i błyszczący, ale nigdy nie będzie księżniczką?

– Nie wiem – odparła zaciekawiona. – Powiedz!

– Nie – powiedziała Alma. – Sama wymyśl.

Latem Siri i Jon pracowali na okrągło, zwłaszcza ona. Siri dokładnie wiedziała, ile będzie pracować, a *na Jona przecież nie mogą liczyć* (mówiła zwykle cicho, ale na tyle głośno, żeby wszyscy ją usłyszeli), dlatego uparła się zabrać ze sobą kogoś, kto jej pomoże przy dzieciach. W taki oto sposób Mille trafiła do Mailund. Wprawdzie nie potrzebowali pomocy do opieki nad Alną, ale potrzebna była pomoc do Liv, która właśnie skończyła cztery lata. Alma potrafiła zaopiekować się sobą. Potrafiła też zaopiekować się innymi. Od czasu do czasu opiekowała się Liv (ale za każdym razem niezbyt długo), a od czasu do czasu chłopczykiem, który miał na imię Simen i mieszkał na końcu drogi, ale rzeczywiście tylko od czasu do czasu i też nie za długo, a poza tym Simen urósł już tak, że tego lata nie potrzebował opieki.

Alma zadzwoniła do drzwi domu Simena już dzień po przyjeździe do Mailund. Otworzyła jej matka Simena. Miała na szyi malutki brylantowy krzyżyk i wyglądała bardzo poważnie, jak zawsze. Kiedyś Simen powiedział jej, że jego mama nazywa go małym szczygiełkiem, jak w tej piosence. Alma nie bardzo rozumiała dlaczego. Simen nie wyglądał jak szczygiełek, może jak wrona, ale nie jak szczygiełek, a jego matka także nie wyglądała jak szczyglica.

– Dzień dobry. – Alma od razu przystąpiła do rzeczy. – W tym roku też mogę się opiekować Simenem.

Ale matka Simena pokręciła głową, jeszcze zanim Alma skończyła mówić. Alma zastanawiała się dlaczego. Czy matka Simena uznała, że jest dziwna? Czasami grzywa ciemnych włosów sterczała jej na

wszystkie strony i wtedy rzeczywiście wyglądała bardzo dziwnie. A może coś było nie tak z jej głosem? Może brzmiał zbyt przenikliwie? Może powiedziała coś głupiego? Może powinna najpierw uciąć sobie z mamą Simena pogawędkę i dopiero przejść do rzeczy, powiedzieć na przykład: *Dawno się nie widziałyśmy, tak, tak, aż trudno sobie wyobrazić, że minął cały rok. Czy wszystko u państwa w porządku?* Albo coś w tym stylu.

Matka Simena stała za drzwiami, które najwyraźniej miała ochotę czym prędzej zamknąć.

– Nie, Almo. Simen już jest na tyle duży, że nie ma takiej potrzeby. Wiesz, ma już dziewięć lat. Jesteście prawie rówieśnikami.

Alma spuściła wzrok i przygładziła ręką włosy.

– Nie jesteśmy – powiedziała. – Mam prawie trzynaście lat.

– Wszystko jedno. Simen bawi się z kolegami i nie potrzebuje opiekunki. Ale bardzo ci dziękuję. Jeszcze porozmawiamy.

Alma popatrzyła wprost na mamę Simena.

– Naprawdę?

Matka Simena już zamykała drzwi, ale znów je otworzyła.

– Co naprawdę, Almo?

– Porozmawiamy! Naprawdę? Czy tak tylko pani powiedziała?

Matka Simena się roześmiała. Alma pierwszy raz widziała, jak się śmieje. Miała taki ładny uśmiech. Popatrzyły na siebie.

– Chyba i jedno, i drugie – odparła matka Simena. – Uważam, że z całą pewnością porozmawiamy, bo przecież jesteśmy sąsiadkami, przynajmniej latem, i ciągle na siebie wpadamy. Ale też tylko tak powiedziałam. Okej?

Latem poprzedniego roku Alma dostała dwieście koron za opiekowanie się Simenem przez cztery godziny. Pierwszą godzinę Alma i Simen spędzili u Almy w Mailund, bo Simen uważał, że fajnie jest biegać w górę i w dół po wielkich schodach prowadzących z sutereny na poddasze, gdzie pisał Jon. Simen mówił, że nigdy wcześniej nie był w takim wielkim domu, z takimi wielkimi, długimi schodami. W końcu Jenny wyszła ze swojego pokoju (a właściwie mieszkania, mieszczącego się na piętrze i składającego się z dwóch

dużych pokoi i łazienki) i powiedziała, żeby Alma i Simen poszli na spacer do lasu albo wymyślili coś innego, bo nie wytrzyma dłużej tego biegania po schodach. Działa jej to na nerwy.

Siri właśnie wychodziła do pracy, co oznaczało, że Jon wkrótce skończy pisanie, żeby zająć się Liv. Tak to ułożyli tego lata przed zatrudnieniem Mille. Dzielili dzień między siebie. Siri przed wyjściem przygotowała koszyk z prowiantem dla Almy i Simena. Kanapki, jabłecznik i sok. Liv nie mogła iść z nimi. Była za mała.

– Nie zbliżajcie się do jeziora – przykazała Siri Almie.

– Dobrze – odparła Alma. – Wiemy.

– I pilnuj Simena. Nie pozwól mu biegać tak, żebyś straciła go z oczu. – Potem Siri pogłaskała Simena po głowie i powiedziała: – Cześć, Simen, jak się dzisiaj miewasz?

– Dobrze – mruknął Simen.

Alma przewróciła oczami. Mama zawsze musiała się wtrącać.

– To ja jestem opiekunką do dziecka – szepnęła Alma. – A ty się zawsze wtrącasz.

Alma i Simen poszli do lasu i zjedli prowiant nad jeziorkiem. Można się było tam kąpać, jeśli tylko uważało się na lilie wodne, i właśnie wtedy Alma opowiedziała Simenowi o tym, jak Syver utopił się gdzieś tutaj wiele lat temu, a potem wylała swój sok do wody. Nie lubiła czerwonego soku. Już tyle razy powtarzała mamie, że nie lubi czerwonego soku. Lubiała żółty. Nie czerwony. Czerwony sok smakował jak rzygi. Ale – i tego Alma nie powiedziała Simenowi – matka jej nie słuchała. Siri nigdy nie słuchała, kiedy Alma coś mówiła. Siri z całą pewnością wolałaby nigdy nie mieć Almy (tak myślała Alma). A może? Alma spojrzała na jezioro. Simen siedział tuż przy niej, a ona opowiadała mu o Syverze, a po pewnym czasie historia zmieniła się w coś w rodzaju bajki. Podobało jej się, że Simen słucha, że się do niej tuli. Może to wcale nie było takie proste, że mama jej nie chciała?

Mama nigdy nie odmawiała, kiedy Alma chciała w nocy przyjść do jej łóżka. Nie gniewała się. Skóra matki, pocałunki matki. Matka ją pocieszała, głaskała po brzuchu i szeptała: *To był tylko sen, Almo, sny*

zostają w ciele i trzeba poświęcić trochę czasu na to, żeby je wyplukać, ale nie są prawdziwe, nic nie znaczą.

Ale w ciągu dnia Alma wolała być z ojcem, jeśli już miała być z którymś z nich.

Kiedy była mniejsza, pozwalano jej siedzieć w gabinecie Jona, cicho jak myszka, i albo czytać książkę, albo bawić się na komputerze (z wyłączonym dźwiękiem). Tata zwykle powtarzał, że pomaga mu przy pisaniu *samą swoją obecnością w pokoju*. Czasami z nią dyskutował, opowiadał jej o tym, co pisze albo co myśli, zadawał pytania i prosił o radę.

– Czy ja będę w tej książce? – spytała kiedyś.

– Ty nie, ale dziewczynka trochę do ciebie podobna. Bez twojej siły i twoich zdolności – odparł Jon i urwał. – Ty nie, Almo. Ona właściwie w ogóle nie jest do ciebie podobna. Tę dziewczynkę w książce wymyśliłem.

– Masz dziwną pracę – stwierdziła Alma. – W ogóle nie rozumiem, po co to robisz.

Kiedy Alma była jeszcze młodsza, może w wieku Liv, często bawiła się domkiem dla lalek, mebelkami i małymi laleczkami, które Ola zrobił dla mamy, kiedy mama była mała i nikt się do niej nie odzywał z powodu tego, co się stało z Syverem. Alma w ciszy siedziała na podłodze w pokoju na poddaszu, meblowała domek i umieszczała laleczki w różnych pokojach. Lalek było siedem, cztery dorosłe, dwoje dzieci i jedno niemowlę. Alma zastanawiała się, kim są dorosłe lalki. Dwóch mężczyzn, dwie kobiety. Jeśli jedna kobieta, ta w niebieskim swetrze i żółtych spodniach dzwonych, to była mama, a mężczyzna w czerwonym swetrze i niebieskich dzwonych to ojciec, to kim były dwie pozostałe lalki – ta w sukience i ta w garniturze?

– To przyjaciele rodziny – powiedział tata i zaraz dodał: – Jeśli chcesz tu być, to musisz siedzieć cicho jak myszka.

– Kto uszył tym lalkom ubranka? Żona Oli?

Jon westchnął.

– Nie mam pojęcia, Almo.

Liv nigdy nie interesowała zabawa domkiem dla lalek, mebelkami dla lalek i lalkami. Liv skakała, tańczyła, uśmiechała się i śmiała, a jej jasne loki zawsze błyszczały. *Co to jest, co błyszczący i błyszczący, ale nigdy nie będzie księżniczką?* Liv była dzieckiem słońca, tak mówili wszyscy, którzy ją spotkali.

Kiedy Alma miała dziesięć lat, zaczęła chodzić do nowej szkoły. Nie mogła się tam odnaleźć, z nikim się nie zaprzyjaźniła, na przerwach nie bawiła się z innymi dziećmi, siedziała sama w kącie na szkolnym podwórzu albo zamykała się w toalecie. Mówiła, że jej to nie przeszkadza, wolała być sama, nie chciała się bawić z innymi. Stwierdziła, że jej najlepszym przyjacielem jest Jon.

– Ale ja jestem twoim tatą – odparł Jon. – Dobrze jest mieć przyjaciół w swoim wieku.

– Ja chcę tylko ciebie – oświadczyła Alma.

– Może zaprosimy jakąś dziewczynkę z twojej klasy do nas do domu? Na przykład Tuvę? Albo Marie-Louise, albo...

– Czy ty wierzysz w Boga, tato? – przerwała mu Alma.

– Nie. Nie wierzę. Ale wiele osób wierzy – dodał. – A może Ginę albo Hannah Linneę? Może któraś z nich miałaby ochotę do ciebie przyjść?

– Mama też nie wierzy w Boga – powiedziała Alma. – Dlaczego nie wierzycie w Boga?

– Wydaje mi się, że wierzymy w ludzi – odparł Jon. – We wszystko, co my, ludzie, robimy – dobre i złe. Budujemy i niszczymy, i znów budujemy, chyba codziennie trzeba dokonywać wyboru...

– A ja wierzę w Boga – znów przerwała mu Alma, obejmując go. – Modlę się do Boga codziennie. Modlę się, żebyśmy oboje długo żyli, bo ja ciebie kocham, tatusiu, i żebyś nie zachorował i nie umarł, chociaż już zaczynasz być stary.

– Halo! Wcale nie jestem stary! – Jon próbował się roześmiać.

Podczas rozmów z córką czuł się nieswojo. Dlaczego Alma nie mogła – przynajmniej od czasu do czasu! – rozmawiać o tym, o czym rozmawiały inne dziesięciolatki?

Kiedyś Jon kupił dla Almy dużą torbę słodczy, różowy błyszczek do ust i DVD z Hannah Montaną.

– *Niespodzianka!* – zawołał po przyjściu do domu.

Alma przybiegła do niego, wyrwała mu torbę z ręki i zajrzała do środka. Kiedy zobaczyła zawartość, oczy jej się zwięziły. A potem wypełniły łzami. Wyjęła błyszczek i trzymając go w dwóch palcach jak zdechłą mysz, podsunęła mu pod nos. Jej mała okrągła buzia już

była mokra od łez. Wrzuciła błyszczący z powrotem, oddała mu torbę i powiedziała: *Ty mnie w ogóle nie znasz!* Odwróciła się na pięcie i pobiegła po schodach na górę.

Innego dnia Alma oświadczyła:

- Czasami Bóg do mnie przemawia.
- I co wtedy mówi?
- Mówi, że mam robić dla niego różne rzeczy, a jeśli ich nie zrobię, to ty umrzesz.
- Ależ, Almo! – Jon usiadł, odłożył książkę, przytulił córkę i szepnął: – A jakie rzeczy każe ci robić Bóg?
- Każe mi nie spać całą noc. Każe mi wyjść na deszcz i sto razy obieć dom, chociaż wcale nie mam na to ochoty. Każe mi przechodzić na czerwonym świetle, zamiast na zielonym, chociaż jadą samochody. Każe mi oddawać przytulanki, każe mi jeść makrele w pomidorach, chociaż to najohydniejsza rzecz na świecie.
- Chwileczkę! Mama i ja sądziliśmy, że oddałaś wszystkie przytulanki, bo już się nimi nie bawiłaś. Sama mówiłaś, że jesteś za duża na to, żeby się bawić przytulankami.
- Bo jestem – potwierdziła Alma. – Nie o to chodzi. Ale nigdy nie oddałabym Pucusia, gdyby Bóg mi nie kazał tego zrobić.
- Oddałaś Pucusia? – spytał Jon.
- Oddałam Knutowi z równoległej klasy.
- Temu Knutowi, który był dla ciebie taki niedobry, kiedy zaczęłaś chodzić do tej szkoły?
- Tak, Knutowi! A on powiedział, że nasika na Pucusia i wyrzuci go do śmieci. Powiedział, że nie chce czegoś, czego dotykałam swoimi wstrętnymi palcami. Ale uklękłam przed nim i poprosiłam, żeby wziął Pucusia, może zrobić, co chce, ale musi być taki dobry i go przyjąć.
- Ależ, Almo, dlaczego robisz takie rzeczy? Dlaczego oddajesz... Rozmawiałaś o tym z mamą?
- Ja nie rozmawiam z mamą. Rozmawiam z tobą.
- Jon ujął małą okrągłą buzię Almy w dłonie i zmusił ją, żeby na niego popatrzyła.
- Dlaczego oddajesz rzeczy, które lubisz, komuś, kto nie jest dla

ciebie miły? Powiedziałaś, że *ukłękłaś* przed Knutem? Tak powiedziałaś?

Alma skinęła głową.

– Bo jeśli nie zrobię tego, co mi każe Bóg, to umrzesz.

Ani Siri, ani Jon nie mogli zrozumieć, gdzie Alma w wieku dziesięciu lat nabrała tak żarliwej wiary w Boga. Zaangażowano szkolnego psychologa. Poinformowano nauczycieli. Mogło się przecież zdarzyć, że Alma znów przyniesie do szkoły jakieś rzeczy i będzie próbowała je rozdawać lub w inny sposób *stawiać się w sytuacjach zachęcających innych uczniów do poniżających ją zachowań*, jak określił to szkolny psycholog. W związku z wiarą Almy rozważono różne diagnozy i lekarstwa.

Jednak Alma w końcu przestała przynosić swoje rzeczy do szkoły, żeby je rozdać, nie klękała już przed kolegami, którzy ją szturchali albo się z niej naśmiewali, a wtedy skończyło się też najgorsze poszturchiwanie i wyśmiewanie, Alma miała spokój i przez pewien czas wyglądało na to, że sytuacja się normalizuje.

Kiedy Alma skończyła jedenaście lat, Siri i Jon zaprosili wszystkie dziewczynki z jej klasy na przyjęcie urodzinowe – prawie wszystkie przyjęły zaproszenie. Dzień wcześniej Siri zabrała Almę do miasta, żeby kupić jej urodzinową sukienkę. Alma była nieduża i pulchna, ustaliły więc, że kupią spódniczkę i bluzkę z tego samego połyskliwego, srebrnego materiału. Kupiły też pantofelki. I poszły do cukierni na ciastko i kakao. A potem do fryzjera, żeby przystrzygł krótkie czarne włosy Almy.

– Może mogłaby pani trochę złagodzić linie wokół buzi – szepnęła Siri do młodej fryzjerki i popatrzyła na córkę we fryzjerskim lustrze. – Troszkę podciąć, żebyś nie wyglądała na taką złą, kochanie. Zgadzasz się?

Ulegle uśmiechnęła się do fryzjerki, pogłaskała Almę po policzku i usiadła przy wyjściu, gdzie sięgnęła po czasopismo dla kobiet, za którym mogła się ukryć.

Następnego dnia, gdy koleżanki z klasy zaczęły dzwonić do drzwi, Alma pobiegła do swojego pokoju i schowała się pod kołdrą. Jon

przyszedł do niej, usiadł na brzegu łóżka i najdelikatniej jak umiał, powiedział, że jej goście już są, przynieśli prezenty, więc Alma musi z nim iść. Niechętnie poszła z ojcem do salonu, gdzie dziewczynki z klasy już na nią czekały.

Dom wypełniały dźwięki dziewczęcych głosów, chichoty i pokrzykiwania, ale kiedy Alma weszła do salonu z rodzicami deptającymi jej po piętach, zapadła cisza. Dziewczynki patrzyły na Almę, Alma patrzyła na dziewczynki.

Jon pomyślał, że stoją jak dwie armie ustawione w szyku bojowym na polu bitwy, a Alma była jedynym żołnierzem w swojej.

Cisza jednak została przerwana.

– Cześć, Alma – powiedziała któraś z dziewczynek.

– Cześć, Alma, wszystkiego najlepszego w dniu urodzin – dodała druga.

– Jaką masz ładną fryzurę – pochwaliła ją trzecia.

– Nie otworzysz prezentów? – spytała czwarta.

– Fajna spódniczka – powiedziała piąta.

Dziewczynki rozbiegły się i znów się zbiegły, tym razem wokół Almy. Głaskały ją, ścisnęły, przez moment nagle była ich wybranką, ulubioną, nie mogły się nią nasycić, przypomniało to Jonowi sytuację, kiedy poszedł po Almę do szkoły, zabrawszy ze sobą Leopolda, jeszcze szczeniaka, i zanim się zorientował, został zaatakowany na szkolnym podwórzu przez małe, spragnione czułości, błagające dziewczynki, które swoimi pełnymi zapału, miękkimi rączkami chciały pogłaskać miękkie futerko psa, pamiętał ich usta, tyle miękkiej skóry naraz, i chór jasnych głosów: *Aach, jaki śliiiczny, mogę pogłaaaskaaać, prooszęęę, takie mięciutkie uuuszki!*

Wszystkie dziewczynki z klasy Almy były od niej co najmniej o głowę wyższe, większość miała długie albo półdługie włosy, ozdobione koralikami lub spinkami. Córka Jona stała teraz na środku pokoju otoczona nimi, tak jak on był wtedy otoczony nimi, albo dziewczynkami podobnymi do nich, kiedy pokazał się na szkolnym podwórzu z brązowookim szczeniakiem. Teraz otoczona nimi była Alma, ze swoimi czarnymi jak sadza włosami i błyszczącymi oczami, osaczona.

Pozwalała się głaskać, nie stawiała oporu, nie krzywiła się, otworzyła prezenty (trzy książki, jedna gra, zestaw fryzjerski, błyszczący do ust, rajstopy z połyskliwą nitką, bluzeczka, naszyjnik ze szklanych koralików, bransoletka) i każdej dziękowała uprzejmym uściskiem. Siri szepnęła do Jona: *Całkiem nieźle idzie, wydaje mi się, że Alma dobrze się bawi*, a on skinął głową, ale nie mógł oderwać wzroku od błyszczących oczu córki.

Po godzinie jubilatka usiadła wraz z gośćmi przy długim, odświeżnie nakrytym stole, aby uczcić urodziny pizzą, oranżadą i tortem. Siri i Jon spokojnie krążyli wokół stołu, nalewali oranżady do tekturowych kubków i pomagali przekładać kawałki pizzy na tekturowe talerzyki. Wszystkie dziewczynki mówiły jedna przez drugą, z wyjątkiem Almy, która przyglądała się im w milczeniu.

Nie zwracały już na nią uwagi. Już jej nie kochały. Nie kochały nowej, połyskującej srebrem spódniczki, krótkich czarnych włosów w nowej fryzurze, błyszczących oczu. Połowa przyjęcia urodzinowego była już za nimi.

Teraz czekało jedzenie pizzy i picie oranżady, po jedzeniu trochę tańców, a potem każda miała dostać torebkę ze słodyczami i iść do domu. Zaproszone dziewczynki zachowały się tak, jak przykazali im rodzice: przyszły na urodziny Almy i były miłe! Dobrze się spisały.

Tak, było miło.

Tak, tak, dostałyśmy pizzę.

Tak, Alma ucieszyła się z prezentu.

Nagle jednak Alma wstała z krzesła i wyciągnęła ręce do góry. Policzki miała czerwone, oczy pałały. Wszystkie dziewczynki umilkły i gapiły się na Almę.

– Tato, zobacz! – zawołała. Ciało jej drżało, z oczu płynęły łzy.

Siri puściła wszystko, co trzymała w rękach (kawałek pizzy i serwetkę), i rzuciła się biegiem wokół stołu, ale Jon ją uprzedził i chwycił Almę w momencie, gdy osuwała się na podłogę.

– Almo, kochanie, co się stało?

Podniosła wzrok na ojca. Oczy miała mokre od łez, ale się śmiała.

– Wiem, że teraz już wszystko będzie dobrze. Tak się cieszę!

Zarzuciła Jonowi ręce na szyję, a on usiadł na podłodze z córką

w ramionach. Siri stała nad nimi, ale co miała zrobić z rękami? Zapadła cisza. Dwanaście milczących dziewczynek z szeroko otwartymi oczami czekało na polecenie. Jon zerknął na Siri, w jej spojrzeniu rozpoznał własną rozpacz. Alma wczepiła się w ojca i głośno się śmiała w jego pierś. Ten śmiech był pełen kipiącej radości, światła i życia. Jon przez cienki materiał koszuli czuł jej oddech na skórze.

Skinął głową Siri, *wyprostuj się, zajmij się dziewczynkami, musisz coś powiedzieć. Powiedzże coś, Siri. Zrób coś, nie stój tak!*

Siri wyprostowała się i popatrzyła na dziewczynki – miękkie włosy, miękka skóra, miękkie głosy. Zmusiła się do uśmiechu, ale Jon widział, że miała ochotę zatkać sobie uszy, jakby sama była małą dziewczynką.

– Alma... – zaczęła bezradnie i rozłożyła ręce. – Alma... nie czuje się dobrze.

Koleżanki spojrzały na Almę leżącą na podłodze w objęciach ojca.

W końcu któraś spytała:

– Skoro Alma źle się czuje, to dlaczego się śmieje?

Alma spytała szeptem:

– Co robisz, kiedy wychodzisz wieczorami? Spotykasz się ze znajomymi? Z innymi w twoim wieku? Odwiedzają cię chłopcy w nocy? Posuwają cię po kolei?

Mille, która mieszkała w pomalowanym na czerwono aneksie, miała dużo fajnych ubrań i dużo fajnych kosmetyków. Któregoś wieczoru umyła krótkie czarne włosy Almy w umywalce i za pomocą suszarki ułożyła je tak, żeby i te wicherki przylegały płasko do czoła.

Potem spryskała świeżo wysuszone włosy dużą ilością lakieru.

– Żeby tak nie sterczały – wyjaśniła.

Stały razem w maleńkiej łazience, obie chichotały, przepychając się przed maleńkim lusterkiem, które wisiało na ścianie. Mille popatrzyła na Almę i powiedziała:

– Ładnie wyglądasz, Almo. – A potem wyciągnęła wszystkie swoje superkosmetyki i spytała, czy Alma chce, żeby ją umalowała, no a Alma oczywiście chciała.

Mille przyniosła krzesło z sypialni i ustawiła je przed lusterkiem w łazience, potem dała znak, że Alma ma usiąść.

– Teraz staniesz się zupełnie nowa – powiedziała Mille. – O tym się marzy, prawda? O tym, żeby wrócić do szkoły po wakacjach i być kimś zupełnie nowym?

– Nie wiem – odparła Alma niepewnie. – Może.

Kiedy Mille skończyła, Alma mocno zacisnęła oczy i policzyła do dziesięciu. *Raz dwa trzy cztery pięć sześć siedem osiem dziewięć dziesięć.* Potem znów otworzyła oczy. Przejrzała się w lusterku. Wciąż bardzo jej się podobało to, co Mille zrobiła z jej włosami, ale makijaż jej się nie podobał. Nie chciała być nowa, w każdym razie nie, jeśli to się wiązało z czerwonymi wargami i pomarańczowymi policzkami. Alma miała więcej niż dość zajęcia z byciem Almą. Nie chciała być nowa, tylko mniej rozmyta. Starła szminkę i zaczęła pocierać twarz, żeby usunąć puder.

– Zostaw przynajmniej oczy tak, jak je zrobiłam! – Mille spojrzała na Almę w lusterku.

Oczy Almy były jeszcze ciemniejsze niż zwykle, z grubą warstwą szarego cienia na powiekach. Alma uważała, że wygląda jak szop

pracz.

– Nie wycieraj wszystkiego! – zawołała Mille. – Ten makijaż nazywa się *smokey eyes*. Jest bardzo ładny. Dzięki niemu wyglądasz trochę tajemniczo.

– No nie wiem. – Alma czuła się nieswojo. – Wydaje mi się, że jest za dużo cienia.

– Nie, jest bardzo dobrze – orzekła Mille. – Wyglądasz na o wiele starszą.

Kiedy już skończyły w łazience, Mille zapaliła świeczkę w sypialni i nastawiła płytę, jako odtwarzacza użyła komputera. Alma rozpoznała piosenkę.

– Tata też ma tę płytę – zauważyła. – To Bob Dylan, prawda? Tata cały czas słucha Boba Dylana. Wydawało mi się, że młodzież nie słucha takiej muzyki.

– Aha – powiedziała Mille nieobecny głosem i się uśmiechnęła. – Nie wiem. Ja w każdym razie często słucham Dylana.

Potem Mille spytała, czy Alma nie chciałaby potańczyć, a ponieważ Alma chciała, to zatańczyły. To była spokojna piosenka, więc tańczyły spokojnie, blisko siebie. Alma przytuliła głowę do Mille, a Mille przycisnęła ją do siebie.

– Fajna jesteś, Almo – powiedziała Mille.

– Ty też – odszepnęła Alma.

Do przyjęcia zostało jeszcze kilka godzin, ale wszystkie kwiaty, których należało nazrywać, już zostały zerwane i Mille wróciła do pomalowanego na czerwono aneksu. Do jej drzwi zapukała Alma. Było już popołudnie, a mgła groziła, że spowije całe Mailund i wszystkich, którzy tam mieszkają. Mille otworzyła drzwi, Alma popatrzyła na nią zmrużonymi oczami.

– Co robisz?

– Modlę się – odparła Mille.

– Co? – Alma się zaczerwieniła. – To znaczy do Boga?

Mille była poważna. Nie chichotała jak zwykle. Miała na sobie białą sukienkę. Lekko wystawało spod niej jasnoróżowe, koronkowe ramiączko biustonosza.

Opalone ramiona.

Długie, rozpuszczone włosy.

I coś mrocznego, połyskującego i świeżo nastrojonego, co mówiło:
Spójrz na to, graj na tym, ciesz się tym.

Kilka dni wcześniej Mille, Alma i Liv opalały się na trawie w ogrodzie. Był jeden z niewielu ciepłych słonecznych dni tego lata. Liv nie mogła uleżeć bez ruchu, ale uspokoiła się, kiedy dostała do zabawy komórkę Mille.

– Pamiętaj o posmarowaniu Liv kremem do opalania, żeby się nie spiekła – powiedziała Siri, szykując się do pracy. Mówiła, chodząc: – W lodówce stoi sałatka, którą możecie zjeść wszystkie trzy.

I jeszcze:

– Bardzo cię proszę, tylko nie za dużo słodczy. Liv to szkodzi. Tobie też, Almo.

I jeszcze:

– Cały czas uważaj na Liv, Mille. Nie spuszcza jej z oczu.

I jeszcze:

– Nie chodźcie w pobliże jeziora, absolutnie nie wolno chodzić w pobliże jeziora.

– Dobrze – powiedziała Mille i leniwie poruszyła się w trawie.

Był ciepły dzień, więc Mille wybrała bikini w czarne kropki, które tak się podobało małej Liv. Mille miała trzy komplety bikini,

czerwone, niebieskie i w czarne kropki, a małej Liv najbardziej podobało się właśnie to w kropki. *Ja też bym chciała mieć takie bikini. Kupisz mi takie bikini, jakie ma Mille?*

– Nie możesz mi normalnie odpowiedzieć, Mille? – spytała Siri ostro. – Słyszysz, co do ciebie mówię?

Mille już miała odpowiedzieć, ale Alma wstała.

– Mamo! – zawołała. Jej głos przeciął upalne powietrze. To był taki dzień, mogłaby powiedzieć Alma, gdyby miała go opisać, w którym wszystko było białe, lepkie, ciepłe i ciche, i wszystko toczyło się wolniej niż zwykle.

– Co się stało, Almo?

Jakby matka stała daleko. A przecież tak nie było. Stała przy furtce. Dzieliło je może dziesięć kroków. Ale coś się stało z odległością między nimi. Jak we śnie. Pouczenia Siri. Mille leniwie obracająca się w trawie. Bikini w czarne kropki. Liv, długonoga, jasnowłosa, na rozłożonym na trawie ręczniku, grająca w grę na komórce Mille.

– Czy ty wyjątkowo nie możesz mieć trochę zaufania do ludzi?! – krzyknęła Alma.

– Nie musisz do mnie krzyczeć – powiedziała Siri.

– Ale ty cały czas suszysz Mille głowę. – Alma nie ustępowała. – Naprawdę powinnaś się nauczyć ufać ludziom.

Siri już otworzyła usta, żeby coś powiedzieć. Policzki miała czerwone jak ogień. Pokręciła jednak głową i zamknęła za sobą furtkę.

– Porozmawiamy jutro, Almo. Teraz muszę iść do pracy. I mam nadzieję, że jak wrócę, będziesz już spała, bo to będzie późno. Przyślij mi SMS-a, jeśli zechcesz o coś spytać, to zresztą dotyczy was wszystkich. Bawcie się dobrze i nie zapomnijcie posmarować Liv kremem.

Jej głos i cień jeszcze przez chwilę wisiąły w upale, zanim wyparowały. Alma wolno żuła herbatnik, Liv jak zahipnotyzowana wpatrywała się w coś w głębi komórki Mille, mogło minąć pięć minut albo pięć godzin, nagle jednak w ogrodzie pojawił się Jon i wyrwał je ze snu. Był z nim Leopold.

Liv cisnęła komórkę na ziemię i co sił w nogach pobiegła do ojca

i rzuciła mu się w ramiona. Objęła go za szyję. Alma i Mille dalej leżały na trawie. Jon zrobił kilka kroków, zatrzymał się i spojrzał na nie.

– A więc dziewczynki leżą i się opalają – powiedział z uśmiechem.

Alma spojrzała na ojca. Coś było nie tak z jego głosem. Ten lekko fałszywy ton. Ta żartobliwość niebędąca prawdziwą żartobliwością, tylko udawaną.

– Atmosfera jak z południa Europy – stwierdził.

Alma usiłowała pochwycić jego spojrzenie, żeby zobaczyć, jak przewraca oczami. *Atmosfera jak z południa Europy*. Co w niego wstąpiło? Ale ojciec nie zwracał na nią uwagi, patrzył tylko na Mille. Alma powiodła wzrokiem za jego spojrzeniem i zobaczyła, jak szybko przesuwa się po ciele Mille – po jej stopach, łydkach, kolanach, po bikini w kropki, po rękach, włosach i oczach. Plim. Plim. Plim. Jakby ciało Mille było grą na flipperze. Plim. Alma widziała też, że Mille mu na to pozwala. Leży nieruchomo i pozwala, żeby on patrzył. Plim. Plim. To nie był sen. Alma widziała to wszystko bardzo wyraźnie. Jon patrzył na Mille, a Mille pozwalała Jonowi patrzeć na siebie, pozwalali, żeby to się działo. Nie trwało to długo. Alma zauważyła, że Mille przeciąga się lekko obok niej na trawie. Wiła się jak zaskroniec. I już było po wszystkim.

– Takie jesteście ładne – powiedział Jon. I teraz patrzył na Alnę.

– Dlaczego tu jesteś? – spytała Alma. – Nie zamierzasz pracować? Kończyć swojej książki?

Jon zaśmiał się krótko.

– Bardzo ci dziękuję, Almo. Będę pracował. Ale na razie wybieramy się z Leopoldem na krótki spacer. Skoro nikomu innemu nie chce się go wyprowadzać, sam muszę się tym zająć.

Delikatnie zsadził Liv na trawę, między Mille a Alnę.

– Pilnujcie dobrze małej – dodał, spoglądając na Mille zupełnie inaczej niż przed chwilą. – No, bawcie się dobrze.

Nachylił się, wziął Leopolda na smycz i wyszedł przez furtkę.

– Ciesz się atmosferą południa Europy! – zawołała za nim Alma i obróciła się na brzuch, żeby nie musieć na niego patrzeć.

– Twój ojciec jest bardzo miły – odezwała się Mille po chwili.

– Mój ojciec jest głupi – mruknęła Alma.

A teraz Alma stała przed drzwiami Mille i chciała wejść. Do wielkiego urodzinowego przyjęcia Jenny zostało zaledwie kilka godzin, a Mille twierdziła, że modli się do Boga.

– Wejdz – powiedziała Mille. – Później będę musiała iść pomóc. Ale dopóki nie wyjdę, możesz tu być.

Alma wślizgnęła się do środka.

Mille usiadła na łóżku i dała Almie znak, żeby i ona usiadła. Alma osunęła się na łóżko.

– O co się modlisz? – spytała.

– O różne rzeczy – odparła Mille. – Ale już skończyłam. Nastawić muzykę?

Alma pokręciła głową i spytała:

– Wierzysz w Boga?

– Tak, zawsze wierzyłam – odpowiedziała Mille. – A ty?

– Wierzyłam, kiedy byłam mniejsza. Ale teraz już nie.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Po prostu nie wierzę, że on istnieje.

– A ja wierzę – powiedziała Mille. – Wydaje mi się, że mnie widzi i nade mną czuwa.

Alma wzruszyła ramionami.

– Bóg widzi wszystko – dodała Mille. – Kiedy byłam mała, mój ojciec co wieczór śpiewał mi wieczorną modlitwę.

Otworzyła usta i zaśpiewała wysokim jasnym głosem, jakby wciąż była małą dziewczynką:

*Bezpieczniejszy nikt być nie może
Niż gromadka dzieci Bożych
Nawet gwiazdy, co na niebie mrugają
Nawet ptaki, co do gniazdek zdążają.*

– Jak ma na imię twój ojciec? – spytała Alma.

– Mikkel. Ma na imię Mikkel.

– Mogę dostać szklankę wody?

Mille spojrzała na nią.

– Sama możesz sobie wziąć. W łazience jest szklanka.

– A ty nie mogłabyś mi przynieść? Bardzo cię proszę. – Alma podciągnęła nogi na łóżko i usiadła wygodniej. – Tak mi się tu dobrze siedzi, no i kiedyś też ci przyniosę wody, jak ci się będzie chciało pić. – Roześmiała się. – Przysięgam na imię Boże.

Mille się nie roześmiała, nawet się nie uśmiechnęła, ale wstała i wyszła do łazienki. Alma usłyszała odgłos odkręcanego kranu.

W zaciśniętej dłoni Alma ukrywała długiego, grubego, brązowego ślimaka. Ślimaka hiszpańskiego. Ślimaka mordercę. Lepił się jej do ręki. Był zimny, kleisty i trochę wilgotny.

Ślimaki hiszpańskie opanowały tego lata całe Mailund, niszczyły rabatki Siri, która zabijała je za pomocą soli i piwa. Miały wiele nazw, ale żadnego domu. Były nagie i ohydne, przypominały kiszki, a minister rolnictwa wypowiedział im wojnę. Tak mówił ojciec. Na wiosnę Jon przez cały jeden dzień mówił o wojnie ze ślimakami, którą wypowiedział minister rolnictwa. Właśnie dlatego Alma wiedziała, jak minister rolnictwa się nazywa, tylko że teraz ministrem rolnictwa był już ktoś inny. Poprzedni minister rolnictwa został ministrem od ropy naftowej i z całą pewnością przestał się przejmować wojną ze ślimakami.

Alma oderwała ślimaka od wnętrza dłoni i wsunęła go pod kóldrę Mille. Na palcach zostało jej trochę śluzu, więc wytarła je o prześcieradło. Już! Ślimak trochę się skurczył i znieruchomiał. Alma poprawiła kóldrę i usiadła na samym brzegu łóżka.

Kiedy Mille wróci dziś w nocy do domu, położy się na ślimaku. Może oboje będą krzyczeć, chociaż ślimak jest niemy, więc jego nikt nie usłyszy.

Mille wyszła z łazienki ze szklanką wody w dłoni.

– Masz – powiedziała do Almy. Głos miała twardy. – Wypij to i będziesz musiała już iść.

Alma wzięła szklankę i popatrzyła na Mille, która się umalowała i tak wyszczotkowała włosy, że aż lśniły.

– Najpierw pójdę pomóc twojej mamie, a potem idę dalej –

oświadczyła Mille. – Wychodzę. Teraz muszę się przygotować. Nie mam czasu się tobą zajmować. Musisz sobie poszukać jakiegoś innego miejsca.

Niecierpliwie poruszyła ręką, bransoletki zadzwoniły.

– Dobrze – zgodziła się Alma. Wypiła wodę. – Już sobie idę.

Siri chciała urządzić dla matki wielkie przyjęcie. Jenny się sprzeciwiała, ale Siri w ogóle tego nie słuchała, nie było mowy o dyskusji. Pół setki gości, hiszpańskie prosiaki, długie stoły w ogrodzie, lampiony na drzewach. Nie potrafiła zrozumieć, że nie to nie, prosięta mogła upiec w wielkim piecu chlebowym w restauracyjnej kuchni.

– Potrzebujemy pięciu prosiąt – oświadczyła, sięgnęła po komórkę i zadzwoniła do dostawcy w Oslo. – Upiekę też jabłka, warzywa i ziemniaki. Niczego więcej nie podamy. Będzie prosto i porządnie.

– Trzeba pomalować wejście – zdecydowała. – Wszyscy muszą pomóc. Trzeba też zdjąć i uprać zasłony. Musimy wyszorować podłogi. Szarym mydłem! Cały dom! – Szeroko rozłożyła ręce. – Musimy przygotować dom. I ogród. Przyjęcie w ogrodzie! – Odwróciła się do Jona, oczy jej płonęły. – To będzie przyjęcie, które wszyscy zapamiętają. A Jenny się ucieszy. Sama jeszcze tego nie rozumie, ale będzie bardzo zadowolona. Uwielbia skupiać na sobie uwagę.

– Jenny najbardziej chciałaby mieć spokój – powiedział Jon z wahaniem. – Wspominała o długim spacerze z Irmą. Może o wieczornej przejażdżce z Alną.

Jenny i Alma zaprzyjaźniły się już wtedy, kiedy Alma jako pięcioletnia dziewczynka spędzała lato na powolnym chodzeniu po dużym białym domu ze spuszczoną głową, zmarszczką zaniepokojenia na czole i rękami założonymi na plecach. Chodziła i chodziła. Przez korytarz, salon i ogromną kuchnię, w górę i w dół po niekończących się schodach, wchodziła do swojego pokoju i wychodziła.

– Nie wyjdiesz pobiegać albo się pobawić? – pytał Jon.

– Może wymyślimy coś fajnego? – pytała Siri.

Nie rozumieli tej ogromnej powagi, która ogarnęła ich córkę.

– Zostawcie dziewczynkę w spokoju – powiedziała Jenny. – Nie widzicie, że o czymś myśli?

A potem Jenny wzięła Almę za ramię i spytała:

– Mogę pochodzić z tobą? Nie będziesz musiała się odzywać. Możemy po prostu chodzić i nic do siebie nie mówić.

Jon wiedział, że Jenny kochała starszą wnuczkę, ale mało

obchodziła ją młodsza – mała Liv z jasnymi lokami, za którą wszyscy przepadali. Widział, jak Alma i Jenny stale spacerują albo wsiadają do samochodu i dokądś jadą. O czym rozmawiały? Co je ze sobą łączyło? Tę drobną, kłótniową starszą panią i małą okrągłą dziewczynkę?

Wreszcie nadszedł ten dzień. Nieszczęsne siedemdziesiąte piąte urodziny. Po wielu latach abstynencji Jenny się upiła. Bełkotała, kiedy Jon natknął się na nią na schodach.

– Dzień dobry, Jon – powitała go.

Zatrzymał się i spojrzał na nią.

– Co jest, na miłość boską?

– Ha! – powiedziała Jenny. – No właśnie. Co jest, na miłość boską? Świetnie powiedziane.

Jon zmrużył oczy.

– Upiłeś się, Jenny?

– Byłam trzeźwa przez ponad dwadzieścia lat. Dłużej niż można powiedzieć o tobie, prawda?

– Owszem. – Rozejrzał się i zniżył głos. – Siri wie, że piłeś?

– Mam siedemdziesiąt pięć lat i robię, co mi się podoba.

Jenny przegarnęła palcami włosy i dała Jonowi znak, że chce go wyminąć – wciąż stali na schodach – ale Jon zatrzymał ją gestem i podszedł bliżej.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Jenny – szepnął jej do ucha.

Kiwnęła głową i spróbowała go odepchnąć. Jon dalej szeptał:

– Siri tak się narobiła, żeby wieczorne przyjęcie się udało. Może byś tak okazała trochę...

Szukał słowa. Troski? Nie, za wiele wymaga. Wdzięczności? Nie chciał się uciekać do szantażu emocjonalnego. (Ale gwoli sprawiedliwości: stara wiedźma wcale nie prosiła o to przyjęcie). Przyzwoitości? Dojrzałości? Matczyńskich uczuć? Zaczął od nowa, puścił jej rękę i mówił dalej już normalnym głosem:

– Jenny, a może byś tak *udawała*, że doceniasz to dzisiejsze przyjęcie? Ono tyle znaczy dla Siri.

Pokręciła głową i zaczęła schodzić.

– Słyszysz, co mówię, Jenny?

Nie odpowiedziała, tylko dalej z przesadną powolnością i udawanym dostojeństwem schodziła ze schodów.

Zapakowane próżniowo prosiaki leżały w skrzynkach. Jon wyobraził je sobie w chłodni u dostawcy w Oslo: jasnoróżowe, prawie białe, z łagodnym wyrazem pyszczków. Skórę na karku i przednich nogach miały pomarszczoną jak dobrze odżywione niemowlęta. Były głęboko zamrożone, importowane z Hiszpanii. Pięć prosiąt, sto siedemdziesiąt koron za kilogram plus VAT, każde ważyło sześć kilo. Siri oczywiście kupiła je po cenie hurtowej.

– Okej, zjemy je kiedy indziej – oświadczyła Siri, w ostatniej chwili zmieniając decyzję albo ulegając presji.

Nikt nie chciał prosiąt. Alma obejrzała w Internecie zdjęcia pieczonych prosiaków i zaczęła płakać, przestała dopiero, kiedy Jenny z nożami w oczach zabrała wnuczkę na plażę, żeby się kąpać. (Czubki noży były skierowane w córkę, nie w zapłakaną wnuczkę). Irma, mruczając pod nosem coś o zabijaniu zwierząt i kanibalizmie, zniknęła w suterenie. Dlatego Siri stała teraz w kuchni i dopracowywała menu, do którego nie miała ani trochę *serca*: scampi, szaszłyki z kurczaka, klopsiki, sałatki i *inne drobne przekąski*.

I co, wszyscy zadowoleni?

Przez wiele dni, a nawet tygodni przed urodzinami Jon robił, co mógł, żeby wybić Siri z głowy te prosięta. Robił, co mógł, żeby wybić jej z głowy całe to przyjęcie. Przecież Jenny go nie chciała! Nikt go nie chciał! Posadził ją na łóżku, uklęknął przed nią i ujął ją za rękę.

– Dlaczego właściwie urządzasz to przyjęcie?

– A kto inny by się tym zajął? – spytała Siri. – Trzeba ją jakoś uhonorować.

– Naprawdę trzeba?

– Oczywiście, że tak! – Siri spojrzała na niego. – Dlaczego teraz o tym mówisz?

– Ona ci za to nie podziękuje, przecież wiesz.

Siri wstała, głos jej się łamał.

– Uważam, że posuwasz się za daleko, Jon. Urządzą przyjęcie dla mojej matki, oboje wiemy, że w głębi ducha bardzo się z tego ucieszy, bo uwielbia być w centrum zainteresowania, już nawet zaplanowała, którą sukienkę włoży, to po prostu będzie prezent ode mnie. A ty nagle zaczynasz mieć jakieś podejrzenia co do moich motywów, uważasz, że zwariowałam, *mała, głupia Siri urządza przyjęcie dla swojej matki... Cholera, jaka ona głupia!* Niech cię diabli, Jon!

– Posłuchaj siebie – powiedział spokojnie. – Przecież ty cała w tym znikasz. Giniesz mi.

– Ja znikam...? – Siri aż dech zaparło. – Ja znikam? To ty znikasz, a teraz przychodzisz tu i niby się *przejmujesz*, wysnuwasz jakąś teorię o mnie i mojej matce i całym tym cholernym przyjęciu...

Jon odetchnął głęboko.

– To cię kompletnie zjada, Siri.

Machnęła ręką.

– To... to wszystko... całe to przyjęcie cię niszczy. Przecież ona go nie chce!

Objął ją. Chciała się wyrwać, ale jej nie puszczał.

– Puść mnie, Jon!

Trzymał ją mocno, próbował kołysać, szepnął:

– Posiedź ze mną chwilę. Tylko pięć minut. Nic nie mów. Po prostu pozwól się obejmować.

Przytulił głowę do jej piersi i dalej szeptał:

– Zostań. Zostań. Zostań. Zostań.

Czasami w ten sposób udawało mu się do niej dotrzeć.

– Wróć do mnie, Siri.

Ale najwyraźniej nie tym razem. Wyrwała mu się, złapała go za włosy i szarpnęła, krzycząc:

– Nie przytrzymuj mnie!

Zdażył jeszcze pomyśleć, że ciągnięcie za włosy (tak, ciągnięcie za włosy!) sprawia nieopisany ból, zanim ją uderzył. Oddała.

Mógł ją wtedy zabić, albo ona jego. *Nienawidzę cię*, krzyknęła, a on zawołał: *nie* i rzucił się na nią, przytrzymał i odepchnął, ale nigdy, przenigdy nie zdołałby biciem dotrzeć do niej, w nią, krzyczała: *nienawidzę cię*, a on potrafił powtarzać jedynie: *nie, nie, nie*. Powtórzył

to głośniejszy, krzyknął, w końcu wrzeszczał: *nie, nie, nie*, przytrzymał ją, dopóki nagle, bez najmniejszego trudu, nie wysunęła się z jego objęć, jakby ręce nagle mu zwiędły, po prostu się wysunęła, jakby wszystko zwiędło i straciło siłę, nie miał pojęcia, co zrobić z rękami, z dłońmi też, a ona wstała z łóżka, otrząsnęła się (jak Leopold po kąpieli w morzu) i głęboko odetchnęła.

W takich sytuacjach policzki jej czerwień. To zaczerwienienie nie pochodziło od uderzeń. Nie bił jej mocno. Ona zadawała mocniejsze ciosy. Bał się, że któregoś dnia może mu się zdarzyć, że uderzy za mocno. Nie był mężczyzną, który bije. Ale bał się, że któregoś dnia uderzy Siri za mocno. To zaczerwienienie policzków nie pochodziło od uderzeń. Zawsze miała czerwone policzki, kiedy wzbierała w niej wściekłość, jakby sama szczypała się w twarz.

I ten jej lodowaty ton.

– Nie ruszyłeś nawet palcem, Jon, żeby mi pomóc przy tym przyjęciu. – Drżała. – Przy tym przyjęciu, które usiłuję zorganizować, jednocześnie tworząc nową restaurację. Chcesz wiedzieć, jak mi idzie? Interesuje cię to? Pracowałeś ostatnio? Czy tylko siedzisz i gapisz się w swój telefon? A wiesz, kto nie spał wczoraj przez całą noc po powrocie do domu i płacił rachunki? Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę z tego, że dostajemy rachunki i że się je płaci? – A potem dodała zupełnie zwyczajnym głosem: – Życie bez ciebie, Jon, właśnie o tym marzę. Te twoje cholerne zimne ręce.

Zrobił wszystko, co mógł, żeby ją namówić do rezygnacji z przyjęcia, ale bez powodzenia, a teraz ten dzień nadszedł. Jon stał przy oknie i patrzył.

Obserwował Almę, Liv i Mille na łące. Zrywały kwiaty do dekoracji stołów. Mille kilka razy się odwróciła i patrzyła jakby wprost na niego, zamykał wtedy oczy, nie chciał napotkać jej spojrzenia, chociaż wiedział, że ona, daleko w dole, nie widzi, czy on stoi w oknie, czy nie. Ale może mimo wszystko widziała. Wspominał jej, że czasami staje w oknie i patrzy na łąkę i las, kiedy nie ma siły nieruchomo siedzieć przy komputerze.

Notatka

15 lipca 2008

Herman R. pisze historię o przeklętych dniach, gdy jako mały chłopiec był w Buchenwaldzie, i wymyśla opowieść o dziewięcioletniej dziewczynce przerzucającej mu jabłka przez ogrodzenie z drutu kolczastego pod napięciem. Historia krąży po sieci, jako pierwsza rozprawia się z nią historyczka Deborah Lipstadt na swoim blogu⁵, który zaczęła pisać po opublikowaniu w roku 2006 książki *History on Trial: My Day in Court with David Irving*.

Przez ogrodzenie z podłączonego do prądu drutu kolczastego w Buchenwaldzie mała dziewczynka przerzuca jabłka (a niekiedy chleb), żeby chłopczyk (który przeżyje Holocaust, dorośnie, stanie się mężczyzną, wyemigruje do Stanów, ożeni się, będzie miał dzieci i w wieku siedemdziesięciu lat postanowi opowiedzieć tę historię) nie umarł z głodu. Ale ta historia nie jest prawdziwa. Herman R. kłamie. Dziewczynka nie istniała. Mimo to wiele, wiele lat później Herman R. zasiada do spisania tej historii. Patrzy na swoją żonę. Stała się starszą panią. Może nazrywała kwiatów w ogrodzie (*nie wiem, dlaczego wyobrażam sobie te kwiaty, że je zrywała, ale na razie niech tak zostanie*), a teraz stoi przy blacie w kuchni i przycina je, żeby włożyć do wazonu. Herman patrzy na nią, ona patrzy na niego. Uśmiechają się do siebie. Jemu się podoba, że ona stoi z kwiatami w pomarszczonej dłoni i uśmiecha się do niego. Czy to wtedy wpada na pomysł dziewczynki z jabłkami, która ocaliła mu życie?

Nie potrzebujemy ubarwionych i/lub fałszywych historii. Prawda to o wiele więcej niż dość, pisze Deborah Lipstadt na swoim blogu.

Jon przyjrzał się temu, co napisał poprzedniego wieczoru, i dodał:

To trzeba pogłębić!

No, tak, ale co trzeba pogłębić i jak to zrobić? Wstał już piętnasty raz tego poranka. Był bardziej niespokojny niż zwykle. Bał się tego przyjęcia. Gośćmi w większości mieli być starzy ludzie, wielu już po osiemdziesiątce. Jedna czy dwie osoby przekroczyły dziewięćdziesiątkę. Myśl o staruszkach, którzy będą tańczyć z pajęczyną we włosach, i o Jenny na schodach, wyraźnie pijanej, o samym sobie jako martwym na dnie basenu pływackiego

(w Mailund wprawdzie nie było basenu, ale *who cares?*), przypomniała mu film *Bulwar Zachodzącego Słońca*, który postanowił jak najszybciej jeszcze raz obejrzeć, i to poprawiło mu humor. Mogą obejrzeć go razem z Siri. Lubiła oglądać z nim filmy. Czasami spierali się o to, które z nich widziało więcej filmów. Ale zwykle szykowała coś smacznego, otwierała butelkę wina i razem rozsiadali się na kanapie, kiedy Liv już poszła spać.

Czasami Alma oglądała film razem z nimi, czasami nie. Teraz, kiedy Siri była *właścicielką* dwóch restauracji, a nie szefową kuchni, mówiła, że możliwe jest normalne życie.

Jon znów usiadł przy komputerze, wszedł na stronę Amazona i zamówił *Bulwar Zachodzącego Słońca* z przesyłką ekspresową, co kosztowało trzysta koron więcej, ale film miał dostać już za dwa dni.

Wyobraził sobie Siri. Czy ona wie, że Jenny siedzi w swoim pokoju i pije?

Nie miał serca jej o tym mówić. A może po prostu nie miał siły. W kwestii tego przyjęcia nie miał już w sobie woli walki.

Leopold wstał, spojrzał na Jona i położył mu łapę na kolanach. To Siri chciała mieć psa. Jon nie chciał. Ale teraz mieli psa i to on się nim zajmował. Akurat w chwili, kiedy poczuł ogarniającą go z tego powodu irytację (nie chciał psa, usiłował tupnąć nogą, powiedział: *uwagam, że powinniśmy się wstrzymać*, a mimo to tylko on był za tego psa odpowiedzialny, nikogo innego to nie obchodziło, właściwie nie wiadomo dlaczego), rozległ się sygnał SMS-a.

Co teraz robisz?

Bez wahania odpowiedział:

Myślę o Tobie.

To w zasadzie nie była prawda. Wcale o niej nie myślał. Ale może właśnie taką chciała otrzymać odpowiedź, a poza tym miło było tak napisać. Na pewno zadziała.

Odłożył telefon i spojrzał na ekran komputera.

To trzeba pogłębić!

Przyszła kolejna wiadomość. Znów sięgnął po telefon. To ona.

Przyjemnie wiedzieć, ale trochę też smutno.

O co jej, do cholery, chodzi? Co było przyjemne i trochę smutne? Wszedł w wiadomości wysłane i sprawdził:

Myślę o Tobie.

Aha. To. Napisał, że o niej myśli, a ona stwierdziła, że to przyjemne i trochę smutne. Roześmiał się. Leopold uniósł łeb i spojrział na niego. *Co to był za śmiech?* Jon czym prędzej wszystko skasował, i to, co było w wiadomościach przychodzących, i w wiadomościach wysłanych, pamiętał też, żeby usunąć wiadomości usunięte. Wiedział przecież, że Siri sprawdza jego skrzynkę mailową i komórkę, dlatego nigdy nie zapominał o usuwaniu wiadomości usuniętych, chociaż za każdym razem wydawało mu się to tak samo bezsensownie paradoksalne. Cały sens usuwania wiadomości polegał właśnie na ich usuwaniu, a nie na przenoszeniu do innego miejsca w komórce, które się nazywało wiadomości usunięte. Przecież wiadomości nie były usunięte, skoro znajdowały się w wiadomościach usuniętych, prawda? Nie zostawały usunięte, naprawdę i ostatecznie usunięte, dopóki nie weszło się w wiadomości usunięte i nie poprosiło o ich ponowne usunięcie, a nawet trzeba było odpowiedzieć na pytanie: *Czy na pewno chcesz usunąć tę wiadomość?*

Jon z przyjemnością myślał o tym, że ona, ta druga, mieszka przy tej samej drodze na dole, że w każdej chwili mogą na siebie wpaść, że może ją pogłodzić po wewnętrznej stronie uda niemal na oczach wszystkich, a nikt nie zwróci na to uwagi. Albo tuż za ich plecami. Podniecało go to, że ona jest tak blisko. Że jest możliwością. Że on jest możliwością.

Kiedyś, to było zimą, zaprosił zupełnie inną kobietę do swojego domu w Oslo. Była dziennikarką zajmującą się sprawami kultury i napisała pochwalnie o jego książkach do „Dagbladet”. Wysłał do niej maila z podziękowaniem za wnikliwy i znakomicie napisany komentarz. *(Nikt nie dostrzegł tego, co Pani, ale to mnie wcale nie zaskoczyło. Czytam Pani artykuły z dużą przyjemnością. Zawsze).* I tak to się zaczęło.

Kilka miesięcy później Siri wyjechała na jeden dzień do Kopenhagi. Miała się tam spotkać z potencjalnym nowym szefem kuchni. Jakoś tak. A może chodziło o coś całkiem innego. Nie bardzo pamiętał, po

co pojechała. Najistotniejsze, że miało jej nie być przez cały dzień i całą noc, w dodatku wyjeżdżała do innego kraju. Cieszył się. Układał plany. Wysłał do dziennikarki SMS-a i zaprosił ją do domu. Chciał ją posuwać w samym środku pełnego przeciągów domu. Nie docenił erotycznej mocy samego faktu zdrady. Mocy przekraczania granic – wyobrażeń tego, czego faktycznie był w stanie dokonać, i czekających go rozkoszy, jeśli tylko pozwoli, żeby to się stało. Dał się im porwać. Wyobrażał ją sobie z rozsuniętymi nogami na kanapie w domu. Nie chciał już przemykać po obrzeżach, bo dlaczego miałby to robić? Chciał zrujnować wszystko. Zniszczyć wszystko. I jednak przetrwać. Zniszczony, ale uporządkowany i przebudzony. Tak długo czuł senność. Smak senności. Zapach senności. Ta dziennikarka, Irene, jako wolny strzelec miała czas w ciągu dnia, a on chciał ją rozedrzyć. Kochać. Nie kochać. Obudzić każdy jej kawałeczek. Zetrzeć ją z powierzchni ziemi. Wypić ją do dna. Zniknąć w niej.

Zadzwoiła do drzwi. Zaparkowała kilka kwartałów dalej. Pilnowała, żeby sąsiedzi jej nie zauważyli. Wszystko to ustalili wcześniej. W szybkich SMS-ach, pełnych oczekiwania. Nie ustalili natomiast tego, że ona przyprowadzi ze sobą psa. Małą, szczekliwą bestię, która na widok Leopolda stanęła w korytarzu i zaczęła jak szalona ujadać. Jon nagle zwrócił uwagę na otoczenie, na to, gdzie tak naprawdę się znajduje, na otaczające go przedmioty, na scenę, na której się to rozgrywało: szafa z Ikei, kolorowe koszyki z szalikami, rękawiczkami i czapkami – jeden koszyk dla niego, jeden dla Siri, jeden dla Liv i jeden dla Almy, czarne kafelki, niedziałające od zawsze ogrzewanie podłogowe, buty, kozaki i śniegowce, które właściwie powinny stać na półce z butami, ale nigdy tam nie stały, mokre skarpetki i rajstopy, zabrudzony dziecięcy rysunek przedstawiający różową dziewczynkę pod rozpalonym żółtym słońcem, podpisany „Liv”, stos starych gazet, torby z pustymi butelkami. I w samym środku tego wszystkiego, w przedpokoju Siri i Jona, stał hałaśliwy kundel dziennikarki Irene i obszczekiwał Leopolda i Jona.

– Dlaczego przyprowadziłaś psa? – spytał Jon.

– Julius musiał się przewietrzyć. – Irene pociągnęła za smycz, usiłując odzyskać kontrolę nad zwierzęciem. – Nie mogłam go

zostawić samego na cały dzień – dodała.

– Nie zostaniesz tu cały dzień! – wpadł jej w słowo Jon.

Usiłował przywołać obraz tej kobiety, dziennikarki Irene, na kanapie z rozłożonymi nogami. Ale nie wyglądała tak, jak ją zapamiętał. Spotkali się kilka tygodni wcześniej, przelotnie, w kawiarni, a on później zasypał ją SMS-ami i mailami. Wszystko to, co zamierzał z nią robić. *Wszystko to, co zamierzał z nią robić.* W drodze do domu z tej kawiarni cały płonął. Dosłownie. Cały płonął. Ale kobieta, która teraz stała w przedpokoju u niego i Siri, była rozlazła i miała cień wąsika.

Leopold siedział spokojnie obok Jona, wpatrzony w szczekliwego kundla. Ujadanie nie miało końca. Jon pomyślał o sąsiadce. Wiedział, że Emma zza ściany spędza całe dnie w domu, bo pisze doktorat. Z całą pewnością wszystko słyszała.

– Twój pies ma na imię Julius? – spytał.

– Tak...

– Tak jak ta słynna małpa z zoo?

– Nie, o tym nie pomyślałam.

– A dlaczego nie Brutus?

– No...

Irene nie zdążyła powiedzieć nic więcej, bo Leopold w końcu warknął i wstał. Dopadł mniejszego psa, wbił w niego zęby i zaczął nim wywijać. Irene z krzykiem szarpała za smycz, szczekliwy kundel piszczał, a Jon rzucił się na Leopolda, odciągnął go i w końcu zamknął w gabinecie na poddaszu.

– Szczekliwy kundel – mruczał, wchodząc po schodach. – Kłęb futra. Nie pies, tylko szczur.

Pogłaskał Leopolda i podrapał go za uchem.

– Zaczekaj tutaj – szepnął. – Dobry piesek.

Zamknął za sobą drzwi i schodząc, spodziewał się, że zobaczy przedpokój zamieniony w pole bitwy. Wszędzie krew i psie szczątki. Ale wszystko dobrze się skończyło. Nikt nie zginął. Nikt nie został ranny.

– To chyba nie był zbyt dobry pomysł – stwierdziła Irene, kiedy pojawił się na schodach.

Trzymała kłęb futra w objęciach jak niemowlę. Zauważył, że rozglądała się po przedpokoju. *Na co ona, do cholery, się gapi? Na nasz bałagan?* Podniósł przyciśnięty butem rysunek Liv, wygładził go. Różowa dziewczynka się uśmiechnęła. Żółte słońce także.

– Chyba już pójde – powiedziała Irene.

Jon chrząknął, złożył rysunek i schował go do kieszeni.

– Może zostaniesz jeszcze chwilę – zaproponował. – Zrobię kawę.

Miał nadzieję, że odmówi. Że sobie pójdzie. Powiedziała, że pójdzie, więc chyba powinna się tego trzymać? Ale ona kiwnęła głową i odparła:

– Kawy chętnie się napiję. Może dasz mi trochę wody dla Juliusa? Wystraszyła go ta napaść.

Podeszła do niego. Uśmiechnęła się. Trzymała w objęciach lekko zapalonego szczura. Wyglądała jak coś w rodzaju chorej parodii renesansowego malowidła przedstawiającego Madonnę z Dzieciątkiem.

– Powinieneś chyba lepiej panować nad swoim psem – powiedziała łagodnie, głaszcząc go po policzku. – Mogą kazać go uśpić za mniejszy wybryk.

Ale teraz chodziło o tę drugą kobietę: o tę, z którą wymieniał SMS-y tego lata, tę, która miała domek letniskowy przy tej samej drodze, tę, którą znał od piętnastego roku życia. Na szczęście nie była dziennikarką od kultury. Była dentystką. Wtedy, dawno temu, też byli sąsiadami. I najlepszymi przyjaciółmi. Młodzieńczą parą. Miała krótkie jasne włosy, była piękna, chociaż może trochę bez wdzięku. Uważała natomiast, że on jest czarujący, a to wystarczało aż nadto. Wystarczało na długo.

Przedstawił ją i jej męża Siri, a ona zaprosiła ich na elegancki obiad do Gloucester MA. W każdy czwartek i piątek Siri sama zajmowała się kuchnią. Te dwie pary po prostu *odnalazły wspólny ton* i spędzały razem czas tak, jak dorośli ludzie spędzają czas z innymi dorosłymi ludźmi. Razem było im miło i nie musieli się na nic wysilać. Siri i Jon jako dorośli rzadko dobrze się czuli z innymi dorosłymi. Bycie dorosłym z innymi dorosłymi to była sztuka. Ale Jon, Siri, dentystka

i mąż dentystki, również dentysta, zapraszali się nawzajem na przyjęcia, razem jeździli na wycieczki do lasu i wymyślali różne atrakcje dla dzieci.

Dentyści mieli syna, Gunnara, o dwa lata młodszego od Almy, no i jeszcze dorosłego syna, Mortena, z jakiegoś wcześniejszego małżeństwa.

Ale Jona właściwie wszystko to mało obchodziło. Chociaż Siri mówiła, że to miło mieć wspólnych przyjaciół. Że można znaleźć nowych przyjaciół w dojrzałym wieku. Jona bardziej interesowało to, że mógł napisać: *Myszę o Tobie*, że mogli się przelotnie spotykać, że mógł ją gładzić po wewnętrznej stronie uda i że jej zdaniem był czarujący.

Spojrzał na swoją komórkę.

Od czasu do czasu ze sobą sypiali. Ale erotycznie go nudziła. Czasami zastanawiał się, dlaczego to ciągnie. Dlaczego w ogóle mu się chce. Dlaczego szuka kolejnych przykrości, skoro miał ich już dość.

Dentystka miała na imię Karoline. Mąż dentystki miał na imię Kurt. Karoline, Kurt, Jon i Siri. Dobrzy przyjaciele.

Jon spojrzał na Leopolda. I napisał SMS-a:

Wychodzę z psem. Spotkasz się ze mną?

Odpowiedź przyszła od razu.

Tak.

Masz trochę czasu? Musisz wracać od razu?

Nie. Mam czas.

Jon znów spojrzał na komputer.

To trzeba pogłębić!

Nie, tak się nie da! Zamknął plik z powieścią i podrapał Leopolda za uchem. Potem wyjrzał przez okno. W powietrzu czuło się mgłę i deszcz. Mille z dziewczynkami ciągle zbierały kwiaty. Mille włożyła wełniany sweter. Podskakiwała i tańczyła, niezdarnie i ciężko. Zwrócił uwagę na jej nieco za duży tyłek. Była za dużym dzieckiem, które zaczęło się go czepiać. Musi z tym skończyć!

Odwrócił się do psa.

– Chodź, Leopold, idziemy na spacer.

Leopold się poderwał i ruszył za nim. Siri robiła coś w kuchni na

parterze i słysząc jego kroki na schodach, zawołała:

– Nie będziesz już pisał?

Wyszła do niego do holu i popatrzyła zdziwiona.

– Owszem, ale pies też musi wyjść – odpowiedział.

Ciemne włosy Siri były upięte w luźny kok. Miała na sobie cienką letnią sukienkę, tę białą, którą tak lubił. Drzwi wejściowe były otwarte na ogród, na dworze pociemniało, zrobiło się chłodno i jednocześnie wilgotno. Siri wyglądała trochę tak, jakby płakała – jej oczy po płaczu zawsze błyszcząły.

– Dokąd idziesz? – spytała.

– Z psem – powtórzył. – Ktoś musi wyprowadzić psa.

Siri spuściła wzrok.

– Tak się martwię o dzisiejszy wieczór – powiedziała. – Boję się, że będzie padać.

– No to będzie.

Zastanawiał się, czy Siri wie, że Jenny piła.

– To siedemdziesiąte piąte urodziny mamy – przypomniała. – *Nie może padać.*

– No tak... zobaczymy, co będzie.

Pociągnął Leopolda za drzwi i już miał je zamknąć, ale ona wyszła za nim.

– Dokąd idziesz? – spytała.

– Z psem, Siri – odparł. – Leopold niedługo zdechnie, jeśli nie wyjdzie. Wrócę za pół godziny. Albo za godzinę. Chcesz, żebym ci w czymś pomógł? Mam coś pokroić? Albo ponosić?

Pokręciła głową. Stała na progu i lekko drżała na mglistym wietrze. Spojrzała w niebo.

– Może pod wieczór się przejaśni.

– Na pewno. – Poglądził ją po włosach. – Jestem pewien, że się przejaśni, Siri. To będzie wspaniałe przyjęcie!

Tak jakby Almę to obchodziło. Tak jakby obchodziło to kogokolwiek. Jakby obchodziło babcię, która była główną bohaterką tego dnia. Babcia nie chciała świętować urodzin. Ale do mamy można było krzyknąć: NIE CHCĘ, a mama i tak robiła dalej swoje, jakby niczego nie słyszała. Mama chciała urządzić to przyjęcie, koniec i kropka.

Poszarpać się na kawałki. Pociąć się. Pokroić. Rzucić się na ścianę. Alma zasłoniła twarz dłońmi. Twarz była za duża. Widziała, jak Jon znika na zbiegu, ciągnąc za sobą Leopolda. Dokąd on się teraz wybierał? Gdzieś na dół. Gdzieś na dół.

Babcia wcześniej powiedziała:

– Alma, dziś wieczorem uciekniemy. W samym środku przyjęcia. Weźmiemy samochód i uciekniemy od wszystkiego, zabierzemy dwa leżaki, coś do jedzenia, trochę oranżady, usiądziemy na plaży i będziemy patrzeć na morze. A im gęściejsza będzie mgła i im mocniej będzie padać, tym lepiej.

– Nieźle przemokniemy – zauważyła Alma.

– Weźmiemy parasolki, przymocujemy je do leżaków i będziemy udawać, że to parasole od słońca – powiedziała Jenny. – A potem każda usiądzie pod swoim parasolem i będziemy czekać na sztorm.

Jenny otworzyła butelkę numer dwa i zaklęła, ponieważ nie zdołała powstrzymać tego idiotycznego przyjęcia, które Siri urządziła wbrew woli wszystkich. A teraz została tylko godzina do jego rozpoczęcia. Kim byli wszyscy ci ludzie, którzy mieli przyjść? Jenny nie chciała. Irma nie chciała. Ale Siri nie słuchała nikogo.

– Oczywiście, że będziesz miała przyjęcie – oświadczyła. – Trzeba cię uhonorować, mamo.

Jenny wypięła łyk i zerknęła za okno. Jej spojrzenie spoczęło na młodszej wnuczce, małej Liv z jasnymi lokami. Potem przeniosła wzrok dalej, na ocieżałą nastolatkę o twarzy jak księżyc w pełni, której imienia nie potrafiła zapamiętać. Czy Jon i Siri nie mogli sami zaopiekować się własnymi dziećmi?

Ściemniło się w czasie, gdy tak stała. Zatrzymała wino w ustach, próbowała zapatrzeć się we mgłę, rozpuścić się w niej i stopić z nią w jedno.

– Ona ma na imię Mille – powiedziała jej Siri. – Ale nazywają ją też Sweet Pea.

– Sweet co?

– Sweet Pea.

Trawa była skoszona, a dom wypucowany. Irma przez tydzień na czworakach szorowała szerokie deski podłogi szarym mydłem. Tydzień wcześniej umyła sufity i ściany. A jeszcze tydzień wcześniej szuflady i szafy. Okna zostawiła Siri.

Jenny pokręciła głową. *Całe to gadanie o miłości.*

Dobrze było mieć Irmę w domu. Nie marudziła. Zajmowała się praktycznymi sprawami, to świetnie, bo Ola tak się postarzał. Dbała o dom. Kosła trawnik. I zostawiała ją w spokoju. To było najważniejsze.

Jenny dalej stała, wyglądając przez okno.

Irma ustawiła stoły w ogrodzie, na stołach leżały białe, świeżo uprasowane obrusy, które Siri wносиła i wносиła, potem znów wносиła i znów wносиła, żeby nie zamokły na deszczu, a na tych białych, świeżo wyprasowanych obrusach stały wazony z kwiatami,

których Liv, Alma i Mille nazrywały na łące za domem. Na drzewach wisiały lampiony, i dobrze, bo chociaż było lato, jasne noce, nad Mailund nadciągnęła mgła, która coraz bardziej gęstniała, w miarę jak zbliżał się wieczór.

Mgła mieszała się z zapachem dań, które Siri przygotowywała w kuchni, mgła przemykała się między butelkami wina, talerzami, sztucami i kieliszkami rozstawionymi na dużym, nakrytym białym obrusem stole pod jabłonią, przeciskała się pod progami starego domu, pod framugami okien i przez szczeliny, pełzała przez sypialnie, salony i przez kuchnię, znów wypływała do ogrodu i na łąkę za domem, na której Liv, Alma i Mille zrywały kwiaty, ale Liv nie zauważała mgły, chociaż mgła zauważyła ją, a kropić zaczęło dopiero, gdy razem z Alną i Mille nazbierały całe wiadro polnych kwiatów, mgła zmieszała się z zapachem deszczu, letniego wieczoru i L'Air du Temps Jenny, bo teraz jubilatka była już prawie gotowa do tego, żeby zejść po schodach i przyjąć gości; mgła mieszała się też ze światłem lampionów wiszących na drzewach, i z daleka mogło się wydawać, że ogród unosi się kilka metrów nad ziemią.

Starej białej willi w stylu szwajcarskim stojącej na końcu drogi przydałoby się malowanie, ale na to w mglistym świetle nikt nie zwrócił uwagi. Kiedy stojący zegar w salonie, ten, który kiedyś należał do babki Jenny, wybije siedem uderzeń, wszystko będzie gotowe. Ogród obudzi się do życia. Dom obudzi się do życia. Otworzą się drzwi prowadzące na podwórze i do ogrodu. Deszcz trochę ustanie i chociaż mgła zawiśnie ciężko nad czubkami drzew, świece i lampiony będą świecić i w domu, i na zewnątrz. A oni wszyscy staną na podwórzu i będą witać gości. Jenny i Irma, Siri i Jon, Alma i mała Liv, i ta ładna dziewczyna z buzią jak księżyc w pełni, o imieniu Mille.

Jenny przytrzymała się zasłony. Niechże to przyjęcie już się zacznie! Prawie pięćdziesięcioro gości, z bliska i z daleka. Stawią się z prezentami i kwiatami, z szampanem, z deszczem we włosach, ze śmiechem, z letnimi sukienkami i białymi chusteczkami, żeby złożyć Jenny Brodal serdeczne życzenia urodzinowe.

Siri odwróciła się do Mille. Wszyscy razem stali na schodach i czekali na gości. Czekali też na Jenny. Jenny powinna już zejść i stać tu teraz razem z nimi. To mimo wszystko jej urodziny. Godzinę wcześniej, o szóstej, Siri, ciężko tupiąc, weszła po schodach na górę i zapukała do pokoju matki.

– Mamo, jak tam? Jesteś już powoli gotowa? Potrzebujesz jakiejś pomocy?

Nie usłyszała odpowiedzi. Przyłożyła ucho do drzwi i nasłuchiwała. Usłyszała jedynie ciche nucenie. Czyżby matka śpiewała? Uchyliła drzwi i zajrzała do środka. Jenny siedziała na łóżku. Była w połowie umalowana (puder i szminka już nałożone, ale niezrobione oczy), w czarnej sukience i grubych, szarych skarpetach z owczej wełny. W dłoni trzymała prawie pusty kieliszek czerwonego wina.

Siri pchnęła drzwi i dostrzegła w oczach matki przebłysk czystego strachu, ale Jenny zaraz uniosła kieliszek, jakby wznosiła toast. Patrzyły na siebie. Siri musiała szukać tonu, w którym nie byłoby płaczu, w którym nie byłoby krzyku, w którym nie byłoby pytania.

– Ile wypiałś?

Jenny podrapała się w głowę, spojrzała w sufit, pociągnęła ostatni łyk.

– Szczerze mówiąc, Siri – odparła z uśmiechem – to nie znam odpowiedzi na pytanie, które mi teraz zadałaś. Przypuszczam, że całkiem sporo. Ale zdecydowanie nie dość!

– Dlaczego? – wykrztusiła Siri.

– Hm. A dlaczego nie?

Siri podeszła o krok bliżej, ale Jenny uniosła rękę, żeby powiedzieć: *Stop. Nie podchodź. Nie ruszaj mnie.*

– Nie powinnaś pić – szepnęła Siri. – Nie tolerujesz...

– Każdym dniem z osobna, Siri. Każdym dniem z osobna. Nigdy nie powiedziałam nigdy.

– No a teraz?

– Teraz jesteś dorosłą panią – odparła Jenny i odstawiła kieliszek na nocny stolik. – Jesteś po prostu panią w średnim wieku, czterdziestoletnią... dasz sobie radę bez względu na to, co zrobię. Po prostu się nie przejmuj... Ty i ja...

Jenny odwróciła wzrok.

– Ty i ja co? – spytała Siri. – Ty i ja co?

– Nie myśl o tym. – Jenny pokręciła głową. – Bardzo cię proszę, żebyś wyszła. Bardzo. Zamknij za sobą drzwi i zostaw mnie w spokoju.

Siri się odwróciła. Zanim zamknęła drzwi, rzuciła jeszcze:

– Przyjęcie zaczyna się za godzinę.

Jenny roześmiała się głośno.

– No tak. O tym nie wolno nam zapominać. Przyjęcie zaczyna się za godzinę.

Gestem odprawiła Siri i dalej się śmiała.

– Przyjęcie zaczyna się za godzinę...

A teraz stali na schodach przed domem i czekali na pierwszych gości. Wszyscy z wyjątkiem Jenny.

Mille miała długie, rozpuszczone włosy, czerwoną parasolkę, czerwone wargi i buty na wysokim obcasie, które kłaskały w deszczu. Za prawe ucho wpięła białą peonię z białej rabaty Siri.

Sukienka była z cieniutkiej czerwonej bawełny, a na ramiona Mille narzuciła czerwony jedwabny szal, który pożyczyła od Siri.

Siri nie zdołała się powstrzymać, żeby nie skomentować kwiatu we włosach, chociaż wiedziała, że nie powinna o tym mówić, Jon to widział.

– Jak ładnie wyglądasz, Mille – powiedziała Siri.

Mille się rozjaśniła. Jon był przekonany, że to jeszcze nie koniec, widział po Siri, że nie może się powstrzymać. Nie przeczuwał, co to będzie, ani też co w Mille tym razem zirytowało Siri, ale coś musiało być na rzeczy. Alma obserwowała wszystko z zainteresowaniem. Jon mocno uściśnął Siri za rękę. *Nie mów tego*. Siri zmusiła się do uśmiechu i wskazała na kwiat we włosach Mille. Nie zdołała się powstrzymać.

– Ale wiesz, wolałabym, żebyś nie zrywała kwiatów w ogrodzie. Ta biała peonia, którą wpięłaś we włosy, pochodzi z mojej rabaty. W ten sposób ją niszczysz, rozumiesz?

– Ach! – Mille spuściła wzrok. Ręka zaczęła jej drżeć. – Nie wiedziałam.

– Zostaw ją – powiedział Jon.

Mille odwróciła głowę i uśmiechnęła się. Powiedział, żeby ją zostawiła.

Ale nikt nie widział twarzy Mille wiele godzin później, kiedy ten, którego nazywano KB, wciskał jej głowę w żwir. Rękę miał lepka i twardą, oddech zimny.

– Chcesz go? – szepnął. Wdarł się w nią od tyłu, rozdzierając ją.

Mille nie chciała. Ale nie mogła się obrócić, nie mogła pokręcić głową, nie mogła odpowiedzieć wyraźnie z ustami pełnymi żwiru.

– Powiedziałaś, że nie chcesz.

A goście Jenny krążyli po ogrodzie, usiłowali utrzymać biały talerzyk w jednej ręce, a kieliszek z winem w drugiej, kołysali się w rytm muzyki, głośno się śmiali z czyjegoś żartu, samotnie kierowali się w stronę łąki, na której wcześniej tego dnia zrywano kwiaty, dzwonki, trybule, rumianki, jaskry, pełniki, koniczynę, wierzbówkę i bodziszki, a niektórzy stali nieruchomo wpatrzeni w niebo, dyskutując między sobą o tym, że niedługo pewnie jednak zaczną lać.

III

Sweetheart like you

Zastanawiała się, czy może jednak nie opuszczać przyjęcia, zastanawiała się, czy nie zostać, chociaż większość gości miała po sto lat i wkrótce pewnie zniknie we mgle. Mille rozejrzała się za Jonem, ale zamiast jego napotkała spojrzenie Siri, która stała sama pod drzewem. Siri często tak stała, sama, zatopiona we własnych myślach. Była w długiej jasnoniebieskiej sukni, starej jedwabnej sukni należącej niegdyś do Jenny. *Wiele osób na pewno uważa, że Siri jest piękna*, mogłaby powiedzieć Mille koleżankom, gdyby żyła dostatecznie długo, aby móc im pokazać zdjęcia z tego lata. Chociaż Mille rzadko pokazywała swoje zdjęcia. Lubiła mieć je dla siebie. Robiła sekretne albumy i stale wypatrywała dużych, ładnych szkicowników z twardymi okładkami i grubymi, białymi, gładkimi kartkami, które mogła ozdabiać fotografiami, rysunkami, cytatami i tekstami piosenek, zapiskami dziennikowymi, suszonymi listkami, kwiatkami i źdźbłami trawy. Mille nie była w zbyt wielu miejscach na świecie (na razie!), ale plan na najbliższe lata zakładał daleką, daleką podróż, może do Australii, a bez względu na to, w jakim miejscu na świecie się znajdowała, bez względu na to, czy przebywała blisko czy daleko od domu, zawsze wyrywała z ziemi małą kępę trawy, wklejała ją do pamiętnika, a pod spodem zapisywała datę i nazwę tego miejsca.

Mille lubiła fotografować ludzi, którzy nie zdawali sobie sprawy z tego, że są fotografowani, i te zdjęcia również wklejała do albumu.

Zrobiła dużo zdjęć Siri. Siri była ciemnowłosa i szczupła, krucha i silna zarazem. Wysoka, nieco skrzywiona, a usta miała duże i pełne.

Raz Siri zasnęła w wiklinowym fotelu w ogrodzie. Mille akurat wróciła z plaży, niosła dużego arbuza, którego właśnie kupiła na rynku, zamierzała go pokroić i podzielić się nim z Liv, podskakującą i tańczącą wokół niej ze śpiewem: *Będziemy jeść arbuza, będziemy jeść arbuza, będziemy jeść arbuza, gdy nastanie świt.*

– Cicho! – szepnęła Mille, wskazując na Siri w wiklinowym fotelu. –

Zobacz, mama śpi!

– Mama śpi – powtórzyła szeptem Liv.

– Popilnuj arbuza – dodała Mille, delikatnie odkładając owoc na ziemię. – Usiądź tu na trawie i popilnuj arbuza. Ja muszę tylko coś zrobić.

– A co? – spytała szeptem Liv.

– Cicho, nie budź mamy! – Mille położyła palec na ustach. – To niespodzianka. Zamknij oczy i policz w duchu do dwudziestu. Potem pójdziemy do kuchni i pokroimy arbuza.

– Co to za niespodzianka?! – zawołała Liv.

– Cicho, cicho! Nie mogę ci powiedzieć, bo wtedy to już nie będzie niespodzianka. Ale musisz posiedzieć tu na trawie po cichutku, popilnować arbuza i policzyć do dwudziestu, zobaczymy, może ta niespodzianka będzie miała coś wspólnego z lodem?

Liv usiadła na trawie, zacisnęła oczy i zaczęła liczyć szeptem:

– Jeden, dwa, trzy, cztery...

Mille z kieszeni szortów wyjęła komórkę. Na palcach podeszła do fotela, w którym spała Siri, nachyliła się nad nią i pstryknęła zdjęcie. Popatrzyła na nie, popatrzyła na Siri. Siri się nie obudziła. Mille pstryknęła jeszcze jedno zdjęcie. I jeszcze jedno. Cienki koc, którym okryła się Siri, zsunął się na ziemię. Spała głęboko, z otwartych ust wyciekło jej trochę śliny. Mille schowała telefon z powrotem do kieszeni, podniosła koc i nakryła nim Siri.

– ...czternaście, piętnaście, szesnaście, siedemnaście... – Liv otworzyła oczy i zawołała szeptem: – Czy już niedługo mogę przestać liczyć, Mille?

Mille odwróciła się do dziewczynki na trawie i powiedziała, że tak, może już przestać liczyć, bo teraz będą jeść arbuza.

– I lody! – przypomniała Liv.

– I lody – szepnęła Mille, znów kładąc palec na wargach. – Tylko pamiętaj, nie budź mamy. Niech mama śpi.

Siri stale balansowała na granicy wielkiej złości na Mille, ale potem żałowała i starała się być naprawdę miłą. A kiedy żałowała, pożyczła Mille różne rzeczy, na przykład ten czerwony jedwabny szal, który

pasował do czerwonej sukienki.

Mille bardzo chciała, żeby Siri ją lubiła, lecz jakby do tego nie dostawała. Ale przecież to nie jej wina, że Jon od czasu do czasu wolał rozmawiać z nią niż z Siri, albo że Liv i Alma wolały być z nią. Siri zawsze była zła jak osa. Alma powiedziała, że wszystkie kucharki są złe jak osy. Szczególnie te, które kształciły się we Francji. Tak już po prostu było.

Ale szaszłyki z kurczaka wyszły przepyszne. Początkowo w planie były prosięta, tak sobie to wyobrażała Siri, miała wizję przyjęcia, które chce przygotować, ale nikt nie chciał jej wizji. Wtedy zrobiła się tym bardziej zła. Mille jeszcze przed przyjęciem zjadła ukradkiem mnóstwo szaszłyków, brała z zamrażarki po dwa to z jednej porcji, to z drugiej, i podgrzewała je w piekarniku, kiedy wszyscy już poszli spać.

– A teraz, mamó, robię szaszłyki z kurczaka w sosie satay – oznajmiła Siri wysokim, przenikliwym głosem. Stała w wielkiej starej kuchni, spocona w gorącu, półdługie włosy miała luźno upięte piękną starą spinką. (Mille bardzo chciała mieć taką spinkę).

Mille zza uchylonych drzwi pokoju kredensowego obserwowała scenę rozgrywającą się w kuchni. Miała przynieść dzbanek soku dla siebie, Liv i Almy, ale nie chciała pokazywać się w kuchni, kiedy znajdowały się tam Siri, Irma i Jenny.

Jenny stanęła pod ścianą z rękami założonymi na piersiach. Stała tak całą wieczność i obserwowała Siri bez słowa. Irma siedziała na krześle i śmiała się pod nosem, górną wargę miała wypchaną snusem.

I nagle Jenny się odezwała:

– SATAY CO?

Siri aż drgnęła i odwróciła się do matki.

– Szaszłyki z kurczaka w sosie satay. To tajskie danie, z masłem orzechowego, mleczka kokosowego i...

Irma głośno prychnęła.

– Nie chcę żadnego cholernego tajskiego dania! – przerwała jej Jenny.

Irma spojrzała na Siri.

– Powinnaś była mnie słuchać – powiedziała.

– Co? – spytała zdezorientowana Siri. Przeniosła wzrok najpierw na matkę, a potem na Irmę. – Co wy mówicie?

– Nie chcę żadnego cholernego dania! – krzyknęła Jenny.

Irma roześmiała się jeszcze głośniej.

– Słyszysz, co mówię, Siri? – Jenny ciągle opierała się o ścianę.

Siri ze łzami w oczach odwróciła się do Jenny.

Mille pomyślała, że gdyby miała odwagę, gdyby była pewna, że nikt jej nie zauważy ukrytej za drzwiami, to pstryknęłaby Siri zdjęcie akurat w tym momencie.

– Nie chcę żadnego cholernego dania! – krzyczała Jenny. – Nie chcę żadnego cholernego przyjęcia! Nie chcę prosiaków i nie chcę żadnego dania! Nic od ciebie nie chcę! Nie chcę tego!

Wybiegła z kuchni na tych swoich wysokich obcasach i nawet nie zauważyła, że omal nie przewróciła Mille w pokoju kredensowym.

Kilka dni później, kiedy przyjęcie wreszcie się zaczęło, Mille pomyślała, że może nie musi wychodzić, jak zaplanowała, chociaż wszyscy mieli prawie sto lat i chociaż dostała wolne. Liv tańczyła na stopach jakiegoś dalekiego wujka, a za położenie jej spać tego wieczoru, umycie zębów, poczytanie i pośpiewanie odpowiadała Alma. Mille pomyślała, że mogłaby zostać i może porozmawiać trochę z Jonem. Chciała mu powiedzieć, że puściła sobie tę piosenkę, którą jej polecił. Dał jej płytę CD (nie nową, tylko taką, którą miał w pracowni, i właściwie wcale jej nie dał, tylko raczej pożyczył), a potem w środku nocy przysłał jej SMS-a i kazał posłuchać *Sweetheart Like You*. Tylko tyle, nic więcej.

Droga Mille, napisał. Posłuchaj Sweetheart Like You – spodoba Ci się. J.

Mille puszczała sobie tę piosenkę kilka razy (właściwie wcześniej nie słyszała o Dylanie) i zastanawiała się, dlaczego Jon nie śpi razem z Siri, tylko siedzi w swojej pracowni i wysyła SMS-y do niej. Może z Siri nie układało mu się zbyt dobrze? Czy to dlatego myślał o niej? Również nocą? Czy to dlatego nie mógł spać? Mille odsłuchiwała piosenkę kilka razy, znalazła w Internecie tekst, kilka razy go przeczytała, przepisała na osobną kartkę, którą wkleiła do

pamiętnika. To był fajny tekst – no i może gdzieś tam w środku była ukryta wiadomość dla niej od Jona.

By the way, that's a cute hat

And that smile's so hard to resist

*But what's a sweetheart like you doing in a dump like this?*⁶

Mille wypła duszkiem kieliszek białego wina. Potem jeszcze jeden. Usiłowała spokojnie przejść przez ogród na swoich wysokich obcasach (przy każdym kroku obcasy dziurawiły trawnik i zapadały się w ziemię) i wejść do toalety w holu, tej, z której korzystać mieli goście, tam stanęła przed lustrem i ze złotej torebki z frędzelkami, którą miała przewieszoną przez ramię, wyjęła tusz do rzęs. Uśmiechnęła się do siebie w lustrze, poprawiła czerwone ramiączko sukienki. Z całą pewnością wymyśli coś na dzisiejszy wieczór. Widywała osoby w swoim wieku w pizzerii Palermo, wiedziała też, że wielu młodych ludzi przychodzi do knajpy Bellini. Niech Jon się bawi ze starcami, może raz czy drugi w ciągu wieczoru przystanie, rozejrzy się za nią i zada sobie pytanie, gdzie się podziała. Ale już teraz postanowiła wysłać mu SMS-a z podziękowaniem za piosenkę Dylana.

Sweetheart like you

Sweetheart

Sweet like you

Ostatni raz przejrzała się w lustrze i znów wyszła do ogrodu. Stare drzewa szumiały na wietrze. Mgła spowijała grupki rozbawionych ludzi. Tu i ówdzie ktoś patrzył w niebo, chcąc się przekonać, czy wkrótce się nie otworzy i wszystkich ich nie spłucze, wszędzie urywki tych samych rozmów. *Będzie niedługo padać? Czy Siri planuje przenieść całe przyjęcie do domu, jeśli pogoda się pogorszy? Czy tu w ogóle jest jakiś plan? Co z całym tym jedzeniem?* A potem wysoki, śpiewny kobiecy głos zagłuszający wszystkie inne: *Odrobina wody we włosach oznacza tylko szczęście.* Mille poczuła kroplę deszczu na ramieniu i nie mogła

powstrzymać uśmiechu. Weszła pod żagle rozpięte przez Jona i Irnę, zatrzymała się przy bufecie. Wzięła sobie szaszłyk z kurczaka, potem jeszcze jeden, ciągle jakby nie miała ich dość, ten słony smak, cieszyła się na wieczór, czuła napięcie w brzuchu, może przez wino, może przez tego SMS-a od Jona, a może po prostu było to przecucie, że zdarzy się coś fajnego.

Rozejrzała się i znów napotkała wzrok Siri. Mille zrobiło się żal Siri. Krzywej Siri, która leżała w nocy sama, a jej mąż w tym czasie myślał o innych. Mille się do niej uśmiechnęła. Do krzywej Siri, której nigdy nie było wesoło. *Odpowiedz mi uśmiechem! Wiem, jaka jesteś smutna! Jaka samotna!* Na Mille spadły kolejne krople deszczu. Poczwała je na ramieniu. Na włosach. Na policzku. Spłynęły wzdłuż kręgosłupa. Miała ochotę się śmiać. Łaskotały. Ale kiedy Siri (po spojrzeniu jej przez chwilę w oczy) odwróciła się, niemal jakby z obrzydzeniem, nagle bardziej zebrało jej się na płacz.

Babsko! Cholerne babsko!

Nie powiedziała tego na głos. Nikt jej nie słuchał, była dziewczyną w czerwonej sukience, która stała przy bufecie z ustami zapchanymi kurczakiem i coś mamrotała. Przełknęła, odrzuciła włosy do tyłu i skierowała się do furtki na końcu ogrodu. Odwróciła się ostatni raz i popatrzyła wprost na Siri otoczoną gośćmi. Ale Siri nie widziała Mille. Nie zwracała na nią uwagi. Mille zaczęła się zastanawiać, co powiedziała by Siri, gdyby wiedziała o niej i o Jonie. Mille wyjęła telefon. Mogła mu teraz wysłać SMS-a? A może raczej powinna poczekać? Wiedziała, że lubił z nią rozmawiać, chociaż był prawie o trzydzieści lat starszy, lubił, gdy przychodziła do jego gabinetu, kiedy pracował. Lubiał opowiadać. Lubiał pokazywać jej różne rzeczy. Domek dla lalek, meble dla lalek i lalki, które kiedyś należały do Siri. Stare książki, kolekcje płyt CD.

Mille pomyślała o wczorajszym dniu. O tym, jak na nią patrzył, jak z nią rozmawiał.

– Przeszkadzam ci, Jon? Chciałam tylko spytać, czy nie wiesz, gdzie jest krem do opalania dla Liv. Nie mogę go znaleźć, a pomyślałam, że mogłybyśmy pójść na plażę, skoro jest taka ładna pogoda.

Jon obrócił się na biurowym krześle i spojrzał na Mille. Miał swój własny sposób patrzenia na nią. Oczy mu błyszczały. Miała ochotę mu powiedzieć, że jest bardzo fajny. Że ma fajną energię. Ale może to by zabrzmiało głupio? Był przecież pisarzem, a ona nie bardzo wiedziała, jak się wyrażać w obecności pisarzy. Nie chciała, żeby uznał ją za niemądre dziecko, za zbyt mało dojrzałą jak na swój wiek.

– Nie przeszkadzasz mi, Mille. Prawdę mówiąc, okropnie się nudzę! Na biurku leżał stos płyt CD. Sięgnął po jedną, po Dylana, i rzucił jej.

– Ta jest dobra, musisz posłuchać.

– Dziękuję – powiedziała Mille. – Bardzo dziękuję.

Jon milczał, Mille dalej stała.

– Co piszesz?

Jon odwrócił głowę, roześmiał się.

– Piszę powieść, która nigdy nie zostanie ukończona. Po prostu nie mam w sobie tego, czego potrzeba, żeby ją skończyć.

– Fajnie – stwierdziła Mille i zaraz się poprawiła. – To znaczy fajnie, że piszesz powieść, nie fajnie, że ci nie wychodzi. Ale na pewno wyjdzie.

Jon znów się zaśmiał. Nie z niej. Nie sądziła, żeby z niej. Śmiał się do siebie, jakby jej tam nie było, jakby przypomniało mu się coś śmiesznego. Nagle jednak spojrzał jej w oczy i powiedział:

– Jesteś taka ładna, Mille. Tak ładnie wyglądasz tu, gdzie teraz stoisz.

Mille się uśmiechnęła.

– A ja uważam, że ty jesteś fajny. Masz niesamowicie fajną energię i jestem pewna, że napiszesz fantastyczną powieść.

Jon roześmiał się głośno i krótko. Ten śmiech trudno było odczytać. Mille się zaczerwieniła. Na pewno głupio powiedziała o tej energii.

– Energii dodaje mi patrzenie na ciebie, Mille – odparł, chociaż wcale na nią nie patrzył. – Na twoją urodę – dodał. – Na twoje światło.

Znów odwrócił się do komputera. Nie chciała, żeby to się już skończyło, więc powiedziała:

– Ja nie bardzo umiem pisać. Nigdy nie umiałam. Ale ogromnie mi

imponuje, że siedzisz tu dzień po dniu i piszesz, przecież już wcześniej napisałeś tyle książek, a ja się okropnie męczyłam w liceum, w ogóle mi nie wychodziło, chociaż często myślałam, że gdybym umiała pisać, to napisałabym wyjątkową książkę.

Jon odwrócił się do niej. Miał teraz w oczach coś innego. Nie tę samą życzliwość co przed chwilą, coś bardziej kojarzącego się z wyzwaniem.

– Książkę o sobie? – spytał. – O swoim życiu?

– W pewnym sensie tak. Tyle chciałabym opisać, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi.

– Chyba rozumiem. – Znów się roześmiał. – Czy ty jesteś elfem, Mille?

– Słucham?

Przez chwilę wydawało jej się, że się przesłyszała. Ale on naprawdę spytał, czy jest elfem. Co miała na to odpowiedzieć? *Jej uroda. Jej światło.*

– Co... Elfem?... No, może trochę... – Zaśmiała się. – W moim życiu jest dużo magii, w pewnym sensie.

– To dobrze – skwitował Jon krótko. I nagle wydał jej się bardzo zmęczony.

Mille nie ustępowała:

– Chciałam ci powiedzieć, że ja też robię książki. Ale nie takie jak ty. To znaczy nie takie, jak ty piszesz. Ja je robię tylko dla siebie. To takie sekretne pamiętniki. Sekretne, ponieważ nikomu ich nie pokazuję, nikomu nawet o nich nie mówiłam. Tylko tobie teraz. Jesteś jedyną osobą, która o tym wie. Robię zdjęcia. Fotografuję wszystko, na co się natknę – ludzi, zwierzęta, krajobrazy. Ale głównie ludzi. Kiedy nie wiedzą, że są fotografowani. Wszystkie zdjęcia wklejam do książki. No i wklejam też różne rzeczy, które mają dla mnie znaczenie. Wszystko, od źdźbeł trawy po ładne cytaty. No i trochę piszę. Ale niedużo. Takie zapiski, jak w dzienniku.

Mille nabrała powietrza. Jon znów obrócił się na krześle i patrzył teraz prosto na nią.

– Masz jakieś swoje zdjęcia? – spytał. – W tej swojej książce?

Znowu to wyzywające spojrzenie.

Mille się zawahała.

– Nie, a o co ci chodzi?

– O to: to jest książka zrobiona przez ciebie i o tobie, no i mówisz mi, że robisz mnóstwo zdjęć innych ludzi, które tam wklejasz. Dlatego zadaję pytanie, czy wkleiłaś tam też swoje zdjęcia.

Mille dalej się wahała.

– Nie lubię oglądać siebie na zdjęciach. Nie jestem zbyt fotogeniczna.

– Daj mi swoją komórkę – przerwał jej Jon.

– Co? – zachichotała Mille.

– Daj mi swoją komórkę. No już, daj!

Wyjęła telefon z kieszeni, podeszła i włożyła mu go do ręki. Jon kazał jej się odsunąć.

– Stań w drzwiach. O tak. I patrz na mnie. Nie rób min. Tylko patrz prosto na mnie. Nie przejmuj się tym, że słońce świeci ci w oczy. Tak jest dobrze. O tak.

Pstryknął zdjęcie, a w tej samej chwili Leopold podniósł się z podłogi i usiadł przy drzwiach. Mille stała i patrzyła na Jona, słońce raziło ją w oczy i czuła się tak, jakby on ją głaskał.

– Spójrz tutaj – powiedział, spoglądając na zdjęcie. – Przecież ty jesteś śliczna. Możesz je wkleić do swojej książki. I zobacz – dodał, wskazując na czarną plamkę w dolnym rogu – tu masz ogon Leopolda.

Podał jej komórkę. Spojrzała na zdjęcie. Wyszła ładnie, dostrzegła to od razu. On ją sfotografował, a ona ładnie wyszła. Niebieska dzinsowa sukienka świetnie na niej leżała, poza tym do twarzy jej było z włosami związanymi w koński ogon. Wargi miała czerwone, a w oczach nie było widać niepewności i nieporadności. *Twoja uroda. Twoje światło.*

– Bardzo dziękuję – powiedziała. – Bardzo. To naprawdę ładne zdjęcie.

Znów odwrócił się do komputera.

– Ale wiesz, teraz już muszę pisać. Okej?

– Okej.

Wpatrywała się w jego plecy z nadzieją, że zechce jeszcze raz się do

niej odwrócić.

– No i wydaje mi się, że Liv na ciebie czeka – dodał, siedząc do niej tyłem. – Chyba wybierałyście się na plażę.

– Tak. Okej. No to na razie. Dziękuję za płytę. I za zdjęcie.

– Na razie – odparł Jon roztargnionym głosem, wciąż odwrócony. – Na razie.

Mille otworzyła furtkę, wzięła głęboki oddech i opuściła przyjęcie. Pomyślała, że i tak nikt nie zauważy, że jej nie ma. Przecież nie miała tu nic do roboty. We mgle, tańczyć, ze starcami. Była młoda. *Sweetheart like you*. Była piękna. *Twoja uroda. Twoje światło*. Dziś w nocy, kiedy wróci do domu, napisze do Jona. Albo może zrobi to już teraz, niedługo. Droga wiała się jak wąż między domem Jenny na szczycie wzgórza a przystanią i morzem na samym dole. Po obu stronach stały domki letniskowe i domy, wszystkie małe i prawie niewidzialne we mgle. Ale dom Jenny nie był ani mały, ani niewidzialny. Świeciło się w oknach, świeciło w ogrodzie, a głosy i śmiech niosły się daleko.

Mille zaczęła iść. *Nie oglądaj się*, pomyślała. Lekki czerwony materiał sukienki falował wokół niej, ledwie dotykając jej skóry, wiatr niósł ze sobą ciepły deszcz. *Nie oglądaj się!* We mgle jakby słyszała własny głos, własny głos, taki, jak brzmiał, kiedy była mała i jeździła na rowerze z Mikkelem, swoim ojcem, tym, który zawsze i ze wszystkiego urządzał zawody.

– Ja chcę lody, tato!

Musiała mocno pedałować, żeby za nim nadążyć, nawet w dół musiała pedałować z całych sił.

– Nie możemy kupić lodów?

Mikkel przyspieszył, odwrócił się i spojrzał na córkę. Długi, ciemny koński ogon. Różowy dziewczynski rower. Różowy kask.

– Chcesz lody?

– TAK!

Jeszcze trochę przyspieszył.

– Jeśli mnie pokonasz, to kupimy lody, a jeśli ja ciebie, to nie

kupimy, okej?

– Okej.

– Gotowa?

Mille przyspieszyła, jechała teraz obok niego.

Spojrzał na nią. Miał duże, ładne usta, włosy rozwiewał mu wiatr. Mknęli w dół zbocza.

Mille puściła kierownicę. W dół potrafiła jechać bez trzymanki. Mikkel ją tego nauczył.

– Raz! Dwa! Trzy! – powiedzieli równocześnie i oboje podnieśli ręce do góry.

– Kamień! Nożyce! Papier!

Mille wybrała kamień. Zawsze wybierała kamień. Mikkel mówił, że powinna czasami zmieniać wybór. Być sprytna. Nie zawsze wybierać to samo. Twierdził, że przez to staje się łatwą zdobyczą. No ale kamień to kamień. Nie ma nic solidniejszego niż kamień. Nawet jeśli się go owinie papierem, kamień uderza tak samo mocno, jakby nie był owinięty. Kamień nie traci mocy. Mille miała osiem lat i była pewna swego. Papier jest dla tchórzy.

– Kamień! – zawołała, triumfalnie wyciągając rękę w górę.

Poczuła, że rower niemal uniósł się z ziemi i zaczął fruwać niczym olbrzymi ptak, przemknęła obok ojca.

– KAMIENI! – zawołała jeszcze raz i obejrzała się, żeby sprawdzić, czy widział.

Kiedy straciła równowagę i rower się przewrócił, zbocze nagle jakby ożyło. Uderzało, drapało, gryzło i biło.

Zdażyła jeszcze spostrzec, że ojciec – w momencie kiedy ją mijał – układał wargi do wymówienia słowa „papier”. Otwarta dłoń uniesiona do góry, jakby do niej machał.

Nie oglądaj się. Jeśli się obejrzysz, spadniesz z roweru. Jeśli się obejrzysz, zamienisz się w słup soli. Jeśli się obejrzysz, twój ukochany umrze. Twoja uroda. Twoje światło. Mille się obejrzała. Ten wielki biały oświetlony dom, który właśnie opuściła, miał w sobie jakąś samotność. Słyszała głosy pokrzykujących i śmiejących się gości, ale dźwięki były otulone grubą flanelą. Wkrótce pochłonie je mgła. Dom. Ogród. Ludzi. *Sweetheart like you.* Mille szła dalej.

Na środku drogi leżał powyginany rower, a w rowie siedział zapłakany chłopczyk. Mille podeszła bliżej. Chłopczyk uniósł głowę, zobaczył ją i rozplakał się jeszcze głośniej. Zbliżyła się do niego, przykucnęła, zobaczyła, że mały ma obtarte kolana i dłonie. Krew mu leciała. W rany na kolanach wbił się drobny żwir. Należało go wyskubać palcami, dopiero potem rany można będzie oczyścić i zalepić plastrem. Przeszył ją prąd, jakby to były jej kolana, jej krew.

Rany były czerwone, wilgotne, trochę też czarne, piekące, czerwone zadrapania wzdłuż i wszerz, jakby ktoś zrobił na kolanach chłopca rysunek ostrą czerwoną kredką, ale szycia nie wymagały. Ona wtedy też tego nie potrzebowała. Położyła mu rękę na ramieniu.

– Spadłeś z roweru? Uderzyłeś się? Gdzie cię boli?

Chłopiec zapłakał jeszcze głośniej, mocno kiwając głową. Mille się rozejrzała, zastanawiała się, czy jest sam, czy może z kimś, z jakąś mamą albo z tatą, który wkrótce objawi się we mgle. Najwyraźniej jednak chłopiec był sam. Chwyliła go za rękę, pomogła mu wstać i czerwonym szalem pożyczonym od Siri otarła mu z buzi brud i łzy. Chłopiec umilkł.

– Jak ci na imię? – spytała szeptem.

Na szalu pojawiły się plamki krwi. *Nic nie szkodzi*, pomyślała. Wyjaśni Siri, że to nie jej krew. Że wcale nie była nieuważna, tylko pomogła małemu chłopcu, który spadł z roweru.

– Simen – odparł, pociągając nosem. – Rower się zepsuł, a nie mam pieniędzy na nowy.

Znów zaczął płakać, jednocześnie ostrożnie tuląc do niej głowę. Mille pozwoliła mu na to przez chwilę, ale potem się odsunęła i podeszła do leżącego na środku drogi roweru. Nachyliła się i sprawdziła. Rower wyszedł z wypadku prawie bez szwanku, był tylko trochę brudny, ale nic się nie uszkodziło.

– Nie jest zepsuty – stwierdziła, stawiając go na koła. – Spójrz, Simen, wcale nie jest zepsuty.

A potem spytała, czy odprowadzić go do domu. Simen kiwnął głową, wyglądał wręcz na ucieszonego i pozwolił jej wziąć się za rękę.

– Gdzie mieszkasz? – spytała Mille, kiedy ruszyli w dół długiego

zбочa.

Jedną ręką trzymała jego dłoń, a drugą kierownicę. Parasolka leżała w torebce przewieszanej przez ramię.

– Prawie na samym dole – odparł. – To drugi dom po lewej stronie, kiedy się idzie od dołu.

– Ale my nie idziemy od dołu – roześmiała się Mille. – Idziemy od góry.

– Co? – mruknął Simen.

– Nie idziemy od dołu, tylko od góry. A wtedy twój dom stoi po prawej stronie. Musimy patrzeć w prawo, żeby zobaczyć, gdzie mieszkasz.

Więcej już nic nie mówili. Ale Mille od czasu do czasu spoglądała na niego, kiedy szedł obok niej wyprostowany jak mały cynowy żołnierz. Otoczyła ich mgła.

– Jakbyśmy weszli w chmurę – szepnęła Mille.

Kiedy dotarli do jego domu, powiedziała:

– Mam na imię Mille.

Postawiła jego rower przy płocie. Popatrzył na nią i znów prawie się rozplakał. Może dlatego, że miała odejść.

Nachyliła się i pocałowała go w głowę.

– Ja mam na imię Mille, a ty masz na imię Simen, i nie płacz już więcej.

Odwróciła się i odeszła.

Jenny ukryła się za zasłoną w sypialni i patrzyła na wszystkich odświętnie ubranych gości wirujących we mgle. Jakby mieli jakąś szansę. Mgła była przecież dla nich zbyt duża. Zbyt ciężka. Zbyt szara. Zbyt nieprzenikniona. Zbyt silna. Zbyt piękna. Jenny zacisnęła powieki. Bolała ją głowa. Dłonie drżały. I dziękowała mgle za to, że jest mgłą, a nie czymś innym, bo wszystko inne jeszcze wzmogłoby ten ból głowy. Czerwone wino pomagało na drzenie. To było udowodnione. A mgła pomagała na ból głowy. Nic lepszego nie mogło być. Na zdrowie! Stopy żyły swoim własnym, cielesnym życiem w sandałkach koloru nektarynki, a sukienka cisnęła w brzuchu tak, że Jenny ledwie mogła oddychać – podobnie jak wtedy, kiedy chodziła w ciąży z Syverem i nagle musiała biec z lasu do domu, żeby się przebrać. Zmienić obcisłą letnią sukienkę, czerwoną w białe kropki, na coś luźnego. Jenny otworzyła oczy i wyjrzała. No proszę, tam byli Daniel i Camilla ze swoimi nieszczęśliwymi córkami, a tam Steve Knightley z Seattle i Berit, i kochany stary Ola, sąsiad, który po śmierci Helgi tak poszarzał i posmutniał, że sprawił sobie psa, a tam, bardzo proszę, panie z klubu soroptymistek i dawne koleżanki z Oslo, co właściwie Bente ma na sobie – jakiś kaftan? Chyba zdecydowanie za krótki? Ale trochę podobny do tego, który Jenny nosiła blisko czterdzieści lat temu, kiedy była w ciąży z Syverem i wszystkie zwykłe ubrania zaczęły ją cisnąć w brzuchu. Niemal z dnia na dzień. Człowiek chodzi, jest w ciąży i nic nie widać, nie ma żadnych zmian (oprócz mdłości, które nadciągały jak mgła, co wieczór, ale w ciągu dnia dawały jej spokój) i nagle pęcznieje tu i tam, prawie nie może oddychać, musi biegiem wracać z lasu do domu z Bo Andersem deptającym po piętach i przebrać się w coś, co nie ciśnie. Oboje o mało nie umarli ze śmiechu podczas tego biegu i kiedy dotarli do pokoju – do tego pokoju, który dziś wygląda prawie identycznie jak wtedy – Bo Anders się podniecił i koniecznie chciał się z nią tam od razu kochać. W tym łóżku. Jenny się odwróciła. Czy to przez sposób, w jaki wysunęła się z obcisłej czerwonej sukienki w kropki i ukazała w świetle padającym z okna? Czy dlatego, że tak napęczniała tu i tam? Czy to z powodu jej śmiechu? Jenny znów wyjrzała przez okno. Tam był Jon. A tam Siri, w niebieskiej jedwabnej sukience,

która kiedyś należała do niej. Jenny wzięła głębszy wdech i opróżniła kieliszek. Obserwowała córkę krążącą po ogrodzie i odgrywającą rolę gospodyni. Siri sobie poradzi. Również bez tego, czego nie potrafiła jej dać Jenny. Siri miała restauracje i miała Jona, miała też dwoje swoich dzieci. One żyły, nie były martwe. No i proszę, doprawdy, któż to przyjechał z tak daleka, z tego miejsca, gdzie teraz mieszkali, jak zwykle wystrojeni jak stróż w Boże Ciało, Marie Evensen i ten jej głupkowaty mężulek. Kim są ci ludzie? W każdym razie nie ma tu nikogo, z kim Jenny miałyby ochotę spędzać czas. Czy to oni przyjdą na jej pogrzeb? Ci z nich, którzy tego dożyją. Jenny dostrzegła wielu, którzy z całą pewnością odejdą przed nią, i rejestrowała to nie bez satysfakcji. Anni Berge i Lars Smith Eriksen, Louise Hansson i Arild Jonsson. Wszyscy oni wyciągną kopyta wcześniej. Bez wątplenia. Czuła, że jest w znakomitej formie. I w związku z tym pomyślała, że to chyba dobry pomysł pokazać się wkrótce na przyjęciu, zatańczyć z gośćmi, może wygłosić przemowę. Tak, tak zrobi. Miała parę rzeczy do powiedzenia. Potknęła się, upadła jak długa na łóżko. Pióro i papier. Musi mieć pióro i papier. Gdzieś tu w swoim pokoju miała pióro i papier. Dlaczego nie można znaleźć ani pióra, ani papieru? Przecież musi napisać przemowę. Niedługą. Krótką. A przemowa zacznie się tak:

nic.

Jenny usiadła i zapatrzyła się przed siebie. Przemowa zacznie się tak:

nic.

A może:

Kochana rodzino, drodzy przyjaciele. Kochana Siri, ty która zorganizowałaś to przyjęcie dla mnie. Kochana Irmo. Stoimy tu we mgle i zastanawiamy się, czy będzie padać...

Tak, tak będzie dobrze.

A może jeszcze jeden kieliszeczek i resztę będzie mogła powiedzieć z głowy? Albo nie mówić. Znów położyła się na łóżku i zamknęła oczy. Trzeba znaleźć papier i pióro. Zaraz. Za niedługą chwilę.

Siri zamknęła za sobą drzwi wejściowe i zapadła całkowita cisza. Stawy zwiotczały jej jak kukielce, marionetce (*marionette* to po francusku „mała Marion”, imię młodej Dziewicy Maryi), położyła się na podłodze, znów usiadła, ponieważ, pomyślała, nie jestem kukielką, nie jestem małą Marion ani małą Maryją, sama steruję swoimi ruchami, muszę tylko chwilę tu posiedzieć i odpocząć, a potem schowała twarz w dłoniach. Niepowodzenie. Niepowodzenie. Niepowodzenie. Całe to przyjęcie toczące się teraz w ogrodzie, bez niej, bez matki – po co? Co ona właściwie zrobiła ze swoim życiem? Długa, jasnoniebieska jedwabna suknia, którą przejęła po Jenny, spływała po jej ciele i rozlewała się po podłodze wokół stóp jak jezioro. *Jesteś taka piękna*, szepnął Jon. Ustawili się na schodach przed wejściem: Siri, Jon, Alma, Liv i Mille, nawet Irma (olbrzymka Irma o twarzy, którą Jon porównał kiedyś do anioła Uriela na obrazie Leonarda), stali jak na scenie, przyjmowali i witali gości. *Jesteś taka piękna. Jesteś taka piękna. A zaraz potem: Zostaw ją.* Tak nagle. Tak twardo. I tylko dlatego, że Siri (w spokojny sposób: miękko, cicho, łagodnie) zwróciła Mille uwagę w związku z tym kwiatkiem w jej włosach. Na łące za domem rosło pełno polnych kwiatów, które Mille mogła zerwać i wpiąć we włosy, to wielkie, niezdarne dziecko, które przyjechało do Mailund z całym swoim smutkiem i z całą swoją samotnością, takie bezdennie smutne i bezdennie samotne. Siri wzięła głębszy oddech.

Zostaw ją!

Tak gwałtownie.

Tak twardo.

Biała rabata była dumą Siri w Mailund, piękniejsza niż ogród ziołowy, który również założyła, zainspirowana przyjaciółką Virginii Woolf, Vitą Sackville-West.

– Posłuchaj, Jon, chciałabym ci coś przeczytać. Posłuchasz?

Chciała mu opowiedzieć o książce, którą przeczytała. O księżycowym ogrodzie, który Vita Sackville-West ujrzała we śnie i który w kolejnym śnie zobaczyła Siri. Ale Jon nie chciał słuchać o innych książkach niż swoje własne. (Dawno już nikt nie mówił o jego książkach i właśnie w tym tkwił problem, prawda?) Nie

interesowały go też ogrody, nigdy nie pisał o ogrodach, ani o białych, ani o zielonych, ani o czerwonych, chociaż słyszała, jak wypowiadał się na temat Virginii Woolf – *Trochę anemiczna, nie uważasz?* – nie miała pewności, czy naprawdę ją czytał. Od czasu do czasu szła wieczorem do niego na poddasze powiedzieć mu dobranoc – coraz częściej tam sypiał, coś między nimi się rozsypywało, a ona nie mogła się zorientować co – i wyglądał tak samotnie, kiedy leżał na łóżku i wpatrywał się w sufit, czytał gazetę na komórce albo przeglądał własne książki.

– Czytasz tylko te książki, które sam napisałeś? – spytała.

– Zostaw mnie w spokoju, Siri. Daj mi czytać to, co chcę.

– Może gdybyś poczytał coś innego, napisanego przez innych, to odzyskałbyś ochotę na pisanie?

– Dziękuję za radę. Może ustalimy, że będzie tak: ja nie będę ci doradzał w gotowaniu, a ty nie będziesz mi doradzała w pisaniu. Okej?

– Okej.

Nasłuchiwała. W domu panowała całkowita cisza. Siri wciąż siedziała na podłodze. Opuściła przyjęcie w ogrodzie uśmiechnięta, wznosząca toasty, idealna gospodyni, zamknęła drzwi za sobą i usiadła na podłodze. Rozejrzała się. Błędem było nazywanie tego pomieszczenia przedpokojem, a tak nazywali go zawsze w jej dzieciństwie – *Nie chcę takiego bałaganu w przedpokoju, Siri. Pomóż Syverowi odwieść ubranie na miejsce* – ale w rzeczywistości to był hol. Wielki hol. Wysoki, stare drewniane podłogi, żadnych mebli oprócz wielkiej szafy, w której wisiało mnóstwo starych ubrań, między innymi lodenowy płaszcz należący niegdyś do jej ojca, i oczywiście schody, niczym tron na środku, szerokie schody, wijące się przez kolejne piętra. Na pierwszym piętrze Jenny siedziała na brzegu łóżka (a może stała ukryta za zasłoną i wyglądała przez okno), odmawiając zejścia na własne przyjęcie. Najprawdopodobniej pijana.

Siri przyszła, żeby wziąć sprawy w swoje ręce. *Zamierzała wziąć sprawy w swoje ręce.* Nigdy wcześniej nie używała tego określenia, a teraz nagle brodziła po ogrodzie w długiej, niebieskiej jedwabnej sukni, w butach na wysokich obcasach (które zapadały się w ziemię

z każdym krokiem, cmok, cmok, cmok) i zachowywała się w sposób, który wydawał jej się obcy, używała słów i sformułowań niemających z nią nic wspólnego. Od czasu do czasu w krótkich momentach przerażenia dostrzegała samą siebie: sposób, w jaki kroczyła i w jaki udawała. *Wziąć sprawy w swoje ręce*. Przenikliwy głos. Jakby miała na języku coś starego, ohydneho, co natychmiast, mimo obecności gości, należało wypluć – na przykład wyrażenie *wziąć sprawy w swoje ręce* wypowiedziane w poufały, teatralny sposób – i z ust wydobywał się wielki błyszczący żuk.

Tak, najwyższa pora, żebym wzięła sprawy w swoje ręce, uśmiechnęła się do starej pani Bente Strøksnes (która krążyła po ogrodzie i rozmawiała ze wszystkimi, ubrana w trochę dziwny zielony kaftan, podkreślający jej stare, cienkie, lekko niebieskawe nogi pokryte żyłakami. Czyżby Bente Strøksnes najzwyczajniej w świecie zapomniała o włożeniu spodni?).

– Tak, wezmę sprawy w swoje ręce – oświadczyła Siri. – Przyprowadzę ją. Oczywiście, że mama powinna już przyjść. Nie możemy dłużej czekać.

Nasłuchiwała. W ogrodzie przyjęcie toczyło się swoim torem, ale ciężkie drzwi tłumiły dźwięki. Cisza w tym domu ogłuszała, zawsze tak było od śmierci Syvera. Siri usiłowała wypełnić go dźwiękami, przeszyć dźwiękami, przewyciężyć dźwiękami – najpierw swoimi własnymi.

– Maaamooo!

Jako dziecko miała wysoki, świdrujący głos, ale nauczyła się go kontrolować.

– Tylko nie tym głosem, Siri, bardzo cię proszę!

Czasami jednak się zapominała, krzyczała, śpiewała i tańczyła po całym domu, psując wszystko.

Piętnastu chłopca na Umrzyka Skrzyni

Ho-hej-ho! W butelce rum!

Pij za zdrowie, resztę czart uczyni!

Ho-hej-ho! W butelce rum!

Jenny potrafiła nagle objawić się na schodach, gdzieś między parterem a pierwszym piętrem, całkiem biała na twarzy z czerwonymi ustami, długimi zmierzwionymi włosami, na wysokich obcasach, drobna i szczupła. Szeptiała:

– Ten twój głos, Siri. Możesz z nim iść gdzie indziej? Bardzo cię proszę. Bardzo! Nie mam na to siły.

Po śmierci Syvera jedyną osobą, która rozmawiała z Siri, był Ola, sąsiad. Ola i jego żona, Helga. Ola i Helga nie mieli dzieci. Ale w pewnym sensie mieli Siri. Helga, która umarła na początku lat dziewięćdziesiątych na raka żołądka, była duża, pulchna i pogodna. Ola był chudy i szary. A między sobą, w sobie, u siebie w domu i wokół siebie mieli Siri, którą przez pewien czas kochali jak własne dziecko. Wieczorami, kiedy Siri już poszła do domu (bo przecież nie była ich dzieckiem, tylko Jenny, a Jenny piła, krzyczała i miała dość problemów z własną żalobą), rozmawiali o niej, martwili się o nią, planowali, co będą robić razem z nią, może zbudują chatkę w lesie, może pójdą do kina, Siri zawsze chciała zaglądać do uli Oli, może pozwolić, żeby jednym ułem zajęła się na poważnie? Helga robiła na drutach szaliki, Siri zawsze chodziła tak cienko ubrana, więc Helga wydziergała dla niej sweter. A w rozmowach o niej Ola i Helga zawsze nadawali jej inne imiona, sekretne, Mała Bi, Mała Lu, Mała Ka.

Siri domyślała się, że rozmawiają o niej wieczorami. Pewności mieć nie mogła. Domyślała się, że nadają jej sekretne imiona i planują, co mogą robić razem z nią. Musiało tak być. Kiedy dziś wieczorem spotkała starego Olę w ogrodzie, smutnego, szarego, wychudzonego i zatraconego, po śmierci Helgi już nigdy takiego samego jak dawniej, objął ją i szepnął:

– Świetnie sobie radzisz, Siri.

To Ola zrobił dla niej domek dla lalek z mebelkami i wystrugał dla niej laleczki. To Ola nauczył ją pirackich piosenek i to Ola powiedział – a powiedział to tylko jeden raz, w pewien jesienny wieczór, kiedy odprowadzał ją do domu:

– To, co się stało z Syverem, to nie była twoja wina, Siri! *All right?*

Stało się coś strasznego. Ale to nie była twoja wina! Jesteś dzieckiem. On był dzieckiem. To się nie mieści w głowie, ale to nie była twoja wina. Oboje byliście dziećmi, które poszły się bawić.

Tego rodzaju chwile powagi należały jednak do wyjątków. Siri pamięta również takie sceny:

Helga się śmieje i szepcze:

– Przystojnego męża sobie wzięłam, prawda?

A Ola wstaje i śpiewa mocnym głosem:

Straszna cisza wypełni cały port,

Tylko echo z piekieł dna

Powtórzy: Kto umrzeć ma?

A ja wtedy bez wahania powiem: Wszyscy!

I przy każdej ściętej głowie krzyknę: Hop-la!

Wtedy okręt o siedmiu żaglach

I czterdziestu armatach

Zabierze mnie w dal⁷.

Siri siedziała na podłodze wpatrzona w schody wznoszące się nad nią jak góra, zawsze takie były, zawsze trochę strasznie się po nich chodziło, i w górę, i w dół, jakby schody czyhały na człowieka, jakby nigdy nie pozwalały dojść ze sobą do zgody, jakby w każdej chwili były gotowe przyciągnąć któryś ze stopni do siebie, a inny wysunąć. W ciągu mijających lat cyklinowano je, nasączano olejem i malowano, dostawały chodnik i drążki, nową poręcz, chodnik wymieniono na inny, ale nikt w domu nie chciał chodnika, *nie lubię chodników*, oświadczyła Jenny, więc schody znów wycyklinowano i pomalowano, teraz były kobaltowoniebieskie, takie jak dawno temu, jeszcze przed urodzeniem się Siri. Wiele razy liczyła te stopnie. Jeden stopień. Dwa stopnie. Trzy stopnie. Cztery stopnie. Aż dochodziła do dwudziestu dziewięciu. Na ogół do dwudziestu dziewięciu. Czasami wychodziło jej dwadzieścia osiem, kiedy indziej trzydzieści jeden, a raz trzydzieści dwa. Kiedy Jon liczył stopnie, wychodziło mu

dwadzieścia osiem. Ciągłe je liczyli. Dzieci również. *Jest dwadzieścia dziewięć stopni*, mówiła Alma. *Sto dwadzieścia dziewięć tysięcy*, mówiła Liv. A zaledwie kilka dni wcześniej, wkrótce po wielkiej kłótni, Jon i Siri wzięli się za ręce i powoli ruszyli po schodach jak młoda para, licząc stopnie razem, *jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem*, doszli do dwudziestu dziewięciu, ale Jon stwierdził, że się pomylili, bo za dużo razy ją pocałował i żadne nie wzięło tego liczenia na poważnie, dlatego chciał to powtórzyć, i tym razem nie wolno było się odzywać, nie wolno było się śmiać ani całować, czy ona się zgadza, tak, zgadza się, zawrócili więc i zaczęli schodzić, *jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem, osiem*, ale kiedy doszli do osiemnastu, Siri się potknęła i skrzyła nogę w kostce. Bolało, ale nie tak bardzo. *Au!* – zawołała, trochę się śmiejąc. *Przepraszam*, powiedziała i pocałowała Jona. *Wiem, że nie można się śmiać. Ani mówić „au”*. *Zawracamy*, zdecydował Jon, *muszę zbadać tę kostkę*, więc zawrócili i znów ruszyli na górę. Jon podtrzymał ją przy wchodzeniu na drugie piętro (nie wiadomo, po ilu stopniach), gdzie był ich pokój, ułożył ją na łóżku, rozebrał, umieścił jej nogę na poduszkach, zawinął kostki lodu w ręcznik i tym ręcznikiem obłożył jej kostkę. Siri się śmiała, mówiąc, że wcale aż *tak bardzo* nie boli, Jon dmuchał na jej kostkę, dmuchał na kolano, jakby była małą dziewczynką, która się uderzyła, a potem przesunął usta na wewnętrzną stronę jej uda i odnalazł ją językiem.

Ale nie. Siri wstrzymała oddech. Zakryła twarz dłońmi i tak oddychała. Nie chciała myśleć o Jonie. Nie teraz. O tym wszystkim, czego sobie nie powiedzieli. O liście, który znalazła wtedy, dawno temu. Nie mogła poruszyć tego tematu. Nie tutaj. Nie teraz. Gdzie on właściwie był? Ciągłe w ogrodzie, przechadzając się od gościa do gościa, *tak, kończę teraz książkę, ukaze się jesienią, właściwie powinna wyjść już w zeszłym roku, ale będzie jesienią, przynajmniej mam taką nadzieję, jeśli mi się uda*, widziała, jak z ożywieniem konwersował z Olą, który w miarę, jak się starzał, stawał się coraz bardziej szary, rozmawiał ze Steve'em Knightleyem z Seattle, widziała go razem z wujem Oskarem i ciotką Astrid, widziała go z Karoline Sørheim i Kurtem Mandlem, a wtedy uświadomiła sobie, że nigdy nie lubiła Karoline, tej próżnej, pozbawionej poczucia humoru przyjaciółki Jona

z dzieciństwa. Czy Karoline i Kurt nie mogli sobie sprawić letniego domu gdzie indziej? Musieli przyjeżdżać tutaj? Wyobraziła sobie twarz Karoline, tak, naprawdę jej nie lubiła, tyle niepewności i próżności wtłoczone w coś tak małego, jasnowłosego i kruchego. Jon też jej nie lubił. Mówił, że jest po prostu pozbawiona wdzięku, z czym Siri się zgadzała, i czasami śmiali się razem z tego, jak bardzo pozbawiona wdzięku jest Karoline, za to Kurt to fajny facet, oboje tak uważali, miły, zabawny, ciepły, może trochę za ambitny, twierdził Jon, ale wtedy Siri mówiła, że to nie jest zbyt ambitne codziennie chodzić do pracy, zarabiać na utrzymanie i być uczestniczącym ojcem, a poza tym mnóstwo ćwiczyć i utrzymywać dobrą formę, co Jon z kolei przyjmował jako wyrzut i być może miał nawet rację.

Siri, siedząc na podłodze w holu i usiłując zebrać się na odwagę, żeby iść na górę po matkę, pomyślała, że nie zaszkodziłoby, gdyby Jon wziął na siebie więcej odpowiedzialności, od lat nie dokładał się finansowo, książka była nieskończona, a nie mogli żyć wyłącznie z dochodów, które przynosiła restauracja w Oslo. Ponieważ jednak Jon ani nie chciał, ani nie umiał pracować przy niczym innym niż książka, wzięli zbyt duży kredyt na spłatę tego kredytu, który już mieli... Siri wstrzymała oddech, nie chciała myśleć o tym teraz, w ogóle nie chciała o tym myśleć, no bo co ona właściwie zrobiła ze swoim życiem, a Karoline (pozbawiona wdzięku) i Kurt (ambitny) bez względu na wszystko byli ich przyjaciółmi, wspólnymi przyjaciółmi, przecież tak miło spędzali czas we czworo.

Ale coś tu się nie zgadzało. Siri wzięła głęboki wdech.

Trzy lata wcześniej, w maju 2005 roku, Siri i Jon pojechali na Gotlandię w odwiedziny do Sofii, która zamierzała sprzedać dom w Slite i przenieść się do dwupokojowego mieszkania w Visby. Część pieniędzy za dom należała się Siri jako spadek po ojcu i trzeba było podpisać dokumenty. Siri i Jon (oraz Leopold) zamierzali spędzić razem na Gotlandii pięć dni bez dzieci. Liv i Alma zostały w Oslo. Mieszkały u Emmy, sąsiadki, która miała dwoje swoich dzieci.

Siri wykąpała się sama na plaży, tak jak przed laty, kiedy ojciec leżał martwy w łóżku z głową obwiązaną chustką, położyła kwiatek na jego grobie, nazbierała kajpu, pewnego gatunku pora, który rośnie

tylko na Gotlandii, i ugotowała z niego zupę dla Jona, Sofii i siebie, a pewnego wieczoru, kiedy wybrali się z Jonem na przejażdżkę, on nagle zatrzymał samochód i spytał:

– A może byśmy tak kupili dom na Gotlandii? Taki mały domek z wapienia, w którym zamieszkalibyśmy z Alną i Liv?

Codziennie jeździli na długie samochodowe wycieczki i badali wyspę od Burgsvik po Fårö, oglądali stare kamienne średniowieczne kościoły. Kościół w Bunge, kościół w Lokrume, katedrę w Visby, kościół w Hörsne, kościół w Gothem z wysoką wieżą, kościół Follingbo z malowidłami na suficie, kościół w Eskelhem, kościół w Hamra.

– Mogłabyś otworzyć restaurację czynną tylko latem, ja dokończę trzeci tom, a potem będę pisał co innego, sprzedamy dom w Oslo i pozbedziemy się długów, nikogo nie będziemy znać, do nikogo nie będziemy musieli się odnosić, będziemy tylko my, ty, ja, Alna i Liv, i Leopold, i miłość, i w ogóle. – Rozłożył ręce, obejmując wszystko dookoła. Niskie niebo, zmienne światło, pola, równiny na Fårö przypominające afrykańskie sawanny, *raukar* – skalne ostańce liczące czterysta milionów lat, piaszczyste wydmy, fabrykę cementu w Slite i upiorny wrak statku na półwyspie Norsholmen. – Malutki dom z wapienia – powtórzył. – W Burgsvik, Hemse, Roma, Klintehamn, Katthammarsvik albo na Fårö.

Siri ze śmiechem kręciła głową. *Nie możesz po prostu przenieść się w obce miejsce, wierząc, że wtedy, tak, wtedy napiszesz tę swoją książkę*, pomyślała, lecz głośno tego nie powiedziała. Ostatni tom trylogii miał być skończony przed rokiem, ale się nie udało, a teraz Jon poprosił o kolejne przełożenie terminu. Wyrzucił co najmniej dwieście pięćdziesiąt stron i chciał zacząć od nowa. Wysiedli z samochodu obejrzeć upiorny krajobraz, który otworzył się przed nimi po drodze do nieczynnej już żwirowni na wyspie Furillen.

– Alna mogłaby pójść do szwedzkiej szkoły, a Liv zacząć tu chodzić do przedszkola – ciągnął Jon. – Tu z całą pewnością są miejsca w przedszkolu, obie mogłyby biegać po lesie i po równinach, zrywać ogniste maki i kąpać się w morzu jeszcze długo we wrześniu.

Siri pogładziła go po włosach i powiedziała, że Jon musi o tym

napisać w swojej książce. O tym wszystkim. O domu z wapienia, o miłości i o makach.

– Ja mówię poważnie – szepnął. – Ja mówię o rzeczywistości.

– Ale to nie jest nasze miejsce, Jon. Nie można po prostu zerwać ze wszystkim i się przeprowadzić. To nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Chcę być z tobą. Chcę być z Almą i Liv. To do was należę, ale nie tutaj. Ta wyspa nie ma z nami nic wspólnego. To tylko marzenie.

– Dlaczego nie można po prostu zerwać ze wszystkim i zacząć od nowa w innym miejscu? – spytał Jon. – Dlaczego? Gdzie jest napisane, że nie można?

– Nie wiem – odparła Siri. Zaczynała się niecierpliwić. Wsiadła do samochodu. – Po prostu nie można. *End of story.*

Ale z Mailund było inaczej. Nie z samym miasteczkiem, bo ono przypominało wiele innych miasteczek w Norwegii, tylko z domem. Należąca do Jenny wielka stara willa w stylu szwajcarskim, z wielkim ogrodem, w którym rosły drzewa i krzewy owocowe, z zielnikiem, białą rabatą, łąką na tyłach, a za nią lasem.

Po minięciu smutnych, bezosobowych domków letniskowych wzdłuż niekończącej się drogi z miasta, Mailund jawił się niczym oaza z innej epoki, z epoki białych koronkowych sukien, z epoki słomkowych kapeluszy, z epoki podkreśnianych wąsów, wina reńskiego i gry boccia. Chociaż w jesiennym blasku księżycy dom wydawał się jaśnieć niemal przerażającym blaskiem, a we mgle wyglądał na niedostępny, jakby unosił się metr nad ziemią. To był dom jej dzieciństwa i znajdował się w posiadaniu rodziny od roku 1947, kiedy dziadkowie przyjechali tu ze swoją jedyną córką Jenny, która miała wtedy czternaście lat. Przyjechali z Molde, żeby zacząć nowe życie.

W roku 1940, kiedy Niemcy zbombardowali centrum miasta, należący do dziadka Siri sklep z manufakturą popadł w ruinę. Jenny nigdy nie opowiadała o swoim dzieciństwie, ale Siri wiedziała, że dziadek działał w ruchu oporu, a babcia, z wykształcenia pielęgniarka, była jedną z założycielek Stowarzyszenia Kobiet Lewicy w Molde, które powstało w roku 1937, a po zbombardowaniu miasta działała w założonej w roku 1939 organizacji Pomoc Kobiet,

przygotowującej kobiety do przejęcia obowiązków mężczyzn na wypadek wojny. Oboje umarli młodo, kilka lat przed narodzinami Siri. Karen, babcia Siri, zmarła na zawał, a Henrik, jej dziadek, wskutek powikłań po zapaleniu płuc zaledwie kilka tygodni później. Siri w szufladzie nocnej szafki miała ich czarno-białą fotografię, którą od czasu do czasu oglądała, było to zdjęcie z ich zaręczyn w dniu 29 września 1915, Henrik patrzył wprost w obiektyw, a Karen w bok. Żadne się nie uśmiechało. Siri zawsze uważała, że wyglądają na samotnych, przytłoczonych powagą, świadomych tego, co ich czeka. Czasami delikatnie dotykała palcem ich twarzy, surowych ust Henrika i czarnych oczu Karen; co z tego wszystkiego przetrwało w niej? Mieli Jenny, mieli ten dom, mieli nowy sklep w centrum, ten, który nazywał się Magazyn Mód dla Pań i który wprawdzie nie był tak wspaniały, jak ten stworzony przez Henrika w Molde, ale słynął z towarów wysokiej jakości. Dzisiaj Magazyn Mód dla Pań już nie istniał, zastąpił go sklep jednej z sieci odzieżowych.

Siri znała ten dom na pamięć, każdy salon, każdą sypialnię, każdy cal wielkiej kuchni (potrafiłaby w niej gotować z zamkniętymi oczami), każde okno, każdy próg, każdą ścianę i każdą deskę w podłodze na wszystkich piętrach, w dowolnej chwili potrafiłaby przywołać wszystkie te rozmaite dźwięki każdego z pomieszczeń, niebieskawy blask księżycy pieszczącego meble i ozdobne drobiazgi w salonie lub przesuwającego się niespokojnie po jej wielkim łóżku w zbyt wielkiej sypialni na drugim piętrze we wszystkie te noce, kiedy nie mogła zasnąć. No i oczywiście schody. Kiedyś Siri przyśniły się schody w Mailund, nie było domu, nie było ogrodu, zniknęły łąka i las, droga wijąca się od miasta, zniknęła Jenny i zniknęła Irma, z całego Mailund zostały tylko schody, dostojne, niedostępne, otoczone nedorzecznymi zbombardowanymi kamienicami, niczym scenografia, która miała przedstawiać Warszawę lub Berlin po wojnie, albo Sarajewo po wojnie, bez końca padał śnieg, a Siri, Jon, Alma i Liv biegali po schodach, zbijali się w grupkę, wtulali w siebie, biegali w górę, w górę, w dół, w dół, w górę, w górę, w dół, w dół, ale we śnie nie docierali ani na górę, ani na dół, tylko dalej biegali, a kilka lat później widziała podobną scenę w filmie Ariane

Mnouchkine o Molierze. Molier mdleje na scenie, niosą go do domu w zimowy wieczór, nos i usta ma pokryte krwią, a reszta twarzy to połączenie bieli z czernią – pozostałości teatralnej szminki – i nagle jego twarz zaczyna się zmieniać. Staje się twarzą zwierzęcia, zranionego niedźwiedzia, aż w końcu z niego spływa, twarz Moliera spływa z niego i znika w śmierci, a to, co było spojrzeniem Moliera, staje się parą wilgotnych, przerażonych zwierzęcych oczu, które widzą wszystko, co będzie, i wszystko, co było, trupa teatralna go niesie, podtrzymuje, tuli się do niego i wbiega po tych niekończących się schodach, nie docierając do celu, bo śmierć już ich dogoniła, śmierć ich zatrzymała, śmierć ich hamuje, nigdy nie dotrą do życia dla umierającego Moliera, biegną, walczą, rzucają się do przodu, ale nie mogą ruszyć z miejsca, a dookoła panuje zima i na wszystkich kładzie się potężna, drżąca, przenikająca zimnem siedemnastowieczna pieśń: *Pozwól mi, pozwól zamarznąć na śmierć*⁸, a potem znika wszystko i wszyscy, najpierw twarz Moliera, po kolei wszyscy pozostali, aż w końcu zostają tylko schody, niekończące się schody.

Ale tak. Już dość. Dość już przesiedziała w przedpokoju – w holu! Po prostu trzeba po nią iść, iść po Jenny, pijaną czy trzeźwą, martwą czy żywą, miłość czy nie miłość, pierwsze piętro, pierwsze drzwi na lewo, wyciągnąć ją stamtąd, sprowadzić na dół i wypchnąć do ogrodu, wierzgającą i krzyczącą, po prostu trzeba to zrobić.

Ale chwileczkę. Coś tu się nie zgadzało. Siri oparła głowę na dłoniach.

Pożegnali się z domem w Slite i z Sofią wcześniej rano. Siri już nigdy nie zobaczyła Sofii. Sofia umarła rok później, po cichu, w swoim dwupokojowym mieszkaniu. Siri miała wracać do domu samolotem, Jon i Leopold samochodem, mieli nocować w Örebro. Jon lubił pokonywać długie trasy sam, a sumienie nie pozwalało im obciążać Emmy jeszcze jedną dobą z ich dziećmi na głowie.

Kiedy Siri była mała, stawy często jej wiotczały, siadała wtedy w przedpokoju i rozglądała się dookoła. Jakby wprowadzała się w stan gotowości. Wracała do domu ze szkoły, zrzucała tornister, zamykała drzwi i wiotczała. Czasami po krótkiej chwili wstawiała

(sama mogła zdecydować, czy będzie leżeć na podłodze, czy wstanie, czy usiądzie). Nasłuchiwała. Właśnie o to chodziło. O nasłuchiwanie. Tykanie stojącego zegara w salonie. Lekki szmer na piętrze albo w kuchni. Gdzie była Jenny? Wróciła z pracy do domu? Czy w ogóle poszła do pracy? Co robiła w tej chwili? Czy była zła? Piła? Co dzisiaj ujdzie za normalne? Zabawa w zgadywanki, w którą matka chciała się bawić z Siri. Gdzie dzisiaj jesteśmy? Kim dzisiaj jesteśmy? Co dzisiaj robimy? Co dzisiaj mówimy?

Każdy dzień był inny, dlatego Siri potrzebowała tej chwili po powrocie do domu. Na zwiotczenie i wprowadzenie się w stan gotowości. Na rozpląnięcie się i zmianę kształtu. Na to, by leżeć albo siedzieć, albo stać zupełnie nieruchomo i nasłuchiwać. Cała zamienić się w słuch. Czy słyszała płacz? Czy to mamrotanie? Czy to gwizdanie i wielkie sprzątanie? Chrapanie? Wzdychanie?

– To ty, Siri?

Ważne też było odczytywanie tonu. Smutny mógl oznaczać złość, a zły mógl oznaczać smutek, wesoły wcale nie oznaczał wesołości, a przesycony miłością oznaczał... Nie, nie dało się stwierdzić co.

– Kocham cię ponad wszystko na świecie, Siri – potrafiła powiedzieć matka. – Wcale cię nie obwiniam, naprawdę, po prostu tak strasznie za nim tęsknię.

Picie się wzmogło, kiedy Siri i Jenny przeprowadziły się do Oslo, do małego mieszkania w dzielnicy Majorstua, a Siri zaczęła chodzić do gimnazjum, ale potem, gdy Siri miała siedemnaście lat, Jenny nagle i zdecydowanie przestała pić.

Siri przyłożyła ucho do drzwi wejściowych.

Głosy, muzyka, brzęk kieliszków, talerze, sztuczce, łopoczące obrusy (nakryła nimi stoły, potem je zebrała i znów rozłożyła), urywki rozmów, *widzieliście gdzieś jubilatkę, nie, ja też nie*, wszystkie te różne sposoby, w jakie ludzie śmieją się na przyjęciach, głośno i cicho, grzmiąco, krzykliwie, serdecznie, flirtująco, hałaśliwie, z rozpaczą, fałszywie, chichocząco, wyrachowanie, pytająco, lecz również odgłosy wszystkiego tego, co na nic nie zważa, wszystko to, czego goście nie słyszą: wiatr, szum w koronach drzew, pierwsze krople deszczu, *nie wierzę, że będzie padać. Owszem, zapowiadali deszcz, ale przecież*

prognozom pogody nie można ufać.

Chodziło o to, żeby wbiec na górę po schodach i zapukać do drzwi Jenny, głośno w nie walić i powiedzieć, że musi wreszcie zejść, że najwyższa pora zaszczyścić gości swoją obecnością. Chodziło o to, żeby wziąć sprawy w swoje ręce. Ale Siri ciągle siedziała na podłodze w przedpokoju i wpatrywała się w schody. Powtarzała: *Wstań i idź do niej.* Siedziała dalej. A potem powiedziała: *Jeszcze chwilę tu posiedzę. To ja decyduję, czy zostanę, czy pójdę.*

Nie potrafiła tego nazwać. Coś się nie zgadzało. Coś poszło nie tak. Dlatego zakradała się na poddasze, otwierała i zamykała komputer Jona. Chciała wiedzieć, czy on naprawdę pisze książkę, a nie tylko wali w klawiaturę jak jakiś szaleniec – *all work and no play makes Jon a dull boy*⁹ – a on czasami rzeczywiście pisał książkę, a czasami, kiedy czytała to, co napisał, czuła, że napisał to dla niej.

Była pewna, że on wie o jej wkraczaniu na jego terytorium, kiedy go tam nie ma. Była też pewna, że on robi to samo. Sprawdza jej maile. Sprawdza jej komórkę. W czasie ciąży z Liv pisała dziennik, dokumentując każdy miesiąc, każdy tydzień i każdy dzień. *Już się kończy piąty miesiąc, a ty masz prawie trzydzieści centymetrów, mogłabym cię położyć w łóżeczku dla lalek, ciągle mam mdłości, ale czuję, że ruszasz się we mnie, wtedy kładę rękę na brzuchu i cieszę się, wiem, że jesteś dziewczynką, wiem, że twoje ciało jest pokryte miękkim puchem, jakbyś była pisklęciem, wiem, że i twój tatuś, i ja cię kochamy, nie tylko my, lecz również twoja starsza siostra, która ma na imię Alma, wiem, że zaczynają ci na głowie rosnąć włosy, brwi i rzęsy, zupełnie białe.*

Jon znalazł dziennik pod materacem i przeczytał. Wiedziała, że go przeczytał. Wiedział, że ona wie, że go czytał. Właśnie tak żyli, boleśnie spleceni ze sobą. (Siri pisała dziennik również wtedy, gdy była w ciąży z Alną, ale tego dziennika Jon nie widział. Nie wiedział o jego istnieniu, a ona już dawno temu się go pozbyła. Nazywała go *Czarną księgą*. Były tam rzeczy, których nigdy nie powinien przeczytać. Spytał raz: *Czy ty nie pisałaś dziennika, kiedy byłaś w ciąży z Alną?* Uśmiechnęła się i odpowiedziała lekko, jak gdyby nigdy nic: *Nie. Wpadłam na to dopiero przy Liv*).

Krążyli po swoich terytoriach i udawali, że nic się nie dzieje. On

nigdy o tym nie mówił. Ona nigdy o tym nie mówiła. Może to był taki sposób rozmowy.

Siri przez wiele lat śnił się ten sam sen, o którym w końcu powiedziała Jonowi. Nie mógł zrozumieć, dlaczego jest nim tak wzburzona. Podobno sen zostaje w ciele na siedem godzin – ale Jon zwyczajnie nie potrafił pojąć, że Siri miałyby się na niego złościć przez siedem godzin o coś, co jemu wydawało się zupełnie trywialną historią – a w dodatku było snem. *Na miłość boską, Siri, nie mogę brać na siebie odpowiedzialności za twoje sny!* Nie z jego winy budziła się nocą roztrzęsiona, nie z jego winy coś jej się przyśniło.

Sen był zawsze taki sam, przebieg wydarzeń się nie zmieniał, monotony, banalny i pozbawiony piękna: pewnego dnia Jon oznajmia Siri, że wyjeżdża na sześć tygodni do Niemiec, wybiera się do Hamburga, Monachium, Drezna i Berlina, ma się tam spotykać z przyjaciółmi, znajomymi, może trochę pracować, to już zdecydowane, ostateczne, wszystkie bilety lotnicze są zarezerwowane – i nie, nie chce, żeby z nim jechała. Siri usiłuje go nakłonić, żeby zrezygnował z wyjazdu, a kiedy on się nie poddaje, zaczyna go błagać, gdy zaś to nie przynosi rezultatu, wczepiona w niego zaczyna płakać i krzyczeć, żeby nie wyjeżdżał, aż w końcu budzi ją jej własny krzyk.

– No tak, ale ja się nie wybieram do Niemiec. To był sen, Siri – mówi Jon. – Nie znam nikogo w Niemczech.

– Tu nie chodzi o Niemcy – mówi Siri. – Chodzi o to, że nie mogę do ciebie dotrzeć! To jest ważne. Że ty jesteś gdzie indziej.

– Nie potrafię bronić się przed snem! Nie jadę do Niemiec! Jestem przy tobie, kocham cię i nigdzie się nie wybieram.

– Wiem, że masz inne.

Jon wpadł we wściekłość.

– Dlatego, że ci się śni mój wyjazd do Niemiec? Z tego wyciągasz wnioski, że mam inną? Że cię zdradzam? – Nabrał powietrza. – Siri, nie zniosę tych twoich oskarżeń. Musisz przestać.

– Ja cię nie oskarżam, ja tylko...

– I jeszcze jedno – przerwał jej. – Jeśli wbrew wszelkim

przypuszczeniom wybrałbym się kiedyś do Niemiec, albo w jakieś inne miejsce... na przykład do Sandefjord, na kilka dni... żeby pisać... to nie będzie w tym nic złego.

Chciała wiedzieć, z kim Jon rozmawia i z kim koresponduje. Chciała być przy nim i słyszeć wszystkie tony jego głosu. Być przy nim od A do Z. W mailach do kolegów. W mailach do redaktorki z wydawnictwa. W mailach do przypadkowych znajomych. W mailach, które miały związek z jego pracą – na przykład w odpowiedzi na prośbę o to, by przyjechał przeczytać na głos fragmenty tomu pierwszego i drugiego do kawiarni w Son. W mailach do dawnych przyjaciół. Chciała wiedzieć, czy ma inne kobiety, a jeśli tak, to kim są i co z nimi robi. Niczego jednak nie znalazła. Kasował wszystko. Kasował nawet to, co nie było podejrzanego. Po prostu nie chciał, żeby znalazła – no właśnie, co? Czego szukała?

Siri spojrzała na schody. Wiły się przez dom jak wąż grzechotnik. Tak sobie myślała. *Jak grzechotnik*. Słyszała, że Jenny kręci się po swoim pokoju. Wstała, wyprostowała się, wyprostowała się całkiem, tak że załamania w talii prawie nie było widać pod długą, jasnoniebieską jedwabną suknią, i na całe gardło zawołała (nie przejmując się tym, że jej głos brzmi świdrująco):

– Musisz wreszcie zejść na dół, mammo! Przyjęcie jest w pełni, a twoi goście czekają na ciebie!

Siąpił deszcz, drobny i szary, a wiatr, który się zerwał, szarpał czerwoną parasolką Mille. Nikt nie potrafił dokładnie określić, kiedy opuściła przyjęcie i zeszła na przystań. Może trwały inne przyjęcia. Nabrzeże spowijała mgła. Mille kupiła w kiosku hot doga, ubrudziła keczupem czerwoną sukienkę i cicho jęknęła. Młody chłopak z jasnymi włosami odwrócił się, spojrział na Mille i się uśmiechnął.

– Fajna parasolka.

Odpowiedziała mu uśmiechem.

– Dziękuję. Ale poplamiałam sobie sukienkę. Zobacz.

Chłopak, przez kolegów nazywany KB, wzruszył ramionami i rozłożył ręce.

– Niezbyt przyjemna letnia noc, prawda?

– Kilka tygodni temu miałam urodziny – oznajmiła Mille, której chłopak się spodobał. – Skończyłam dziewiętnaście lat i zamierzam zacząć nowe życie.

– Fajnie. Ile masz lat?

– Dziewiętnaście – powtórzyła Mille.

– Szkoda, że taka paskudna pogoda. A tak w ogóle to wszystkiego najlepszego z okazji urodzin.

– Dziękuję. – Mille wpatrywała się w niego. – Ale to już było kilka tygodni temu.

– Okej – powiedział chłopak. – Może później się zobaczymy. Idę już do Belliniego, spotkać się z ludźmi. Byłaś w Bellinim?

Mille pokręciła głową.

– No to może się tam zobaczymy. Na razie.

– Na razie. – Mille się uśmiechnęła. – Może się zobaczymy.

– Idę już – powiedział Jon. Czuł krople deszczu na koniuszkach palców, ale nie martwił się o przyjęcie. Gdyby naprawdę się rozpadało, wszyscy mogli zbić się w gromadkę pod żaglami, które rozpiął w ogrodzie.

– Idziesz?

Profesor literatury w okularach, który kiedyś, w połowie ubiegłego stulecia, może był, a może nie był kochankiem Jenny, spojrzał na Jona przerażony.

– Nie możesz teraz iść!

– Owszem, mogę – odparł Jon.

– Ale jubilatka jeszcze nie przyszła.

– Na to, niestety, nic nie poradzę – stwierdził Jon. – Muszę iść.

Mężczyzna, z którym rozmawiał Jon, nazywał się Hansén i miał brzydki nawyk odchylenia głowy i śmiania się głośno za każdym razem, kiedy powiedział coś w swojej opinii zabawnego. Pisał recenzje książek do „Bergens Tidende” i zasłynął z plagiatu mało znanego amerykańskiego eseju na temat Williama Faulknera. Miał wielki brzuch, wielki nos i wielką brodę. Jon dokładnie przyjrzał się tej brodzie, bo przez całą wieczność musiał wysłuchiwać wynurzeń Hanséna o tym, czego brakuje w tomie pierwszym i tomie drugim jego trylogii (*czy nie jest tak, Dreyer, że postulujesz istnienie jakiegoś związku, który nie został zawarty w tekście?*), i ku swemu zachwytowi odkrył, że w miękkim owłosionym dołeczku między dolną wargą a podbródkiem Hanséna zamieszkała biedronka.

– Wobec tego dziękuję za rozmowę – powiedział Jon, odrywając wzrok od biedronki.

– Może dokończymy ją innym razem? – spytał Hansén.

Jon się uśmiechnął, nie potwierdził ani nie zaprzeczył.

– Mój pies, Leopold – powiedział – który zjada wewnętrzne narządy dużych zwierząt i ptaków, osoba tak odczytana jak ty z pewnością rozumie związek, prawda?, musi wyjść na swoją wieczną przechadzkę.

Hansén krótko skinął głową, odwrócił się i odszedł. Jon rozejrzał się za Karoline. Stała kawałek dalej razem z Kurtem, rozmawiali ze Steve'em Knightleyem z Seattle. Karoline poczuła na sobie jego

spojrzenie, jej dłoń wykonała drobny gest, którego znaczenia Jon do końca nie zrozumiał. Przywołanie, a może pieszczota. Uśmiechnął się do niej i poszedł szukać Siri. Rozmawiała z daleką ciotką, której niedawno zoperowano biodro, Siri słuchała jej, była współczująca, olśniewająco piękna i trochę nieobecna w jasnoniebieskiej jedwabnej sukni, z ciemnymi włosami. Jon podszedł i ją objął. Pocałował w policzek, a do ucha szepnął:

– Gdzie Jenny?

Siri uśmiechnęła się, kiwnęła głową (pozornie całą swoją uwagę poświęcała ciotce) i odszepnęła:

– W swoim pokoju, pijana jak bela.

Jon uścisnął jej rękę, wcześniej nie udało im się o tym porozmawiać, nie rozmawiali o Jenny, która siedziała w pokoju i piła, ale teraz nie był na to właściwy moment. Jon uśmiechnął się najbardziej czarującym ze swoich uśmiechów, zadał operowanej na biodro starszej pani jedno czy dwa związane z jej zabiegiem pytania, po czym przeprosił i odszedł.

– Pies potrzebuje wieczornej przechadzki – wyjaśnił. – Siedzi zamknięty w moim gabinecie i na pewno czuje się bardzo samotny...

Ciotka wyrozumiale skinęła głową, ale Siri posłała mu pytające spojrzenie.

– Znów wychodzisz z psem?

– Leopold... Zaglądałem do niego jakiś czas temu, wydawał się niespokojny. Wrócę za dwadzieścia minut.

Siri kiwnęła głową i się odwróciła.

Jon otworzył drzwi i wszedł do domu, wewnątrz panowała ogłuszająca cisza. Wbiegł na górę po schodach i zabrał Leopolda z poddasza.

– Idziemy, Leopold, chodź – mruknął. – Wymkniemy się tyłem. – Podrapał Leopolda za uchem, a Leopold zaczął się wyginać i merdać ogonem, a potem pociągnął go po schodach.

Na drodze było o wiele ciemniej, niż wynikałoby to z pory roku. Postanowił zejść na plażę, może kupić hot doga w kiosku i ze dwa piwa w Spółdzielni, a potem usiąść i patrzeć na morze. Spojrzał na zegarek, sklep był otwarty do ósmej. Nienawidził takich przedstawień

jak to przyjęcie. Nienawidził ludzi, masek, konwersacji, fałszywych uśmiechów. Nienawidził patrzeć, jak Siri się zmienia, staje się idealną gospodynią krążącą po ogrodzie, śmiejącą się i uśmiechającą do wszystkich. Z czego tu się śmiać? Przecież to samo gówno. Same kłamstwa. Próbował z nią kiedyś o tym rozmawiać. O jej fałszu, kiedy byli wśród ludzi. Roześmiała się wtedy i powtórzyła:

– O moim fałszu, Jon? O *moim* fałszu?

Próbował jej powiedzieć, że nienawidzi tego teatru, który odgrywa.

– Po prostu czuję się wtedy niepewnie – tłumaczył. – Kiedy ty nagle jesteś taka pogodna, ustępliwa, czarująca i dowcipna.

– Nienawidzisz, kiedy jestem pogodna, ustępliwa, czarująca i dowcipna?

Potwierdził.

– Wolisz, kiedy jestem przygnębiona i wściekła?

– Myślę, że rozumiesz, o co mi chodzi.

– Nie, Jon, nie rozumiem, o co ci chodzi.

A jemu chodziło o to, że chce prawdziwej Siri. Nagiej Siri. Tej z ostrym wgięciem talii, które mógłby pogłodzić. Nie tej Siri z bystrym, kalkulującym spojrzeniem, nie tej z drobnymi bruzdami niezadowolenia wokół ust, nie tej z rozczarowaniem i pogardą wpisanymi w choreografię każdego najdrobniejszego pięknego gestu. Ale bez względu na to, jakich słów używał, i tak było źle. Miał tego świadomość.

Parówka w ziemniaczanym naleśniku i bułce z mnóstwem dodatków i ze dwa piwa. Pół godziny na plaży. Nie więcej.

– Tylko ty i ja, Leopold, okej?

Pisnęła jego komórka. Leżała w wewnętrznej kieszeni marynarki. Wyjął ją i przeczytał.

Dlaczego akurat Sweetheart like you?

Westchnął, myśląc, że musi się z tego wyplątać. Mała Mille, dziewiętnaście lat. Nie mógł...

Schował komórkę z powrotem do kieszeni. Leopold ciągnął za smycz, demonstrując, jak bardzo się cieszy z tego, że będzie mógł swobodnie pobiegać po plaży. Jon znów wyjął komórkę. Spojrzał na wiadomość, która przed chwilą przyszła. I w końcu napisał:

Droga Mille. Nie wiem, dlaczego ta piosenka skojarzyła mi się z Tobą. Coś z tytułem. Sweet. Sweet like you. Sweetheart you. Mniej więcej tak. J. Odpowiedź przyszła natychmiast.

Włóczę się dziś wieczorem po ulicach, gdybyś miał ochotę zerwać się z przyjęcia i wypić ze mną kieliszek wina, na przykład w Bellinim.

Jon przywiązał Leopolda do słupa przed Spółdzielnią i wszedł do środka. Kupił sześciopak i napisał:

Może któregoś innego wieczoru, Mille. Moja obecność jest wymagana gdzie indziej. Do zobaczenia jutro. J.

Jenny przysnęła na łóżku, ale obudziło ją wołanie Siri. Otworzyła oczy i cicho jęknęła. W głowie jej pulsowało. Siri. Mała Siri. Jenny pamiętała, jak córka wieczorami stała na środku tego pokoju i szczotkowała jej włosy, mówiła: *Nachyl się, mamó*, a wtedy ona się nachylała, włosy opadały na podłogę, a Siri je szczotkowała. Jeden. Dwa. Trzy. Cztery. Tak, miało być sto pociągnięć szczotką, inaczej w ogóle się nie liczyło. Pięć. Sześć. Siedem. Jenny pamiętała, że bolały ją plecy od takiego pochyłu, ale Siri koniecznie musiała wyszczotkować jej włosy do końca. Osiem. Dziewięć. Dziesięć. Jedenaście. I jak usiłowała myśleć o czymś innym niż to, że siedzi nachylona i bolą ją plecy, o książkach, które czytała, o mężczyznach, którzy potrafili skłonić ją do śmiechu, o podróży do Stanów, o której zawsze marzyła, ale z której nigdy nic nie wyszło, o Bo Andersie Wallinie, który zwiął i zamieszkał z tą szwedzką dziwką, nie, o tym nie wolno myśleć, trzeba myśleć o czymś przyjemnym, żeby zapomnieć, że siedzi tu, gdzie siedzi, i coraz bardziej bolą ją plecy. Czterdzieści cztery. Czterdzieści pięć. Czterdzieści sześć. O tym, że wciąż jest młoda i piękna, no cóż, może nie aż tak młoda, *po niewłaściwej stronie trzydziestki*, jak powiedziałyby Jane Austen, ale piękna, bez żadnych wątpliwości. Jej matka była bardzo piękna i mimo wszystko o wiele dzielniejsza od niej. Jenny myślała o pogodnym spojrzeniu matki, kiedy Niemiec spuszczał głowę i mówił: *Krieg ist ein Jammer*¹⁰, i o tym, że czasami słyszała głos ojca i szelest sukni matki na schodach, tu, w Mailund. Sześćdziesiąt siedem, sześćdziesiąt osiem, sześćdziesiąt dziewięć, siedemdziesiąt. I o tym, jak wszystkie myśli i tak splatały się ze sobą i zmieniały w jedną jedyną, wieczną i nieuchronną myśl. Osiemdziesiąt cztery. A był nią Syver. Wszystkie myśli kończyły się na Syverze. Dziewięćdziesiąt jeden. Dlaczego wypuściła dzieci same? Dlaczego uparła się, że mają być na dworze? Przecież stały i pukały do drzwi, chciały wejść do środka, ale ona potrzebowała trochę czasu dla siebie, potrzebowała chwili spokoju, to takie ważne przy dwójce małych dzieci, kiedy stale pragnie się wykorzystać swoje zdolności do czegoś innego, pamiętała, jak się cieszyła, że oboje będą w końcu dostatecznie duzi, żeby chodzić do szkoły, a ona wreszcie wróci do

pracy, mówiła im: *U nas obowiązuje czas w domu i czas na powietrzu, a teraz jest czas na powietrzu, wróćcie o drugiej.* Niebieskie spojrzenie. Szara czapka. Chude, delikatne rączki i długie palce. Miękkie ciało. Jasny głos. Wicherek na głowie, fragment grzywki zawsze sterczał. I myślała o tym, że niemożliwe okazało się skończenie ze wszystkim, chociaż życie bez niego było i miało być pozbawione światła, dźwięku, smaku, zapachu i dotyku, to nieprawda, że żal i tęsknota stały się z czasem łatwiejsze do okiełznania, że czas pracował na jej korzyść, co absolutnie wszyscy jej wtedy powtarzali, trochę jakby ścigali się w mówieniu jej tego, i za każdym razem, gdy to powtarzali, miała ochotę uderzyć, miała ochotę krzyczeć i wrzeszczeć, *co oni, do jasnej cholery, wiedzą o czasie?!*, ale nie mogła skończyć ze wszystkim, miała przecież jeszcze jedno, nie mogła... STO! – wołała Siri. A za każdym razem, kiedy Siri wołała STO!, Jenny wstawiała, odrzucała włosy do tyłu i pozwalała im opaść tak, by okryły je obie, bo dla Siri to było najcudowniejsze na świecie.

Jenny napotkała swoje spojrzenie w lustrze. Szczotka do włosów leżała na nocnym stoliku obok pary spinek i butelki perfum. Upięła włosy, umalowała usta szminką i wstała. Zachwiała się lekko. Czarna suknia ładnie opinała piersi, ale trochę za bardzo cisnęła w brzuchu. Chociaż brzuch mogła wciągnąć. Piękno kobiety kryje się w jej postawie. Gdyby nie ból głowy, ten wieczór może byłby nawet znośny. Czerwone wino już wypijała. Nie miała innego wyboru niż wcisnąć stopy w sandaalki, zejść po schodach, wkroczyć do ogrodu i przywitać się ze wszystkimi gośćmi. W ogrodzie bowiem było więcej wina. Zalew wina. Potop wina. Tu, w pokoju, się skończyło. No właśnie! Całkiem się skończyło! A ona nigdy nie powiedziała: *nigdy*. Mówiła: *każdym dniem z osobna*. Ciekawe, co Irma powie na to, że znów zaczęła pić. To mianowicie nie był wcale przypadek jednorazowy. Wcale nie pękła, jak to się ładnie teraz określa. Zrobiła to w pełni świadomie. Dokonała wyboru. Wcześniej była osobą, która nie pije. Teraz była osobą, która pije.

Wyjęła kartkę z zanotowaną przemową.

Kochana rodzino, drodzy przyjaciele. Kochana Siri, ty, która zorganizowałaś to przyjęcie dla mnie. Kochana Irmo. Stoimy tu we mgle

i zastanawiamy się, czy będzie padać...

Tylko tyle zdążyła napisać, zanim przysnęła? Wyraźnie czuła, że napisała dużo więcej, chyba również kilka bardziej sensownych zdań. Na przykład parę słów dla Siri byłoby zdecydowanie na miejscu. Siri to wszystko zorganizowała. To przyjęcie, którego wprowadzie nikt nie chciał, a już najmniej Jenny, ale jednak. Jenny była pewna, że zapisała sobie kilka haseł dotyczących tego, co mogłaby powiedzieć Siri podczas ewentualnej przemowy. Coś, co by Siri ucieszyło. Coś sensownego. Rozejrzała się po pokoju, jakby szukała innej kartki, chociaż doskonale wiedziała, że żadnej innej kartki nie ma.

Stoimy tu we mgle i zastanawiamy się, czy będzie padać... Nie, to niezbyt dobre. To jakaś głupota. Musi wymyślić coś lepszego. Albo w ogóle zrezygnować z tej przemowy. Zakazała *innym* wygłaszania przemów dla *niej*, więc może to w porządku, że ona też nic nie powie. To przecież przyjęcie w ogrodzie, przemówienia nie są obowiązkowe.

Ale miło by było powiedzieć coś Siri. Coś porządnego. Z Irmą to nie takie ważne. Jenny i Irma rozumiały się nawzajem. Zawarły umowę. Nie potrzebowały przemówień. To, co je łączyło, dało się opisać jedynie bardzo małymi słowami, tak małymi, że prawie nie było ich słyhać. Na przykład: gdyby Jenny zdecydowała, że dalej już się nie da, że pora już podziękować i wyjść, wtedy Irma miała jej pomóc. I odwrotnie. Ale prawdopodobieństwo, że Irma będzie potrzebowała takiej pomocy przed Jenny, było niewielkie. Irma była jeszcze młoda, pięćdziesiąt dwa czy pięćdziesiąt trzy lata, i zdrowa jak rydz, mimo swojego specyficznego wyglądu.

Jenny spojrzała na przemowę.

Kochana rodzinno, drodzy przyjaciele. Kochana Siri, ty, która zorganizowałaś to przyjęcie dla mnie. Kochana Irmo. Stoimy tu we mgle i zastanawiamy się, czy będzie padać...

Nie, to na nic, więc Jenny postanowiła żyć każdym dniem z osobna, tak jak robiła od tamtego dnia, kiedy umarł Syver. Przyjęcia w ogrodzie i tak nie są odpowiednią sceną dla przemówień. Przecież zawsze może powiedzieć Siri, co myśli, kiedyś, kiedy zostaną tylko we dwie. Nie teraz, nie tego wieczoru, tylko gdy będzie już po wszystkim. Jenny odetchnęła. A teraz... Obróciła się przed lustrem. Czarny

jedwab napiął się na biuście. Tak, teraz już pora zejść i przywitać się z gośćmi.

Zostaw ją, powiedział Jon, a Siri zastanawiała się, dlaczego stanął w obronie Mille. Mille zerwała kwiat z białej rabaty i ozdobiła nim włosy. Potem zniknęła. Siri pamiętała, jak Mille stała sama i częstowała się z obficie zastawionego stołu w ogrodzie. Napelniała swój talerz szaszłyckami z kurczaka. Siri obserwowała ją spod drzewa. To ona przygotowała szaszłyki, ale nie po to, żeby Mille wszystkie zjadła. Siri patrzyła, jak jeden szaszłyk po drugim znikał w ustach dziewczyny i wędrował do bezdennej otchłani. Wszędzie w zasnutym mgłą jabłoniowym sadzie byli odświętnie ubrani ludzie, którzy rozmawiali i wznosili toasty, a nikt z nich nie zwracał uwagi na Mille. Chociaż co do tego Siri się myliła. *Jestem jedyna, która widzi*, myślała wtedy, ale – jak się okazało – takich osób było wiele. Wiele osób zwróciło uwagę na dziewczynę w czerwonej sukience i czerwonym szalu (pożyczonym od Siri), z kwiatem we włosach. Mille była tam, na przyjęciu urodzinowym Jenny Brodal, i została zauważona. A potem zniknęła tak całkowicie, że nikt nie mógł jej odnaleźć.

Tej nocy zniknęło więcej osób. Jon się wymknął i wróciło dopiero około jedenastej. Garnitur miał mokry i wygnieciony, mówił, że zasnął na plaży. Potrzebował trochę czasu dla siebie, poszedł posłuchać fal i zasnął.

Jenny i Alma też uciekły. Planowały iść na plażę, usiąść na leżakach pod parasolami, ale nie, nie poszły na plażę (wtedy spotkałyby Jona), Jenny wzięła Almę do opla i jeździły wszcz i wzdłuż po wąskich drogach, Jenny mocno nietrzeźwa. Wróciły dopiero prawie o północy. *To niewybaczalne*, powiedziała Siri. *Zabiera Almę i jeździ po pijaku. Niewybaczalne. Po prostu nie do uwierzenia.* Ale potem, kiedy się okazało, że Mille zniknęła, i to nie tylko tymczasowo, jak Jon, Alma i Jenny, lecz naprawdę, rozprawa z Jenny musiała poczekać. Według Almy babcia była *trzeźwa jak niemowlę*, czyli bardziej, co podkreśliła, niż dało się powiedzieć o Jonie i Siri, i gadała jak najęta, między innymi opowiadała o swoim dzieciństwie, kiedy mieszkała w Molde, a Niemcy zbombardowali miasto, obrócili je w ruinę, tak, wszystko, czego nie zniszczył pożar miasta dwadzieścia cztery lata wcześniej, Niemcy obrócili w ruinę w ciągu

kilku dni w kwietniu i w maju 1940 roku; Alma opowiedziała Siri i Jonowi całą historię Jenny, Jon słyszał ją po raz pierwszy.

Jenny miała siedem lat i była na spacerze ze swoją matką. Z matką, która miała na imię Karen. A kiedy Niemcy zbombardowali centrum miasta, Karen przystała do organizacji Pomoc Kobiet, która pomagała wszystkim poszkodowanym w bombardowaniach.

– No i pewnego dnia – opowiadała Jenny Almie – kiedy siedziałam razem z moją matką i kilkoma innymi kobietami, przyszedł do nas pewien Niemiec. Nie bardzo wiem, w jakiej sprawie, może był posłańcem, to zresztą nie jest ważne, bo największe wrażenie, ciągle to pamiętam, zrobił na mnie sposób, w jaki rozglądał się po pokoju, jakby zadziwiony. Matka i pozostałe kobiety były bardzo zajęte składaniem ubranek dla niemowląt, które miały być tego dnia rozdane potrzebującym rodzinom, a ten Niemiec spytał: *Czy małe dzieci też to wszystko dotyka?* Kobiety popatrzyły na niego zaskoczone, a matka odpowiedziała: *Tak*. Wydaje mi się, że nie powiedziała nic więcej. Jedyne: *Tak*. A wtedy ten Niemiec spuścił głowę i szepnął: *Krieg ist ein Jammer*.

Różnica polegała na tym, że Mille nie wróciła. Siri i Jon początkowo założyli, że poszła z kimś do domu, z jakimś obcym chłopcem, z mężczyzną, Siri pamiętała, że postanowiła odbyć z Mille poważną rozmowę o tym, jakie ryzyko wiąże się z chodzeniem do domów nieznanym, ale w rzeczywistości czuła jedynie ogromną wściekłość na Mille. Za to, że uciekła. Za to, że tak się napraszała. Siri nie mogła pojąć, skąd ta złość, Mille przecież nie była dzieckiem. Może dzieckiem-kobietą. Ale nie dzieckiem. Z twarzą jak księżyc w pełni, natrętna, naprasza się. Co się mogło stać, dlaczego nie wróciła? Kiedy otwiera się drzwi niepokoju, to tak jakby się wpuszczało do domu powódź, więc po wielu podjętych przed południem nieudanych próbach dodzwonienia się na komórkę Mille (najwyraźniej była wyłączona albo rozładowana, Siri od razu łączyła się z pocztą głosową), na długo zanim uporali się ze sprzątnięciem po przyjęciu, Siri wysłała Jona na poszukiwanie Mille.

– Ale gdzie mam jej szukać? – spytał Jon.

– Nie wiem... Wszędzie, na przystani albo pod Bellinim, na pewno

poszła do Belliniego.

– Tam jest chyba teraz zamknięte. – Jon spojrzął na zegarek, a Siri westchnęła.

– Szukaj jej, gdzie chcesz, bylebyś tylko szukał. Przecież jesteśmy za nią odpowiedzialni, prawda? A ja niedługo muszę iść do pracy!

Przyszedł więc poranek pierwszego dnia bez Mille, przedpołudnie, południe i popołudnie, i mniej więcej wtedy Jon zadzwonił do rodziców Mille, Amandy i Mikkela, którzy również przyjechali, żeby jej szukać, potem włączono policję i wszystkich dziennikarzy. Chłopak, którego nazywali KB, szybko znalazł się w kręgu zainteresowania policji, wielokrotnie wzywano go na przesłuchania, ale w końcu musiano go wypuścić. Mówiono, że tańczył z Mille w Bellinim i że razem wyszli z knajpy. KB sam udzielił gazetom wywiadów, w których potwierdzał, że razem wyruszyli w drogę do domu, ale nie miał sił odprowadzać jej tak daleko pod górę, aż do Mailund, więc kiedy dotarli do miejsca, gdzie mieszkał KB, rozstali się. *Jak przyjaciele*, dodał. Mówił, że teraz żałuje, że nie zachował się jak gentleman. Był wśród tych, którzy jej szukali. Szukał wszędzie, tak jak wszyscy pozostali.

Mille stała się sławna. Wszyscy wiedzieli, kim była, wszyscy ją rozpoznawali, ale jej samej nie było nigdzie, ona sama zniknęła bez śladu.

Pierwsze strony gazet i materiały w wiadomościach telewizyjnych ozdabiało zawsze to samo zdjęcie. Siri, która stale powtarzała, że Mille ma twarz jak księżyc w pełni, wpatrywała się w to zdjęcie i dostrzegała, że jej twarz nie jest już jak księżyc. No tak, akurat w tym momencie, kiedy zrobiono fotografię, Mille była młoda i piękna. I tak zostanie zapamiętana przez wszystkich, którzy jej nie znali. Piękna Mille, która zniknęła i pozostawiła po sobie tę fotografię. Niebieska džinsowa sukienka, koński ogon, pełne, suche wargi z odrobiną czerwonej szminki. To jasne zdjęcie, portret innej Mille, bez tła, bez rekwizytów, bez historii – wyjąwszy lekko rozmytą czarną plamkę na samym dole w lewym rogu fotografii. Usterka obiektywu? Ostrzeżenie o czymś, ale o czym? Mille się uśmiecha i mruży oczy z powodu jasnego letniego światła. Patrzy na fotografa

z udawaną irytacją, jakby mówiła: *Nie rób mi już więcej zdjęć, wymyślmy coś innego w słońcu.* Fotografia Mille nie przypomina tej Mille, którą widziała Siri. *Taka pełna życia,* mówiły koleżanki i zapalały świece. *Rozsiewała radość.* Wiele osób mówiło o świetle Mille. Dostrzegana, kochana, tak jej brak.

Siri wycięła to zdjęcie, od czasu do czasu je oglądała. *No chodź, wymyślmy coś innego...* Nikt nie mógł z całą pewnością stwierdzić, że Mille naprawdę nie żyje, lecz nadzieja na odnalezienie jej żywej z czasem zaczęła słabnąć. Koleżanki rozpoczęły kampanię świeczek na Facebooku. I tam znów pojawiła się ta sama fotografia. W oczach Mille widać śmiech. Do kogo się śmieje? Kim jest fotograf? *Zapal świeczkę dla Mille. Było ciemno, kiedy zaginęła, zapal świeczkę, żeby odnalazła drogę z powrotem do nas. Zawsze obecna. Zawsze ta sama fotografia. Chodź, bądź ze mną!* Piękna i nieobecna.

Była maleńka jak lalka, o wiele mniejsza od innych dziewczynek w tym samym wieku, siedziała na rękach u ojca, kiedy biegli przez wysoką trawę, pamiętała jego gorący oddech na policzku, wielkie usta, które łaskotały ją przy pocałunkach, i głos, który szeptał: *Pospiesz się, Mille, musisz się pospieszyć, nie oglądaj się, tylko pospiesz się i biegnij*, ale Mille nie mogła się pospieszyć. Nie siedziała na rękach u ojca. Nie dawała rady biec. I wcale nie była maleńka jak lalka, tylko cięższa od wszystkich innych. A ojca nie było. Nikogo nie było. Przed nią wiała się długa droga pod górę do Mailund, a ona nie wiedziała, czy da radę dojść aż do domu na szczycie. Nogi przestały działać, jak powinny. Rany na kolanach. Na udach. Na brzuchu. Na twarzy. Wbił jej kolano między zebra, jeszcze wtedy, kiedy stała wyprostowana, straciła wówczas oddech, upadła na kolana i je otarła. Nie słuchał, kiedy mówiła, że chce wracać do domu. Jego wargi były nabrzmiące i mokre, jego język urósł w jej ustach, odepchnęła go i powtórzyła, że chce wracać do domu, że niczego takiego nie chciała, źle ją zrozumiał, właśnie wtedy wbił jej kolano między zebra i powiedział:

– Mówisz, że nie chcesz?

Wyszli z Belliniego, szepnął jej, że zna fajne miejsce, w którym mogliby pobyć trochę sami, no i dotarli do wąskiej ścieżki dla pieszych w pobliżu sterty ruin za szkołą, niedaleko od Brageveien. Wszędzie żwir, kamienie i piasek, dlatego miała takie pokaleczone dłonie.

Mille przeżyła. Szła teraz. A jego już nie było. Sam gwałt odbył się szybko, a potem on nawet zaproponował, że pomoże jej wstać. Wyciągnął do niej rękę.

– Trafisz sama do domu? – spytał.

– Tak – odparła Mille.

Wciąż wtedy leżała na ziemi. Zwinęła się w kłębek jak zwierzątko.

– No to dobrze – powiedział. – Świetnie. Na razie, okej?

– Okej – powtórzyła Mille.

– Pójdę teraz po samochód – rzucił i odszedł, a Mille nie mogła zrozumieć, po co mówił o samochodzie. Pomyślała, że to ważne, że to coś, co powinna spróbować zrozumieć, ale nie chciała o tym myśleć, nie miała na to teraz siły.

Użyła rozerwanych majtek do wytarcia jego spermy. A potem ostrożnie się podniosła, zakłuło ją w brzuchu i w podbrzuszu, przestraszyła się, że coś w środku się oderwie i z niej wypadnie, ale przeszła kilka kroków i podniosła z ziemi złotą torebkę leżącą kawałek dalej na ścieżce. Złotą torebkę z frędzlami. Co za głupota. Mille nie zamierzała już nigdy nosić tej torebki. Ale musiała gdzieś schować majtki, nie mogła iść z nimi w rękę, a miała jedynie torebkę. Zabrał jej też komórkę. Zastanawiała się, po co. Jaki był sens w zabieraniu komórki? Przecież miał chyba własną? Nie mogła teraz zadzwonić do ojca i poprosić, żeby po nią przyjechał. Jeszcze raz pogrzebała w torebce. Ale nie, komórki nie było. Przecież wiedziała. Wiedziała, że komórki nie ma. Leżała na ziemi, a on spytał, czy sama trafi do domu, a potem odwrócił się i odszedł, wtedy zobaczyła, że podniósł jej torebkę, wyjął komórkę, a torebkę z powrotem cisnął na ziemię. Spróbowała usiąść, ale siedzenie sprawiało ból, więc położyła się tak, jak leżała przedtem, skulona, tylko na moment, zaraz wstanie. On jej to zrobił, ale żyła, nie umarła, miał tylko iść po samochód, dlaczego tak powiedział, powtarzała sobie, że może przecież wstać i iść do domu. Ale to nie do wiary, że zabrał komórkę, więc nie mogła zadzwonić do ojca i powiedzieć, żeby przyjechał. Rozpłakała się.

Kiedy zaczęła iść, prawie nic nie widziała, a mimo to stawiała jedną stopę przed drugą i szła. Nie dość, że było ciemno, to jeszcze bolały ją oczy, nasypało się do nich piasku czy czegoś, do jednego wpadł kamyk. Krwi było mało. Nie płynęła z oczu ani z rąk, ani z ran, ani ze skaleczeń, ani z pochwy, Mille dziwiła się, że bardziej nie krwawi.

Drogi były puste. Ciemno i dość chłodno. Padał deszcz. Mille owinęła się czerwonym szalem. Właściwie chciała zostawić go tam, na tej wysypanej żwirem ścieżce. Przecież on ją prawie udusił, kiedy wepchnął jej ten szal do ust. Ale zmarzła, a nie miała nic innego do narzucenia na ramiona, więc pomyślała, że raczej pozbędzie się go po powrocie do domu. Wymyśli jakąś wymówkę dla Siri. To przecież szal Siri. Może powiedzieć, że go zgubiła. Że ktoś go zabrał. I że oczywiście jej go odkupi. Spojrzała w niebo. Na pewno było już bardzo późno, padał deszcz, ta letnia noc zdecydowanie nie należała

do tych, które się spędza na dworze, jedynymi ludźmi, jakich widziała, była pijana młodzież, dwaj chłopcy i dziewczyna wałęsający się po przystani. Nie miała pojęcia, która może być godzina. Zabrał jej komórkę, a zegarka nie miała. Pijani młodzi ludzie krzyknęli do niej coś niezrozumiałego. Może to turyści mówiący w obcym języku? Tak, na pewno właśnie tak. Bo nie pojęła ani słowa z tego, co do niej wołali. Uśmiechali się i machali, nie mieli w sobie nic złego, więc podniosła rękę i im odmachała.

Po tym, jak wbił jej kolano między zębra, a ona padła przed nim na kolana, uderzył ją w tył głowy, niezbyt mocno, akurat na tyle, żeby upadła na brzuch, twarzą w żwir. Nic nie mówiąc, spuścił dzinsy, podciągnął jej sukienkę na udach, rozerwał majtki i wdarł się w nią od tyłu. Kiedy próbowała krzyczeć, z twarzą wciśniętą w żwir, ściągnął jej z ramion czerwony szal, ten, który pożyczyła od Siri, ten poplamiony krwią Simena, zwinął go w kulę i wepchnął jej do ust.

– Okej? – spytał. – Teraz lepiej?

Jego członek rozdarł wszystko to, co dźwigało jej ciało, chrząstki, kości, stawy, mięśnie; wszystko to, co utrzymywało szkielet w całości, ścisnęło się, a potem z niej wypłynęło. Nie dało się tego zatrzymać.

Mille stała na samym początku ciemnej, wąskiej drogi, która wiała się pod górę, od domu Simena prawie na samym dole do domu Jenny Brodal na samej górze. Simen to chłopiec na rowerze. Na pewno poszedł już spać. Rozważała, czy nie mogłaby jednak zadzwonić do drzwi i porozmawiać z jego rodzicami, powiedzieć na przykład: *Mam na imię Mille, znam trochę Simena, dziś wieczorem spadł z roweru, potłukł się, więc chciałam spytać, jak się czuje.*

Ale nie. Na pewno tylko by na nią dziwnie popatrzyli. Nie miała na sobie majtek, a z pochwy wciąż trochę ciekło. I ten ostry zapach. Była bosa, a sukienkę i szal pokryły przeróżne plamy. Parasolkę zgubiła. Co by sobie pomyśleli? W takiej sytuacji, tak jak teraz wyglądała, jak w oczywisty sposób się prezentowała, trochę trudno byłoby tłumaczyć, że ona i Simen się znają, że odprowadziła go do domu, że nie chciała mu zrobić krzywdy, że ta, którą była teraz, ta, którą widzieli, ta, która cuchnęła, nie jest prawdziwą Mille, i że potrzebuje tylko trochę pomocy. Czy mogłaby na przykład skorzystać z telefonu

i zadzwonić do swoich rodziców? Ale dlaczego nie może zadzwonić z własnego? No właśnie, dlaczego? Co by wtedy odpowiedziała? Jak by to wyjaśniła? Ponieważ on go zabrał? To było niemożliwe. Załamałaby się, zaczęła bełkotać albo płakać, zanim wytłumaczyłaby połowę tego, co należałoby wyjaśnić.

Przeszła jeszcze kawałek i dopiero się zatrzymała. Musiała dojść do siebie. Czy nie tak się mówi? Czy nie tak mówią starsi ludzie, kiedy się zmęczą? Że muszą dojść do siebie? Raz Mille pomagała starszej pani przejść przez ulicę, a staruszka kilka razy się zatrzymywała, patrzyła na Mille i mówiła, że musi tylko dojść do siebie, więc Mille czekała, samochody czekały, wszystko znieruchomiło i czekało, aż starsza pani dojdzie do siebie. I tak właśnie było teraz z Mille. Musiała się zatrzymać, żeby dojść do siebie. Żałowała, że nie może dojść do siebie takiej sprzed wielu godzin. Ale tak się nie dało, musiało być tak, jak było, poruszała się jak staruszka, pod górę, po drodze o stu zakrętach, gdy nagle usłyszała warkot silnika samochodu.

Odwróciła się. Samochód pędził, oświetlając wszystko dookoła. W przyptywie szaleństwa Mille pomyślała, że przyjechał jej ojciec. Albo matka. Zaraz jednak musiała uskoczyć i rzucić się na pobocze. Samochód jechał z dużą prędkością. Wyglądał jak opel Jenny. Mille usiadła. To rzeczywiście był opel Jenny. Samochód się zatrzymał, trudno było dojrzeć, kto w nim siedzi, dwie osoby na przednich siedzeniach, nie widziała ich od przodu, ale właściwie nie miała wątpliwości, że to Jenny i Alma. Dlaczego jeżdżą samochodem po nocy? Dlaczego nie są na przyjęciu? Czy impreza już się skończyła? Która właściwie godzina? Samochód znów ruszył i wolno pojechał dalej. Pokonał ostatni zakręt na drodze do domu. Nawet gdy już go nie widziała, wciąż słyszała warkot silnika. Słyszała, jak zgasł, kiedy samochód dotarł na miejsce. To dobrze, pomyślała, dobrze, że jej nie zauważyły. Co wtedy, na miłość boską, by zrobiła?

Wstała i przeszła jeszcze kawałek.

Spojrzała w ciemne niebo.

– Tato – szepnęła. – Mamo.

Potem znów przysiadła na poboczu, złożyła ręce i próbowała się

modlić. Usłyszała, że nadjeżdża jakiś inny samochód, ale wiedziała, że to nie rodzice w nim siedzą. Przecież cały czas o tym wiedziała. Że rodzice nie przyjadą i że nie zdąży do domu. Powiedział, że idzie po samochód, a ona od razu pojęła, że to ważne, że powinna spróbować zrozumieć, co to oznacza, a teraz już to rozumiała, dlatego zamknęła oczy i zatkała uszy. Nie chciała słyszeć tego samochodu. Nie chciała go widzieć. Chciała tu siedzieć i oddychać, dopóki nie przestanie. Samochód się zbliżył, a ona mimo zamkniętych oczu wyczuła, jak wszystko wokół niej pojaśniało. Samochód się zatrzymał. A Mille przypomniała sobie, jak stała razem z ojcem i patrzyła na wszystkich jeżdżących na łyżwach, *Postoimy tu sobie chwilę i popatrzymy, zamiast jeździć*, powiedział ojciec, *bo nauczanie się jazdy na łyżwach wymaga czasu*, przypomniała sobie też, jak tamta dziewczyna w czarnym płaszczu, ta, która zawsze była na lodowisku, kiedy przychodzili tam z ojcem, ta ładniejsza od wszystkich innych, chwyciła się za kostkę i przyciągnęła nogę do siebie. I jak jej czarny płaszcz się dostosował, jak szkielet się dostosował, jak śnieżycy się dostosowała, jak wszechświat się dostosował. Jak wszystko się dostosowało. Mille przypomniała sobie, jak dziewczyna wirowała, coraz szybciej i szybciej, aż zmieniła się w słup dymu, przypomniała sobie też, że pomyślała wtedy, że jeśli tylko zamknie oczy, policzy do trzech i znów je otworzy, czas również zawiruje, a wirująca dziewczyna całkiem zniknie.

IV

Oczka w głowie

Jon siedzi w swojej pracowni w Oslo i pisze. Lato zniknęło razem z Mille, nastąpiła jesień, termin książki został przełożony kolejny raz, noce i poranki są zimne, ale dzisiaj świeci słońce, powietrze jest przejrzyste, a w ciągu dnia ma być dosyć ciepło. Z całą pewnością powinien wyjść na spacer z psem, ale musi pisać, musi skończyć, umówili się z Gerdą na wydanie wiosną, tak jak umawiali się wcześniej: na wiosnę, na jesień, na wiosnę, na jesień. Jon boi się, że Gerda z niego zrezygnowała. Boi się, że on zrezygnował. Musi pisać, musi skończyć.

Leopold unosi łeb i patrzy na niego: *Ale on przecież nie pisze. Zaraz położy głowę na klawiaturze i zacznie płakać.*

Pracownia w Oslo mieści się na poddaszu, tak jak w Mailund, jest częściowo wyremontowana, ściany pomalowano na biało, w spadzisty dach wstawiono też okno z podwójną szybą, przez które Jon może wyglądać. Teraz to słońce zagląda do środka, bezwzględnie i oślepiające. Na poddaszu Jon ma biurko i materac na podłodze. Wygląda przez okno zwrócone ku niebu od strony podjazdu, ale z powodu słońca musi zamknąć oczy. Nie może tu siedzieć. Wstaje, przeciąga palcem po kolekcji płyt kompaktowych na półce przy dłuższej ścianie i próbuje znaleźć coś, czego miałby ochotę posłuchać, ale nie znajduje tego, czego szuka, więc z powrotem siada, słońce razi go w oczy (zapowiadano deszcz!), bierze szary psi koc, wyciąga go spod długich czarnych łap, zmuszając psa, żeby wstał, Leopold chwieje się i otrząsa, a Jon wiesza koc na starym karniszu, żeby zasłonić całe okno. O tak! Nareszcie ciemno! *On nigdy nie dokończy tej książki.* Pies ostrożnie kładzie się z powrotem na podłodze, z pyskiem przy stopach Jona. Tym razem bez swojego koca. *Nigdy!*

Jon i Siri wciąż żyli z dochodów z restauracji w Oslo (i z bardzo

dużego kredytu bankowego oraz z zaliczki z wydawnictwa) w oczekiwaniu, aż Jon napisze trzeci tom tego, co wiele lat wcześniej (wnioskując z tych dwóch tomów, które już *zostały* napisane i wydane) nazywano „wielką trylogią przełomu tysiącleci” oraz „najważniejszą powieścią o nowej Norwegii ostatniego dziesięciolecia”. Oczekiwania w stosunku do tomu trzeciego były przytłaczające, to w tomie trzecim w opinii krytyków literackich wszystko miało „się dopełnić”. Jon powinien był oddać skończony maszynopis pięć lat temu, ale nie, dni płynęły i oto nikt już nie mówił o przełomie tysiącleci ani o Jonie czy jego trylogii powieściowej (mówiono o innych pisarzach i innych powieściach), teraz termin złożenia maszynopisu znów został przesunięty, zaś Jon przekroczył pięćdziesiątkę i miał lekko pomarszczoną, przypominającą suszoną śliwkę twarz, która codziennie spotykała go w lustrze, a także całkiem spory brzuch, sterczący, czy raczej zwisający z jego chudego ciała, a śliczne młode matki, które spotykał codziennie rano, kiedy odprowadzał Liv do przedszkola, traktowały go jak powietrze.

W każdy czwartek wieczorem Jon biegał razem ze swoim przyjacielem dentystą, Kurtem Mandlem. Raz, dwa razy, trzy razy wokół jeziora Sognsvann, no i proszę zgadnąć, kto był zdyszany, kto się zmagał z parującymi okularami już po pierwszym okrążeniu i kto coraz częściej wykręcał się od biegania?

– Nie jesteśmy coraz młodszy, Jon! – wołał Kurt Mandl do Jona, który mimowolnie zostawał z tyłu, zdyszany, zasapany i przekonany, że zaraz umrze.

Psy Kurta Mandla były, podobnie jak sam Kurt, żona Kurta i dzieci Kurta, godne podziwu pod każdym względem. Mogły biegać luzem, wystarczyło, że Kurt mlasnął i od razu przybiegały, te psy pojawiały się obok niego natychmiast – posłuszne, szczupłe, dumne.

Zabieranie Leopolda na jogging było niemożliwe, puszczone luzem natychmiast uciekał, a kiedy Jon trzymał go na smyczy, szarpał się i ciągnął. Jedyna próba wypadła fatalnie. Leopold chciał się bawić z psami Kurta Mandla i wpadał mężczyznom pod nogi, a potem uciekł, więc Kurt Mandl, Jon i dwa posłuszne psy musieli go szukać, zamiast biegać, a kiedy Jon usiłował tłumaczyć zachowanie Leopolda,

Kurt Mandl prychnął ze złością, żeby nie zwał winy na psa, bo to nie od psa zależy, tylko od właściciela.

Jon i Leopold przeciągnęli się jednocześnie. *Dzisiaj też nic nie zostanie napisane.* Jon pozwolił palcom biegać po klawiaturze, żeby napisać cokolwiek, napisać to, co przychodziło mu do głowy bez myślenia o książce, która powinna być skończona już pięć lat temu. Napisał:

Niedole 16.09.2008:

- 1. Nie mam pieniędzy, wiodeę nędzne życie na utrzymaniu żony.*
- 2. Nie znoszę Kurta (mojego jedyne przyjaciela?).*
- 3. Moja córka obcięła włosy nauczycielce, napisano o tym w gazecie („trzynastoletnia dziewczynka zaatakowała nauczycielkę”) i zawieszono ją w prawach ucznia. Dlaczego?*
- 4. Jestem niewiernym dupkiem.*
- 5. Mam głupiego psa, który ciągnie na smyczy, kiedy wychodzę z nim na spacer; codzienny dowód na brak kontroli i charakteru.*
- 6. Nie trenuję i za dużo piję.*
- 7. Nie mogę pisać.*
- 8. Mille?*

Właśnie tak. A miało być jeszcze gorzej, czuł przez skórę, jak wszystko się pruje. Myślał o rodzicach Mille, Amandzie i Mikkelu, którzy snuli się po pokojach, wyplakując żal i tęsknotę za córką. A może robili zupełnie co innego. Nikt jej nie znalazł. Zniknęła. Rozpłynęła się we mgle. Często rozmawiali z Siri o tym, że muszą napisać do Amandy i Mikkela. Żeby powiedzieć, że oni. Żeby wyrazić swoją. Żeby wiedzieli, że. Co w ogóle da się napisać w takim liście? Jon zaznaczył kursorem punkty od czwartego do ósmego i wcisnął delete. Siri sprawdzała jego komórkę, sprawdzała pocztę elektroniczną, przeglądała pliki związane z powieścią, częściowo po to, by szukać śladów innych kobiet, lecz również, by sprawdzać, czy on rzeczywiście *pisze*. Będzie jakaś książka? Nie rozmawiali o tym, nie próbował jej powstrzymywać.

Czasami udawało mu się coś napisać, właśnie dlatego, że wiedział,

że ona będzie to czytać. *Pisał dla niej*. I nigdy nie pozwoliliby, żeby znalazła cokolwiek o innych kobietach.

Skasował całą listę i przygotował nową, taką, którą mogła przeczytać Siri.

Wyzwania 16.09.2008

- 1. Alma zawieszona w szkole za obcięcie włosów nauczycielce. Dlaczego to zrobiła? Jak się do tego ustosunkowujemy? Jak możemy jej pomóc? W jaki sposób możemy do niej dotrzeć?*
- 2. Nie trenuję i za dużo piję. (Trzeba ułożyć plan!)*
- 3. Nie mogę pisać. Rozwiązanie: zadzwonić do Gerdy z wydawnictwa, ustalić jakiś system, codziennie pisać trzy strony (dyscyplina to jedyne, co się liczy!), oddać sto następnych stron mniej więcej za trzy miesiące, ok. Bożego Narodzenia. Poprosić o kolejną zaliczkę???*
- 4. Napisać list do rodziców Mille.*

Istniały sprawy, których nigdy nie zapisywał, jakby nazwanie ich słowami było zbyt niebezpieczne, bo może nie dałoby się ich skasować samym naciśnięciem delete. Wiedział, kiedy mniej więcej Mille wyszła z przyjęcia, sam też je opuścił i porozumiewał się z nią SMS-ami, ale nie widział jej, gdy był poza domem.

Jenny i Alma wróciły do Mailund, kiedy na przyjęciu śpiewano już ostatnią zwrotkę, po emocjonującej przejażdżce po okolicznych drogach. Jon i Siri wściekli się na Jenny. Jak mogła prowadzić po pijaku z Alną w samochodzie? Jak mogła? Ale przyjęcie wciąż trwało, a Jenny ich zignorowała, usiadła razem ze Steve'em Knightleyem i głośno wypytywała o to, co się właściwie dzieje w Seattle. Czy Steve wciąż jest ze swoją czwartą żoną, tą z wąskimi wargami? A kiedy ostatni goście już się pożegnali, Jenny poszła spać, Alma poszła spać i Siri poszła spać, Jon usiadł przy końcu długiego stołu i pił czerwone wino.

W końcu wstał i chwiejąc się na nogach, ruszył do aneksu, gdzie mieszkała Mille. Sprawdzić, czy wróciła do domu? Sprawdzić, czy dobrze się czuje? Pilnował się, żeby nikt go nie zobaczył, zapukał do drzwi i odczekał kilka sekund, zanim je otworzył i wszedł. Przez

chwilę stał w ciemnym pokoju – duszący zapach perfum, niezaścielone łóżko, zabałaganione biurko, przepełniony regał z książkami, brudne ubrania na podłodze. Podszedł do biurka, powiódł dłonią po tygodnikach, kosmetykach do makijażu i różowym notesie, będącym, jak zrozumiał, jej dziennikiem. Sekretnym pamiętnikiem, o którym mu opowiadała. Wsunął go za pasek spodni, pod gruby sweter. Czuł, jak bije mu serce. Dlaczego był taki zdenerwowany? Otworzył obie szafy. Sądził, że tam się schowała? Zerwał z łóżka kołdrę w niebiesko-białe pasy i zobaczył na prześcieradle ciemną grudkę. Wyjął swoją komórkę i przyjrzał się grudce w świetle ekranu. Wielki ślimak na tle białego prześcieradła wyglądał jak brązowoczarny fiut.

Siri z irytacją skarżyła się na zmarszczki na twarzy i na to, co czas z nią robił (jakby czas zaprosił ją do tańca, po czym bezwstydnie deptał jej po palcach), bezustannie się przeglądała, w szybach wystawowych, w zaparkowanych ciemnych samochodach, nie dlatego, żeby była o wiele bardziej próżna od innych, po prostu miała nadzieję, że w którymś z tych lusterek przez moment dostrzeże inną Siri. Jon mówił jej, że wygląda ładniej niż kiedykolwiek. Na spacerach trzymali się za ręce. Kiedy się rozstawali na pewien czas, na powitanie delikatnie całowali się w usta. Tak bardzo chcieli dotrzeć tam, gdzie była czułość.

Jon pierwszy raz zobaczył Siri z daleka, i właśnie sposób, w jaki się poruszała, sprawił, że się w niej zakochał – oraz to, że nie zwracała na niego uwagi. Przeszła przez Akersgata i zbliżała się do niego w butach na wysokich obcasach. Przez moment sądził, że go zauważyła, ale nie. Minęła go. To właśnie w tym czasie Jon zwykle bywał zauważany, ba, wręcz ściągał na siebie uwagę, nie musiał robić nic więcej niż po prostu się zatrzymać, na przykład na rogu ulicy, stać nieruchomo i wpatrywać się w kobietę, żeby go zwietryła, wyciągnęła nieco szyję i skierowała na niego wzrok. Lubił myśleć, że jest obdarzony czymś w rodzaju magicznej mocy – zdolnością przyciągnięcia do siebie kobiet samym spojrzeniem. Ale Siri nie zwróciła na niego uwagi, wyminęła go, pamięta, że pomyślał wtedy, iż nigdy nie widział

kobiety, która poruszałaby się pięknie.

Leopold wstał i wyszedł z pracowni. Jon słyszał, jak człapie po schodach. To człapanie słyszał co noc, pełen przeciągów szeregowiec zamknął w sobie jak w kapsule odgłosy rodziny z ostatnich dwudziestu lat – człapanie Leopolda na schodach, wzdychanie Siri, gdy chodziła w ciąży z Liv, coraz to nowe wersje piosenki o małym szczygiełku w wykonaniu Almy. Tak, Jon wciąż słyszał śpiew córki, jej wysoki, jasny i czysty dziecienny głos, niczym flecik, oddzielony od samej dziewczynki. Alma skończyła trzynaście lat i od bardzo dawna nie śpiewała już nic. A teraz przystąpiła do czynu, biorąc do rąk wielkie nożyce, i stała się wraz z nim i Siri sprawą badaną przez Urząd Ochrony Praw Dziecka.

Jon był w domu sam i przez krótki, odmierzony odcinek czasu mógł robić, co chciał. Na przykład położyć się i spać. W zasadzie właśnie to najchętniej robiłby przez cały czas, uciekał w sen od wszystkiego, od Siri, Almy, Mille, od spojrzeń wszystkich tych kobiet, od nieznośnego najlepszego przyjaciela i jego pozbawionej wdzięku żony (*Nb.! Zakończyć romans z Karoline!*), od listu do rodziców Mille, którego nigdy nie udawało im się napisać, bo zawsze go odkładali, ale nie miał odwagi położyć się spać, bo wtedy Siri weszłaby do pracowni, patrzyła na niego, dopóki by się nie obudził, i powiedziała na przykład: *Widzę, że pisarz pracuje*, po czym odwróciłaby się na pięcie i wyszła. Ale teraz był sam i powinien *myśleć* o swojej książce, a nie siedzieć, marnując czas, a *myślało* mu się najlepiej na leżąco. Ona się śmiała. Siri się śmiała, śmiała się z niego. Odgłosy w domu. Człapanie, wzdychanie, śpiewanie, śmiech Siri. Jakby cały czas rozmawiali, nierozzerwalni, spleceni ze sobą na zawsze, był pewien, że ona również tak czuje, że też rozmawia z nim cały czas i słyszy jego głos, chociaż niewiele się już do siebie odzywali, chociaż między nimi zapanowała niemal całkowita cisza, lecz szum ich głosów tkwiący w ścianach, przetaczający się z pokoju do pokoju, z umysłu do umysłu, tam i z powrotem, jej śmiech o wielu odcieniach, w których odczytywaniu się wyćwiczył, nie ustawały.

– *Myśli się najlepiej przed komputerem albo na spacerze – szybkim krokiem, Jon!* – *Myśli się najlepiej, kiedy człowiek najmniej się*

spodziewa myślenia, na przykład kiedy sprząta, gotuje obiad albo czyta Liv przed snem. Ale na pewno nie leżąc na kanapie. Ty się nie kładziesz po to, żeby myśleć. Nie udawaj.

To potrwało zaledwie kilka sekund. Wyciągnął się na kanapie, przyłożył głowę do poduszki i zasnął.

O swoich rodzicach Jon nie mówił ani nie pisał. Już nie żyli. Ich czas na ziemi się skończył. Nie tęsknił za nimi. Z domu wyprowadził się jako siedemnastolatek, przeniósł się do niewielkiego mieszkania w Grønlandzie, jeszcze zanim wszystko w tej dzielnicy zburzono i zbudowano od nowa, ojciec siedział wtedy w swoim fotelu w salonie i czytał, nie podniósł głowy, kiedy Jon – wysoki, chudy, przytłoczony ciężarem plecaka, walizki pełnej książek i płyt oraz gitary – zawołał: *Cześć, no to idę!* Matka leżała w sypialni z zaciągniętymi zasłonami, pamiętał, że na zewnątrz świeciło letnie słońce, które z pewnością usiłowało przedrzeć się przez gruby materiał niebieskich zasłon i przyszpilić matkę światłem, pamiętał, że światło jeszcze wzmagало jej ból i że coś się w nim wtedy ścisnęło, ale nie miał siły, nie chciał tam wchodzić, żeby ją uściskać albo pogłodzić po czole, nie miał siły obiecywać, że będzie ich często odwiedzał, że będzie przychodził zjeść obiad z nią i ojcem, przynosił jej zimne ściereczki do okładów na czoło, wciąż był taki młody, że uważał, iż okazywanie tego rodzaju niosącego pociechę fałszu jest poniżej jego godności. Nigdy więcej kłamstwa! Od tej pory mówić samą prawdę! Prawda może ranić, owszem, ale nie wolno dopuszczać, aby wzgląd na czyjeś uczucia stanowił dla niego przeszkodę. Chciał być w pełni sobą, słuchać swojej muzyki (Neila Younga, Steve'a Harleya & Cockney Rebel, Dylana, The Band), chodzić w butach po mieszkaniu, wrzeszczeć w środku nocy. Wciąż pamiętał tamten ciepły wiatr mierzwiący mu włosy, kiedy zamknął za sobą drzwi i ruszył do tramwaju, który miał go zawieźć do nowego życia dorosłego mężczyzny, studenta, pracownika księgarni i lokatora wynajętego mieszkania w Grønlandzie. Pamiętał też tamto popołudniowe słońce, którego promienie padały na jego twarz. I radość z oderwania się od ciemnych zasłon w sypialni, z bycia młodym, z własnej zdolności do

okazywania braku serca, będącej, jak już zrozumiał, kluczem do wolności. Z tego, że nie zawrócił w drzwiach, nie pobiegł do niej, nie położył się obok niej na łóżku i nie szepnął, że to minie, *zawsze mija*. Że nie pozwolił, by wyrzuty sumienia zwyciężyły nad ciepłym wiatrem, słońcem i radością. Oszałamiający, pozwalający przekraczać granice, uwalniający brak serca! I tego się trzymał. Nie wrócił na Frogner. Nie założył telefonu, a na krótkie listy matki nie odpowiadał. Skończył dwadzieścia lat, kiedy ojciec umarł na POChP. Matka – miała na imię Celine – pojawiła się pod jego drzwiami w Grønlandzie i oświadczyła, że nie odejdzie, dopóki jej nie wpuści, więc ją wpuścił. Nigdy wcześniej u niego nie była, ale nawet się nie rozejrzała. Od razu usiadła w bordowym fotelu, miała na sobie niebieski płaszcz i niebieską czapkę, trochę podmalowała oczy i zaplotła swoje długie włosy.

– Ojciec nie żyje – oznajmiła. – To się stało dziś w nocy, dziesięć po dwunastej, mówię ci to teraz. Chcę, żebyśmy razem napisali nekrolog i wysłali go do „Aftenposten”, chcę, żebyś pomógł mi napisać coś... – szukała słów – ...coś ładnego. Zawsze dobrze radziłeś sobie ze słowami, oboje tak uważaliśmy, i ojciec, i ja.

– FUCK YOU, MAMA!

Jon otworzył oczy i gwałtownie się poderwał na dźwięk głosu Almy przedzierającego się przez dom, przez sen, przez wyciągnięte z cieni wspomnienia. Było już wpół do drugiej, nie napisał ani słowa (natomiast się zdrzemnął), a one już wróciły z miasta. Siri zabrała Liv i Almę na zakupy, powiedziała, że on nie musi o niczym myśleć, że będzie miał spokój na pisanie, właśnie tak się wyraziła – tymczasem on zmarnował całe przedpołudnie. Te drogocenne godziny samotności – zmarnowane. Siri powiedziała: *Siadaj i pisz. Zapomnij o dzieciach! Zapomnij o Almie, nożyczkach i Jenny! (Zapomnij o Mille). Ja się wszystkim zajmę! Myśl o swojej pracy. Wszystko będzie dobrze.* A teraz – zmarnowane. Ten dar. Te godziny. No bo co on robił? Surfował po sieci. Myślał o tej drugiej (którą niezbyt lubił). No właśnie, co robił? Położył się spać. A teraz one znów wchodzą w jego życie. Drzwi wejściowe trzaskają. FUCK YOU, MAMA! Bieganie po schodach. Głosy. Człapanie psa. Siri woła go zdenerwowana: *Jon! Jon!*

Wychodziłeś z Leopoldem? Musi się wysikać?

Jon potrzebował długiego odcinka czasu dla siebie. Bez dzieci. Bez Siri. Bez psa. Powinien skorzystać z tego domku letniskowego w Sandefjord, który zaproponował mu znajomy. Usiadł przy laptopie i zaczął walić w klawiaturę, żeby Siri, gdyby przyłożyła ucho do jego drzwi, mogła usłyszeć szaloną chęć do pracy i kreatywność. Klik-klik-klik-klik-klik-klik! Spojrzał na książkę leżącą na biurku. *Danish Literature: A Short Critical Survey* Poula Boruma (Det Danske Selskab, Copenhagen 1979). Przerzucił na stronę siódmą i zaczął przepisywać to, co na niej było: *Preliminary Remarks: This book is a short survey of contemporary Danish Literature, preceded by an even shorter sketch of the first thousand years of Danish Literature...* klik-klik-klik-klik-klik.

– Okej, no to go wyprowadzę! – zawołała Siri z przedpokoju. – Najwyraźniej musi wyjść!

– Fantastycznie! Bardzo dziękuję. Niedługo kończę! Klik-klik-klik.

Usłyszał, że westchnęła. Była zła? I czy była zła na niego, czy chodziło o to *FUCK YOU, MAMA!* Almy? Później spyta, jak im poszło na mieście i czy Siri zdołała porozmawiać z Almą, uda, że nie słyszał wybuchu córki, pochłonięty pisaniem i całą resztą, i będzie nieskończenie obecny, zainteresowany, uważny i konstruktywny. Palce tańczyły po klawiaturze. *In a significant lecture on the aesthetics of Literary influence at the second congress of the international Comparative Literature Association (reprinted in his book Literature as System, printed 1971), the American critic Claudio Guillén put it very succinctly: It is important... that the study of a topic such as, say, Dutch poetry be encouraged not for charitable but for poetic reasons.*

Jon usłyszał ponowne trzaśnięcie drzwi i chwilę później ukradkiem wyjrzał przez okno z widokiem na alejkę prowadzącą do drogi, zobaczył na niej Siri z Leopoldem, Leopold szarpał i ciągnął za smycz, był silny jak byk, a Siri robiła, co mogła, żeby utrzymać się na nogach i też szarpała i ciągnęła. Była ewidentnie zła.

Pomyślał, że Siri go zauważy, jeśli podniesie wzrok. Leopold kucnął, żeby się załatwić, a Siri zirytowana przyglądała mu się z czarną torebką w dłoni, potem naciągnęła torebkę na dłoń, nachyliła się i zebrała kupę. Ale zamiast się podnieść, dalej kucała

z torebką w ręku i pochyloną głową. Leopold krążył wokół niej, a ona wciąż tak trwała bez ruchu, aż Jon zaczął się zastanawiać, czy nie daje rady wstać, może złapały ją korzonki albo dopadł nagły atak depresji, i już chciał do niej pobiec, chwycić ją w ramiona i pocieszyć, ale Siri w końcu wstała, pociągnęła za smycz, wrzuciła torebkę do najbliższego kosza na śmieci i zniknęła za rogiem – pół idąc, pół biegnąc, żeby dotrzymać kroku ciężko dyszącemu Leopoldowi, który decydował o tempie.

Leopold był zemstą wszystkich psów nad ludźmi. To upokarzające nie mieć kontroli nad psem. Okazujesz słabość. Brak silnej woli. Brak koncentracji. Brak samodyscypliny. Jesteś leniwy. Lenistwo. Grzech śmiertelny: *acedia* (albo *accidie* lub *accedie*, łacińska *acedia*, grecka ἀκηδία, co oznacza zaniedbanie, obojętność, nonszalancję, gnuśność). Trochę tak jak pisarz, który nie pisze. Ale niepiszący pisarz może, w przeciwieństwie do właściciela psa, który nie ma kontroli nad swoim zwierzęciem, ukryć się za tym, że *myśli, bo literatura wymaga czasu*, a nawet pozwolić sobie na ziewnięcie czy pogardliwe prychnięcie w odniesieniu do kolegów po fachu, którzy co rok wypływają książkę. Sam wykorzystał to sformułowanie, gdy pewna dziennikarka spytała go, dlaczego napisanie trzeciego tomu zajmuje mu tyle czasu. *Niemoc twórcza? Może cały zamysł trylogii był błędny?* Zatrudniona na letnie zastępstwo dziennikarka miała na imię Marte. Studiowała literaturoznawstwo i wydała dwa tomiki wierszy. Jon z góry postanowił, że się z nią nie prześpi, miała dwadzieścia siedem lat, ciastowate uda i tatuaż (wiedział o tym, zanim zgodził się na wywiad, ktoś mu o tym powiedział, ale kto – nie pamiętał), lecz zmienił zdanie, bo w trakcie wywiadu podziałała mu na nerwy.

– Trylogia – stwierdziła Marte – to w punkcie wyjścia konstrukcja, coś, o czym człowiek decyduje z góry, przed napisaniem książek, może po prostu po to, żeby sprzedać więcej egzemplarzy, żeby być bardziej apetycznym dla członków klubu książki, więc czy idea trylogii w punkcie wyjścia jest umotywowana literacko?

Kiedy pies na smyczy ciągnie i decyduje o tempie marszu, nie siada, kiedy się mówi „siad”, albo nie przychodzi, kiedy się mówi „chodź”, *niemożliwe* jest udawanie, że tak naprawdę dzieje się coś

innego. To oczywiste, że nie ma się kontroli, że jest się duchowym grubasem. Odyseusz panował nad swoim psem. Argos nie ciągnął za smycz, tylko cierpliwie czekał na swojego pana przez dwadzieścia długich lat, podczas gdy Odyseusz walczył i wygrywał długą wojnę, a potem zwlekał z powrotem na rodzinną Itakę. Homer, Szekspir, Kafka, Pynchon, Juliusz Verne, Poe, Steinbeck. Wszędzie psy. *Literackie psy*. Klik-klik-klik-klik. Natomiast pies Jona tylko ciągnął na smyczy, uciekał i nie nadawał się na literackiego psa. W ogóle nie nadawał się na psa. Jon znów usiadł i zapatrzył się w monitor.

Czy Charles Olson miał psa? Jon nie przypuszczał, by tak było. Charles Olson mógł robić, co chciał, pisał całymi nocami, a spał w dzień, zrywał wszelkie umowy i ignorował wszystko, co mogło go odciągnąć od literatury. Jon potrzebował długiego odcinka czasu, tak, bez komplikacji codzienności i bez przerw. Budzić się powieścią, zasypiać powieścią, chodzić powieścią, jeść powieścią, oddychać powieścią. Zamknąć się gdzieś. Bez przerw. Odcinek czasu. I dostateczna ilość wina. Zbytek wina. Pisać, pić, spać. A może pić, spać, pisać. Grać na gitarze. Siri jednak uważała, że czasy, kiedy artyści mężczyźni mogli sobie pozwalać na stawianie twórczości ponad wszystkim innym (dziećmi, rodziną, pracami domowymi, finansami) już minęły. W jej opinii wyobrażenie Wielkiego Artysty, który olewa wszystko z wyjątkiem *dzieła*, a od otoczenia oczekuje *podziwu* i *szacunku*, reprezentuje przestarzały pogląd na pojęcie artysty. Powiedziała to zirytowana entuzjastycznym przyjęciem książki pięćdziesięcioletniego pisarza, który z obnażającą szczerością pisze o konieczności opuszczenia żony i czwórki dzieci na dwa lata, ponieważ musi zbadać własną życiową kondycję – *co to, do cholery, ma znaczyć?*

Zatrudniona na letnie zastępstwo Marte należała do tych, którzy okazywali entuzjazm. Owa książka leżała nawet na jej nocnej szafce, co zirytowało Jona. Nazywała ją „bezkompromisową” i „rozdzierającą serce”, pod żadnym względem nie czuła się niekomfortowo, obcując z umysłem wielkiego artysty, przeciwnie, uwielbiała wielkich artystów, chodziła do nich, pisała o nich w gazecie, a nawet położyła książkę na nagiej piersi Jona, jakby po to, by podkreślić, jak ważne jej

zdaniem jest, by wziął ją ze sobą do domu i przeczytał.

– Może ona coś ci da – stwierdziła. – Może cię zainspiruje. Jest naprawdę...

Owinęła kosmyk włosów na palcu.

– Naprawdę co? – spytał Jon, znużony.

– Bezkompromisowa – powtórzyła. – Naprawdę bezkompromisowa.

Jon nic na to nie odpowiedział, ale usiadł w łóżku i rozejrzył się za swoim ubraniem.

– Przecież zrozumiałam – Marte przytuliła głowę do jego pleców – że z twoim pisaniem nie jest dobrze.

No ale był tutaj. Pies musiał się wysikać. Liv woła: tatusiu, tatusiu, nabierałam do ciebie muszelek. I to FUCK YOU, MAMA! Almy. Zwrócił uwagę – z czułością! – że córka krzyknęła *fuck you* i *mama* na tym samym oddechu.

Alma obcięła włosy nauczycielce. Jon usiłował wyprzeć ze świadomości obraz obsmyczonej kobiety z dużym nosem i zaczerwienionymi oczami. Dlaczego? Pytali o to Almę raz po raz, a ona wzruszała tylko ramionami albo mówiła: *Czułam, że muszę tak zrobić; to nie tylko ja, to cała klasa; nie wiem dlaczego, albo te włosy były bardzo długie.* W którym miejscu postąpili nie tak? Kiedy Alma stała się *trzynastoletnią dziewczynką, która zaatakowała*, jak napisano w gazecie, a w jej sprawie organizowano finansowane przez gminę zebrania? Siri i Jon zawsze stawiali dzieci na pierwszym miejscu, nigdy nie zamykali się w ciemnej sypialni ani nie chowali się za gazetą. Kochali je. Kochali dzieci od chwili narodzin, a nawet dużo wcześniej. *Jon przyłożył usta do ogromnego brzucha Siri i szepnął – ze smakiem jej skóry na języku – kocham cię, Almo.* Kochał najpierw Almę, potem Liv. Obejmował je. I rozmawiał z nimi o tym, co dobre, a co złe, o różnicy między białymi a czarnymi kłamstwami.

Poświęcali czas. Ustalali priorytety.

Rozmawiali z nimi.

O różnicy między białymi a czarnymi kłamstwami, która przecież jest wyraźna, i o tej między fantazją a mówieniem podłych kłamstw. (16.09.2008 *Notatka dla mnie samego: Nb. Herman R.!*)

Jon wrócił myślami do czasu tuż po wydaniu drugiego tomu, sześć lat temu. Alma miała siedem lat. Siri była w ciąży. Nie wiedzieli jeszcze, że dziecko w brzuchu będzie miało na imię Liv. Siedzieli pod niebieską kuchenną lampą, a na zewnątrz padał śnieg. Grube, białe płatki na tle szorstkich, kamiennoszarych ścian domu.

– Fantazja – mówiła Siri – oznacza na przykład, że świetnie ci idzie wymyślanie różnych opowieści, że masz w sobie światy, do których możesz podróżować i w których możesz przebywać. Sama albo razem z innymi. Kiedy tata pisze książki, to wymyśla opowieści, które inni mogą czytać i... i... wtedy te opowieści stają się ich opowieściami, tak jak *Pippi* albo *Charlie i fabryka czekolady* są twoimi opowieściami...

– Tata wcale nie pisze książek, tylko udaje – przerwała jej Alma.

– To nieprawda, Almo – zaprotestowała Siri. – Dlaczego tak mówisz? Tata właśnie wydał dużą książkę. Przecież wiesz.

Alma wzruszyła ramionami.

– Ale to Astrid Lindgren napisała *Pippi*, nie ja.

– No oczywiście. O co ci chodzi?

– Mówiłaś, że *Pippi* i *Charlie i fabryka czekolady* to moje opowieści.

– Usiłuję ci wytłumaczyć – znów zaczęła Siri – że dobrze jest mieć wyobraźnię. Nie zamykać jej pokrywą – Siri nakryła dłonią filiżankę – bo wyobraźnia pozwala nam zarówno wymyślać historie, jak i w nich żyć, wczuwać się w życie innych ludzi, w ich myśli i uczucia. Te opowieści mogą nie być prawdziwe, przecież *wiemy*, że nie ma dziewczynek (ani chłopców!) tak silnych, żeby podnieść konia. *Wiemy*, że Roald Dahl użył wyobraźni do wymyślenia *Charliego i fabryki czekolady*, ale ta historia jest mimo wszystko w pewnym sensie prawdziwa, w inny sposób, w tobie.

Alma odgryzła kęs kanapki, popatrzyła na matkę i oświadczyła:

– Nic z tego nie zrozumiałam i więcej o tym nie rozmawiajmy.

– Owszem, będziemy rozmawiać. – Siri spojrzała na Jona, żeby jej pomógł. – Mam ochotę powiedzieć coś o kłamaniu – podjęła. – Wydaje mi się, że kłamiemy po to, żeby coś osiągnąć. Opowiadasz nieprawdziwą historię, ponieważ nie chcesz powiedzieć prawdy, na przykład się boisz albo chcesz kogoś oszukać. Ale nie można kłamać,

to *bardzo* ważne, bo kłamstwa stają się czymś w rodzaju *ściany* między tobą a innymi, wydaje mi się, że kłamiąc, raniemy innych. Raniemy też siebie...

– Możesz mi dolać mleka czekoladowego? – przerwała jej Alma.

– Z tego, co mówisz, trochę trudno zrozumieć różnicę między kłamstwem a fantazją – mruknął Jon, patrząc w sufit.

– Co tata teraz powiedział? – spytała Alma.

– Tata nie powiedział nic – odparła Siri, wypła łyk herbaty z filiżanki i posłała Jonowi wściekłe spojrzenie. – Tata uważa, że mama nie najlepiej to tłumaczy. Więc może tata wytłumaczy to o *wiele* lepiej, chociaż nic nie mówi. W każdym razie to nie jest w porządku, Almo, tak kłamać, jak kłamałaś dzisiaj w szkole.

Jon pamiętał, że punktem wyjścia do tamtej rozmowy było to, co Alma powiedziała swojej nauczycielce (ślicznej świeżo upieczonej nauczycielce o imieniu Molly), a mianowicie, że nie może wyjść na przerwę i bawić się z innymi dziećmi, bo jest jej smutno i chce spocząć w ramionach Molly.

– *Chcesz spocząć w moich ramionach?* – powtórzyła Molly i roześmiała się, może *nieco* zakłopotana. (Chociaż zaczęła się już przyzwyczajać do gorących miłosnych wyznań ze strony dzieci z klasy, szczególnie dziewczynek, ale również chłopców. To była pierwsza klasa Molly).

– *Chcę spocząć w twoich ramionach* – powtórzyła Alma z wielką powagą.

– *Jesteś zmęczona, Almo?*

– *Nie, nie jestem zmęczona. Mama jest zmęczona.* – Alma zniżyła głos: – *Mama ma raka i umrze.*

– *Co ty mówisz, Almo?* – szepnęła młoda Molly.

– *Mama ma raka i niedługo umrze. Najpierw wypadną jej włosy. Potem umrze. Myślę, że już niedługo. Czy teraz mogę spocząć w twoich ramionach?* – Objęła nauczycielkę. – *O tak, chcę być przy tobie! Nie opuszczaj mnie!*

Jon pamiętał głos Siri z tamtego wieczoru. Rozpacz. Znużenie. Czy to już wtedy zaczęło się pruć? Na długo przed tym, zanim przestał pisać, na długo przed problemami z pieniędzmi, na długo przed zniknięciem Mille, na długo przed tym, jak Jenny znów zaczęła pić?

– Ale skąd ty wiesz, co to jest rak? – spytała szeptem Siri, kiedy siedzieli w kuchni pod niebieską lampą. – Czy ktoś, kogo znasz, czyjaś mama albo czyjś tata, choruje?

– Nie-e – odparła Alma.

– No to dlaczego powiedziałaś Molly, że mama ma raka i umrze? – wtrącił się Jon.

Alma właśnie nauczyła się wzruszać ramionami.

– Nie wiem.

– Wiesz, że ja *nie mam* raka – powiedziała Siri. – Jestem zdrowa jak ryba i wcale nie umrę. Nie teraz. Wszyscy umrzemy. Ale do tego jeszcze bardzo daleko i... i to nieprawda, że na raka zawsze się umiera.

– Boisz się, że mama albo ja umrzemy? – włączył się Jon. – Czy to dlatego opowiedziałaś tę historię Molly? Bałaś się?

– Nie-e.

– No to dlaczego?

Alma znów wzruszyła ramionami.

– Już więcej o tym nie rozmawiajmy – powiedziała.

Człap, człap, człap. Pies stanął pod jego drzwiami i chciał wejść. Wkrótce przyjdzie też Siri. I Liv. Alma zamknęła się w swoim pokoju albo gdzieś wyszła. Siri powie mu, że Alma krzyknęła do niej: *FUCK YOU, MAMA!*, powie mu, że codziennie boi się obudzić, powie, że nie pojmuje, dlaczego Alma wzięła nożyczki i obcięła włosy nauczycielce, powie, że boi się kolejnych artykułów w gazetach, najpierw zniknięcie Mille, potem Alma, która zaatakowała nauczycielkę, powie, że to wszystko się zaczęło, kiedy Mille zjawiła się w Mailund, cała ta szarość, cała ta lepkość, rozpaczliwa szarość, to wszystko wina Mille (Jon nie będzie chciał mówić o Mille), a potem Siri osunie się na kanapę (tę, na której on leżał i spał, chociaż udawał, że pisze) i powie, że Jenny również dobrze mogłaby teraz umrzeć. Jenny, która nigdy do niczego nie umiała podejść poważnie, Jenny, która po pijaku jeździła z Alną samochodem tego samego dnia, kiedy zniknęła Mille. No tak, Jenny Brodal tylko się śmiała, prawie z dumą, kiedy usłyszała o tym obcięciu włosów, i opowiedziała Alnie, jak sama w wieku

trzynastu lat zrobiła coś niewybaczalnego. Czyżby dopadała ją skleroza?

I jeszcze to picie – powie Siri. – Nie wiem, czy jest teraz pijana na okrągło przez całą dobę, czy co tam się w ogóle dzieje. Za każdym razem, kiedy dzwonię, odbiera Irma i mówi, że mama śpi albo wyszła, albo że jest zajęta.

A potem Siri zasłoni twarz dłońmi i powie:

Nie mam na to siły. Nie mam siły. Nie mam już więcej na to siły.

Ale co byś powiedziała, gdybym ci wyjawiał, że byłem u niej tamtego dnia nad ranem i że zabrałem jej dziennik? Nie wiem, dlaczego to zrobiłem. Naprawdę nie wiem. To było idiotyczne. Powiedziała mi o nim. Mille zdradziła mi, że prowadzi sekretny pamiętnik – tak, właśnie tak go nazwała. A ja się chyba bałem, że tam będzie coś o... Ale nic takiego nie było. Nie tknąłem jej. Pocałunek w policzek. Kilka życzliwych słów. Nie czuła się u nas dobrze. Przecież o tym wiesz. Żal mi jej było. Złościłaś się na nią cały czas. Schowałem pamiętnik za pasek spodni pod grubym swetrem i zaniósłem do siebie na poddasze, zapaliłem światło nad materacem i szybko przejrzałem. Fotografie. Cytaty. Zasuszone kwiatki. Żdźbła trawy.

*Bezpieczniejszy nikt być nie może
Niż gromadka dzieci Bożych
Nawet gwiazdy, co na niebie mrugają
Nawet ptaki, co do gniazdek zdążają*

Pamiętasz, że śpiewaliśmy tę piosenkę Liv i Almie, kiedy były małe?

Wiem, że nie śpisz w nocy i rozmyślasz, gdzie Mille mogła się podziąć. Mówisz, że nikt tak po prostu nie znika. Ale tak właśnie się dzieje, cały czas. Tak się dzieje cały czas. Ty zniknęłaś. Ja zniknąłem. Zniknęliśmy sobie. *Ale nikt po prostu nie znika*, powtórzyłybyś, ogromnie zirytowana tym, że potrafię zredukować to straszne, co się stało z Mille, do tego, co dotyczy nas i naszego małego prywatnego piekła.

Ja mówię o znikaniu w dosłownym znaczeniu – podkreśliłabyś. – Nie w przenośni.

Ludzie cały czas znikają. Również w dosłownym znaczeniu – odparłbym. – Dobrze o tym wiesz. Któregoś dnia o tym porozmawiamy.

Szybko przerzuciłem pamiętnik. Poczułem pewną ulgę. Nic o mnie. Nic o niej i o mnie. Nie, żeby było o czym pisać. Pocałunek w policzek. *Przyjacielski* pocałunek w policzek. To wszystko. Ale przecież nigdy nie wiadomo, co może się wykluć w głowach innych ludzi.

To głównie ty występowałaś w jej dzienniku! Wiedziałaś, że ona

robi ci zdjęcia i wkleja je do pamiętnika? Między innymi serię fotografii, na których śpisz w wiklinowym fotelu w ogrodzie w Mailund.

No i były też zdjęcia dzieci. I domu. I jedno zdjęcie Irmy, która ukradkiem pali papierosa za aneksem. Mille najwyraźniej podkraǳła się do Irmy i usiłowała ją sfotografować tak, żeby Irma się nie zorientowała (tak samo jak ciebie!), a Irma się odwróciła akurat w chwili, gdy Mille w końcu pstryknęła. Irma wygląda na wściekłą, płomiennie czerwone oczy z powodu lampy błyskowej wcale nie dodają jej urody.

I jeszcze kilka psalmów, cytatów, cały tekst piosenki Dylana, która najwyraźniej jej się spodobała.

*What's sweetheart like you doing in a dump like this?*¹¹

Myślisz o jej matce? O Amandzie Browne? O czym właściwie myślisz, kiedy myślisz o Mille? Chętnie bym cię o to spytał, ale nie chcę zaczynać tego tematu. Nie teraz. Nie mam na to siły. Ale myślę o jej matce i wyobrażam ją sobie, zupełnie samą, noc po nocy, jak snuje się z pokoju do pokoju, wypłakując swój żal, i wydaje mi się, że nikt nie jest w stanie jej pocieszyć.

– *Ale co ty z nim zrobiłeś?* – spytałabyś. – *Co zrobiłeś z tym pamiętnikiem, Jon? W aneksie nie znaleziono żadnego pamiętnika, kiedy policja go przeszukiwała.*

Co byś powiedziała, gdybym wyznał, że go wyrzuciłem? Że tamtego dnia rano poszedłem do lasu nad zielone jezioro, wrywałem kartka po kartce, każdą składałem na pół i darłem na cieniutkie paseczki, które wrzucałem do wody?

Czy wtedy bym cię stracił?

– A gdybym napisała tak? – spytała Alma, patrząc na Jona.

29.09.2008

Witam!

Przepraszam za to, co się stało. Nie chciałam.

Z poważaniem

Alma Dreyer, VIIIb

Alma nie rozmawiała z matką ani z siostrą. *Fuck, pizda, chuj, jak można, do kurwy nędzy, być tak głupim.* Alma olewała wszystkich ludzi i całe to gówno, które ją otaczało z każdej strony.

– Spróbuj jeszcze raz – powiedział Jon i Alma napisała:

29.09.2008

Do Pani Evy Lund

Ogromnie przepraszam za zaistniałe zajście. Nie chciałam. Życzę dalszej przyjemnej jesieni.

Z poważaniem

Alma Dreyer

Alma nie chodziła teraz do szkoły. Nie była tam mile widziana. Zamiast tego razem z Siri i Jonem siedziała w gabinecie psycholożki z policjantką i była przesłuchiwana, jakby Norwegia była jakąś *cholerną tyranią*. Policjantka i psycholożka wyglądały identycznie, jak siostry, obie miały wielkie okulary, kręcone włosy, drżące wargi w kolorze czerwonego wina i lepkie spojrzenia, rozmyte jak serwowane w szkole chude mleko. Obie ściągały twarze, aby w ten sposób wyrazić zatroskanie, marszczyły czoła tak mocno, że można by się wemknąć w którąś z tych zmarszczek i się tam schować. Psycholożka miała białą bluzkę i piersi stożkowate jak rożki.

Alma nie potrafiła odpowiedzieć na pytania, które zadawała głównie psycholożka, nie chodziło o to, że nie chciała nic mówić, po prostu jej nie szło, nie umiała wyjaśnić tego, co się stało, a poza tym przeszkadzały jej te piersi.

– Dlaczego to zrobiłaś, Almo?

Co zrobiła? Że obcięła nauczycielce włosy? W pewnym sensie było to oczywiste. Planowali to od kilku tygodni. Cała klasa brała w tym udział, więc to, że właśnie Alma siedziała tu i musiała wziąć na siebie całą winę, było niesprawiedliwe i nieuzasadnione – jak wszystko inne na tym świecie. Miała za to dostać trzy tysiące koron. Nikt nie wierzył, że się odważy. Nikt inny się nie odważył. Ale wszyscy chcieli. W zasadzie lubili Evę Lund. Jej lekcje angielskiego były całkiem w porządku. *My name is Alma. I am thirteen years old, I live in Oslo, I attend a very nice Norwegian school, my hobbies are horseback riding and reading, my mother's name is Mrs. Brodal, my father's name is Mr. Dreyer. I am a very happy pupil*¹².

Alma wzruszyła ramionami.

– Nie mam pojęcia.

Sutki psycholożki były zupełnie sztywne, jak piersi Almy po kąpielu w zimnym morzu latem w Mailund. Jak u fotomodelki w bikini. A babce na pewno stuknęła pięćdziesiątka. Idiotyzm. Powaga, powaga, powaga. Czy Alma rozumiała powagę sytuacji? Czy sama chce coś powiedzieć? Sutki wskazywały prosto na nią. Alma spytała:

– Czy właściwie nie należałoby włożyć biustonosza, kiedy się przesłuchuje dziecko? Czy nie powinna tego regulować jakaś ustawa?

29.09.2008

Dear Mrs. Lund,

I am very sorry that I cut off your hair.

Sincerely,

*Alma Dreyer*¹³

Alma nigdy nie wróci do tej szkoły. To już zostało postanowione. Nie była tam mile widziana. To już zostało postanowione. Alma, Jon i Siri mieli chodzić na rozmowy z psychologiem *nie wiadomo jak długo*. Ale nie od razu, bo nadeszły ferie jesienne, a czas ferii jesiennych wszyscy mieli poświęcić na *przemyślenie*. To już zostało postanowione. Nie wybierali się też do Mailund. Mille znika, wszyscy wpadają w histerię

i nagle nikt nie jedzie do Mailund. Alma chce jechać do Jenny. Jedynym człowiekiem na świecie, z którym da się rozmawiać, jest Jenny. Nie dlatego, że to jej babcia (Jenny nie jest jak inne babcie – chodzi na wysokich obcasach, nigdy nie opuszcza domu bez szminki i traktuje ludzi poważnie). Również nie dlatego, że jest taka stara (w tym roku, tego samego wieczoru, kiedy zniknęła Mille, skończyła siedemdziesiąt pięć lat). Po prostu Jenny *rozumie*, co Alma mówi, robi i myśli, bez zadawania jej mnóstwa idiotycznych pytań. Kiedy Alma zadzwoniła do niej i opowiedziała, że obcięła długie włosy nauczycielce i że pewnie następnego dnia będzie można przeczytać o tym w gazetach, Jenny powiedziała, że *rozumie*, dlaczego Alma to zrobiła.

– Człowiek czasami nie może się powstrzymać – stwierdziła.

Kiedy Siri usłyszała słowa Jenny, tak się wściekła, że zadzwoniła do matki i krzyczała, że od tej pory ma się trzymać z daleka od wychowania Almy.

– Zawsze dobrze jest napisać „Szanowna Pani”, zamiast „Witam”, kiedy się pisze prawdziwy list – powiedział Jon. – O tak:

Szanowna Pani,

– Halo, tato! Nie napiszę „szanowna”. Nikt już nie pisze „szanowna”, to nie jest osiemnasty wiek!

Kiedy Alma widziała Evę Lund ostatni raz, z niechęcią patrzyła na wielkie krzyczące usta nauczycielki. Wykrzywione wargi, język, zęby i całe to miękkie, różowe ciało, okruszyny w kąciku ust. Przypominało to bardziej wycie niż krzyk. Trwało mniej więcej dwie sekundy. A potem ręka poderwała się do góry, zasłaniając twarz, Eva Lund przestała krzyczeć i tylko wpatrywała się w Almę – początkowo z niedowierzaniem, jakby naprawdę nie mogła uwierzyć w to, co widziała: mała ciemnooka Alma z nożycami w jednej ręce i z jej grubym jasnym warkoczem w drugiej. A potem popłynęły łzy. Oczy Evy Lund wypełniły się dwoma jeziorami, które rozlały się po jej twarzy.

Ale dlaczego? Nie chodziło o te trzy tysiące koron. Nie chodziło o to, że wszyscy twierdzili, że Alma się nie odważy, a ona chciała im

pokazać. Chodziło o te długie włosy. Zawsze splecione w długi jasny warkocz, zwisający na plecach, no i o to, że to było możliwe. Że od tej możliwości aż kręciło się w głowie. Dzień po dniu, tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu, rok po roku Alma siedziała w klasie i patrzyła na Evę Lund i jej długi warkocz. Kiedy nauczycielka odwracała się do tablicy, trudno było patrzeć na cokolwiek innego niż on. Czasami spięty gumką, czasami przewiązany wąską, niebieską wstążką. Ile czasu zajęłoby jego obcięcie (sto dwadzieścia jeden, sto dwadzieścia dwa, sto dwadzieścia trzy, sto dwadzieścia cztery, sto dwadzieścia pięć), góra pięć sekund, odpowiednimi nożyczkami. Musiała to zrobić wtedy, gdy Eva Lund stała właśnie w ten sposób, odwrócona do klasy plecami, i wypisywała na tablicy angielskie słówka, *my head, my face, my arms, my hands, my tummy, my legs, my feet, my body*¹⁴, musiała się do niej podkraść, musiała ją złapać, nie, nie ją, sam warkocz, szarpnąć i rach-ciach-ciach. Oszłamiające, przytłaczające, piękne, możliwe.

Jakby to wszystko była wyłącznie wina Almy. Jakby nie uczestniczyła w tym cała klasa. Jakby Theo nie czekał z komórką w pogotowiu i nie sfilmował całej sceny. Jakby Nora i Sofie nie wrzuciły zdjęć do Internetu tego samego dnia. Jakby cała klasa się z nią nie założyła.

29.09.2008

Witam,

przepraszam, że to zrobiłam. Mam nadzieję, że włosy szybko Pani odrosną. =) Nie chciałam. To nie był mój pomysł. Pani zawsze była niesamowicie dobrą nauczycielką. =) =) =) I angielskiego, i norweskiego. Zwłaszcza norweskiego. Fajnie było, kiedy pisaliśmy opowiadania. =) Jeszcze raz najmocniej przepraszam za to, co się stało. Życzę w dalszym ciągu miłego roku szkolnego!

Pozdrawiam

Alma

– Oszczędź sobie tych swoich śmieszków – powiedziała Siri. – Czy ty

nie rozumiesz powagi sytuacji, Almo? Co w ciebie wstąpiło?

– Mamy poświęcić jesienne ferie na przemyślenia i rozmowy – powtórzył Jon.

Po spotkaniu z *psychologopolicjantką* Siri wpadła w złość. Była zła o komentarz Almy na temat biustonosza. Była zła o warkocz Evy Lund. I była zła o to, że Alma stała się tym *obcym, niezrozumiałym dzieckiem*. To ostatnie określenie Alma usłyszała pewnego wieczoru, kiedy matce wydawało się, że ona już śpi. Matka mówiła do ojca i płakała. Ojciec także.

– Nigdy nie spotkało mnie nic tak przykrego! Coś tak okropnego! Co w ciebie wstąpiło, Almo? Jesteś taka strasznie niedobra.

– Nie możesz się zdecydować i złościć o jedną rzecz naraz? – spytała Alma spokojnie.

Siri otworzyła usta i zaczęła krzyczeć.

– Jestem na ciebie zła o WSZYSTKO, Almo! Co w ciebie wstąpiło?

A Jon po raz trzeci powtórzył, że wszyscy muszą się trochę uspokoić i przemyśleć. Wtedy Siri oświadczyła, że Jon jest głupkiem, skoro nie dostrzega powagi sytuacji, i że jeśli jeszcze raz wypowie słowo „przemyśleć”, to ona wepchnie mu do ust wkładkę do butów.

Alma wcale nie chciała być niedobra. Bardzo chciała być dobra. Ale tam, w gabinecie, po prostu jej się to wyrwało. Cycki jak wafłowe rożki do lodów żyły własnym życiem pod cienką białą bluzką i zakłócały myśli. Alma nie miała zamiaru być bezczelna, to było najzupełniej szczere pytanie: czy nie należałoby ustawowo nakazać kobietom psychologom zasłanianie piersi, tak żeby nie sterczały i nie wskazywały wprost na kogoś? Czy nie jest ważne, by jeszcze bardziej nie zaburzać tych szaleńców, z którymi psychologowie rozmawiają od rana do wieczora? Ale pytanie nie zostało potraktowane przez obecnych jako *konstruktywne*.

– Nie widzę, żeby to spotkanie prowadziło do czegoś konstruktywnego – oświadczyła policjantka i włożyła jakieś papiery do teczki, którą zamknęła z trzaskiem. Popatrzyła na Jona i na Siri. – Proponuję, żebyśmy spotkali się ponownie po feriach jesiennych, a następne dwa tygodnie poświęcili na przemyślenie. – Przeniosła wzrok na Almę. – A tobie, Almo, powtórzę, jak poważne jest to

zdarzenie w szkole i jak poważnie podchodzi do niego policja. Naruszyłaś nietykalność drugiego człowieka w bardzo okrutny sposób, popełniłaś poważne przestępstwo, wiesz, co to oznacza? To oznacza, że gdybyś była starsza, twój czyn byłby zagrożony karą dwóch lat. Mówię o więzieniu. To naprawdę przygnębiające, że przychodzisz tu i *naigrawas* się. Jestem rozczarowana i zmartwiona wynikiem tego spotkania.

Alma nie wiedziała, co znaczy „naigrawać się”, ale słowo jej się spodobało.

Psycholożka kompletnie oniemiała. Właśnie dlatego policjantka musiała się włączyć, być rozczarowana i zmartwiona, mówić o właściwym wyniku konstruktywnych spotkań. Ale psycholożka (która mówiła i mówiła, mówiła i mówiła, mówiła i mówiła) nagle kompletnie oniemiała, kiedy Alma wspomniała o jej cyckach.

Teraz cię przegadałam, pomyślała Alma, ale głośno tego nie powiedziała.

Alma albo się naigrawa, albo awanturuje, ale apeluje w Albury, Australia.

Przegadać oznacza: być bardziej wygadany, mieć ostatnie słowo, zawsze na wszystko znajdować odpowiedź. Na lekcji norweskiego uczyli się o baśniach i czytali o księżniczce, której nikt nie mógł przegadać, wtedy Eva Lund otworzyła słownik i odczytała: *być bardziej wygadany, mieć ostatnie słowo, zawsze na wszystko znajdować odpowiedź*. Almie te słowa wydawały się piękne, chociaż nie do końca je zrozumiała, *być bardziej wygadany, mieć ostatnie słowo, zawsze na wszystko znajdować odpowiedź*. A potem Eva Lund podzieliła klasę na dwu- i trzyosobowe grupy i zaproponowała zabawę, w której mieli próbować nawzajem się przegadać.

Po zdarzeniu z nożyczkami o Almie napisano w „Dagbladet”, „VG” i w całym Internecie. „Dagbladet” opisało ją na pierwszej stronie w artykule będącym częścią serii o przemocy w norweskich szkołach: *13-latka obcięła nauczycielce długie włosy*, głosił ogromny nagłówek, a w środku było napisane:

Warkocz był dumą 52-letniej nauczycielki. Ale trwające całe życie zapuszczanie włosów w jednej chwili się skończyło, kiedy 13-letnia

uczennica przystąpiła do ataku podczas lekcji angielskiego i obcięła 42-centymetrowy warkocz.

29.09.2008

Witam, Pani Evo Mewo Lund,

moi rodzice, policja i psycholog, dyrektor, uczniowie, koleżanki i koledzy, wszyscy ludzie w Norwegii mówią, że mam napisać do Pani list i przeprosić. Niniejszym przepraszam. W gazecie napisali, że Pani warkocz miał 42 centymetry długości.

Pozdrowienia

Naigrawająca się, naigrywająca się, naigrowująca się Alma Dreyer, VIIIb

Siri i Jon przyszli do szkoły i zabrali Almę z gabinetu dyrektora. Nic nie mówili. Alma zauważyła, że Siri podczas spotkania z dyrektorem była niepewna. Mama, która zawsze wiedziała, co powiedzieć czy zrobić, i zawsze miała na podorędziu uśmiech. Tak właśnie ludzie mówili o Siri.

Ale kiedy Siri i Jon przyszli po Almę do gabinetu dyrektora po tej sprawie z nożyczkami, Siri nie miała żadnego uśmiechu na podorędziu. Siri była zdezorientowana. Alma nie mogła wiedzieć, że Siri zalały wspomnienia, i że w momencie, gdy napotkała spojrzenie dyrektora, a potem zobaczyła odwróconą twarz Almy, wydobyła z pamięci chwilę, gdy córka miała sześć lat i zaczynała chodzić do szkoły.

Siri, Jon i Alma stali na szkolnym podwórzu i czekali, aż zostanie wyczytane nazwisko Almy. Almy ubranej w sukienkę w czerwono-białą kratkę do niebieskich džinsów, z krótkimi ciemnymi włosami i błyszczącymi ciemnymi oczami, z wielkim, nowym plecakiem na wąskich, wygiętych jak skrzypce plecach. Pamiętała rączkę Almy wczepioną w jej rękę. A kiedy dyrektor wyczytał nazwisko Almy, córka zarzuciła jej ręce na szyję i szepnęła do ucha: *Jednak się nie boję. Puść mnie.* I sama przeszła przez podwórze do nauczycielki i dyrektora, ładnie się przywitała i spokojnie stanęła w rzędzie razem z innymi dziećmi.

A teraz dotarliśmy tutaj, pomyślała Siri, patrząc na córkę, która siedziała w wiklinowym fotelu w kuchni i nie chciała się do niej odzywać. To obce dziecko. Kiedy to się stało? Kiedy ją straciliśmy?

29.09.2008

Witam,

przepraszam, że obcięłam Pani włosy. Mam nadzieję, że szybko odrosną i że będzie Pani miała miłą jesień.

Z poważaniem

Alma Dreyer, VIIIb

Jon i Siri krążyli wokół siebie, sami, jak na osobnych planetach, i kochali to obce dziecko. A mała Liv z jasnymi lokami przeskakiwała z planety na planetę i śpiewała wymyśloną przez siebie piosenkę.

Siri usiadła na kuchennym krześle, rozplakała się i krzyknęła do córki:

– Czy ty nie rozumiesz, że nie możemy wysłać do niej tego listu, dopóki nie pokażesz, że naprawdę, ale to naprawdę żałujesz?! Że naprawdę tak myślisz?!

Próbował słowami.

Jon powiedział Almie, że jest jego oczkiem w głowie, nie bardzo mając na to pokrycie, bo niezbyt dobrze rozumiał to wyrażenie, po co to „w głowie”, gdzie indziej miałyby być oczko? No i nie wiedział, dlaczego posłużył się akurat tymi słowami.

Trzydzieści lat. Nieduża i okrągła. Krótkie czarne włosy. Któregoś dnia spotkał się z nią przed szkołą i zabrał ją do cukierni na gorącą czekoladę i ostatekowe bułeczki. Mijali stolik, przy którym piła kawę młoda kobieta z niemowlęciem na kolanach. Nie uniosła wzroku i nie spojrzała na Jona, w ogóle go nie zauważyła. Zwracał uwagę na takie rzeczy. Przy innym stoliku siedziało kilka młodych dziewczyn, które spuściły oczy i zaczęły chichotać, kiedy je mijali.

– To nasza nowa tradycja – powiedział dzielnie. – Tradycja ojca i córki.

Alma się nie odezwała.

– Znasz te dziewczyny? – spytał ostrożnie.

– Chodzą do równoległej klasy.

Między nimi na stoliku leżały dwie bardzo duże ostatekowe bułeczki z kremem. Głos Jona brzmiał trochę za głośno (ach, jak on się męczył, ale nie miał pojęcia, o czym rozmawiać z Alną), aż starsi państwo, którzy siedzieli obok i pili kawę, odwrócili się w ich stronę.

– Jak to miło wyjść z tatusem. – Starsza pani się uśmiechnęła.

Alma spuściła wzrok, a kobieta popatrzyła na Jona i uśmiechnęła się raz jeszcze. Wszystko to go irytowało. Milczenie Almy, jego własny donośny, jowialny głos, ludzie, którzy się im przyglądali, uśmiech starszej pani. To nie było żadne cholerne przedstawienie! Potem nachylił się nad stołem i wypowiedział te słowa, których nigdy nie używał: *oczko w głowie*. Powiedział to cicho. Chciał, aby zrozumiała, że jest kochana, dostrzegana i może czuć się bezpiecznie. Ona jednak natychmiast go przejrzała. Wyciągnęła nad stolikiem rękę, splótła swoje wciąż po dziecinnemu pulchne palce z jego palcami i oświadczyła:

– Nie musisz nic wymyślać, tatusiu, nie musisz nic mówić ani robić wyjątków ze względu na mnie.

Próbował się bronić:

– Nie, Almo, przecież ja to robię dlatego, że mam ochotę, tak bym chciał, żebyśmy razem robili różne rzeczy, żebyśmy tworzyli swoje własne tradycje, a ty naprawdę jesteś moim oczkiem w głowie.

Alma ucichła, przyciągnęła rękę do siebie i zaczęła skubać bułeczkę, pobrudziła kremem palce i wytarła je serwetką. Spuściła wzrok. Krótkie czarne włosy miała zaczesane do tyłu, wicherek sterczał jak u postaci z filmu rysunkowego, co przydawało jej poważnej buzi komizmu. Kiedy była mała, nazywali ją Kruszyną.

– Ja nawet nie lubię ostatnich bułeczek – powiedziała, z rezygnacją rozkładając ręce. – Za bardzo się lepia.

Jon miał ochotę wstać i wyjść albo się rozplakać, albo napić, albo wszystko naraz, nie radził sobie z tą sytuacją, Alma chciała za dużo, a on sam siedział tutaj i pragnął, żeby go zrozumiała, *żeby go zrozumiała*, a nie tylko potrzebowała go przez cały czas, choć jednocześnie oczywiście rozumiał, że bezsensowne jest to pragnienie, żeby go zrozumiała. Alma była dzieckiem, dzieckiem, które kładło całą swoją wielką miłość w jego ręce. Powiedział, że może zamówić coś innego, to, co sobie wybierze, lada była pełna ciastek, gotowych kanapek, bułeczek, tart czekoladowych, i w chwili, gdy to mówił, rozumiał, a może nie rozumiał tego tam i wtedy, tylko później, że dotarli do punktu, w którym bronił się przed powiedzeniem jej, że ją kocha, bo wtedy wypuściłaby wszystko, co trzymała w rękach (kakao, ostatkową bułeczkę, szklankę z sokiem, cokolwiek!), i rzuciłaby mu się w ramiona albo wdrapała na kolana. Jej ruchy były tak gwałtowne, że zawsze coś się przewracało – krzesła, stoły, stosy papierów, wazony. W zapale, by go objąć, nie zwracała uwagi na otaczające ją przedmioty.

Alma wyrosła, tak jak inne dziewczyny, i była już za duża na to, żeby mu siadać na kolanach, ta jej trochę za szeroka okrągła pupa, długie, chude ramiona, długie, chude nogi, niezgrabne ręce, twarde jak kość kulki pod T-shirtem w miejscu, gdzie miały pojawić się piersi, ciało córki nie było już przyjemnie ciężkie, ciepłe i po dzieciennemu miękkie, lecz inne, obce, natarczywe.

– Albo możemy iść od razu – zaproponował. – Wymyślimy sobie inną tradycję.

Rozejrzał się po stolikach i dostrzegł piękną kobietę w czerwonej sukience, skojarzyła mu się z ognistymi makami, które widział przed laty na Gotlandii, kiedy był tam razem z Siri. Uśmiechnął się do kobiety, a ona odpowiedziała mu uśmiechem.

Alma kiwnęła głową.

– Inną tradycję ojca i córki – dodał.

Już włożył płaszcz, czapkę i rękawiczki. Alma znów kiwnęła głową. Ciemne oczy pod grzywką.

– Możemy iść popatrzeć na morze – podsunął. – Nie dzisiaj, ale innego dnia. Wkrótce. Możemy się wybrać nad morze i uczyć to, że zbliża się wiosna.

Nie mógł się doczekać, kiedy wyjdą, ale Alma poświęciła dużo czasu na włożenie rękawiczek, czapki, szalika i puchówki, a Jon stał, dyszał i ćwiczył panowanie nad sobą. Nie wolno mu stracić cierpliwości. Nie wolno mu stracić cierpliwości. Nie wolno mu stracić cierpliwości. Kiedy Alma była młodsza, gdy miała sześć czy siedem lat, broniła się przed zniecierpliwieniem Siri i Jona, zastrzegając sobie prawo do poświęcania dokładnie tyle czasu, ile potrzebowała na zrobienie tego, co musiała zrobić – wszystko jedno, czy chodziło o narysowanie czegoś, zjedzenie, skorzystanie z toalety, czy o zabawę lalkami. Od lat długo się ubierała, zwłaszcza przed wyjściem na dwór. Wszystko bowiem należało zrobić w określony sposób i w określonej kolejności. Ubrania musiały przylegać do ciała tak, aby przyjemnie się w nich chodziło. Należało unikać szpar i zgrubień, skarpety musiały być starannie podciągnięte na łydkę, aby dobrze obciskały stopy w rajstopach, a rękawiczki powinny znajdować się pod mankietami puchówki. Wszystko to zajmowało czas, lecz zarówno Siri, jak i Jon wiedzieli, że na nic się nie zda mówienie, że może dałoby się ubrać szybciej, bo przecież nie ma aż tak wielkiego znaczenia to, czy rękawiczki wkłada się przed puchówką, czy po niej.

Kiedy Alma była młodsza, upominanie mogło doprowadzić do tego, że zdjęłaby z siebie wszystko, rozebrała się do naga, żeby zacząć proces od początku. Teraz też besztanie nie miało sensu, chociaż była już starsza. Zniecierpliwienie Siri i Jona działało na Almę w taki sam sposób jak spojrzenie trolla na podróżnych z baśni, zamieniała się

w kamień i nieruchomiła.

Alma, spóźnisz się do szkoły.

Alma, wszyscy na ciebie czekają.

Alma, to nie ma znaczenia, czy rękawiczki są pod kurtką, czy na kurtce.

Alma strząsnęła kilka niewidzialnych okruszyn z czapki, nie chciała jej wkładać na głowę, dopóki ich nie otrzepie. Trzepała i trzepała, w końcu machnęła całą czapką, położyła ją na stoliku i dalej otrzepywała.

Jon zamknął oczy i wypuścił powietrze z płuc. Otworzył oczy i powiedział cicho – z taką czułością, jak tylko mógł:

– Będiesz już niedługo gotowa czy mam zaczekać na ciebie na zewnątrz?

Alma obejrzała swoją czapkę, w końcu znów przeciągnęła po niej ręką.

– A nie możesz zaczekać na mnie tutaj? Chcę wyjść razem z tobą!

Popatrzyła na nich starsza pani przy sąsiednim stoliku.

– Już wychodzicie? – spytała. – Bułeczki wam nie smakowały?

Jon się uśmiechnął, ale jednocześnie zadał sobie pytanie, jakie dobre moce powstrzymały go od uderzenia tej kobiety i krzyknięcia, że najwyższa pora, by nauczyła się nie wtykać nosa w nie swoje sprawy i zostawiać ludzi w spokoju.

Alma strzepnęła kilka okruszków z czapki, ważne, żeby nie chodzić z okruskami na czapce, bo właśnie takie rzeczy komentowały dziewczyny z równoległej klasy, i wyobraziła sobie, jak unosi wzrok, ten wzrok, który potrafi zabijać, i cała cukiernia zmienia się w piekło wywróconych stolików, krzesel, talerzyków, sztućców, potłuczonych szklanek, bułeczek, ciastek i kanapek z gałązkami pietruszki rozsypanych na podłodze. Odgłosy ludzi, którzy starają się zachowywać bezszelestnie, ponieważ tak się boją tego, co ona może z nimi zrobić. Stoją, kucają, leżą, zgięci w pół, częściowo ukryci za przewróconym stolikiem albo krzesłem. Wyobraziła sobie, jak jej spojrzenie przesuwa się od twarzy do twarzy. Kobieta w sukience czerwonej jak mak. Starsza pani z filiżanką kawy, ta, która nie daje ludziom spokoju. Dziewczyny z równoległej klasy. Tata w drodze do wyjścia. *Nie mam siły tu czekać. Zaczekam na ciebie przed wejściem.* Matka niemowlęcia. Małe dziecko, które nie rozumie tego, co wszyscy inni sądzą, że rozumieją, a mianowicie, że ogłuszająca cisza jest ich jedyną nadzieją na przeżycie. Dziecko płakało, ponieważ było głodne, a matka nie chciała rozpiąć bluzki i dać mu piersi. Alma otworzyła usta, żeby wszyscy, żywi i umarli, usłyszeli jej głos. Zawołała: **NIECH TEN ZASRANY BACHOR SIĘ ZAMKNIE!** Głos miała wysoki, lekko zachrypnięty, jakby musiała wykorzystać resztki dźwięku, jakie w niej zostały, żeby wycisnąć z siebie właśnie te słowa.

Kobieta w sukience czerwonej jak mak wstała i powoli podeszła do Almy. Wskazała na krzesło, na którym wcześniej siedział Jon.

– Jest wolne? – spytała. – Mogę je zabrać?

Alma kiwnęła głową. Kobieta podziękowała, wzięła krzesło i zaniósła je do swojego stolika. A potem to się powtórzyło. Kobieta w sukience czerwonej jak mak wstała i powoli podeszła do Almy.

– Rozumiesz chyba, że ta dziewczynka nie może nic poradzić na to, że płacze – powiedziała. – I nikt nie może nic z tym zrobić. Ale ja ci pomogę. Daj rękę!

I Alma podała jej rękę, kobieta przyciągnęła ją do siebie, mocno objęła, a Alma płakała i płakała.

Wszystkie okruszki zniknęły już z czapki. Nie zostało ani okruszyny.

– No to do widzenia – powiedziała starsza pani, ta, która nie potrafiła zostawić innych ludzi w spokoju.

Alma nie odpowiedziała ani nawet się nie obejrzała, wychodząc. To Mille powiedziała, że nie wolno się oglądać. Jeśli człowiek się obejrzy, zawsze będzie źle. Ale Alma obejrzała się wtedy, w samochodzie babci, Alma zobaczyła, że Mille siedzi przy drodze, Alma powiedziała: *Stop!* Pamiętała wyraźnie, że zawołała: *Stop!*, a potem spytała: *Zabierzemy ją ze sobą?*, a babcia na to: *Kogo mamy zabrać?*, a Alma odparła: *Nikogo, wydawało mi się, że kogoś zobaczyłam.* Babcia powiedziała: *Aha, no to jedziemy do domu,* no i przejechały ostatni kawałek do Mailund, a Alma rzeczywiście tej nocy myślała o tym, że babcia nie była zupełnie sobą i że pewnie za dużo wypila.

Dziewczyny z równoległej klasy chichotały, ale Alma się nie obejrzała.

Od tamtego dnia minęły już ponad cztery lata, Siri pamiętała jednak, że to była niedziela, padał deszcz, pamiętała wszystko, pamiętała laptop Jona na stole w jadalni, rozwarty, bezwstydnie zapraszający.

Pamiętała, że nachyliła się nad monitorem i czytała. To był mail od Jona do kobiety, która nazywała się Paula Krohn.

Myślę o tym, jak by to było, tylko Ty i ja, rano, po południu, przed południem, wieczorem, w nocy, myślę o wszystkim, czym jesteś, wszystkim, co możesz mi pokazać, i wszystkim, co chcę z Tobą robić. Pytasz, czy jestem nieszczęśliwy, czy myśl o Tobie mnie unieszczęśliwia, ale mnie uszczęśliwia sama świadomość, że istniejesz (mam przed oczami Twoją twarz, Twoje włosy, Twoje oczy, Twoje światło, Twoje piersi, Twój brzuch, miękką skórę), lecz sytuacja jest, jaka jest – i to ona być może mnie unieszczęśliwia. Myślę o Tobie rano, przed południem, po południu, wieczorem i w nocy, ale nie mogę być przy Tobie inaczej niż myślami, ponieważ, no tak, sama wiesz. Ponieważ.

Najpierw ulga. Wszystkie kawałki wpadły na swoje miejsca. Wszystkie podejrzenia się potwierdziły. *Nie jestem chora na umyśle.* Miała rację, chociaż on raz po raz zapewniał, że się myli, że tylko sobie wmawia różne rzeczy, że to jedynie sny i fantazje, ale ona miała rację. Nie była chora na umyśle. Wszystko było cholernym kłamstwem.

Siri przeczytała mail jeszcze raz.

Ale nie mogę być przy Tobie inaczej niż myślami, ponieważ, no tak, sama wiesz. Ponieważ.

Ponieważ – co?

Ponieważ był żonaty z Siri? Ponieważ Siri była ciężarem tak wielkim, że nie dało się go opisać słowami? Wstrzymała oddech. Co zrobiła ze swoim życiem? Stała się ciężarem tak wielkim, że nie dało się go opisać słowami, czy była dla niego tak całkowicie niewidzialna, tak bez znaczenia, tak lekka, tak ulotna, tak zapomniana, tak przezroczysta, że niewarta ani jednej litery?

Ponieważ, no tak, sama wiesz. Ponieważ.

Przeczytała to jeszcze raz. I jeszcze. Dlaczego on nie napisał: „Ponieważ jestem żonaty z Siri, a nasza historia to ciężar tak wielki, że nie da się jej opisać słowami”? Albo: „Ponieważ jestem żonaty

z Siri, a nasza historia jest tak lekka, że niewarta ani jednej litery”.

Nic nie powiedziała Jonowi. Ani pierwszego wieczoru, ani drugiego wieczoru, ani też trzeciego.

– O co chodzi? – spytał Jon. – Tak przycichłaś. Coś się stało?

– Nie, nic – odparła Siri.

Kiedy następnym razem zajrzała do jego skrzynki, okazało się, że skasował list.

Mam przed oczami Twoją twarz.

Ale Siri nauczyła się tych słów na pamięć, potrafiła napisać je na ślepo, zaśpiewać w kościele, zadeklamować przed królem, pamięta też, że zadawała sobie pytanie, czy jest miejsce dla niej w tej krainie, w której znajdował się wtedy Jon, w krainie, która nazywała się rano, przed południem, po południu, wieczorem i w nocy. Czy była jakaś szczelina między wieczorem a nocą? Między przedpołudniem a popołudniem? Między popołudniem a wieczorem?

W pierwszych miesiącach po przeczytaniu tego maila często zaczynała dzień od cytowania go sobie, jak trudnego tekstu, którego musiała nauczyć się na pamięć, żeby go nie zapomnieć, odwracała i przestawiała litery, wyobrażała sobie, jak Jon pisze, a Paula czyta, a słowa rozsypywały się, przekształcały, tworzyły nowe znaczenia i konteksty, w zależności od tego, w które miejsce listu decydowała się wejść i w którym miejscu decydowała się wyjść.

Myślę o tym, jak by to było, tylko Ty i ja.

Gdyby Siri coś powiedziała, powiedziałyby może: To jest prawdziwa zimna pieśń, *The Cold Song*. Najgorsze, że nie potrafię ci przekazać, jak bardzo to boli. Umawiasz się z inną i cieszysz się na spotkania, okłamujesz mnie i znikasz z psem, *pójdę kupić mleko, pójdę kupić chleb*. Ale nikt nie może cię zmusić, żebyś został przy mnie, wiem, że powinnam teraz odejść, bo nie wytrzymam, nie wytrzymam, że będę ciałem wśród innych ciał.

A ja sądziłam, że stanowimy wyjątek, że stanowimy wielki wyjątek, że jesteś moim jednym jedynym, a ja twoją jedną jedyną, i że katastrofa, która dotyka wszystkich innych, ta najbardziej przykra ze wszystkich katastrof, najbardziej upokarzająca i banalna, nad którą

jesteśmy ponad i z której trochę się śmiejemy, kiedy spada na innych (kłamstwo, zdrada, rozliczenie, pojednanie i kolejne kłamstwo w niekończącej się powtórce) – nas nie dotknie. Chciałam być twoją jedną jedyną, a nie ciałem wśród wszystkich innych ciał, ustawionych nago, maszerujących nago, ciałem wśród wszystkich innych ciał, z funkcjami ciała i częściami ciała, pięknymi albo brzydkimi, zdrowymi albo chorymi, silnymi albo słabymi – nudystka, sportsmenka, pacjentka (tak jak się ją opisuje w karcie choroby), zwłoki – ciałem wśród innych ciał, odartym ze wstydu, odartym ze światła, odartym z tajemnic, ze sposobu, w jaki się dotykamy, z dźwięków, jakie wytwarzamy, z tego, co mówimy do siebie, kiedy ze sobą śpimy, bo teraz to ta druga jest tą tajemniczą, tą jedną jedyną, *pójdę kupić mleko, pójdę kupić chleb.*

Pewnej nocy niezbyt dawno temu – Jon nie mógł zasnąć, więc przyszedł i położył się przy Siri – opowiedziała mu o świecie, w którym znikają pszczoły, a nikt nie potrafi wyjaśnić dlaczego. (Opowiadasz Pauli Krohn historie, kiedy nie może zasnąć? A może ona ci opowiada?) Pszczoły znikają we Włoszech, Francji, w Belgii, Holandii, Grecji, Portugalii, Hiszpanii, Szwajcarii i Niemczech. Znikają na Tajwanie i w Stanach Zjednoczonych. Pszczelarze stracili aż dziewięćdziesiąt procent pszczelich rodzin. Podobno pszczoły tracą zmysł orientacji i nie mogą trafić z powrotem do ula, podobno ich wewnętrzne organy powiększają się do tego stopnia, że pszczoły eksplodują i umierają. Te, które się odnajdują, są zainfekowane wszelkimi możliwymi chorobami. Ale większości się nie znajduje. Miliardy pszczół znikają. Na całym świecie. Słyszysz ich bzyczenie? Rozwiały się w powietrzu. Rozpłynęły się i zmieniły w pył. Ale nie w dobry pył, tylko w zły. Schowały się przed tobą i przede mną, przed wszystkim i wszystkimi, którzy zdradzali je na przestrzeni dziejów. I nikt nie potrafi określić, kiedy historia znikania pszczół się zaczęła ani kiedy się skończy, a jedynie, że pszczoły znikają.

– Ola miał pszczoły – mówiła Siri. – No tak, to wiesz. A ja kiedyś znalazłam przepis na ciasto, które po angielsku nazywa się *sweet bee banana bread*, było takie pyszne, że ciągle je piekłam, i wszyscy,

którzy przychodzili do restauracji na Frognerveien, zamawiali *sweet bee banana bread*, a tajemnicą był miód, rzecz jasna. Miód. Czytałam wszystko o miodzie. I o pszczołach. Czytałam Wergiliusza, który w czwartej części poematu *Georgiki* pisze o pszczołach, o pszczelarstwie i o społeczności pszczół. *Mędrzec...* – pisze Wergiliusz. – Słyszysz, Jon? Zapalę światło i ci poczytam: *Mędrzec wnosi z przykładów i znaków, że w pszczołach/ Coś z boskiego rozumu mieszka i coś zgoła/ Z niebieskiego eteru, bowiem bóg się wszędzie/ Rozlewa w świat, w nieb głębie, na morza krawędzie*¹⁵.

Siri nie patrzyła na Jona, nie odłożyła też książki.

– Chcesz słuchać dalej? – spytała, ale nie czekała na odpowiedź: – Wergiliusz uważał, że pszczoły są nieśmiertelne, że są częścią boga. *Macierzanką pachnie miód wyborny*¹⁶. Takie są drogocenne. A raczej były. Zanim zniknęły, zniszczone przez nas, zniszczone przez zniszczenia. *Z niego – pisze Wergiliusz – bydło i trzody, człowiek, dzikie zwierzę,/ Rodząc się, życia tajne swe składniki bierze./ Wszystko wraca ku niemu, gdy swój bieg zakończy,/ Nie ma miejsca dla śmierci, twórcy wiecznie żyjący/ W gwiazdy wzlata i w nieba najwyższego zenit*¹⁷.

Odłożyła książkę.

– Nie ma miejsca dla śmierci. Jak sądzisz, co on miał na myśli?

Nie czekała na odpowiedź.

– A właśnie, że jest. Mnóstwo miejsca. Wszędzie jest miejsce. Nawet w najbardziej trywialnej, zanikającej maleńkości. *Wychodzę kupić chleb, wychodzę kupić mleko*. Przyczyn znikania pszczół może być wiele. Jak myślisz? Niewidzialny gaz? Pestycydy? Złe odżywianie? Środki na pasożyty? Zmutowane organizmy chorobotwórcze? Stres z powodu suszy; potrafisz sobie wyobrazić coś tak smutnego, jak zestresowane pszczoły? Zmodyfikowane genetycznie uprawy? Promieniowanie fal radiowych? Niektórzy uważają, że to może być działanie terrorystów. Islamiści, którzy chcą zniszczyć amerykańskie rolnictwo. Tak czy owak to znikanie jest bolesne. A wiedziałeś – ciągnęła, teraz już szeptem, bo Jon zasypiał albo udawał – że bez pszczół zapyłających rośliny stracimy jedną trzecią część żywności, którą zjadamy?

Twoje włosy, Twoje oczy, Twoje światło.

Kiedyś, jeszcze przed epoką maili, przed Alną, przed Liv, w czasach prochowca i wystającej kości biodrowej, Jon napisał do Siri list, a w tym liście napisał: *Twoje światło świeci*. I regularnie jej to powtarzał. Była światłem. Świeciła. Potrzebował jej. Była tą jedną jedyną.

Ale same słowa (wyznania miłości) przekazał dalej do innej. Słowa, które po zestawieniu ich w taki czy inny sposób, to znaczy nie w taki czy inny, ale w bardzo konkretny sposób, tworzyły sumę historii Siri i Jona. Ale on oddał słowa innej. Siri nie była już tą jedną jedyną. Nie była nawet jedyną, która *świeci*. Teraz historia wyglądała tak (i nie jest to zbyt oryginalna historia, lecz po prostu bardzo banalna i przykra): Najpierw świeciła Siri. Potem świeciła Paula. *Twoje światło świeci*. Wszystko to razem cholerne kłamstwo.

(Na obronę Jona, niewiernego męża, należy przypomnieć, że jest pisarzem przeżywającym niemoc twórczą. Powinien był oddać trzeci tom tego, co miało być trylogią dziesięciolecia, już kilka lat temu, ale nie znajduje słów na to, co chciałby napisać. Doszedł jedynie do tego, że chce napisać „hymn na cześć wszystkiego, co trwa, i wszystkiego, co ginie”, a to na dłuższą metę nie wystarczy, boleśnie tego doświadczył, hymn na cześć wszystkiego, co trwa, i hymn na cześć wszystkiego, co ginie, to zwyczajna bzdura. Innymi słowy, nie można oczekiwać – oczekiwanie lub żądanie jest nierozsądne – aby Jon, człowiek przeżywający niemoc twórczą, wymyślał nowe słowa za każdym razem, gdy będzie oczarowany nową kobietą).

Ale tego ze *światłem* nie potrafiła mu wybaczyć. *Twoje włosy, Twoje oczy, Twoje światło*.

Ta druga kobieta, rzecz jasna, miała włosy i oczy, więc to akurat było rozsądne, Siri również miała włosy i oczy, ma je większość kobiet, ale Jon nie podkreślał włosów i oczu tylko po to, by potwierdzić oczywistość: to, że Paula Krohn miała włosy i oczy. Byłoby rzeczą intrygującą (a także zupełnie inną, bardziej oryginalną historią), gdyby się okazało, że Paula Krohn jest łysą kobietą bez oczu. Ale Jon podkreślał włosy i oczy po to, by ją zapewnić: *Widzę cię. Twoje konkretne włosy. Twoje konkretne oczy. Nie jesteś ciałem wśród innych ciał. Jesteś jedną jedyną*.

(Na ile faktycznie uważał, że Paula Krohn to ta jedna jedyna, jest w tym kontekście obojętne. To, co działo się w głowie Jona, kiedy układał ten list, jest czymś zupełnie innym niż to, co działo się w głowie Siri, kiedy go czytała. Miłosny list Jona był najprawdopodobniej skutkiem dość prymitywnego handlu wymiennego, w którym reguły kupna i sprzedaży, podaży i popytu, dawania i brania, były przejrzyste i jednoznaczne: *Zostałaś zauważona i opisana przeze mnie. Teraz powinnaś się pospieszyć, dostrzec i opisać mnie*).

Ale ta druga kobieta miała nie tylko oczy i włosy, miała również światło – a to, zdaniem Siri, Jon mógł sobie darować.

Gdyby powiedziała Jonowi, że przeczytała ten list, że się załamała i nie dawała rady się podnieść jak marionetka, że ból był fizyczny, że był ciężki i zimny, jakby na siłę karmiono ją kamieniami, to mogłaby wtedy spytać:

Czy my świecimy jednocześnie, Paula Krohn i ja, jak bliźniacze wieże na Thacher Island? Czy przestałam świecić w tym samym momencie, w którym Paula Krohn zaczęła? I o ilu światłach właściwie jest mowa?

Siri stłukła szklanę, ale się nie skaleczyła. Siri nie gustowała w tego rodzaju dramatycznych gestach, one by tylko dopełniły banału. Nie chciała stać się kiczem. Ciałem wśród innych ciał, które kaleczy się w dłoń albo w stopę, ponieważ zostało zdradzone przez męża. Zamiast tego wiązała sznurowadła tak luźno, że się potykała i prawie traciła równowagę, kiedy wychodziła na spacer. Nikt nie mógł się dowiedzieć, że została zredukowana do *ponieważ*. Do kiczu. Do banalnej historii o banalnej kobiecie, która chciała się pociąć. Coś jednak musiała zrobić – dlatego wiązała sznurowadła tak luźno, że się potykała i prawie traciła równowagę, ubierała się cienko i marzła, kiedy przyszły mrozy.

A gdyby powiedziała o tym Jonowi, to mogłaby też spytać:

Co jej opowiedziałeś o mnie? Dlaczego mnie wydałeś? Mogę do niej zadzwonić, mogę zadzwonić do nich wszystkich? Do Pauli Krohn pomnożonej przez Paulę Krohn, pomnożonej przez Paulę Krohn w nieskończoność, a wszystko między nami jest cholernym kłamstwem.

Przez tygodnie, miesiące i lata po przeczytaniu przez Siri listu Paula Krohn urosła w siłę. Siri ją wygooglowała i dowiedziała się, że ma trzydzieści cztery lata, pracuje w galerii sztuki i mieszka na Uelands gate. Miała pięciuset sześćdziesięcioro siedmioro przyjaciół na Facebooku. Zdjęcie na jej profilu było niewyraźne, lekko nieostre w interesujący sposób, miała figlarne spojrzenie i długie jasne włosy. Paula głosiła: *Jestem piękna i interesująca, moje zdjęcie różni się od wszystkich innych zdjęć, mam figlarne spojrzenie, jestem jedną jedyną.* Tak, wszystkie piękne kobiety, również te nie aż tak piękne, ale takie, które zdaniem Siri mogły spodobać się Jonowi, miało to związek z długimi włosami, wąskimi ramionami, kształtnymi piersiami, figlarnym spojrzeniem, wszystkie one stawały się wielkie i rosły w siłę. Były wszędzie. W kawiarniach. W sklepie. Na Facebooku. Na ulicy. Na siłowni. W lesie. W falach. I wszystkie były tą jedną jedyną, a Siri ciałem wśród innych ciał. Siri przelatywała wzrokiem po ich twarzach i ciałach, najpierw kompletnie zdruzgotana (zdradzona, oszukana, zastąpiona, wyretuszowana, odcięta), później ciekawa (jeśli on może na nie patrzeć, to ja też), a z czasem chciwa i bezwstydna.

A gdyby powiedziała o tym Jonowi, to mogłaby być może oświadczyć:

Chcę zobaczyć to, co ty widzisz, odkryć to, co odkrywasz, co sprawia, że one stają się tą jedną jedyną, chcę, żebyś się ze mną nimi podzielił, chcę je rozbierać, gładzić po miękkiej skórze, rozrywać, zatapiać się w nie i słuchać, jak wymawiają twoje imię, moje imię, myślę o wszystkim, czym jesteś, wszystkim, co możesz mi pokazać, i wszystkim, co chcę z tobą robić, chcę patrzeć, jak upadają, czuć to, co ty czujesz, kiedy patrzą na ciebie, kiedy patrzą na mnie.

Gdyby się zastanowił, chociaż ostatnio najchętniej tego unikał, i tak nie potrafiłby powiedzieć, kiedy dokładnie on i Siri zaczęli sypiać osobno. Ona w sypialni, on na poddaszu. To oddzielne sypianie było rozwiązaniem tymczasowym, mówili sobie, że to z uwagi na dzieci, co po części było prawdą. Alma co noc przychodziła do ich łóżka i przytulała się do Jona. *Obejmij mnie! Pogłaszcz mnie po plecach! Przytul!*

– Niewykluczone – stwierdził Jon – że nie mogę pisać, ponieważ w zasadzie w ogóle nie śpię w nocy, kiedy Alma przychodzi do naszego łóżka.

Siri odwróciła się do niego.

– Ona nie tylko *ciebie* budzi, Jon – powiedziała. – Nie chce leżeć tylko przy *tobie*. Dziś w nocy tuliła się do mnie, a ty chrapałeś. I tak naprawdę to *ty* nie dawałeś mi zasnąć. Nie Alma. Jon, biedaczysko, które nie może spać, myślałby kto.

Głos miała przenikliwy.

– Posłuchaj siebie, Siri – odparował Jon.

– Nie, *ty* siebie posłuchaj! Czy *ty* się w ogóle zastanawiałeś nad tym, że to ja z nas dwojga pracuję i zarabiam pieniądze, żebyś *ty* mógł pisać tę swoją cholerną książkę. Albo jej nie pisać.

I tak to się ciągnęło.

Niedługo po tym, jak Liv nauczyła się chodzić i przestała sypiać w łóżeczku ze szczebelkami, ona również zaczęła pojawiać się w ich sypialni, ale nie stawiała żadnych wymagań co do obejmowania i głaskania. Przychodziła po ciemku, wdrapywała się na Siri, Almę i Jona i kładła w poprzek łóżka, wszystkich ich spychając. Nie prosiła o pozwolenie, nie chciała przytulania ani gładzenia, chciała tylko spać, ale to ona zajmowała najwięcej miejsca w łóżku. Tak mijały noce. Wszyscy, z wyjątkiem Liv, która spała nieprzerwanie, budzili się i zasypiali, budzili się i zasypiali. Jon odrywał od siebie rękę Almy i układał ją wzdłuż jej boku, a ona zaraz znów się do niego przysuwała i zarzucała mu rękę na szyję, Siri kładła głowę Liv na poduszce, delikatnie przesuwając jej nogi w odpowiednią stronę, ale ona znów się rozkładała w poprzek.

W te nieliczne noce, kiedy mieli łóżko dla siebie, w te noce cudów,

gdy dzieci spały we własnych łóżkach, Jon wyciągał ręce do Siri, ale ramiona miał za krótkie, a ona się nie ruszała, i tak leżeli, balansując, każde po swojej stronie. Siri mówiła: *Ja chcę tylko spać. Tak cię proszę. Zostaw mnie.*

Przypominali sobie nawzajem, że sypianie osobno to tylko tymczasowe rozwiązanie, i często rozmawiali o tym, jak znów będą spać razem.

Siri wieczorem, przed pójściem spać, przenosiła dzieci do małżeńskiego łóżka i kładła je po stronie Jona.

– Dzięki temu nie będą mnie budzić w nocy – mówiła i zamykała drzwi.

Jon nie protestował. To było jak prezent, który jej dawał. Jeszcze jedna noc bez niego. I jeśli tylko za dużo nie rozmyślał, było dobrze. Przecież wkrótce znów będą spać razem.

– Tyle mam do zrobienia – mówiła Siri. – Z niczym nie mogę nadążyć.

Początkowo zanosila jego kołdrę na poddasze i ścieliła mu, jakby był królem, a Jon znosił kołdrę rano następnego dnia i układał na małżeńskim łóżku. Po pewnym czasie przestała mu ścielić, tylko wносиła kołdrę na schody, żeby sam mógł ją zabrać na poddasze.

Czasami wysyłali sobie SMS-y.

Myślę o Tobie. Brak mi Ciebie.

Tęsknię za Tobą.

Nie odchodź ode mnie.

Śpij dobrze.

Całuję.

A któregoś wieczoru zrobiła zdjęcie szklanki z wodą na nocnej szafce i mu je przesała.

Już dawno nie spali razem, dawno nie leżeli obok siebie i nie opowiadali sobie historii, a Jon przysłał jej zdjęcie fragmentu swojej poszewki na poduszkę. Dzień później ona mu wysłała fragment dziecinny rysunku (Almy? Liv?), który leżał w szufladzie nocnej szafki, a on wtedy wysłał jej fotografię supła na końcu sznurka do rolet w pokoju na poddaszu. Siri wysłała mu zdjęcie jasnych loków Liv na poduszce w zwierzątku z bajkowego lasu Hakkebakkeskogen,

a on zrewanżował się zdjęciem ich obojga w młodości. Ona wysłała zdjęcie swojej lewej ręki, bez obrączki na serdecznym palcu, bo zawsze wieczorem zdejmowała obrączkę, a następnego dnia rano traciła czas na jej odnalezienie (szukała przy umywalce w łazience, na nocnej szafce, obok łóżka w pokoju Liv. Może ją zdjęła, kiedy czytała jej bajkę na dobranoc?). On zrobił zdjęcie jej obrączki leżącej na komodzie w pokoju na poddaszu, zostawiła ją tam, kiedy zaniósł mu kołdrę i ścieliła łóżko. Ona wysłała mu zdjęcie zardzewiałych zawiasów okiennych, on jej – korka z butelki po winie, nie wiedziała, że otworzył już drugą tego wieczoru butelkę barolo, nie wiedziała, że nie jest jedyną, do której śle SMS-y w nocy, nie wiedziała, że następnego dnia rano musiał brać się w garść, żeby nie krzyczeć na nią, na dzieci i tym samym nie wzbudzać podejrzeń, że za dużo pije, najgorszy był kac, nie wiedziała nawet, że to zdjęcie korka od wina, to mogło być cokolwiek, bo w ciągu tych długich miesięcy, podczas których przesyłali sobie nocą zdjęcia, wypracowali pewne niewypowiedziane zasady, między innymi nie pytali, co jest na zdjęciu.

Siri wysłała mu zdjęcie maleńkiej plamki wielkości łebka od szpilki otoczonej czymś, co może było skórą. Początkowo myślał, że ta brązowa plamka to pieg. Poczł się szczęśliwy. Siri miała piegi na ramionach, w każdym razie miała je dawniej. Patrzył na zdjęcie. Coś brązowego. Coś, co wyglądało jak skóra. Może pieg.

Raz napisał esej o młodej Mariel Hemingway. O scenie z filmu *Manhattan*, na której pije milkshake'a, a Woody Allen z nią zrywa. *Gee, now I don't feel so good*¹⁸, mówi Mariel. Jej spojrzenie. Jej młodość. Jej powaga. I jego kompletne zaskoczenie. Zaskoczenie Woody'ego Allena, który w filmie nazywa się Isaac. Filmie o tym, że miłość istnieje.

Kiedy Siri przeczytała esej, powiedziała:

– Ale to przecież końcówka robi wrażenie, Jon, końcówka filmu, ostatnia kwestia Mariel. Ona wyjeżdża. Na długo. On nie chce, żeby wyjeżdżała, ale jest już za późno. A ona mówi głosem kobiety-dziecka: *You got to learn to have some faith in people*¹⁹.

Jon wysłał jej więc zdjęcie okładki *Manhattanu*.

Kasety wideo leżały na poddaszu w stosach. Nie potrafili się ich pozbyć, kiedy nadeszły czasy DVD, byli tacy dumni ze swojej kolekcji, dlatego Jon zaproponował kiedyś, żeby przewieźli je do pracowni na poddaszu w Mailund i tam przechowywali razem ze wszystkimi płytami gramofonowymi, książkami i resztą przedmiotów-duchów.

Siri wysłała mu zdjęcie swojej prawej dłoni, czasami skarżyła się na swoje dłonie, że są suche i sinawe jak pleśń, że skórki przy paznokciach jej pękają, a dłonie puchną i bolą. Na swojej nocnej szafce trzymała słoiczek z drogim pachnącym kremem do rąk, którym co wieczór nacierała dłonie. Czasami tęsknił za zapachem jej rąk wieczorem, a którejś nocy wysłała mu zdjęcie słoiczka z kremem.

Na to Jon zrobił zdjęcie swojej twarzy, wysłał je, a pod zdjęciem napisał:

Czy mogę przyjść spać u Ciebie? Tęsknię za Tobą. Mogę Ci opowiadać historie.

Ale Jon nie dostał odpowiedzi. Odczekawszy chwilę, wypiłszy trochę więcej whisky – przerzucił się na whisky, bo od czerwonego wina bolała go głowa – poszukawszy i znalazłszy Steva'a Forberta na YouTube, posłuchawszy Steva'a Forberta na YouTube, wypiłszy jeszcze trochę whisky, sięgnął po komórkę i wysłał kolejnego SMS-a.

Nie możesz mi odpowiedzieć? Chcę być przy Tobie. Nie chcę więcej spać tu, na poddaszu.

Zapatrzył się w sufit. Odpowiedzi nie było. Niech ją diabli! Dlaczego nie może być prosto? Dlaczego leżał tu, na poddaszu, wyrzucony? Dlaczego nie mogli położyć się do jednego łóżka i uprawiać seksu? Czy to nie jest rozsądne życzyć sobie odrobiny zwykłej czułości, bliskości i kontaktu cielesnego? Dlaczego rozmowa zawsze musi dotyczyć wszystkiego innego, tylko nie seksu, wszystkiego tego, co musi się wydarzyć *przed* seksem, chociaż rozmawiali o seksie? Na przykład prac domowych. Odpowiedzialności. Powinien bardziej poczuć się do odpowiedzialności. Uczuć. Brakuje mu empatii. Nie mogła mu ufać. Nie bardzo widział związek. Dzieci. Zameęczały ją. Pracy. Była przepracowana. Finansów. Nigdy nie skończy tej książki. Nie mogli żyć tylko z jej dochodów. Musi znaleźć sobie pracę, jak wszyscy inni pisarze, którzy nie zarabiają na swoich książkach albo którym nie wychodzi pisanie. Któregoś dnia powiedziała wręcz:

– Musimy wypracować równy podział obowiązków i przywilejów.

– Okej – odparł. A potem zaczął krzyczeć: – Ile kosztuje jeden numerok? Powiedz mi, to zapłacę! Odkurzenie całego domu? Obiad codziennie? Ośmiogodzinny dzień pracy? Mam napisać bestseller? Sortować śmieci? A może przy następnych wyborach samorządowych mam zagłosować na Partię Pracy? No powiedz, ile kosztuje jeden numerok z tobą?

Spojrzał na komórkę. Odpowiedzi nie było. Niech ją diabli. Napisał kolejnego SMS-a. Tym razem do Karoline.

Wyjeżdżam na kilka dni pisać, do domku letniskowego znajomych w Sandefjord. Możesz przyjechać? Tęsknię za Tobą.

Odpowiedź przysłała szybko.

Kiedy?

Właściwie nie sądził, że wyjedzie gdzieś pisać, a przynajmniej nie teraz, może po Wielkanocy, a już na pewno nie myślał o zabraniu ze sobą Karoline, była pozbawiona wdzięku, nudziła go, zamierzał zakończyć ten trwający od blisko roku romans, którego miał już serdecznie dość, a to się wiązało z pewnymi problemami, bo Karoline i Kurt byli przecież bliskimi przyjaciółmi.

Kiedy zaproponowano mu skorzystanie z domku w Sandefjord, myślał o tym, że dobrze będzie pobyć trochę w samotności, bo potrzebował długiego odcinka czasu. Zamknięcia się. Bez przerywania. Z odpowiednią ilością whisky. Sam. Bez Siri. Bez dzieci. Bez psa. Wypił łyk i napisał:

Za dwa tygodnie. Dasz radę się wyrwać?

Odpowiedziała szybko. Wszystkie szybko odpowiadały. (Z wyjątkiem Siri, która leżała w małżeńskim łóżku i zwlekała). Wyobrażał sobie całe miasteczko cierpiących na bezsenność samotnych kobiet, które spędzały noc ze swoimi komórkami, pisząc do niego. Ta myśl dodawała otuchy i przygnębiała zarazem. Komórka pisnęła.

Kurt za dwa tygodnie wyjeżdża do Stanów =), więc myślę, że się da. Porozumiem się z matką w kwestii opieki nad dziećmi.

Jon wpatrywał się w SMS-a od Karoline. Ile ona właściwie ma lat? Policzył na palcach. O dwa lata młodsza od niego. Czterdzieści dziewięć? I ozdabia swojego SMS-a śmieszkiem, jakby była dziewczynką z mysimi ogonkami? Mała Lolita. Mały kociak. Roześmiał się głośno. To było okropne. *Śmieszek*. Nie dość, że pozbawiona wdzięku, to jeszcze głupia jak but. Napisał:

Nie chcę nigdzie z Tobą jechać ani więcej z Tobą rozmawiać. Nie masz odrobiny wdzięku, jesteś żalosna, śmieszna, brzydka i nudna, nienawidzę się z Tobą kochać, nienawidzę Twojej zwiędłej cipki, śmierdzisz i przypominasz mi o wszystkim, czym gardzę w sobie i w całym cholernym świecie. =) Jon

Przeczytał to jeszcze raz. Najprawdziwsza prawda! Wcisnął delete. Zresztą wszystko jedno. Dlaczego nie pojechać do Sandefjord z Karoline? Równie dobrze mógł pojechać do Sandefjord z Karoline, jak nie jechać. Karoline przynajmniej chciała się pieprzyć.

Przynajmniej chciała jego. Komórka znów pisnęła. Widać Karoline nie traci zapachu. Spojrzał na SMS-a.

Jon, zastanowiłeś się nad tym, że wszystko, co robisz, ma konsekwencje? Zawsze.

Wzdrygnął się. Co jest, do cholery? Czyżby jednak wysłał do Karoline SMS-a o zwiędłej cipce? Spojrzał na butelkę whisky. Cholera, co on narobił? Zaczął się pocić. Sprawdził wiadomości wysłane. Nie, nie wysłał. Sprawdził wiadomości usunięte. Znalazł tego SMS-a. Nie wysłał go. Skasował go jeszcze raz, po tym jak twierdząco odpowiedział na pytanie komórki, czy na pewno chce go usunąć. Spojrzał na wiadomość, która przyszła przed chwilą.

Jon, zastanowiłeś się nad tym, że wszystko, co robisz, ma konsekwencje? Zawsze.

Sprawdził numer, z którego wysłano wiadomość. Nie rozpoznał go. Czyżby Siri wysłała mu SMS-a z innego telefonu? Z telefonu, o którym nie miał pojęcia? Czyżby go przejrzała? Whisky podeszła mu do gardła, musiał zasłonić usta ręką, żeby nie wymiotować. Czuł w ustach smak krwi i żółci. Zaczął oddychać. Wdech i wydech. Wdech i wydech. Wdech i wydech. W porządku. Nie będzie wymiotował. Nie umrze. To przecież nic takiego. Przecież był tutaj. U siebie w domu. Nie w żadnym innym miejscu. Ale czy Siri w taki czy inny sposób włamała się do tej jego nocnej wymiany SMS-ów i przysłała mu wiadomość z komórki, o której istnieniu nie wiedział – i dlaczego miała komórkę, o której nie wiedział? Wstukał numer na stronie informacji telefonicznej, ale nic nie znalazł. Za chwilę przyszła nowa wiadomość.

Wszystko, co robisz, ma konsekwencje. Zawsze. Zawsze. Zawsze. Zawsze.

Głęboko odetchnął i napisał:

Kim jesteś?

Nie musiał czekać długo.

Wiem, kim jestem ja, i wiem, kim jesteś Ty. Nie powiedziałaś wszystkiego, co wiesz o tym, dlaczego zniknęła. Pozdrowienia, Amanda

A potem jeszcze jeden SMS:

Jestem matką Mille, ale to może już zrozumiałeś.

Od jej zniknięcia minął prawie rok. Latem 2009 Jon i Siri z dziećmi spędzili w Mailund dokładnie cztery dni, po czym spakowali wszystkie swoje rzeczy i wrócili do Oslo. Jenny i Irma siedziały po nocach, piły czerwone wino i nie chciały mieć do czynienia z resztą rodziny. Obie panie przebywały albo w części domu należącej do Jenny (na piętrze), albo w części domu należącej do Irmy (w mieszkaniu w suterenie), a kiedy Liv nie mogła przestać płakać po tym, jak pewnego dnia, wcześniej rano, pod koniec czerwca natknęła się w kuchni na pijaną w sztok Jenny, Siri oświadczyła, że dłużej tu nie zostanie. Mogli jedynie wyjechać. Cały dom przypominał o Mille. To był prawdziwy powód, chociaż nikt o tym nie mówił. Jej zaginięcie było wszędzie. W kuchni, w łazience, na kanapie i w kanapowych poduszkach, wzdłuż listew przypodłogowych, w futrynach, w aneksie, w łące za domem, w warzywniku, pod klonem, w bikini w czarne kropki. W białej rabacie.

Ta biała peonia, którą wpięłaś we włosy, pochodzi z mojej rabaty. W ten sposób ją niszczysz.

Siri spytała Pieprza, szefa kuchni w restauracji w Oslo, czy nie miałby ochoty przyjechać tego lata na południe i przejąć całe Gloucester MA. Sama w tym czasie zajęłaby się kuchnią w Oslo, a do Kajsy Tinnberg dalej należałyby wszystkie sprawy praktyczne. Jej propozycja sprowadzała się więc do zamienienia się z Pieprzem rolami. Pieprz chętnie się na to zgodził.

A co z Jonem? No, on przeznaczył lato na pisanie, i teraz nie było już od tego odwrotu. Teraz miała powstać książka! Jon odbył owocne spotkanie z redaktorką w wydawnictwie, Gerdą, i z szefem wydawnictwa, Julianem. Wszyscy się zgadzali, że spotkanie można nazwać owocnym. Wypili nawet butelkę wina, ponieważ umówili się w piątkowe popołudnie w Barze Bibliotecznym w Bristolu. Wszyscy byli zgodni co do tego, że trzeci tom trylogii ukaże się w połowie października 2009 roku, wobec tego musi zostać oddany najpóźniej w połowie sierpnia.

– Niemoc twórcza czy nie, książka musi się ukazać – oświadczył Jon i głośno się roześmiał. O wiele głośniej niż Gerda i Julian. Chciał im pokazać, że naprawdę potrafi żartować ze swojej niemocy

twórczej i całej tej nieprzyjemnej sytuacji ciągnącej się przez ostatnie lata, a mianowicie tego, że po pierwsze: był winien wydawnictwu mnóstwo pieniędzy, po drugie: nie składał maszynopisu.

W ciągu zimy i wiosny faktycznie trochę mu się poluzowało. Spędził dwa przyjemne tygodnie w Sandefjord. Siedział tam, patrzył na morze i rzeczywiście całkiem sporo napisał, pomimo że Karoline przyjechała w pierwszy weekend i chciała rozmawiać o ich związku. Stwierdziła, że zaczęła się zastanawiać, czy nie powinna powiedzieć o wszystkim Kurtowi, na co Jon stwierdził, że z całą pewnością nie powinna. Jon miał Siri, a Karoline miała Kurta, wszyscy byli przyjaciółmi, więc nie mogła teraz tego popsuć, potasować kart, czy jak należałoby to nazwać. Właściwie chciał całkiem z nią zerwać, ale nie potrafił się przemóc, żeby to zrobić.

A wiadomości tekstowe od matki Mille dalej przychodziły, czasami w odstępach kilkumiesięcznych, czasami co kilka dni. Najczęściej pojawiały się właśnie wtedy, kiedy akurat udało mu się o wszystkim zapomnieć.

Dzisiaj są jej urodziny. Kończy dwadzieścia lat. Chodzę po mieszkaniu i jej szukam. A.

Prawie nie możemy o niej rozmawiać. A.

Czy Ty czegoś nie chcesz powiedzieć, Jon? Czy Ty i Siri czegoś nie mówicie? A.

Raz jej odpowiedział, spytał, czy nie umówiliby się gdzieś na kawę, żeby porozmawiać, ale poczuł ulgę, kiedy się nie odezwała.

Jon wyobrażał sobie, że lato spędzi w Mailund i skończy książkę, więc kiedy Siri nagle, zaledwie po czterech dniach, zmieniła wszystkie plany, a poza tym podjęła się niezmiernie czasochłonnej roli szefowej kuchni we własnej restauracji w Oslo, miał wrażenie, że to koniec z pisaniem. Przynajmniej w lipcu. To on musiał w głównej mierze

zająć się dziećmi. Wymyślać, co można robić w stolicy podczas wakacji. Wszystko to usiłował wytłumaczyć Gerdzie, kiedy zadzwonił do niej w sierpniu i powiedział, że nie ma jej do pokazania zbyt dużo nowego i jeszcze raz musi prosić o przełożenie terminu. Gerda obiecała się nad tym zastanowić, ale Jon zauważył, że właściwie nie miała czasu na słuchanie wszystkiego tego, co mówił o Siri, restauracji, dzieciach, stolicy, wakacjach i tak dalej. Przez telefon Gerda była bardzo lakoniczna.

W październiku Jon pojechał do Mailund, by samemu czyścić rynny. Nigdy wcześniej nie czyścił rynien, ale zdarzyła się dziwna rzecz – Irma zadzwoniła do niego na komórkę z pytaniem, czy przypadkiem nie miałby czasu przyjechać do Mailund i wyczyścić rynien. Oczywiście Jon zdziwił się, że Irma kontaktuje się z nim w jakiegokolwiek sprawie, nigdy wcześniej nie rozmawiali przez telefon, w ogóle nie zamienili zbyt wielu słów, chociaż przez tyle lat spędzali letnie miesiące pod jednym dachem. Ona jednak mieszkała w suterenie, a on na strychu, i ani jedno, ani drugie nie miało potrzeby przebywania ze sobą. No ale teraz: rynny.

– Dlaczego dzwonisz w tej sprawie do mnie? – spytał Jon.

– No, bo Ola był tu i powiedział, że musimy wyczyścić rynny – odparła Irma.

– A Ola nie może tego zrobić? Albo na przykład ty?

– Ola jest za stary, a ja za duża i za ciężka, poza tym mam lęk wysokości. Nie znam się na rynnach.

– Prawdę mówiąc, ja też nie – stwierdził Jon.

– Ola mówi, że w rynnach leżą liście, gałązki i inne rzeczy, a jak to wszystko zamarznie na lód, to rynny mogą popękać, kiedy wiosną przyjdzie odwilż.

Siri zdecydowała, że Jon *musi* jechać. To próba zbliżenia podjęta przez Jenny i Irnę. Takiej próby nie wolno im zignorować. Siri bała się, że matka pewnego dnia nagle spocznie na łożu śmierci, a ona nie będzie mogła tam być i... no właśnie, *być tam*, to się może zdarzyć w każdej chwili, zważywszy na to, ile mama pije i jak się wygłupia.

Jon wstukał więc w Google: *czyszczenie rynien*, a potem pojechał do

Mailund, nocował na poddaszu i wyczyścił rynny tak dobrze, jak potrafił, a skoro już i tak tam był, Irma spytała, czy nie pomógłby jeszcze przy kilku drobiazgach. Został trzy dni, ale Jenny i Irme niewiele widywał, co bardzo mu odpowiadało. Między tymi wszystkimi praktycznymi zajęciami udało mu się nawet napisać kilka stron na poddaszu, i pomyślał, że miło jest trochę się oderwać. Od czasu do czasu wyglądał przez okno na poddaszu, patrzył na łąkę, rano pokrytą szronem, i zdarzało się, że myślał wtedy o Mille. Ale nie chciał myśleć o Mille. Nie chciał myśleć o Mille i nie chciał myśleć o liście do rodziców Mille, którego nigdy nie napisał, a już na pewno nie chciał myśleć o tym, że może mógł ją uratować tamtego wieczoru, gdyby się z nią spotkał, tak jak proponowała.

Włóż się dziś wieczorem po ulicach, gdybyś miał ochotę zerwać się z przyjęcia i wypić ze mną kieliszek wina.

Ostatniego wieczoru wybrał się z Leopoldem na długi spacer w stronę przystani i sklepu. Zwykle chodzili do lasu, ale Jon chciał kupić parę butelek piwa i orzeszki. Wieczory były już ciemne i mało brakowało, a on i Leopold zderzyliby się z dziesięcioletnim chłopcem, który pędził w ich stronę na rowerze.

– Hej, ty! – zawołał Jon. – Musisz trochę uważać!

Chłopiec, który miał na imię Simen, zatrzymał się i rozejrzał.

– Pan jest Jon Dreyer – powiedział, nie reagując na podjętą przez Jona próbę zwrócenia mu uwagi surowym głosem. – To pan jest pisarzem, prawda?

– Owszem, zgadza się. – Jon się roześmiał. – A skąd o tym wiesz? Nie przypuszczam, żebyś czytał moje książki.

– Nie, nie czytam – odparł Simen. – Mój tata też nie. Próbował przeczytać jedną, ale powiedział, że jest nudna. Mój tata lubi książki o rzeczywistości. Za to moja mama pana lubi. Przeczytała wszystkie pana książki. Chociaż pan dawno nie napisał żadnej nowej, tak mówi mama. W Oslo chodzi na spotkania grupy czytelniczej razem z pięcioma innymi paniami i raz chyba omawiały jakąś pana książkę. Mówiła o panu, bo pan latem mieszka w Mailund. Jest pan kimś w rodzaju sąsiada. Pan jest ojcem Almy, prawda?

Jon kiwnął głową.

– Alma się mną opiekowała, kiedy byłem młodszy. Ale to już dawno temu...

– No tak. Chyba sobie ciebie przypominam.

– Ale w tym roku was nie było.

– No nie – przyznał Jon. – Byliśmy cztery dni, a potem...

Urwał. Nie miało sensu tłumaczyć się przez cały czas, a już na pewno nie temu chłopcu. Pisnęła komórka, więc Jon po nią sięgnął.

Ona miała tyle planów. A.

– Ja kibicuję Liverpoolowi, a pan?

Jon schował komórkę do kieszeni.

– Ja też kibicuję Liverpoolowi, chociaż ostatnio trochę przestałem być na bieżąco.

Simen w trakcie tej rozmowy cały czas jeździł wokół Jona. W koło, w koło, w koło. Poruszał się na rowerze z taką samą łatwością, jak mówił, a nawet większą niż mówił, jeżeli w ogóle nie było tak, że mówił przez ten rower, oddychał przez rower, że on i rower stanowili jedność. Tak właśnie musiało być. Jon ruszył przed siebie, a Simen i rower krążyli wokół niego, sunąc w dół drogi.

– No i pewnie zna pan Irmę – powiedział Simen.

Jona zaskoczył kierunek, jaki przyjęła ta rozmowa, ale potwierdził, że owszem, zna Irmę, bo przecież Irma mieszka z Jenny w Mailund.

– Raz na mnie syczała – ciągnął Simen. – Nie zrobiłem w ogóle nic złego, tylko jechałem rowerem tak jak teraz, nawet się do niej nie zbliżyłem, a ona nagle złapała za kierownicę i zaczęła na mnie syczeć.

Simen wyciągnął rękę i chwycił Jona mocno za ramię, żeby pokazać, jak to się odbyło.

Jon z namysłem pokiwał głową.

– Przecież mogłem spaść z roweru – zauważył Simen.

– Może się przestraszyła? – podsunął Jon. – Może myślała, że chcesz ją rozjechać?

Simen pokręcił głową.

– Nie, na pewno się nie bała.

Simen i rower trochę pojeździli na jednym kole, może po to, żeby odzyskać pełną uwagę Jona.

– Zauważył pan, że ona świeci? – spytał Simen.

- Świeci? – zdziwił się Jon. – Co masz na myśli?
- Świeci w ciemności. Nie wiem, jak mam to wytłumaczyć. – Wykręcił wokół Jona idealne kółko. – To pan jest pisarzem – dodał. – Niech pan to wytłumaczy.
- Czasami sobie myślałem – zaczął Jon – że ona ma anielską twarz. Może właśnie przez to świeci, jeśli rzeczywiście tak jest. Kojarzyła mi się z aniołem Urielem na obrazie *Madonna w grocie* Leonarda da Vinci.
- Irma nie przypomina anioła – przerwał mu Simen wyraźnie zirytowany tym, że Jon mógł zaproponować coś tak nieprecyzyjnego.
- Przecież ona jest taka wielka. Musi chyba być największą kobietą w Norwegii. Jest wyższa od Petera Croucha.
- A kto to jest Peter Crouch? – spytał Jon.
- Simen gwałtownie zahamował i spojrzał na niego.
- Wydawało mi się, że pan kibicuje Liverpoolowi.
- Powiedziałem, że owszem, kibicuję Liverpoolowi, ale przestałem już być na bieżąco. Peter Crouch gra w Liverpoolu?
- Nie – westchnął Simen. – Jest teraz w Spurs, ale *grał* w Liverpoolu. *He's big, he's red, his feet stick out of the bed*²⁰, jasne?
- Jon pokręcił głową.
- On jest *bardzo* wysoki, tak jak Irma.
- No tak, mówiłeś. A ja się z tobą zgadzam, że Irma jest bardzo wysoka. Ale mimo to uważam, że ma anielską twarz, bo anioły niekoniecznie muszą być małe i słodkie. Takie jak na choince. Co ty na to, Simen?
- Chodzi o to, że ona świeci! A ja chcę wiedzieć, czy pan to zauważył.
- Że świeci czymś w rodzaju wewnętrznego światła, to masz na myśli? – spytał Jon niepewnie.
- Nie, nie to mam na myśli – odparł Simen. Chwilę się zastanawiał.
- Ona świeci po ciemku. Ja to wiem. Widziałem. Jakby przed chwilą połknęła połykacza ognia.
- Jakby przed chwilą połknęła połykacza ognia – powtórzył Jon.
- No właśnie. Właśnie tak było.

V

Pierwsza na zegarze, omlet już się smaży

Ostateczna starość przyszła szybko i skutecznie. Kto by pomyślał, że księgarka Jenny Brodal w sile wieku straci mowę i rozum?

W pewien wczesnowiosenny dzień w roku 2010, prawie dwa lata po zniknięciu Mille, w drodze do fryzjera Jenny poślizgnęła się na lodzie (może była po prostu pijana?) i złamała biodro. *Jak jakaś starsza pani!* Została skazana na wózek i zaczęła opowiadać stale te same historie, ludzie przestali ją odwiedzać, a z czasem przestali też dzwonić. W końcu straciła rozum, leżała w łóżku i bredziła. Nie miała demencji, tak stwierdził lekarz, który kilkoma odpowiednio wyważonymi słowami usiłował wyjaśnić Siri, dlaczego jej matka w wieku prawie siedemdziesięciu siedmiu lat stała się taka, jaka się stała. Stan Jenny wynikał z licznych mikroudarów.

Olbrzymka Irma sama mianowała się pielęgniarzką śmierci i zdecydowała, że najwyższa pora zamknąć drzwi i odciąć się od wszystkich, również od Siri. Oświadczyła, że historia o Jenny Brodal w roli bezradnej starej wariatki nie będzie opowiadana szerszej publiczności.

– Niektóre historie należy zachować w tajemnicy.

Siri stała w ogrodzie i patrzyła na duży biały dom. Olbrzymi klon na podwórzu zaczął próchnieć i przy każdej kolejnej wichurze odrywały się i spadały na ziemię wielkie gałęzie.

– Ona cię tu nie chce! – oświadczyła Irma. A potem powtórzyła to jeszcze raz, trochę ciszej: – Ona cię tu nie chce, Siri.

Siri odepchnęła Irmę na bok i weszła do kuchni. Ciężko usiadła na krześle.

– To dom mojego dzieciństwa, Irmo. I moja matka.

Na środku kuchennego stołu Irma umieściła różową elektroniczną nianię. Urządzenie było włączone. Trzeszczało. Siri na nie wskazała.

– Co to jest?

– To po to, żebym ją słyszała – wyjaśniła Irma. – Gdyby czegoś

potrzebowała. Noszę tę nianię po całym domu.

Siri pokiwała głową.

– To duży dom – dodała Irma.

Siri znów pokiwała głową.

Elektroniczna niania zaczęła wyć. To Jenny krzyczała. Cienkim głosem.

– Chyba do niej pójde – stwierdziła Siri. – Przecież ona leży i krzyczy.

– Cały czas wydaje jakieś dźwięki. Nie wychodzi jej.

– Co jej nie wychodzi?

– Nie wiem. Bez względu na to, co to jest, i tak jej nie wychodzi. Wtedy się irytuje. Ale nie chce, żeby jej przeszkadzać. A ty nie pójdziesz na górę. Ona sobie nie życzy... – Irma wstała z krzesła. – Ona cię nie chce widzieć, Siri! Obiecałam, że cię do niej nie dopuszczę. Wracaj do domu!

Irma pomaszerowała na górę, Siri za nią. Po niekończących się schodach. Irma się odwróciła.

– Wracaj do domu, Siri. Nie jesteś tu mile widziana.

Otworzyła drzwi do pokoju Jenny i Siri zdążyła zobaczyć łóżko, zdążyła zobaczyć swoją matkę, zdążyła zobaczyć zwiędłe siwe włosy na poduszce, zanim drzwi się przed nią zatrzasnęły i od środka przekrecono klucz. Siri stała. Na pewno powinna zacząć walić w drzwi. Na pewno powinna wołać i krzyczeć, ale tego nie zrobiła.

Siri i Jenny siedziały albo leżały w wielkim podwójnym łóżku Jenny, a długie bujne włosy Jenny (jaśniejsze niż Siri) osłaniały je obie jak jedwabna kurtyna. Głos Jenny był mroczny, chłodny, z kroplami ciężkiego snu.

– Och, Księżna, Księżna! *Ileż* okrucieństwa okaże, jeśli kazałem jej czekać na siebie!²¹

Jenny miała miękką skórę, tak miękką, że można się było wtulić w jej ciało, wepchnąć nos między piersi, a czasami, gdy Siri tak leżała, Jenny łaskotała ją w kark. I tak przyjemnie pachniała. Perfumy nazywały się L’Air du Temps.

– Ale jeżeli nie jestem sobą, następne pytanie brzmi: Kim, na Boga, jestem? – czytała Jenny. – Ach, *oto* wielka zagadka²².

Od czasu do czasu pozwalała Siri wyszczotkować sobie włosy. A od czasu do czasu pożyczła jej swoją szminkę. Raz, kiedy Siri miała siedem lat, wysmarowała sobie szminką całą buzię, a Jenny się śmiała i też wysmarowała szminką całą twarz.

Ale głos Jenny potrafił się szybko zmieniać. Leżały razem w łóżku, Jenny czytała Siri i nagle przestawała czytać, podnosiła głowę znad książki, jakby coś nią szarpało. Głos wciąż miała mroczny i chłodny, ale pojawiało się w nim również coś zimnego i ostrego, co odpychało sen.

– Siri, nie słuchasz. – Rzuciła książkę na nocny stolik i odwracała się do okna. Na dworze było ciemno.

To się działo tak szybko, Siri nigdy, nigdy, nigdy nie była przygotowana, nigdy się nie nauczyła. Tego, że Jenny nagle znika. No i matka miała rację. Siri nie słuchała. Gdyby Siri słuchała, zachowywała czujność, ludzie by nie znikali. Ale Siri nie potrafiła nikogo zatrzymać. Ani Syvera, ani Jenny. Jenny najbardziej nie znosiła, kiedy Siri nie słuchała, i za karę przyciągała do siebie rękę, przyciągała do siebie swoją skórę, przyciągała do siebie swoje włosy. Siri dalej leżała w podwójnym łóżku, chuda, dziwna, z rękami i nogami sterczącymi na wszystkie strony, i mocno zaciskała oczy. Gdyby je otworzyła, wszystko to, co się działo, całe to cofanie się ciała Jenny, stałoby się rzeczywiste i nieodwołalne.

Jenny znów do niej mówiła. Miękkim głosem, nie tym groźnym.

Siri już wiedziała, co nastąpi.

– Siri, możesz mi przypomnieć, co Królik powiedział Alicji? I o co mu chodziło?

– Nie pamiętam...

Siri jeszcze mocniej zaciskała oczy.

Dłoń Jenny na policzku Siri. Chłodna dłoń.

– Nie słuchałaś? Spójrz na mnie.

Siri pokręciła głową. Wciąż zaciskała powieki.

– Owszem, słuchałam.

Jenny przyciągnęła rękę do siebie.

– NO WIĘC CO, DO JASNEJ CHOLERY, POWIEDZIAŁ KRÓLIK?!

Siri się rozplakała (płacz nie pomagał, wiedziała o tym, i właściwie nie miała ochoty płakać, miała ochotę powiedzieć Jenny: *zostań ze mną, nie odchodź ode mnie, obejmij mnie, wybacz mi, kochaj mnie*, ale nie znała tego języka. Umiała tylko płakać, chociaż wiedziała, że to w niczym nie pomoże).

Jenny westchnęła.

– To nie ma sensu. Nie mam siły. Przestań płakać.

Wstała z łóżka, zabrała ze sobą jedwabną kurtykę włosów, swój zapach, swoje ciepło, może wróci, jeśli Siri zacznie płakać jeszcze głośniej? Ale ponieważ Jenny nie przychodziła, Siri otworzyła oczy. Jenny stała w drzwiach i już zdążyła włożyć swój zielony jak morze szlafrok. Oczy miała białe. Nie tylko obszar wokół źrenic, lecz również same źrenice. Siri z płaczem powtarzała, że Jenny musi wrócić do łóżka, poczytać jej, połaskotać w kark, że musi słuchać i patrzeć na nią tamtymi drugimi oczami, nie tymi białymi, tylko niebieskimi, aż w końcu Jenny przerwała córce spokojnym głosem, tym bez mroku i bez światła, mówiąc:

– Co wieczór płaczesz, Siri, co wieczór, i prawie co rano, to już siedemdziesiąty tysiąc razy płaczesz, a ja nie mogę się przejmować siedemdziesiąt tysięcy razy, idź do swojego łóżka i zostaw mnie w spokoju.

Codziennie za piętnaście pierwsza Irma wyjmowała Jenny z łóżka. Ściągała jej koszulę nocną przez głowę, obmywała sinobiałe ciało ciepłą, wilgotną ściereczką, a na koniec wkładała jej świeżą nocną koszulę. Potem Irma brała Jenny na ręce i znosiła po schodach, sadzała w wózku i wiozła do kuchni. Parkowała wózek przy kuchennym stole, na którym stawiała talerz z omletem. Zawsze to samo: omlet, keczup i duży kieliszek czerwonego wina.

– Pierwsza na zegarze, omlet już się smaży – mówiła Jenny, uśmiechając się do Siri.

Siri przyjeżdżała do Mailund tak często, jak tylko mogła. Nie poddawała się. Restaurację zostawiała pod opieką Kajsy Tinnberg i w ciągu dwóch godzin pokonywała dystans od szeregowca w Oslo do domu matki. Była wiosna. Alma niedługo kończyła piętnaście lat, Liv jesienią miała iść do drugiej klasy. Było tysiąc rzeczy, które Siri wolalała i powinna zrobić. Ale się nie poddawała. Zawsze to samo: Irma nie chciała jej wpuścić, a Siri ją odpychała. W każdym razie nie mogła pozwolić, żeby Irma odebrała jej dom. Siri wielokrotnie usiłowała zaprzyjaźnić się z Irmą. Raz upiekła bananowe muffinki, jedną ze specjalności serwowanych na brunch w restauracji w Oslo, i przywiozła je do Mailund. A kiedy Irma otworzyła drzwi, Siri uśmiechnęła się i powiedziała:

– Muffinki, bardzo proszę.

Jakby słowo „muffinki” miało wszystko załatwić.

Siri trzymała przed sobą pudełko z bananowymi muffinkami, słodsza wersją *sweet bee banana bread*. Ale Irma burknęła, że mogła to sobie darować.

– Ciągłe tu przyjeżdżasz i tylko przeszkadzasz. Jenny nie chce cię widzieć, a ty wiesz, dlaczego.

Siri wcisnęła jej pudełko do rąk.

– No dobrze, ale upiekłam je dla ciebie i chcę wejść. Nie możesz mnie nie wpuszczać. – Odepchnęła Irmę na bok i weszła do kuchni.

Jenny siedziała na wózku i jadła, blada i wychudzona. Z ust skapywały jej niewyraźne, oderwane od siebie słowa, a czasami zamiast słów pojawiały się banieczki, jakby leżała pod wodą, jakby

mówiła wodnym językiem, wreszcie połączona z ukochanym dzieckiem. Popatrzyła na córkę zamglonym wzrokiem.

– To ty przyszłaś z Syverem? – spytała.

– Nie, mamó. Ja jestem Siri. – Siri usiadła przy stole.

Jenny wzruszyła ramionami.

– Aha – powiedziała. – To ty przyszłaś zabrać mnie na zamek?

Siri wybuchnęła śmiechem. Irma posłała jej rozzłoszczone spojrzenie.

– Dlaczego chcesz iść na zamek? – spytała Siri. – Chcesz oddać swoje medale?

Jenny nie odpowiedziała, tylko zaczęła jeść omlet. Jadła powoli, brudząc przy tym nocną koszulę jajkiem. Po chwili wskazała na Siri widelcem.

– Chcesz?

Siri pokręciła głową.

– Keczup. Próbowowałaś keczupu? – Jenny żuła z otwartymi ustami. – Keczup jest dobry. Na pewno nie chcesz?

Irma usiadła na krześle przy otwartym oknie. Zapaliła papierosa.

– Nie pal w domu – powiedziała Siri. – Wiesz, że ona nie znosi dymu. Gdzie twój snus? Nie możesz go zażyć zamiast papierosa?

– Nie wtrącaj się – odparła Irma.

– Niepojęte, że przeżyłam prawie sto lat, nie znając smaku keczupu – przerwała im Jenny. – Na pewno, ale to na pewno nie chcesz spróbować?

– Nie, dziękuję. A ty wcale nie przeżyłaś prawie stu lat. Masz siedemdziesiąt siedem.

Jenny pokręciła głową, a potem rzuciła się ku Siri i wetknęła jej do ust widelec z omletem i keczupem.

Siri gwałtownie się cofnęła. Widelec dźgnął ją w wargi, poczuła smak krwi i mdły smak jajek z keczupem.

– Dobrze, prawda? – spytała Jenny. – Mówiłam ci, że to dobre.

– Nie, dziękuję, mamó, nie mam ochoty.

– Tu jest więcej. – Jenny znów rzuciła się w przód i wepchnęła jej do ust kolejny kawałek.

Irma zgasiła papierosa w popielniczce i zapaliła kolejnego. Patrzyła

na nie i się śmiała.

– I jeszcze jeden. – Jenny z dumą spojrzała na Irmę.

– To mój młodszy brat! – oznajmiła Siri kobiecie za ladą w cukierni. Powiedziała to również pani w sklepie. Powtarzała to tak często, jak tylko mogła. Młodszy brat. *Mój młodszy brat.* I cały czas trzymała go za rękę, mocno, on się skarżył, *za mocno trzymasz, Siri,* mówił, *boli,* a ona wtedy ścisnęła go za rękę jeszcze mocniej i patrzyła z góry na jego wielką szarą czapkę, śmiała się i mówiła: *Musisz wytrzymać, młodszy bracia muszą wytrzymać to, że starsze siostry trzymają ich mocno za ręce, ale puszczę cię, kiedy już usiądziemy i dostaniemy kakao, bo nie mogę cię trzymać za rękę, kiedy masz pić kakao,* a wtedy Syver się śmiał i mówił, że nie, *nie można pić kakao, jeżeli cały czas będziemy się trzymać za ręce.*

W ogrodzie często stawali zwrócenii do siebie twarzami. Chociaż Syver był o dwa lata młodszy od Siri, niemal zrównali się wzrostem.

Syver pokazywał na głowę Siri i mówił:

– Twoja głowa.

A Siri pokazywała na nos Syvera i mówiła:

– Twój nos.

A Syver pokazywał na szyję Siri i mówił:

– Twoja szyja.

A Siri wskazała na mostek Syvera i powiedziała:

– Twój mostek.

– Co?

– Twój mostek – powtórzyła Siri. – To się tak nazywa. To taki jakby most.

– A co to jest most?

– Czy ty w ogóle nic nie wiesz? – Wskazała na jego mostek i powtórzyła jeszcze raz: – Mostek.

A on wskazał na jej pierś i powiedział:

– Twoje cycki.

Siri przewróciła oczami.

– Ja mam sześć lat. Nie mam cyków. Tylko dorosłe panie mają cycki.

– No dobrze. – Syver wskazał na jej brzuch. – Twój brzuch.

Siri nachyliła się i wskazała na jego kolano.

– Twoje kolano.

A potem nachylili się oboje, złapali się za swoje stopy i krzyknęli chórem:

– Twoje stopy!

Sztuka polegała na tym, żeby zobaczyć, ile razy można to zrobić, nie wybuchając przy tym śmiechem.

Po śmierci Syvera wszystko się odmieniło. Nie było się z kim bawić w tę zabawę. Jenny piła, a Bo Anders Wallin przeprowadził się do Slite i tam otworzył warsztat kamieniarski. Siri sama musiała trzymać wszystko w ryzach. Nie bardzo wiedziała, co znaczy *trzymać w ryzach*. Ale Ola jej powiedział, że to do niej teraz należy *trzymanie wszystkiego w ryzach*, mówił, że to wielkie wymagania wobec małej dziewczynki, ale Siri jest dostatecznie silna, żeby sobie z tym poradzić. Siri się ucieszyła, to było bardzo miłe (choć nie całkiem rozumiała, co to oznacza), Helga najwyraźniej też tak uważała, bo znacząco kiwała głową i głaskała Siri po włosach. A kiedy Siri była w domu, upominała się, że teraz to ona trzyma wszystko w ryzach, nasłuchiwała, zgadywała, patrzyła na Jenny i nauczyła się odczytywać jej znaki: kiedy dobrze jest przynieść biegiem szklanę wody, a kiedy lepiej trzymać się z daleka. Ale bez względu na to, jak nasłuchiwała, zgadywała, uważała, dzieliła się i trzymała wszystko w ryzach, bez względu na to, jak dobrze się nauczyła odczytywania znaków, to i tak w niczym nie pomagało.

Popołudniami przesiadywała u siebie w pokoju, w tym pokoju, w którym bawiła się z Syverem. On zawsze chciał być razem z nią w jej pokoju, a wszystkie zabawki przypominały o Syverze, z wyjątkiem domku dla lalek, mebelków dla lalek i lalek, które zrobił jej Ola. One nie przypominały o Syverze. On i tak nie bawiłby się lalkami. Siri zabrała wszystkie pozostałe zabawki i schowała je do szafy na drugim piętrze, wtedy jej pokój zrobił się pusty, duży i cichy, było w nim mnóstwo miejsca dla domku dla lalek i mebelków dla lalek, potrafiła tam siedzieć godzinami i bawić się, zanim Jenny ją w końcu znalazła.

Raz, kiedy Siri już dawno dorosła, powiedziała do Jona: *Wiem, że ona mnie urodziła, to trwało dwie doby, przeczytałam to w jej dzienniku, ale zwykle powtarzała, że ojciec musiał ją zdradzić z inną kobietą, zanim przyszedłem na świat, i że to na pewno ta kobieta jest moją prawdziwą matką – bo to niemożliwe, żebym była jej córką.*

A teraz siedziała na wózku, zapadnięta w siebie, ze zwieszoną, ciężką głową, z podbródkiem opartym o zagłębienie w szyi, z półotwartymi ustami. Wkrótce miała się rozpaść na kawałki, złamać na dwoje. Siri podeszła blisko i odezwała się do niej:

– Jak się czujesz, mamó?

Nie otrzymała odpowiedzi. Czasami, kiedy Jenny tak siedziała, całkiem cicho, bez ruchu, Siri przykładła ucho do jej ust, by się upewnić, że oddycha. Jenny nie umarła. Ale nie była też żywa.

Zbliżał się koniec kwietnia, Siri w Mailund wyniosła krzesło do ogrodu i usiadła pod wielkim spróchniałym klonem. Jon był w Oslo. Zadzwoił do niej tuż po spotkaniu z Gerdą.

– Upokarzające – powiedział. – Niech ją szlag trafi, niech szlag trafi całe to cholerne wydawnictwo. Zaraz zadzwonię do Erlenda z Gyldendala, pamiętasz, mówił, że w tym wydawnictwie zawsze będę mile widziany.

– To było pięć lat temu – zauważyła Siri cicho.

– Niech cię szlag trafi, Siri! Ty też zaczynasz?

– Chodzi mi tylko o to, że o przejściu do Gyldendala rozmawiałeś z Erlendem już dawno, a teraz najważniejsza jest nie zmiana wydawnictwa, tylko napisanie książki.

– Ty nie rozumiesz... Nie pojmujesz!

– Co właściwie powiedziała Gerda? – spytała Siri ostrożnie.

Spojrzała na swoją białą rabatę, wciąż uśpioną po zimie. Nie jaśniała. Nie falowała ku niej. Siri zastanawiała się, co się stanie z Mailund po śmierci matki. Czy ma to wszystko sprzedać? Czy może wciąż będą z dziećmi korzystać z domu latem?

Na drugim końcu panowała cisza.

– Jon? Jesteś tam? – Pomyślała o tym, jak bardzo się bał spotkania z Gerdą, jak bardzo się bał przyznać, że znów utknął. Bał się spytać, czy może prosić o kolejne przesunięcie terminu i ewentualnie o jakąś małą zaliczkę. Nie mogli dłużej żyć wyłącznie z dochodów z restauracji, kredyt bankowy był astronomiczny, a wszystkie podania Jona o stypendium w tym roku odrzucono. Powiedziała mu to. Siri powiedziała mu, że musi znaleźć jakiś inny sposób zarabiania pieniędzy.

– Jon, co powiedziała Gerda?

Usłyszała, że ciężko oddycha.

– Gerda powiedziała, że powinienem na jakiś czas odłożyć pisanie i skoncentrować się na czymś innym. Może poszukać sobie pracy, tak jakbym cały czas nie pracował! Powiedziała, że muszę zarabiać jak inni ludzie. Że nie mogę dłużej liczyć na finansowe wsparcie ze strony wydawnictwa. Powiedziała, że książka ukaże się, kiedy się ukaże, ale nie umieszczą jej w zapowiedziach na jesień. Powiedziała: *Nie*

widziałam nowego tekstu od roku. Powiedziała: *Spójrz prawdzie w oczy, Jon*. No i tak. To nie będzie wrzesień, to nie będzie listopad, nie jestem już częścią planu. Tak. No a potem musiała iść. Była umówiona na lunch. A ja myślałem, że umówiła się na lunch ze mną. Wstała i powtórzyła, że najwyższy czas spojrzeć prawdzie w oczy.

– I co ty na to?

– Spytałem, co to ma, do cholery, znaczyć. Prawdę mówiąc, rozplakałem się.

– Ile właściwie jesteś winien, Jon?

– Ponad milion. Może więcej. Nie wiem. Gerda ma mi przesłać zestawienie.

– Ona... Gerda powiedziała przecież, że wydadzą książkę, kiedy tylko ją napiszesz. Powiedziała...

– Cholera, Siri, wszystko się wali.

Głos mu się załamał. Chciała położyć mu rękę na karku. Chciała wyznać, że nie ma już siły. Chciała pogłodzić go po karku.

– Nie wiem, co mam robić, Siri.

– Wracam do domu wieczorem. – Spojrzała na białą rabatę. – I jakoś to uporządkujemy. Okej?

Jenny mówiła:

Skurczyłam się, jestem o wiele chudsza i bardziej zasuszona niż dawniej, a zawsze byłam szczupłą kobietą, chociaż nigdy zasuszoną, ale teraz jestem chuda i zasuszona, muszę się obwiązywać sznurkiem w pasie, żeby przytrzymać spódnicę. Zobacz, Siri! To ty jesteś, Siri, prawda? Muszę wiązać spódnicę sznurkiem.

Rozejrzyj się. Poznaję ten dom. Poznaję te ściany, ten pokój, tamto zamknięte okno. Ale czasami zadaję pytanie: *Kto tu mieszka?* A wtedy wszyscy odpowiadają: *No przecież ty, Jenny Brodal.*

Kiedy będziesz starsza, odkryjesz, że słowa znikają. No i wspomnienia, oczywiście. A na koniec ciało. Swoje muszę opasywać sznurkiem.

Najbardziej bym chciała chodzić. Nie chcę tu dłużej być. Nie lubię tej wielkiej kobiety. Wiesz, kto to jest? Ona się rządzi. To ty ją poprosiłaś, żeby tu była? Nie wierzysz, że sama potrafię zadbać o siebie? To ty jesteś Siri, prawda? Możesz mi przynieść buty? Mam w szafie białe tenisówki, rozmiar trzydzieści osiem. Świetne buty! Wiesz, gdzie stoją? Możesz je przynieść?

Kiedyś miałam fotografię Abebego Bikili, mistrza olimpijskiego w maratonie, a on miał identyczne buty jak ja. Pierwsze olimpijskie złoto zdobył w Rzymie, biegł wtedy boso. To było w roku 1960. Następnym razem biegł już w butach. Wtedy też wygrał. Latem 1964 roku w Tokio. Dwukrotny mistrz olimpijski! Raz boso. Raz w butach. Takie dziwactwa pamiętam.

Chciałabym sporo rzeczy powiedzieć. *Krieg ist ein Jammer.* Moja matka zawsze tak mówiła. A może powiedział to ktoś inny, a matka powtarzała w nieskończoność. Myślę, że było właśnie tak. Niektóre słowa zostają, a wszystko inne znika. Mówię do ciebie: *Krieg ist ein Jammer* i widzę przed sobą twarz matki.

Ale nie o matce miałyśmy teraz rozmawiać. Chciałam ci opowiedzieć o twoim młodszym braciszku. Miał na imię Syver i żył cztery lata. Co rano budzę się i jest taki moment, nie, to nie trwa nawet moment, że w ogóle nic nie wiem. A potem wszystko mi się przypomina. Ale odkryjesz, że słowa znikają. Próbowałam. Kilka lat temu napisałam dla ciebie przemowę, którą zamierałam wygłosić.

Było przyjęcie w ogrodzie, interesujący ludzie się przechadzali, wznosili toasty i życzliwie ze sobą rozmawiali. Nie wiem, gdzie się podziała. Ta przemowa. Ale wiem, że gdzieś musi być. Trzeba szukać. Trzeba po prostu szukać. Po prostu musisz szukać.

W czerwcu 2010 roku Jon pojechał z Siri do Mailund na parę dni, żeby pomóc jej sprzątnąć aneks, bo zaczęły się przygotowania do śmierci Jenny i likwidacji jej domu. Irma nie chciała widzieć żadnego z nich i zamknęła drzwi na klucz.

– Jenny sobie nie życzy, żebyście tu byli – syknęła. – Przeszkadzacie.

Tak właśnie to wyglądało, czasami Siri była wpuszczana za próg, a czasami nie. Chodziło o to, żeby się nie poddawać, Siri uważała, że ważna jest ich *obecność*, więc wycofali się do aneksu. Irma najwyraźniej przekształciła ten niewielki domek w coś w rodzaju składziku: na środku stały dwa rowery, kilka pudeł z książkami i trzy wiklinowe fotele, a na wąskim łóżku leżała wisząca lampa w kształcie wielkiego, uśmiechniętego księżyca. Jon wszystko to przeniósł do garażu, w którym pod plandeką stał szary opel Jenny. Używanie plandeki, kiedy samochód stał w garażu, wydawało się takie staroświeckie, takie w pewnym sensie wzruszające. Zanikająca sztuka dbania o rzeczy. Telefon wydał swoje SMS-owe piśnięcie. Jon otworzył wiadomość i półmrok garażu rozjaśnił zielony ekran.

Była najdroższym, co mieliśmy, Jon. Nie wiem, czy potrafisz sobie wyobrazić, co to znaczy ją stracić. A.

Cholera.

Kiedy Jon wrócił z ostatniej rundy do garażu, zobaczył, że Siri zapaliła świece, a teraz kręciła gałkami małego podróznego radia, szukając odpowiedniej muzyki. Chciał usiąść na łóżku, ale nagle przypomniał sobie ślimaka, którego znalazł wtedy pod kołdrą. Wydawało się, że to było już tak dawno. Bał się chwili, kiedy będą musieli się położyć, nie mógł przestać myśleć o tym ślimaku, łóżko było takie wąskie, a on i Siri już od dawna nie spali razem. Może powinien zaproponować, że prześpi się na podłodze? Sprawdził w kieszeni, czy komórka jest wyciszona, nie mógł teraz przyjść nowy SMS od Amandy. Nie mógł powiedzieć Siri... co miał powiedzieć... *Amanda Browne uważa, że ja wiem o Mille coś, czego nie mówię... przysyła mi SMS-y kilka razy w tygodniu... wydaje mi się, że zwariowała...* Nie miał siły dłużej o tym myśleć.

Siri zrezygnowała z radia i się wyprostowała. Jon próbował

wymyślić jakiś temat rozmowy, coś budzącego zaufanie, ale Siri go uprzedziła:

– Nikt tu nie mieszkał od czasów Mille. Myślałeś o tym?

Poczuł mrowienie w gardle. I walenie serca.

– Nie.

– Byłeś tutaj tamtej nocy, kiedy zniknęła?

– Dlaczego o to pytasz?

– Nie wiem.

– Byłem, ale nie wchodziłem do aneksu. Wiedziałem przecież, że ona nie wróciła, że jej tu nie ma, więc dlaczego miałem tu wchodzić?

Siri wpatrywała się w niego.

– Czasami się zastanawiam, czy ty kłamiesz o wszystkim, Jon. Nie możesz się powstrzymać. To się po prostu dzieje.

Jon westchnął.

– Skąd ci się to wzięło? Co ja teraz zrobiłem? Chcesz się kłócić, o to chodzi?

– Spytałam tylko, czy byłeś w aneksie tamtej nocy, kiedy zniknęła.

– Nie, oczywiście, nie byłem.

– Może coś was łączyło?

Jon poderwał się i krzyknął:

– No nie, do diabła, daj spokój! Co się z tobą dzieje?

– Pomyślałam, że może byłeś nią zauroczony, tą małą Mille z twarzą jak księżyc w pełni. Ty przecież lubisz młode, prawda?

Jon długo na nią patrzył.

– Czego ty teraz chcesz? – spytał. – Do czego zmierzasz?

Miała zaróżowione policzki. Mówiła cicho, a to, co teraz powiedziała, wydobyło się gdzieś z jej głębi.

– Może Paulą Krohn też nie byłeś zauroczony?

Jon usiadł na łóżku. Paula Krohn. O czym ona mówi? O Pauli Krohn sprzed wieków? O Pauli Krohn sprzed wielu, wielu lat? O Pauli Krohn...

– Co? – wyjąkał. – Nie bardzo rozumiem.

– No tak, to na pewno dla ciebie niespodzianka. – Ręka jej drżała. – Sądziłeś może, że nie wiedziałam o Pauli Krohn?

– Ale... – urwał. – Ale... Niech to szlag.

Siri wstała i zaczęła recytować słowa. Nie rozumiał, co to jest, jakiś list, coś, czego nauczyła się na pamięć, co kuła latami, on też chciał wstać i zakryć jej usta dłonią, zmusić do milczenia. To przecież nie było rzeczywiste. To tylko ogromne nieporozumienie. Ledwie sobie przypominał ten list. Co tam list. Ledwie sobie przypominał Paulę Krohn. Blondynka. Ładna. Grubawa. I trochę niezdarna, gdy przyszło co do czego. Wygadana, chyba właśnie to go podnieciło. (Ale tego nie mógł powiedzieć). Zaliczyli kilka nieudanych erotycznych spotkań po pobycie w domu Sofii w Slite. Najpierw tamta noc w hotelu w Örebro, i jeszcze parę razy później, raz u niej w domu, w pokoju dzieciennym, pamiętał, że leżał na wąskim łóżku z Ikei, ona się na nim wiała, a on patrzył wprost na trzy niebieskie korony królewskie z tektury, ozdobione brokatem. Stały w rzędzie na półce przy oknie, na jednej był wykaligrafowany napis *Benjamin 3 lata*, na drugiej – *Benjamin 4 lata*, a na trzeciej – *Benjamin 5 lat*, a on się zastanawiał, dlaczego chciała się z nim przespać w pokoju dzieciennym, w pokoju małego króla Benjamina, dlaczego nie w małżeńskim łóżku, ona, żyjąca w otwartym małżeństwie, albo na kanapie, albo, cholera, gdziekolwiek, tylko nie w pokoju Benjamina, pamiętał też, że kiedy doszła, ryczała jak krowa.

Ale pierwszy raz odbył się w hotelu w Örebro. Wtedy też było trudno. Wszystko z Paulą Krohn było trudne, właśnie dlatego z nią zerwał. A może to ona zerwała? W każdym razie poczuł ulgę, że pozbył się jej z życia. Pamiętał, że Leopold położył łeb na brzegu łóżka i wpatrywał się w niego, kiedy on wchodził w nią od tyłu. Pamiętał, że mocno przyciskał jej głowę do poduszki, żeby nie przeszkadzała jej gapiący się pies, i że możliwie najdyskretniej usiłował dać znać Leopoldowi, żeby się oddalił, porozumieć się z nim jak mężczyzna z mężczyzną, ale Leopold nie był mężczyzną, Leopold był psem, i Leopold ani się nie oddalił, ani nie przestał się gapić, dalej stał z łbem opartym o brzeg łóżka, z postawionymi uszami i pełnym żalu psim spojrzeniem, aż w końcu Jon musiał wyjść z niej, wysunąć się z Pauli Krohn, gorąco ją przepraszając, bo zdaje się, że właśnie dochodziła, i stanowczo zamknąć Leopolda w łazience.

Jon patrzył na Siri. Robiła się coraz bardziej czerwona.

Przypominała dziecko, które właśnie nauczyło się czytać. Stała na baczność, czerwona na twarzy i recytowała słowa, które on, zdaje się, napisał. Bez akcentów, intonacji i zaangażowania. Wszystkie słowa były na swoich miejscach, ale zniknęła interpunkcja, przecinki, myślniki, nawiasy, kropki.

– *Myślę o tym jak by to było tylko ty i ja rano po południu przed południem wieczorem w nocy myślę o wszystkim czym jesteś wszystkim co możesz mi pokazać i wszystkim co chcę z tobą robić pytasz czy jestem nieszczęśliwy czy myśl o tobie mnie unieszczęśliwia ale mnie uszczęśliwia sama świadomość że istniejesz mam przed oczami twój twarz twoje włosy twoje oczy twoje światło twoje piersi twój brzuch miękką skórę lecz sytuacja jest jaka jest i to ona być może mnie unieszczęśliwia myślę o tobie rano przed południem po południu wieczorem i w nocy ale nie mogę być przy tobie inaczej niż myślami ponieważ no tak sama wiesz. Ponieważ.*

Siri drżała.

– Okej? – powiedziała. – Kim ona jest?

Paula Krohn była czytelniczką. Ale tego nie mógł powiedzieć. To zbyt głupie. Zachwyconą czytelniczką. Podeszła do niego w Domu Artystów, pochwaliła jego książki, a potem szepnęła: *Czy pan wie, że w wyjątkowy sposób działa pan na kobiety?*

Na miłość boską, no i co on miał zrobić? Właściwie już wychodził, ale został jeszcze jakiś czas. Wypili butelkę wina. Może dwie. Piła więcej od niego. Dzień później przysłała mu maila, w którym napisała, że *pozostaje pod wrażeniem ich spotkania*. Właśnie tak to się zaczęło. Wyjaśniła, że żyje w otwartym małżeństwie, innymi słowy była dostępna, była możliwością, otwartą na oścież, a poza tym *pod wrażeniem* i dość ładna. W każdym razie pierwszego wieczoru uważał, że jest dość ładna, i stawała się coraz ładniejsza w miarę wypijanego czerwonego wina. Potem zaczęli ze sobą mailować, a po kilku tygodniach on i Leopold pojechali razem do Slite, żeby spotkać się tam z Siri, po drodze zadzwoniła Paula i zaproponowała, żeby spotkali się w Örebro za niespełna tydzień.

– Może teraz powiesz prawdę? – rzuciła Siri.

Siedziała na łóżku, obejmowała się rękami, żeby zapanować nad

drżeniem.

Jon starannie dobierał słowa, ale nie mógł nie zauważyć, że chociaż „starannie dobierał słowa”, brzmiał jak lektor na kursie Linguaphone. Siri też brzmiała jak lektor na kursie Linguaphone.

*Hello, my name is Jon. What is your name? My name is Siri. Would you like something to drink? Yes, please, I would like a glass of water*²³.

– To nie miało żadnego znaczenia.

– Co nie miało żadnego znaczenia?

– Paula Krohn. Ona nie miała żadnego znaczenia.

– Jesteście jeszcze razem?

– Nie, nie, nie, Siri. To była jedna noc, jedna jedyna noc, dawno temu. Wiele lat temu. To wszystko. To nie miało żadnego znaczenia. I było nieudane.

– Kiedy?

– Może pamiętasz, jak odwiedziliśmy Sofię w Slite – powiedział ostrożnie. – Zabraliśmy ze sobą Leopolda, pamiętasz? Dlatego zdecydowaliśmy, że pojedę samochodem, a ty polecisz samolotem. Może pamiętasz, że nocowałem w Örebro. Tam się z nią spotkałem. W hotelu w Örebro. Przyjechała. Byliśmy razem. To było nieudane. Od razu, kiedy ją zobaczyłem, wiedziałem, że to błąd. Była gruba i miała wąsy.

– Ile razy?

– Raz, już mówiłem. To było nieudane.

– I miałeś ze sobą Leopolda? On wszystko widział?

Jon westchnął.

– To nie miało żadnego znaczenia.

– I byliście ze sobą tylko jeden raz przez całą tę noc? To mi próbujesz powiedzieć? Chcesz, żebym w to uwierzyła?

– Może dwa razy. Nie wiem. Oba były nieudane. Przecież ja chcę być tylko z tobą.

– Po co dwa razy, skoro ten pierwszy był nieudany? Jaki jest sens to powtarzać?

– Po prostu tak się stało, Siri. Tak cię proszę. To nie miało żadnego znaczenia.

– I co dalej?

- Co dalej?
- Spaliście razem? Następnego dnia odwiozłeś ją do Oslo? Spotkaliście się jeszcze?
- Ja nie za dużo spałem. Odwiozłem ją do domu. Chciałem, żeby pojechała pociągiem, ale uparła się, że wróci ze mną. I nie, nigdy więcej się z nią nie spotkałem. Chciała, ale ja nie chciałem.
- To znaczy, że siedziała obok ciebie na przednim siedzeniu w naszym samochodzie, siedziała na przednim siedzeniu z tą swoją tłustą dupą i wąsem, w naszym samochodzie?
- Tak, ale to nie miało żadnego znaczenia.
- Kiedy napisałeś ten list?
- Jaki list?
- Ten list, który ci przed chwilą odczytałam, ten, którego nauczyłam się na pamięć, ten, który później pilnie skasowałeś, tak jak kasujesz wszystko.
- A, ten list.
- Dlaczego go napisałeś?
- Usiłuję sobie przypomnieć... Po prostu nie pamiętam.
- Piszesz listy miłosne do innej kobiety, a potem nie pamiętasz, dlaczego to zrobiłeś? *Twoje włosy, twoje oczy, twoje światło*. Napisałeś to przed czy po Örebro?
- Nie pamiętam, Siri, pewnie chciałem tylko...
- Chciałeś się znów z nią przespać?
- Nie! Nie o to chodziło! Nie pamiętam.
- Twoje światło?
- Co? Światło?
- Napisałeś: *Twoje światło*. Napisałeś: *Twoje włosy, Twoje oczy, Twoje światło*. Żebym cię dobrze zrozumiała: najpierw świeciłam ja, a potem świeciła ona. Ile ty właściwie światła potrzebujesz?
- Przestań!
- Nigdy więcej nie chcę słyszeć, jak mówisz *światło*.
- Przestań!
- Światło, twoje światło, moje światło, wymyśl coś nowego, nigdy więcej.
- To nie miało żadnego znaczenia, Siri.

- Co nie miało znaczenia?
- Wszystko.
- A gdzie ja byłam?
- Gdzie byłaś?
- Tak, gdzie byłam?
- Nie byłaś w Oslo?
- Chodzi mi o to, gdzie byłam w tym liście.
- Nie rozumiem.
- Napisałeś list do Pauli Krohn, tak jakbym nie istniała.
- Wcale nie było tak, że nie istniałaś. Ja... to nie miało żadnego znaczenia!

Siri znów zaczęła cytować.

– *Myślę o tobie rano przed południem po południu wieczorem i w nocy ale nie mogę być przy tobie inaczej niż myślami ponieważ no tak sama wiesz. Ponieważ.* – Przynęła się bliżej i szepnęła: – Co znaczy *ponieważ*? Co jest po *ponieważ*? *Ponieważ* co?

- Tylko tak napisałem, Siri. Słowa bez sensu.
- Słowa bez sensu?
- Słowa bez sensu.
- Z iloma kobietami właściwie byłeś, Jon?
- Tylko z nią. Tylko wtedy.
- Pięć lat temu?
- Tylko.
- A Mille?
- Co z Mille?
- Nie byłeś tamtej nocy w aneksie?
- Nie.
- Może tylko po to, żeby sprawdzić, czy nie wróciła?
- Nie.
- I nie ma nic więcej?
- Więcej czego?
- Więcej do opowiedzenia.
- To z Paulą, to było w innym życiu.
- W innym życiu? Co to, do cholery, znaczy?
- To znaczy, że już tego nie ma. Powiedziałem wszystko. Chcę być

tylko z tobą.

Siri jeszcze raz przyjechała do Mailund, a Jenny jeszcze raz powiedziała:

– Poznaję ten dom. Poznaję te ściany, ten pokój, łąkę i las za domem. Ale zdarza się, że pytam, kto tu mieszka, a wtedy wszyscy odpowiadają: *No przecież ty, Jenny Brodal, i cała twoja rodzina.*

Siri zatrzasnęła za sobą drzwi. Irma obserwowała ją przez okno. Irma z długimi włosami i wielkim ciałem. Irma z omletami. Irma z kaczkami w ogrodowym stawie i z rannymi zwierzętami w suterenie. Z kulawym psem. Z niedowidzącą świnką morską. Z potraconą wiewiórką. Wiewiórka w cudowny sposób przeżyła potrącenie przez samochód na wiosnę, Irma przeniosła ją z rowu do domu i pielęgnacją przywróciła do życia. Chodziło o to, jak wyjaśniła Siri podczas jednego z przyływów rozmowności, żeby powtórnie połączyć wiewiórkę z lasem. O tym, że Jenny jest umierająca, nie chciała rozmawiać, Jenny czuła się znakomicie, zdaniem Irmy o wiele lepiej niż kiedykolwiek, Jenny była zdrowa jak ryba (czego nie można było powiedzieć o psie, śwince morskiej i wiewiórce), ale nie miała siły na to, żeby Siri zjawiała się w porę i nie w porę, Siri powinna pojąć, że nikt nie chce jej tu widzieć.

Pragnieniem Jenny było dokonać żywota w domu. Nie chciała iść do zakładu opiekuńczego, powiedziała o tym już dawno, głośno i wyraźnie, w obecności świadków i będąc w pełni władz umysłowych.

– I całe szczęście, że mam Irnę – mówiła Jenny. – Kiedy nie będę już mogła o siebie zadbać, to wiem, że Irma będzie przy mnie. Ona wie, co dla mnie najlepsze. Już o tym rozmawiałyśmy.

Lekarz, stary znajomy Jenny, przyszedł na wizytę domową. Irma po niego zadzwoniła. Nie było mowy o zabraniu Jenny do szpitala. Lekarz ją zbadał i stwierdził, że zagubienie Jenny nie ma nic wspólnego z alzheimerem. O ile dobrze zrozumiał, żadna szpitalna diagnostyka nie wchodziła w grę, ale stan chorej był najprawdopodobniej efektem licznych mikroudarów. Chwilowych odcięć dopływu krwi do mózgu. Nazywanych również przejściowymi

atakami ischemicznymi.

Siri nachyliła się nad matką.

– Mam cię pozdrowić od Almy!

Jenny grzebała w swoim talerzu. Zjadła prawie cały omlet.

– Kto to jest Alma? – spytała.

– Masz dwie wnuczki – wyjaśniła Siri. – Almę i Liv. Mam cię pozdrowić od Almy.

Jenny kiwnęła głową.

– A Liv powiedziała, że coś dla ciebie narysuje.

Jenny kiwnęła głową i otworzyła usta.

– Chcesz, żebym pozdrowiła Almę i Liv od ciebie?

Jenny podniosła talerz.

– Pusty! – oznajmiła. A potem podniosła wzrok, spojrzała na Siri i zniżyła głos: – Wszystko zjadłam.

Siri przeszła przez łąkę i las nad jezioro. Usiadła nad brzegiem. Próbowała się modlić, ale nie mogła się skupić, myślała o innych rzeczach, *źle się modłę*, myślała.

Po Syverze został jej jedynie gęsty las, mokry, biały śnieg i brudnoszara, zrobiona na drutach czapka, trochę za duża i zsuwająca mu się na oczy. Ale jego twarzy nie widziała.

Miała sześć lat, a on cztery. Szła za nim, starała się dotrzymać mu kroku i wołała: *Syver, Syver, trzymaj się blisko mnie!*, a on skakał przed nią, wbiegał między pnie drzew i wybiegał, w jednej chwili tam był, za moment już go nie było. Duża, szara czapka, niebiesko-biały sweter w tradycyjny ludowy wzór, który w zeszłym roku należał do niej, brązowe spodnie. Była wczesna wiosna, jesienią Siri miała pójść do szkoły. Nie pamięta plusków i kapania, chociaż na pewno były. Pamięta ciszę, jakby ktoś wyłączył wszystkie dźwięki z wyjątkiem jej głosu. *Syver! Idź razem ze mną! Nie chce mi się za tobą biegać!* Mieli na sobie grube swetry, a nie puchowe kurtki. To był pierwszy dzień w swetrach zamiast kurtek i ciało wydawało się lżejsze.

Jenny siedziała przy kuchennym stole i pisała list do ich ojca, do Bo Andersa Wallina, a w tym liście przeklinała go za to, że wyjechał na Gotlandię i zostawił ją uwięzioną w Mailund z dwójką małych dzieci. *Czym więc jestem? Do czego doprowadziło to odwieczne rodzenie dzieci?* A w innym liście: *Syver znów płakał w nocy, pić – nie, piosenka – nie, na ręce – nie, popatrzeć przez okno na padający śnieg – nie, więc w końcu wzięłam go do siebie do łóżka (w którym nie ma Ciebie) i tam wreszcie zasnął, wtulony we mnie.*

To był wielki dzień, ten, w którym Jenny pozwoliła im zdjąć zimowe kurtki, dzień, w którym mogli wyjść tylko w wełnianych swetrach i grubych spodniach. Sweter Siri był za duży, czerwono-biały, i tylko trochę gryzł pod szyją, a wcześniej należał do tej ładnej trzynastoletniej córki przyjaciółki Jenny. Zapach dziewczynki wciąż tkwił w swetrze, mimo że został uprany ręcznie w ciepłej wodzie z mydłem. Trochę pachniał perfumami, trochę potem, a trochę mlekiem. Siri jeszcze nie pachniała potem, była za mała, sweter

trochę gryzł, ale nie tak bardzo jak poprzedni, ten niebiesko-biały sweter w ludowy wzór, który odziedziczył Syver. Miała na sobie szalik, czapkę, zimowe spodnie i zimowe buty, szła przez las i wołała Syvera, który od czasu do czasu znikał, od czasu do czasu znów się pojawiał, a to ona miała go pilnować. Tak powiedziała Jenny. *Masz pilnować młodszego brata*, mówiła za każdym razem, gdy otwierała drzwi i wyganiała ich w zimowy dzień. Czas na powietrzu. Kiedy nie wolno było przychodzić do domu, nawet jeśli się chciało iść do ubikacji (do ubikacji szło się przed ubraniem się i wyjściem). Nie wolno było wchodzić do środka, żeby wziąć sobie coś do picia (szklankę wody albo soku wypijało się przed wyjściem i – ważne! – przed pójściem do ubikacji). Nie wolno było dzwonić do drzwi, żeby powiedzieć coś bardzo, ale to bardzo ważnego. Czas na powietrzu trwał od dwunastej do czternastej. Siri zawołała Syvera, a Syver pojawił się za nią, złapał ją za nogi i pociągnął, tak że oboje wywrócili się w śnieg, powiedziała wtedy: *Kurczę, Syver, oboje będziemy mokrzy, nie wolno tak robić*, ukłękła w śniegu – w tym miejscu dźwięk zostaje na chwilę włączony – drzewa szumiały, ptaki śpiewały, wiosna nadchodziła, Syver dyszał jej w ucho, a mokry śnieg wciskał się w szparę między szalikiem a szyją i zimny ściekał dalej po plecach, Syver się rozplakał, zarzucił jej ręce w swetrze na szyję, mówiąc: *Siri, nie bądź zła*. Potem oboje wstali, powiedziała: *Nie jestem zła, ale teraz już musiał trzymać się blisko niej, to ona rządziła, to ona była starsza i właściwie nie wolno im było tak się oddalać od domu, ale podwórze, na którym mieli przebywać w ciągu czasu na powietrzu, miało swoje ograniczenia. Siri pamiętała, że największym problemem było odmierzanie czasu, bo nie wiedziała, kiedy nadchodzi druga i kiedy pora zakończyć czas na powietrzu. Kiedy właściwie mijają dwie godziny? Raz wróciła z lasu, ciągnąc za sobą Syvera, pukała i pukała do drzwi, bo byli na dworze już całą wieczność, w końcu Jenny z głową obwiązaną ręcznikiem otworzyła drzwi, gwałtownie nimi szarpnęła, i powiedziała: *A co ja mówiłam o przychodzeniu pod drzwi w trakcie czasu na powietrzu?* Akurat na ten temat Jenny mówiła bardzo dużo. Między innymi o tym, jak ważne jest dla dzieci codzienne przebywanie na świeżym powietrzu. I jak*

ważne jest nieprzeszkadzanie Jenny w pracy. Matka popatrzyła na Syvera i Siri (Syver schował się za plecami Siri i z chichotem zza nich wyglądał, aż Jenny prawie, ale tylko prawie się uśmiechnęła) i powiedziała: *Dwadzieścia minut, Siri! Jesteście na dworze dwadzieścia minut. Jest dwadzieścia po dwunastej. Chcę, żebyście wrócili o drugiej. To, na miłość boską, za godzinę i czterdzieści minut! Nie wcześniej, nie później.*

A dziwne było, myśli Siri teraz, i faktycznie tak samo myślała, kiedy miała sześć, prawie siedem lat, że *Jenny nie przyszło do głowy, że jej córka jeszcze się nie zna na zegarku. Ciekawe, bardzo ciekawe, za jak długo musimy zawrócić*, mówiła do Syvera, który nie był jeszcze na tyle duży, żeby w ogóle zrozumieć problem.

Siri natomiast była dostatecznie duża, żeby zrozumieć problem, nie wiedziała tylko, jak go ma rozwiązać. Ale na ogół nieźle sobie radziła. Człowiek zaczyna znać się na swoim wewnętrznym zegarku, zanim się pozna na zewnętrznym. Siri zwykle mniej więcej wiedziała, kiedy powinni zawrócić i iść do domu, żeby być na podwórzu w chwili, gdy Jenny otworzy drzwi i zawoła: *Chodźcie, chodźcie, oboje! W kuchni na stole jest sok i kanapki.* I właśnie przyszła mniej więcej pora na to, żeby zawrócić, gdy Syver znów zniknął. Wołała go. Ale zniknął. Nigdzie go nie było.

Las znów zupełnie ucichł i Siri już wiedziała, zanim jeszcze miała całkowitą pewność, że Syver umarł.

Zbliżały się siedemdziesiąte siódme urodziny Jenny. Irma zgodziła się, żeby Siri, która chciała spróbować jeszcze raz uczcić urodziny matki, zorganizowała krótkie przyjęcie w ogrodzie. Ze względu na Liv i Almę, powiedziała Irma. Żadnych innych gości. Tylko ty, Jon i dzieci.

Liv narysowała dom, ogród, drzewo, błękitne niebo i słońce, a na rysunku napisała: *HO, HO, HO, DLA BABCI OD LIV*. Alma kupiła perfumy, L'Air du Temps, ulubiony zapach Jenny. Wybrały się z Siri do centrum handlowego pod Oslo, żeby miło spędzić czas (określenie Siri) i zrobić różne zakupy, ale również po to, żeby kupić osobne prezenty dla Jenny. Kiedy Alma stała z butelką perfum w ręku, Siri zaproponowała, żeby może raczej kupiła chustę, którą Jenny mogłaby okrywać sobie stopy. Babci przecież tak często marzły stopy. Alma pokręciła jednak głową, poprosiła o zapakowanie perfum w ładny papier, odwróciła się do matki i warknęła:

– *Fuck się, mammo!*

Siri złapała Almę za ramię i powiedziała tak spokojnie, jak potrafiła:

– Nie mów tak do mnie, bardzo cię proszę. Nie chcę nigdy więcej słyszeć takich słów. Nigdy więcej, okej?

Alma uśmiechnęła się i powtórzyła:

– *Fuck się, mammo!*

Potem nadszedł ten wielki dzień, który w ogóle nie był wielkim dniem, tylko bardzo małym (Jenny z czasem dni zaczęły się dłużyć jak lata, a lata miały jak dni), tego dnia Jenny kończyła siedemdziesiąt siedem lat, więc Alma się wystroiła. Wybrała obcisłą niebieską sukienkę, grube czarne rajstopy i czarne kozaki na wysokich obcasach. Nie był to raczej letni strój, ale Jon opanował się i powiedział:

– Ślicznie wyglądasz, Almo. Miło, że się ładnie ubrałaś dla babci. Była elegancką kobietą, miała swój styl. Pomyśl o wszystkich tych jej pięknych sukniach i butach. Swoim strojem odpowiednio ją uczisz.

Alma mocno objęła ojca i nie puszczała. Jon wciąż musiał

przyjmować te twarde, wymagające uściski od starszej córki, na które nie bardzo umiał odpowiedzieć. Nie chciał jej ścisnąć z taką samą siłą, to by było zbyt gwałtowne, więc często kończyło się na nieco rozbijającym poklepaniu po plecach. Zawsze on kończył te uściski, ale tym razem to ona nagle się oderwała, wbiła w niego wzrok i spytała:

– Dlaczego mówisz o babci w czasie przeszłym? *Była* elegancką kobietą? *Miała* styl? Przecież nie umarła. Nie umarła! Ty i mama mówicie o niej tak, jakby już nie żyła. Nie macie krzty moralności! Na pewno tylko czekacie, aż umrze!

Jon westchnął i spojrzał na Siri, która do jednego kosza piknikowego pakowała tort, świeczki i termos z kawą, a do drugiego croissanty, scones, drożdżowe bułeczki, dżem i miód. Obudziła się wcześniej w małym pokoiku nad restauracją i bosy, w nocnej koszuli, zeszła do wielkiej kuchni, włączyła radio, zaparzyła sobie filiżankę kawy i zaczęła piec. To była kuchnia przygotowana do hałasu i gwałtownych gestów, ostrych, wydawanych krzykiem rozkazów, żaru gazowych kuchenek, ekstremalnego tempa i drobiazgowej precyzji. Pieprz i jego ludzie przychodzili dopiero po południu, dlatego duża kuchnia była zimna i obca, lśniąca powierzchnie, nierdzewna stal. Siri zaanektowała niewielki fragment jednego z blatów i zaczęła od ciasta na bułeczki. To była kuchnia Siri, to Siri ją zaplanowała, zaprojektowała i nadzorowała jej budowę, chociaż wydawało się, że to było całe wieki temu. Siri bardzo chciała należeć do jakiegoś miejsca. Kiedy Alma zaatakowała Jona za mówienie o Jenny w czasie przeszłym, Siri zatęskniła za powrotem do tej pustej kuchni, do ciszy. Tylko pokręciła głową i się odwróciła.

– Wcale nie miałem tego na myśli, Almo – wyjaśnił Jon. – Chciałem ci powiedzieć coś miłego. Źle wyszło.

Liv spoglądała raz na jedno, raz na drugie. Była ubrana w jedną ze starych bluz Almy, jasnoniebieską, wystrzępioną, sięgającą jej za pupę. Nosila ją jak sukienkę. Kolana miała pokryte letnimi zadrapaniami. Właśnie nauczyła się jeździć na rowerze. Jasne włosy sterczały jej na wszystkie strony. Była chudziutka jak zapalka. Westchnęła, wbiła spojrzenie w rodziców, wykonała stanowczy gest

obiema rękami i oświadczyła:

– Wszyscy ładnie wyglądają. I nikt nie umarł. Możemy już iść?

Jon i dzieci przyjechali z Oslo samochodem. Siri wybrała się pociągiem już poprzedniego wieczoru i przenocowała w pokoiku nad restauracją, żeby wszystko upiec. Zaplanowała, że urodziny matki urządzą w ogrodzie w Mailund. *W porządku*, zgodziła się Irma, *ale w takim razie urodziny muszą zacząć się o drugiej i nie trwać dłużej niż do trzeciej*. Siri nie miała siły walczyć o każdy drobiazg z tą szaloną olbrzymką. Trzeba wybierać swoje walki, a było w czym. Uparła się, że pójdą piechotą z restauracji przez wzgórza do Mailund, mimo protestów Almy. Był piękny dzień, wspaniały dzień, chociaż wiało, utworzą wesoły orszak, Jon, Siri, Alma i Liv, gdy wyruszą z koszami pełnymi jedzenia.

– Chodźcie, idziemy!

Kiedy dotarli na miejsce i zamknęli furtkę za sobą, Irma już na nich czekała. Powiedziała, że mogą usiąść na trawie, a ona zniesie Jenny ze schodów i posadzi ją w wózku, który stał gotowy pod wielkim klonem. Jon spytał, czy jej nie pomóc, ale Irma odwarknęła, że sama sobie poradzi, jeśli Jenny już ma się przemieszczać z jednego miejsca w drugie. Siri przyniosła koc i rozłożyła go na trawie.

Kiedy Jenny, maleńka i krucha jak pisklę, znalazła się już na wózku, Irma stanęła pod ścianą domu, w pewnym oddaleniu od nich wszystkich. Nie chciała ani kawy, ani bułeczek, ani croissantów, scones ani tortu, chociaż Siri upiekła prawdziwy tort urodzinowy, z kremem waniliowym i świeżymi owocami, który w pośpiechu ozdobiono siedmioma świeczkami, bo siedemdziesiąt siedem by się nie zmieściło.

Jon siedział na kocu w słońcu i nie mógł zapomnieć o wcześniejszej scenie z Almą. Patrzył na nią. Wciąż była niewysoka i dość pulchna, ale umalowane na czarno, błyszczące oczy, duże czerwone usta i czarne jak węgiel krótkie włosy należały do dziewczyny, której nie znał i do której nie docierał. Do której nie mógł dotrzeć. Nie dlatego, że nie próbował albo że nie chciał. Kiedy chodziło o Almę, nie

odwracał głowy, patrzył prosto na nią, lecz jej nie rozumiał. Siri też jej nie rozumiała. Ale Jon nie rezygnował. Usiłował zrozumieć. To jednak przypominało ten sen, ten koszmar, w którym znów jest dzieckiem i stoi przed klasą, ma rozwiązać równanie, a ono jest kompletnie niepojęte, składa się ze znaków, których nigdy wcześniej nie widział. Dzień po dniu. Noc po nocy. Nie poddawać się. Gdzie popełnił błąd? Gdzie on i Siri popełnili błąd? Z Liv było inaczej. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że Liv *trudno* kochać. Że trudno do niej dotrzeć. Alma była niepojęta. Jak obca litera.

– Wszyscy muszą teraz jeść – oświadczyła Siri i wypakowała kosze. Spojrzała na Irmę opartą o ścianę domu. – Na pewno nie chcesz tortu?

Irma zapaliła papierosa i pokręciła głową.

– Wobec tego przygotuję pyszny talerzyk dla mamy. – Siri sama usłyszała, jak fałszywie zabrzmiał jej głos.

– Nic nie przygotujesz – odezwała się Irma spod domu. – Jenny ma wrażliwy żołądek. Jenny nie będzie jadła tortu. Jenny już jadła.

Siri się uśmiechnęła, skinęła Irmie głową.

– Pewnie smaczny omlet?

Irma nie odpowiedziała.

Liv wstała i przypomniała wszystkim, że przed jedzeniem muszą zaśpiewać urodzinową piosenkę. Wtedy Jon, Alma i Siri także podnieśli się z koca.

– Ty też, Irmo – powiedziała Liv.

Irma zrobiła zaskoczoną minę, ale zgaszyła papierosa i stanęła przy Liv.

A potem wszyscy razem zaśpiewali:

*Hip, hip, hurra, na urodziny
dalej, chłopcy i dziewczyny
zaśpiewamy, zatańczymy
i wszystkiego najlepszego
ci życzymy!*

Liv zaczęła klaskać. Teraz mogli już usiąść. Irma także. Tu, przy niej.

O tak! Liv przyjrzała się wszystkim pysznościom przygotowanym przez matkę, sięgnęła po croissanta i zanurzyła go w miodzie. Nikt tak nie lubił miodu jak Liv. Już miała odgryźć kawałek, gdy nagle znieruchomiała, wpatrzona w croissanta.

– Co się stało, Liv? – spytał Jon.

Podniosła wzrok.

– Wy też widzicie, że ten croissant przypomina kraba?

Położyła go na kocu, żeby wszyscy mogli zobaczyć.

– Babciu, nie wydaje ci się, że ten croissant przypomina kraba?

Jenny, która na tę okazję była ubrana w jasnoniebieski szlafrok z frotté, poplamiony jajkami, drzemała skulona na wózku pod klonem.

Alma objęła młodszą siostrę.

– Ja uważam, że przypomina kraba – powiedziała. – I myślę, że babcia też tak uważa.

Wszyscy spojrzeli na Jenny.

– Hm – mruknęła Jenny i otworzyła oczy.

Wskazała coś.

Sześć, nie, siedem kaczek pływało po zarośniętym stawie na końcu ogrodu. Wśród nich czworo kaczątek.

Irma powiedziała, że widziała je już wcześniej i że zaczęła je karmić.

– Hm – mruknęła znowu Jenny.

Siri patrzyła na matkę, próbując odnaleźć jej spojrzenie. Jenny niewiele się już odzywała. A kiedy coś mówiła, ciężko pracowała przy wypychaniu każdego słowa z ust, jakby były fizycznymi przedmiotami o specyficznych rozmiarach, kształtach i strukturach – miękkimi, puszystymi, gładkimi, kanciastymi, ostrymi. Często błędziła po bezdrożach kończących się niczym, jedynie oddechem i milczeniem. Wrzód w jamie ustnej uniemożliwiał jej wyraźne mówienie. Czasami w ogóle nie dawało się jej zrozumieć. Ale wszyscy próbowali i Jon pamięta (zapisał to później tego samego dnia), że siedząc w wózku pod drzewem, powiedziała:

– Zastanawiam się, kto mieszka w tym domu i kto założył ten ogród. – Potem dodała: – Mam w szafie ładne białe tenisówki,

rozmiar trzydzieści osiem. Czy ktoś z was mógłby być tak miły i mi je przynieść?

A na koniec najzyczliwiej jak umiała:

– Chciałabym bardzo podziękować za to wspaniałe przyjęcie, ale niestety, muszę już iść.

Siri siedziała sama w kuchni w Mailund i zamierzała wybrać numer Jona w komórce. Wyłączyła elektroniczną nianię. Zajmowanie się elektroniczną nianią i telefonem jednocześnie wymagało zbyt dużej podzielności uwagi. Ostatnio Jenny i Jon gadali, bredzili i zmyślali oboje niemal tak samo.

Siri wstała, wyjęła z lodówki małą butelkę taniego czerwonego wina i naląła sobie duży kieliszek. Zamierzała porozmawiać z Irmą o tym, że Jenny, która, co było udowodnione, *nie tolerowała alkoholu*, codziennie do omletu dostawała duże ilości czerwonego wina. Chodziło nie tylko o to, że Jenny była pijaczką przez przeważającą część swojego dorosłego życia (oprócz tych dwudziestu lat, w których nie tykała alkoholu), ale mieszanie czerwonego wina z silnymi lekarami musiało rodzić wręcz śmiertelne niebezpieczeństwo. Nic dziwnego, że Jenny była zaburzona. Nic dziwnego, że bredziła. A kiedy Siri już poruszy tę sprawę z winem, to może wspomni też coś o omletach. Codziennie omlet. Bez warzyw. Bez szynki. Bez jakiegokolwiek dodatku. Tylko keczup. No i duże ilości czerwonego wina. Siri już wcześniej próbowała omówić omletowy problem z Irmą, ale Irma kompletnie to zignorowała. Stała przed Siri ogromna i oświadczyła:

– Lekarz mówi, że Jenny potrzebuje białka. A w jajkach jest mnóstwo białka. Ja się tylko stosuję do zaleceń lekarza. – A potem jeszcze dodała: – Wydaje mi się, że lekarz zna się na tym trochę lepiej niż ty.

– Tak, na pewno. Ale omlet i czerwone wino codziennie to bardzo jednostajne...

Irma słuchała z rękami założonymi na piersi, więc Siri spróbowała jeszcze to pociągnąć:

– No i przecież ja wiem trochę o jedzeniu, to znaczy o diecie... Mogłabym ci dać świetne przepisy na dania z dużą zawartością białka...

Irma wzięła głęboki wdech.

– Rozumiem, że trudno ci to zaakceptować – powiedziała. – Jesteś córką. Ale ja z nią mieszkam od dwudziestu lat i ją znam. Ona mi ufa. Jesteśmy...

– Kim jesteście? – szepnęła Siri. – Kim wy właściwie jesteście?

Irma uniosła rękę i odwróciła się, kręcąc głową na znak, że rozmowa skończona.

Dzisiaj atmosfera była zupełnie inna. Irma zgodziła się, żeby Siri weszła do domu i trochę tam pobyła. Irma miała po prostu świetny humor, niemal ćwierkała i nawet zjadła kawałek upieczonego przez Siri ciasta truflowego na waniliowym spodzie. Powiedziała, że ma różne rzeczy do załatwienia. Najpierw musi iść do sklepu po jajka i mleko, potem do apteki odebrać lekarstwa Jenny, a na koniec kupić sukienkę w czerwone groszki, którą widziała na wyprzedazy. Siri słuchała tego wszystkiego ze zdumieniem i aż się wzdrygnęła na wzmiankę o sukience w czerwone groszki. Nie potrafiła sobie wyobrazić Irmy w sukience w czerwone groszki czy też, ściśle mówiąc, w jakiegokolwiek sukience. Irma na ogół nosiła dzinsy i kraciaste koszule, chodziła z rozpuszczonymi anielskimi włosami, wysoka na co najmniej dwa metry i tak samo szeroka, skradała się na bosaka. Ale Siri milczała. Może Irma trochę zmiękła, może to ćwierkanie, próbowanie ciasta i czerwone groszki to początek mniej skomplikowanych stosunków z Irma? Może Irma będzie nawet bardziej otwarta na dyskusje o dziecie Jenny i ilości spożywanego przez nią alkoholu?

O wszystkim tym Siri rozmyślała, siedząc przy kuchennym stole i popijając lodowate czerwone wino. Komórkę trzymała w drugiej ręce – nie wolno jej zapomnieć o telefonie do Jona – miała nadzieję, że Irmy nie będzie jeszcze przez jakiś czas i zdąży przed jej powrotem znów włączyć elektroniczną nianię.

Irma uwielbiała elektroniczną nianię.

– Bardzo ważne jest nasłuchiwanie odgłosów Jenny – zapowiedziała przed wyjściem. – Może będzie miała kłopoty z oddychaniem. Może będzie wzywać pomocy. Może będzie próbowała się podnieść.

Siri pokiwała głową.

– Ale jeśli nie usłyszysz nic oprócz normalnych dźwięków, to zostaw ją w spokoju. Nie biegaj do niej ciągle. To jej tylko

przeszkadza.

Siri skinęła głową jeszcze raz. Miała ochotę spytać, co Irma rozumie przez *normalne dźwięki*, ale się powstrzymała. Nie wolno psuć dobrej atmosfery. Nie wolno mówić nic, co może zostać odebrane jak złośliwość.

Był początek września. Jenny w zasadzie nie wstawiała już z łóżka, z wyjątkiem tych chwil, kiedy Irma ją myła i przebierała, zносиła ze schodów (jak małego pawia) i wiozła na wózku do kuchni. *Pierwsza na zegarze, omlet już się smaży.*

Siri wpatrywała się w elektroniczną nianię. Po jej wyłączeniu w kuchni zapanowała kompletna cisza, z wyjątkiem buczenia lodówki. Siri się rozejrzała. Zielona lodówka warczała. *Tak, słyszę cię. Warczysz od trzydziestu lat.* Ale poza tym było całkiem cicho. Stół był cichy. Krzesła. Podłoga i sufit. Wyjrzała przez okno. Letnie wakacje dzieci się skończyły, również w tym roku spędzanie lata w Mailund, w takiej sytuacji jak teraz, kiedy Siri nocowała w pokoiku nad restauracją, nie wchodziło w rachubę. Już przekazała większość obowiązków Pieprzowi, który chętnie zgodził się przenieść nad morze na kolejne lato, a sama co tydzień krążyła między Mailund a szeregowcem w Oslo.

Elektroniczna niania została zaprojektowana jak niewielkie radio, druga jej część, ta, która stała na nocnym stoliku Jenny, miała kształt nieokreślonego zwierzęcia z dużą uśmiechniętą buzią – może szczura, albo może kota, albo zająca, albo czegoś pomiędzy. Siri nalała sobie jeszcze kieliszek wina. Chciała porozmawiać z Irmą o tej niani. Czy stawianie tego urządzenia na nocnym stoliku Jenny nie było naruszeniem jej prywatności? Czy nie można zostawić w spokoju odgłosów umierania matki? I czy taka obserwacja nie jest infantylizacją człowieka, który mimo wszystko zawsze bronił swojej samodzielności? Siri dopiła wino i wybrała numer Jona. Nie miała ochoty na tę rozmowę. Mąż nie odebrał telefonu, więc wysłała mu SMS-a z pytaniem, co słyhać w domu, a on na SMS-a odpowiedział od razu.

Strasznie.

Co się dzieje?

Alma pobiła dziewczynę z równoległej klasy.

Siri przeczytała wiadomość i jeszcze raz zadzwoniła do Jona. Nie odebrał telefonu. Wysłała SMS-a:

Czy możesz odebrać telefon? Co się dzieje?

Kilka sekund później zadzwoniła jej komórka. Jon. Od razu usłyszała, że pił.

– Co się dzieje?

– A co? Naprawdę chcesz usłyszeć?

– Jon. Przestań. Co się dzieje?

– Okej. No to usłyszysz. Alma pobiła dziewczynę z równoległej klasy. To była najwyraźniej regularna bójka. Nie wiem dlaczego. Według świadków to Alma zaczęła. Tej drugiej dziewczynie, nazywa się Mona Haugen i chodzi do dziesiątej a, popłynęła krew z nosa. Zdaje się, że krew była wszędzie. Na twarzy. Na rękach. Na szkolnym podwórzu.

– A co z Alną? – spytała Siri.

– Nic jej nie jest. Nie ma nawet zadrapania. Ale oczywiście została zawieszona. Kiedy wracasz do domu?

Siri spojrzała na butelkę z winem. Wypiła dwa kieliszki.

– Przyjadę wieczorem. Wrócę do domu najszybciej, jak będę mogła. A co z Liv?

– Z Liv wszystko w porządku. Poszła dzisiaj do koleżanki. Do Laury. Matka Laury przysłała SMS-a i spytała, czy może zabrać Liv, bo Liv i Laura tak ładnie się ze sobą bawią i jest tak miło.

– To dobrze. – Zamknęła oczy. – Coś jeszcze? – spytała.

Usłyszała, że Jon się waha.

– Tak...

Zorientowała się, że próbował nalać sobie kieliszek (whisky? wina?) możliwie cicho.

– Jon, o co chodzi?

– No bo widzisz, od kilku miesięcy dostaję SMS-y od Amandy Browne.

– Co? Od matki Mille?

– Tak.

– Pieprzyłeś się z matką Mille?

– Nie, Siri. Naprawdę nie. – Jon westchnął. – Powiedziałem, że dostaję od niej SMS-y. Wysyła wiadomości i dzwoni. Czasami dzwoni i od razu się rozłącza. Czasami dzwoni i się nie odzywa.

– Powinniśmy byli napisać ten list – stwierdziła Siri.

– Ona chyba myśli, że ty też bierzesz w tym udział.

– W czym?

– Nie wiem! *W tym udział*. Skąd, u diabła, mam wiedzieć, co to znaczy? To wariatka. Pewnie uważa, że w taki czy inny sposób jesteśmy winni temu, co się stało.

– J a nie wiem, co się stało – powiedziała Siri. – A ty wiesz?

– Nie. Wiesz, że nie wiem. – Zawahał się. – To na pewno zrobił ten chłopak, ten KB. Ale dopóki jej nie odnaleziono...

– Byłeś w aneksie tamtej nocy? – przerwała mu.

– Nie, już mówiłem. Nie byłem w aneksie! Co, do cholery... Teraz ty będziesz mnie obwiniać? Tylko to potrafisz? Może spróbujemy wyjątkowo stanąć razem? Razem to rozwikłać?

– Okej. Spałeś z Mille?

Jon zaczął krzyczeć. Krzyczał tak głośno, że się rozpląkała.

– NIE SPAŁEM Z MILLE, ROZUMIESZ?! NIE BYŁEM W ANEKSIE, ROZUMIESZ?!

– Rozumiem.

Siri wstrzymała oddech. Nie mogła tu siedzieć i płakać. Co by było, gdyby Irma przyszła? Włączyła elektroniczną nianię. Na piętrze panował spokój. Jenny spała. Siri spojrzała na pustą butelkę po winie.

– Rozumiem. Wyjadę stąd za kilka godzin. Jest coś, czego nie powiedziałaś o Mille? Jeśli mamy stać razem, to musisz mi wyjawić wszystko.

– Jest jedna rzecz – przyznał Jon.

Siri głośno się roześmiała.

– Tak właśnie myślałam.

– To nic takiego. Ale uważam, że powinnaś o tym wiedzieć. Amanda o tym nie wspomniała, ale możliwe, że to wyjdzie. Chociaż nie sądzę. To zupełnie nieistotne.

– Tak?

– Pamiętasz tę jedną fotografię, którą wykorzystywały gazety,

kiedy pisały o sprawie? To zdjęcie, na którym ona właściwie jest niepodobna do siebie. Pamiętasz, że o tym mówiłaś? Niebieska sukienka. Czerwone usta. Warkocz.

Przestał mówić. Słyszała, że pije. Ale milczała. Jon podjął:

– Rozmawialiśmy o tym. Ty i ja. Rozmawialiśmy o tym zdjęciu. Było dość niewyraźne, chociaż zrobione z bliska. Pamiętam, powiedziałaś, że Mille akurat na tym zdjęciu wygląda o wiele ładniej niż w rzeczywistości. Że nie ma twarzy jak księżyc w pełni. W zasadzie nie widać, gdzie to zdjęcie zostało zrobione. Mogło zostać zrobione wszędzie przez kogokolwiek. To zupełnie zwyczajne, pstryknięte komórką zdjęcie zupełnie zwyczajnej dziewczyny. Żadnego tła. Żadnego otoczenia. Tyle że jest coś czarnego w lewym dolnym rogu fotografii. Coś puszystego. Pamiętasz?

– Nie... A może tak. Może – powiedziała Siri cicho, przypominając sobie tamtą czarną plamkę.

– Tego się nie zauważa – ciągnął Jon. – Patrzy się na dziewczynę, prawda? No ale to coś czarnego, puszystego to kawałeczek ogona Leopolda.

– Co?

Siri się wyprostowała.

– Chodzi o to, że to ja tamtego lata zrobiłem Mille to zdjęcie. Przyszła do mojej pracowni o coś zapytać. Na pewno o coś związanego z dziećmi. Z jakiegoś powodu powiedziała mi, że nie ma żadnych zdjęć jako dorosła i wtedy pstryknąłem fotkę jej komórką. I tyle. To wszystko. Akurat w tym momencie Leopold musiał się podnieść i przechodzić.

Siri milczała.

– Jesteś tam, Siri?

– Tak.

– To było tylko zdjęcie.

– Tak.

– Przyjedziesz do domu wieczorem?

Siri wyłączyła elektroniczną nianię, potem znów ją włączyła. Klik, klik.

– Tak. Przyjadę wieczorem. Wtedy o tym porozmawiamy.

Nigdy nie lubiła jeździć nocą, nie lubiła zakurzonego ciepła w samochodzie, świateł omiatających długimi pociągnięciami krajobraz, który tak dobrze znała, ale z którym nigdy się nie zaprzyjaźniła. Tym razem jakby nie mogła utrzymać wzroku na drodze, dłoni na kierownicy, chciała zadzwonić do Jona i krzyknąć: *Dlaczego zrobiłeś to zdjęcie?!*, ale to by niczemu nie służyło. Wszystko było jedynie kłamstwem. Nie chciała wracać do domu, nie chciała też zawrócić, a długi tunel tuż przed granicą miasta zdawał się nie mieć końca.

Najpierw zadzwoniła do drzwi. Irma nie otworzyła, więc sama wyjęła klucz, weszła i zawołała:

– Halo! Irma, jesteś tu?

Znów wyszła i skierowała się na tył domu, gdzie znajdowało się wejście do mieszkania Irmy w suterenie.

– Irma, jesteś tu?

Zadzwoniła komórka. Siri wyjęła ją z torebki. Nieznany numer. Wcisnęła przycisk odbierania i przyłożyła telefon do ucha.

– Halo?

Nic.

– Halo? Możesz coś powiedzieć?

Ktoś się rozłączył.

Siri nie była w Mailund od ponad tygodnia, ale na ten dzień zaplanowała posiedzieć z Jenny tylko przez chwilę. Niedługo. Zamierzała wrócić do Oslo tego samego wieczoru. Obeszła dom i usiadła w kuchni. Spojrzała na elektroniczną nianię. Jenny leżała w swoim pokoju i wołała Bo Andersa Wallina, chociaż „wołała” nie było właściwym określeniem. Głos Jenny już prawie nie miał w sobie siły. Wrzód w ustach w połączeniu ze splątaniem sprawiał, że trudno jej było wyrażać się zrozumiale. Mówiła własnym językiem.

– Bo! Możesz przyjść?

Dla kogoś, kto nie znał jej języka, brzmiało to jak:

– O! Oeyyy?

Siri gdzieś słyszała, że gdy umierająca osoba zaczyna przyzywać zmarłych, jakby faktycznie znajdowali się gdzieś w pobliżu, to niedługo sama umrze.

– Syver!

A raczej:

– Yyyver!

Siri weszła na górę po schodach, delikatnie zapukała do drzwi sypialni Jenny, kilka razy się obejrzała, żeby sprawdzić, czy gdzieś w pobliżu nie ma Irmy, uchyliła drzwi i zajrzała przez szparę. Matka leżała w łóżku, wąski szarobiały pasek ciała, serca i dźwięku.

– Czy to Syver? – spytała.

– Nie, mamo, to ja, Siri.

– Jaka Siri?

Siri podeszła do łóżka i przysiadła na brzegu. Poglądziła matkę po policzku.

– Czasami mam wrażenie, że ty udajesz, odgrywasz bardziej szaloną, niż jesteś, i że doskonale wiesz, że ty to ty, ja to ja, a Syver nie żyje.

Jenny się roześmiała i powiedziała:

– Możesz przynieść moje buty? Stoją w szafie. Chciałabym wyjść.

– A dokąd się wybierasz?

– Na zamek, przecież już mówiłam.

– Właśnie to mam na myśli, mamo. Kiedy tak odpowiadasz, to myślę, że udajesz wariatkę. Jak Hamlet.

Matka zamknęła oczy, potem otworzyła lewe i spojrzała na Siri.

Siri dotknęła ręką lewej piersi matki, rozlanej na klatce piersiowej. Przyłożyła ucho do jej serca i usłyszała, że bije.

– Poznają ten dom – szepnęła Jenny. – Poznają te pokoje, ale nie wiem, kto tu mieszka. Wiesz, kto tu mieszka?

– Ty tu mieszkasz.

– Razem z Syverem.

– Nie. Syver nie żyje. Umarł trzydzieści sześć lat temu. Ale kiedyś ja tu mieszkałam latem, razem z Jonem, Almą i Liv.

– Alma? Gdzie ona jest?

– Alma jest w domu, w Oslo. Cieszę się, że pamiętasz Almę. Poprzednio, kiedy rozmawialiśmy, nie pamiętałaś.

– Alma, no tak. – Jenny pokiwała głową.

A może powiedziała co innego. Siri nie była pewna. Brzmiało to mniej więcej jak:

– Amm oa.

– Chcesz, żebym coś przekazała Almie? – spytała Siri.

Jenny pokręciła głową.

– Alma za tobą tęskni. Mogę ją kiedyś przyprowadzić. Nie jest jej łatwo...

– Samochód ją załamał – powiedziała Jenny.

– Co?

– Samochód ją załamał – powtórzyła.
– O czym ty mówisz?
– Samochód ją załamał – powtórzyła jeszcze raz Jenny, patrząc na Siri. – Alma i ja jechałyśmy samochodem i załamałyśmy dziewczynę na drodze.

– Jaką dziewczynę? – spytała Siri.

– Daj mi wody.

– O czym ty mówisz? O kim?

Jenny pokręciła głową, zapadła się we własne myśli, ale w końcu szepnęła:

– Kto właściwie mieszka w tym domu?

Siri położyła dłonie na ramionach matki, jakby zamierzała ją objąć i szeptać: *To ty, to ty mieszkasz w tym domu*, ale zamiast tego mocniej zacisnęła dłonie i zaczęła nią potrząsać, potrząsała chudym ciałem, potrząsała ciężką głową, która o mało nie odpadła, potrząsała długimi, zwiędłymi włosami (które kiedyś okrywały je obie), potrząsała starczymi wypompowanymi piersiami i bijącym sercem, potrząsała zniszczonymi strunami głosowymi, które codziennie wydawały nowe niezrozumiałe dźwięki. Dwoma zniszczonymi strunami, wijącymi się od ust Jenny do uszu Siri.

– Jaka dziewczyna? – spytała Siri.

– Nie – szepnęła Jenny.

– Jaka dziewczyna?

– Nie! Nie!

I może Siri potrząsałaby matką dopóty, dopóki nie byłoby już czym potrząsać, gdyby nie wmieszał się trzeci głos:

– Przestań!

Siri się odwróciła. Irma wypełniła sobą cały otwór drzwiowy.

– Wyjdź stąd! – syknęła.

Ale Siri nie chciała przestać.

– Jaka dziewczyna?! – krzyknęła do Irmy. – Czy ona ma na myśli Mille? – Znów spojrzała na matkę. – Masz na myśli Mille?

– Wynoś się stąd! – warknęła Irma.

Siri puściła ramiona Jenny, matka skuliła się w łóżku.

Irma się nie ruszała.

Siri dalej krzyczała:

– Widziałaś Mille tamtego wieczoru, kiedy jeździłaś po pijaku z Almą?! Tak?! Widziałaś ją i nic nie powiedziałaś? Widziałaś...

Tym razem Irma zrobiła trzy kroki i rzuciła się na Siri.

– Wynoś się stąd! – wrzasnęła. – Wyjdź!

Pociągnęła Siri za sobą, wypchnęła ją za próg i zatrzasnęła drzwi.

VI Półtony

Śnieg zaczął padać, kiedy wyjechali z Oslo, i towarzyszył im całą drogę do Mailund, śnieg był na drogach, śnieg na przedniej szybie, śnieg na dzieciach, kiedy biegły do kiosku na stacji benzynowej, by kupić słodycze, i z powrotem do samochodu, śnieg na drzewach, śnieg na dachach, śnieg na polach, stodołach i domach, śnieg na przystaniach i na długiej drodze wijącej się od starej piekarni aż pod dom, byli tu od dwóch dni, a śnieg wciąż padał.

Zbliżała się Wigilia, mieli ją obchodzić w Mailund.

– Nie możemy po prostu pojechać i trochę tam pobyc? – spytała Siri.

Nie mogła się zdecydować, co zrobić z domem matki. Znalazł się w posiadaniu rodziny tuż po wojnie i nie chciała go sprzedawać.

– Potrzebujemy pieniędzy – stwierdziła. – Tylko nie wyobrażam sobie, żeby mieli tu mieszkać obcy.

– No tak – powiedział Jon.

Obserwował ją. Siedział na kanapie, a ona stała odwrócona do niego plecami i wyglądała przez okno. Patrzyła na ogród, na klon, na białą rabatę, teraz bielszą niż kiedykolwiek, przykrytą świeżym śniegiem. Zapragnął wyciągnąć rękę i dotknąć ostrego wcięcia w talii.

Niedawno się zgłosił i dostał propozycję tymczasowego zatrudnienia na stanowisku redaktora w nowo utworzonym klubie książki. Miał zacząć po świętach, to mu pasowało. Praca, do której będzie chodził.

– Ale – podjęła Siri – zatrzymanie go na pewno będzie za drogie. – Zrobiła ruch rękami, jakby chciała objąć cały dom. – Przecież jest kompletnie zrujnowany i nie wiem, jak mielibyśmy we dwoje zadbać o wszystko. Nie stać nas na remont, nie stać nas na konserwację, nie stać nas nawet na wymianę bojlera, nie mówiąc już o całej instalacji

elektrycznej, wydaje mi się, że szafka z bezpiecznikami jest z lat pięćdziesiątych. A okrutne byłoby tylko siedzieć i patrzeć, jak popada w całkowitą ruinę.

– Mogę wyczyścić rynny – zaproponował Jon.

Siri odwróciła się i uśmiechnęła. Światło z okna padło na jej twarz, a on miał ochotę powiedzieć jej, że stoi i świeci dla niego, ale się powstrzymał. Dobrze wiedział, że gdyby powiedział: *stoisz tam i świecisz dla mnie*, wzruszyłaby ramionami i od razu się odwróciła. Jeśli chciał dotrzeć do Siri, musiał wynaleźć zupełnie nowy język, między innym bez słowa *światło*.

Przez ostatnie miesiące Jon i Leopold codziennie chodzili na poranny spacer do rzeźnika w dzielnicy Torshov; w Oslo nie zostało zbyt wielu rzeźników, ale na Torshov był rzeźnik, a także śliczny nieduży park, w którym Jon mógł usiąść z kawą, a w tym czasie Leopold sobie biegał. Leopold już nie uciekał, jak kiedyś miał w zwyczaju, i mógł być spuszczyany ze smyczy.

Zaczęło się od zakupów u rzeźnika, ale Jon szybko stwierdził, że dobrze się czuje w Torshov, nikogo tu nie znał, nikt nie znał jego, i stopniowo odkrywał, że podczas tych porannych spacerów zyskiwał to, co Strindberg opisał kiedyś jako *towarzystwo bezosobiste*. Tworzyli je ludzie, których spotykał codziennie, ale z którymi nie rozmawiał. Rozpoznawali się, kiwali sobie głowami, i tyle. Starszy pan z dużym, skorym do zabawy golden retrieverem. Młoda i piękna matka dwójki dzieci prowadząca do przedszkola cztero- i pięcioletkę. Czterolatka zawsze w tym samym miejscu kładła się na ziemię i wrzeszczała, że dalej nie pójdzie. Chciała na ręce. Leżała na drodze, ciepło ubrana w jaskraworóżowy kombinezon, jaskraworóżowe buty i jaskraworóżową czapkę z króliczymi uszami. Matka i o rok starsza siostra, która miała w sobie jakiś spokój i powagę, odwracały się do małej i cierpliwie czekały, aż nie będzie miała siły dłużej tak leżeć i krzyczeć. Dziewczynka w końcu niechętnie wstawała i dołączała do nich.

Jon rozpoznawał małżeństwo pisarzy w drodze na śniadanie. Codziennie rano jedli śniadanie w tej samej kawiarni. Czasami

trzymali się za ręce, a on, patrząc na nich, zadawał sobie pytanie, czy dobrze im ze sobą i w ogóle w życiu. Tak, rozpoznawał ich, a oni rozpoznawali jego. Ale szanowali nawzajem swoje wycofanie i nikomu nie przychodziło do głowy zatrzymać się, powiedzieć: *Cześć* albo: *Co słychać?*, albo jeszcze gorzej: *Dziwne, że widuję cię/was tutaj codziennie, mieszkasz/mieszkacie tu w okolicy?* To by popsuło wszystko. Małżonkowie znaleźliby sobie inne miejsce, w którym piliby poranną kawę, a Jon znalazłby inne miejsce do spacerów. Skinienie głową. Życzliwy (ale nie zapraszający) uśmiech. Bezosobiste towarzystwo, które stało się ulubionym (i jedynym) towarzystwem Jona, miało swoje niepisane zasady. Główna zasada zabraniała spojrzeń i słów, które mogłyby zostać uznane za próbę zbliżenia, nie należało przekraczać granic absolutnej bezosobistości. Na ogół wszystko szło gładko, chociaż niektórzy właściciele psów potrafili przekroczyć tę granicę, zadając pytanie: *To pies czy suka?*

Jon w takich sytuacjach nie tylko nie wie, co odpowiedzieć, ale też nie ma pewności, jaka odpowiedź będzie właściwa. Oczywiście zna płć swojego psa. Ale nie jest pewien, czy to, że Leopold jest psem, to *dobrze* (ten drugi pies zawsze tak się podnieca, kiedy spotka sukę, a jego właściciel chce zapobiec kłopotliwej sytuacji) czy *źle* (ten drugi pies bez względu na płć czuje zagrożenie w towarzystwie psów rodzaju męskiego – tak jakby to była wina tych innych psów). *Wiele jest sytuacji*, myśli Jon, *w których lepiej by było, gdyby psy się nie spotykały i nie obwąchiwały jak to psy. Albo pies A chce pokryć psa B wbrew woli psa B, albo też pies C odczuwa nagłą i jednoznaczną antypatię w stosunku do psa D, a antypatię tę pies C okazuje, rzucając się do gardła psu D; albo też psy A, B, C i D ogarnia takie podniecenie i/lub szok podczas spotkania z innymi, że zaczynają się ze sobą kłębić, a ich rozplątanie staje się dla właścicieli prawdziwym piekłem.*

Jon najchętniej unikałby pogaduszek będących naturalną konsekwencją posiadania psa, dlatego zaproponował Leopoldowi, aby i on wycofał się do czegoś w rodzaju psiej wersji *bezosobistego towarzystwa*. To znaczy: żadnego węszenia. Żadnego obwąchiwania. Najwyżej przyjazne merdanie ogonem z daleka – i pobiegnięcie dalej.

Jon miał same dobre myśli na temat wszystkich tych nowych ludzi, których spotykał codziennie po drodze do rzeźnika i do parku, i czuł wielką ulgę, że sam nie postawił swojego wycofania w stan zagrożenia, na przykład próbując się gapić na młodą i piękną matkę dwojga dzieci. Że nie chciał. Że nie musiał. Że to nie był odruch.

Pisnęła komórka. Wyciągnął ją z kieszeni spodni.

Najgorsza jest niewiedza o tym, co się stało, gdzie ona się podziła. Druga w kolejności najgorsza rzecz to to, że dziś jest nowy dzień, a jutro będzie kolejny nowy dzień. A.

Jon siedział w jesiennym słońcu na swojej stałej ławce i robił notatki do powieści (zawsze nosił przy sobie notatnik, nie ufał już, że zapamięta to, co chciałby zapamiętać; wielokrotnie widział albo podsłuchał albo nawet wpadł na coś, co wydawało mu się ważne, doznawał oświecenia, a potem, kiedy nazajutrz siadał przed monitorem, okazywało się, że to coś całkowicie przepadło. Potrafił przywołać uczucie radości, które to oświecenie w nim wzbudziło, ale o samym oświeceniu zapominał. Właśnie dlatego, ponieważ zapominał, również o ważnych rzeczach, zawsze miał w kieszeni notatnik i robił notatki tak często, jak tylko mógł).

W domowej pracowni przejrzał stare robocze dokumenty i znalazł notatki o Hermanie R., człowieku, który pragnął opowiedzieć pewną historię, a po drodze zdołał zadrzeć z całym światem.

Herman R. przeżył Buchenwald, a w wieku siedemdziesięciu lat usiadł i zmienił swoje życie w błagę o dziewczynce, które przerzucała jabłka przez płot. O tylu rzeczach mógł opowiedzieć. O tylu rzeczach mógł zaświadczyć. Po co więc ta dziewczynka? Po co jabłka? Czy to z miłości? Z wiary w tę jedną jedyną? Z wiary w to, że bez względu na ciemność, w jakiej się znajdzie, ukochana zawsze będzie blisko? Czy może chodziło o coś innego? O bezradność? Może ta mała historyjka, mała historyjka o małym światku, w którym dziewczynka z jabłkami zawsze jest w pobliżu, była jedyną, jaką potrafił

opowiedzieć. I dlaczego mu na to nie pozwolić? Herman R. nie przyszedł na świat po to, by przejrzeć ten świat na wskroś. Czas, miejsce i okoliczności brutalnie rzuciły go w wielką historię, ale Herman R. wolał pozostać w tej małej. *Ale, zastanawiał się Jon, czy wolno tak sobie ułatwiać? Uciekać się do kiczu?*

Jeżeli ta malusieńka historia o malusieńkiej dziewczynce, która przerzucała jabłka przez podłączone do prądu i pilnie strzeżone ogrodzenie z drutu kolczastego w Buchenwaldzie, przemieniała wszystko dookoła w zapomnienie i światło – no właśnie, to co?

– Myślisz, że tak jest? – spytała szeptem Siri, odwracając się do niego.

Udawał, że śpi; tamtego lata w Gloucester, dawno, dawno temu nie pozwalali sobie nawzajem zasnąć przez całą noc. Najpierw on opowiadał historie, potem ona opowiadała historie, a w końcu zaczęła szeptać: *Czy ty, Jon, jesteś przecież pisarzem* (w tym momencie się roześmiała, a on pamięta, że zastanawiał się, dlaczego się śmieje, ale miał zamknięte oczy i tylko uściśnął jej rękę, jakby chciał jej powiedzieć: *ja śpię, ale nie śpię*), *czy myślisz, że człowiek pisze po to, żeby stać się kimś innym, i czy stanie się kimś innym oznacza ucieczkę od siebie, czy też może oznaczać coś więcej? Czy to może również oznaczać konieczność opuszczenia siebie i wejście w kogoś innego, zajęcie czyjegoś miejsca, współ-czucie, współ-życie, współ-oddychanie?*

Kiedy październik przeszedł w listopad, Jon musiał zacząć chodzić na swoje spacerunki do Torshov (do rzeźnika, kawiarenki i parku) bez Leopolda. Spacerunki z psem stawały się coraz krótsze, w końcu zmieniły się jedynie w wyjścia na wysikanie się nieopodal domu. Leopold przestał ciągnąć za smycz. Jon pamiętał siłę tkwiącą w tym wielkim cielsku. Walki, które staczał z Leopoldem o to, jakim ma być psem. Ale teraz Leopold nie chciał już walczyć, przyklejał się do Jona za każdym razem, gdy wychodzili na spacer, zalekziony, wdzięczny i pokonany.

Jon kupował podroby, serca, wątróbkę, cynaderki i inne kurze wnętrzności, ale ostatnio Leopold tylko obwąchiwał jedzenie, kładł się w kącie salonu i dalej spał. Po ostatnim badaniu weterynarz poklepał

go po brzuchu i powiedział: *Niewiele możemy teraz zrobić, nic go nie boli, chociaż to się może zmienić z dnia na dzień, przerzutów jest już dużo, a potem popatrzył na Siri i Jona i dodał: Ważne, żebyście mieli tak przyjemne święta, jak tylko można, żebyście go przytulali i masowali mu łapy, no i musicie się przygotować na trudne decyzje po Nowym Roku.*

Jon zaczął się budzić wcześniej. Wczesna pobudka była nowością. Wstawał przed szóstą, brał prysznic, jadł śniadanie i wypijał filiżankę kawy na stojąco przy kuchennym blacie, gwizdał na Leopolda i wychodzili. Kiedy Leopold zachorował, Jon zmienił przyzwyczajenia. Najpierw wyprowadzał Leopolda na krótki spacer wokół domu, potem szedł na swój długi poranny spacer na Torshov, a po powrocie do domu siadał i pisał.

Teraz był grudzień, a on wrócił do Mailund i również tutaj budził się wcześniej. Otwierał oczy i przez krótką chwilę wszystko wydawało się pustką. Był nikim. Nie był myślami. Nie był ciałem. Nie był snem. Nie był przytomny. Potem wszystko mu się przypominało. Wszystko wracało. Jasna przestrzeń między byciem a niebyciem.

Bezpośrednio po przebudzeniu wyciągał rękę i dotykał Siri, nie odpychała go, sypiali w jednym łóżku, ale najczęściej odwracała się i spała dalej. Znow zaczęła mieć sny. Przykre sny, które budziły ją w środku nocy, czasami mu je opowiadała, a czasami nie. Sny zaczęły się po śmierci Jenny. *Powinnam była zrobić więcej*, mówiła, siadając w łóżku. Jon brał ją za rękę i ścisnął w sposób, który rozpoznawała, tak jak ścisnął ją wtedy w Gloucester, kiedy nie mogła spać, kiedy leżeli obok siebie po ciemku i opowiadali sobie historie. Siri kładła się z powrotem, ale nie mogła się uspokoić. Powinna była więcej zrozumieć! Powinna była lepiej zadbać! Tyle rzeczy powinna była powiedzieć! A teraz matka już nie żyła i to, co zostało powiedziane, było już powiedziane, nie dało się wszystkiego cofnąć i zacząć od nowa. No i jeszcze sprawa Almy.

Musimy porozmawiać o Almie.

Jenny umarła zaledwie kilka dni przed tym, jak trzech chłopcy znaleźli Mille w lesie. Ten, którego nazywali KB, został natychmiast wezwany na nowe przesłuchanie, jego status ze świadka zmienił się na podejrzanego i chłopaka aresztowano.

Ale nikt nie wiedział o tym, o czym Jenny powiedziała Siri na parę dni przed śmiercią, a mianowicie, że tamtego wieczoru widziała Mille na drodze.

– Wiem, co słyszałam, Jon. Wiem, o czym ona mówiła. Nie była aż *tak* szalona. Czasami wydaje mi się, że w ogóle tylko udawała.

– Udawała, że co?

– Że jest szalona.

– A po co miałyby udawać?

– Żeby się wywinąć – wyjaśniła Siri. – Wyłącznie po to, żeby się wywinąć. Pomyśl tylko, co za ulga. *Jestem kompletną wariatką i nie można mnie pociągnąć do odpowiedzialności za cokolwiek. Nie jestem już częścią ludzkiej wspólnoty.*

– Nie wydaje mi się, żeby tak było – zaprotestował Jon.

Siri szepnęła:

– Nie dość, że mama jeździła po pijaku samochodem z Almä... Mogła ją zabić, mogła wjechać w drzewo i ją zabić... Mogła zabić Almä!

Jon kiwnął głową.

– ...to jeszcze dowiaduję się, że mama i Alma mogły jako ostatnie widzieć Mille żywą. Ale czy mama coś powiedziała? Nie! A co z Almä? Co widziała Alma? Co *my* mamy powiedzieć Almie? Myślisz, że Alma coś widziała? Co mamy powiedzieć policji? I Amandzie? Ona dzwoni, wysyła SMS-y, a my ciągle milczymy. Właśnie tak. Jest trochę kłopotliwa, prawda? Ze swoją żalobą i tymi telefonami. No bo co możemy zrobić oprócz wyrażenia współczucia? Co to, do jasnej cholery, znaczy? Amanda mówi: *Wy coś wiecie o mojej córce, coś przemilczacie.* A my odpowiadamy: *Nie, nic nie wiemy,* a potem mówimy do siebie, że zwariowała z żalu. Wysyła SMS-y, dzwoni, rozłącza się, napastuje, a my się na to godzimy, ponieważ straciła córkę. Ale przecież faktem jest, że ona ma rację! Ma rację. My coś wiemy i milczymy. A ja nie wiem, co robić.

– Wszystko jedno – powiedział Jon cicho. – To i tak by nie miało znaczenia. Mam na myśli to, co wiemy. Ona przecież nie żyje.

– To nieprawda, Jon – odparła Siri. – To nieprawda, co mówisz, że to nie ma znaczenia. To nieprawda!

– Chodzi mi o to, że nikt nie potrafił sobie wyobrazić, do czego był zdolny ten KB, jeśli to w ogóle on zrobił, a co do tego nikt już chyba nie ma wątpliwości? Zgwałcił ją, jechał za nią samochodem, zabił ją i zakopał w lesie. Tyle wiemy. On to zrobił. A o nim nie wiemy nic... nic oprócz tego, że do tamtego wieczoru był tak zwanym zupełnie zwyczajnym chłopakiem.

Siri i Jon odbywali tę rozmowę, a raczej wariacje tej rozmowy, już od czasu wyznania Jenny tuż przed śmiercią. *Może, mówił Jon do Siri, może Jenny mówiła o czymś zupełnie innym?* Nigdy się tego nie dowiedzieli. Siri nie powinna zapominać, że Jenny pod koniec życia nie dawało się zrozumieć, nie była przy zdrowych zmysłach, wcale nie udawała szalonej, zdaniem Jona, *była szalona*, a Siri mogła sobie wymyślić, że widziały Mille na drodze, pozwolić lękowi wciągnąć się w wymyśloną katastrofę.

– I właśnie dlatego – podsumował Jon – nie będziemy dręczyć Almy żadnymi przesłuchaniami. Nie będziemy rozdrapywać starych ran. Pytać o to, co mogła albo czego nie mogła zobaczyć dwa lata temu podczas przejażdżki z babcią. – Wziął głęboki wdech. – Prawda jest taka... Prawda jest taka, że Jenny bredziła.

– Nie wiem – powiedziała Siri. – Nie wiem, czy bredziła.

– Mogła mówić o czymkolwiek – twierdził Jon. – Wszyscy wtedy rozmawialiśmy z policją. Pamiętasz? Alma też. Nikt nie widział Mille. Naprawdę mamy wciągać Almę w to wszystko od nowa?

Irma odczytała ostatnią rozmowę Siri z Jenny na swój sposób. Dzień po tamtej scenie w sypialni zadzwoniła do Jona i oświadczyła, że Siri *przekroczyła granicę*.

– Ale jaką granicę? – spytał Jon.

Siri krzyczała. Siri potrzasała. Zdaniem Irmy istniało wręcz niebezpieczeństwo, że Siri odbierze życie rodzonej matce.

Taka była wersja Irmy. Tak Irma to widziała.

I w związku z tym postanowiła przypomnieć o swojej umowie z matką Siri, a mianowicie, że to ona ma zadbać o Jenny w sposób, który jej zdaniem będzie najlepszy, *kiedy nadejdzie ten dzień, gdy Jenny nie będzie mogła sama zadbać o siebie*, a ten dzień właśnie nadszedł, powiedziała i zaapelowała do Jona i Siri o uszanowanie ostatniej woli chorej kobiety i o trzymanie się z dala od Mailund. Uważała za swój obowiązek zadbać o Jenny przez ten czas, jaki jeszcze jej pozostał, dlatego postanowiła ostatecznie *zabronić* Siri odwiedzin.

– Ty nie możesz niczego Siri *zabronić* – powiedział Jon. – Nie możesz! A twoje oskarżenia wobec Siri to głupota. Czysta złośliwość.

– Byłam przy tym i wiem, co widziałam – odparła Irma.

– I tak nie możesz *zabronić* Siri odwiedzać matkę.

– Nie mogę? – warknęła Irma i się rozłączyła.

Dzień później Jenny nie żyła. Irma przysłała SMS-a, w którym poinformowała o tym fakcie Jona, i prosiła, żeby przekazał to swojej żonie. Zorganizowanie uroczystości pozostawiła rodzinie. Napisała jeszcze:

Moje zadanie zostało wykonane.

Po pogrzebie Irma spakowała walizkę, po raz ostatni nakarmiła kaczki na zarośniętym stawie, świnę morską zostawiła u znajomego na Brageveien, po czym wyjechała i już nikt nigdy jej nie widział. Jon miał wrażenie, że podsłuchał kiedyś, że miała domek w centrum sportów zimowych w Hemsedal, ale po bliższym zastanowieniu doszedł do wniosku, że musiał się przesłyszeć albo coś źle zrozumieć. Sprawdził swoje notatki. Pamiętał, że to zapisał. *Irma w Hemsedal?* Owszem, właśnie tak było napisane. Może mu się to przyśniło? Wyobraził sobie, jak Irma z ciałem olbrzyma, Irma z twarzą anioła, Irma z długimi kręconymi włosami szusuje po stoku narciarskim.

To były spokojne święta z dziećmi, a śnieg dalej padał. Rano w Wigilię Jon, Alma i Liv poszli do lasu po choinkę. Szli przez las i za każdym razem, kiedy Jon mówił: *Spójrzcie, ten świerk nadaje się na choinkę*, Liv odpowiadała: *Nie, to nie jest prawdziwa choinka*. Jon, Alma

i Liv szli więc dalej, mijali pokryte śniegiem polany, aż dotarli do zielonego jeziora, które wcale nie było zielone, tylko białe, jak wszystko inne. Jon spojrzał na lód i zaproponował:

– Może któregoś dnia pojeździmy tu na łyżwach?

– Nie – powiedziała Alma.

Odwrócił się do dziewczynek. Były opatulone w kurtki, czapki i rękawiczki. Alma pokręciła głową i wzięła Liv za rękę. Pisnęła komórka Jona. Wygrzebał ją z kieszeni kurtki.

– Nie – powtórzyła Liv.

Wigilia to najtrudniejszy dzień w roku. Na pewno potrafisz to sobie wyobrazić. A.

Jon schował telefon z powrotem do kieszeni, spojrzał na Alnę, spojrzał na Liv. Stały na śniegu, coś do niego mówiły.

– Nie będziemy! – krzyknęła Liv.

– Co nie będziemy? – spytał Jon.

– Nie będziemy tu jeździć na łyżwach – wyjaśniła, przewracając oczami. Cały tata, w ogóle nie słucha. Cały tata, jako jedyny nie wie tego, co jest oczywiste dla wszystkich innych – że tu, w lesie, nie ma mowy o jeździe na łyżwach.

Jon, Alma i Liv poszli dalej. W końcu dotarli do polany, a na tej polanie rósł świerk i właśnie wtedy Liv się zatrzymała i pokazała palcem.

– To – powiedziała. – To jest nasza choinka.

Alma i Jon pokiwali głowami, Jon zabrał się do roboty i zaczął ścinać drzewko, a jego córki się przyglądały.

Siri przygotowała zeberka, gotowaną kalarepę, świąteczną kiełbasę i ziemniaki odmiany nazywanej migdałową, a Leopold dostał nerki, swój ulubiony przysmak, ale tylko obwąchał miskę z jedzeniem, wrócił do kominka i położył się na swoim starym kocu. Wielki łeb między łapami. Długi, wychudzony korpus, wyblakła czarna sierść z białą plamką na piersi. Jon poczuł nagle, że jest bliski łez. Wyjrzał przez okno na padający w ciemności śnieg i przypomniał sobie tamto lato dwa i pół roku wcześniej, kiedy Siri biegała w morzu mgły, unosząc się nad ziemią między stolikami wśród kłębiących się białych

obrusów.

Wigilijna noc minęła spokojnie. Dzieci spały. Siri spała. A rano Jon obudził się wcześniej jak zwykle. Wstał, ubrał się po ciemku i na palcach wyszedł z pokoju. Szerokie schody wiły się od poddasza aż do mieszkania w suterenie. Jeszcze nie tak dawno Leopold stałby przy końcu schodów, czy to tu, w Mailund, czy w Oslo, i czekał na niego. Teraz spał na swoim kocu w salonie. Jon podszedł do niego, nachylił się, pogłaskał go po łbie i szepnął:

– Cześć. Pójdziemy się przejść? Idziesz?

Leopold otworzył oczy i spojrzał na niego.

– Wychodzimy – ciągnął Jon. – Wstawaj. No wstań.

Leopold podniósł się powoli, trochę chwiejąc na nogach, i zamierdał ogonem, jakby chciał zapewnić i Jona, i samego siebie, że jest gotowy na spacer. Wciąż było ciemno, kiedy Jon otworzył furtkę i wyszedł na drogę z Leopoldem u boku.

Pogrzeb Jenny przebiegł w dużej mierze tak, jak sama Jenny zdecydowała. Była ubrana w czerwoną jedwabną sukienkę, czarne czółenka na wysokich obcasach, a na piersi miała czarną torebkę, którą tak lubiła.

Jon towarzyszył Siri podczas spotkania z panią pastor, która miała odprawić ceremonię pogrzebową. Pani pastor – miała na imię Bente – oświadczyła, że cieszy się, iż dowie się czegoś więcej o *Jenny*.

Zwrócił uwagę, że Bente akcentuje imiona, najprawdopodobniej po to, by podkreślić, że naprawdę się przejmuje.

– Cześć, *Siri* – powiedziała Bente, otwierając ramiona.

Siri się cofnęła, a Jon musiał uszczypnąć ją w rękę, żeby natychmiast stamtąd nie uciekła.

W kancelarii pani pastor usiedli na drewnianych krzeselkach przy brązowym stole z laminatu i nie odmówili kawy, której nalano z biało-czerwonego termosu do tekturowych kubków. Bente była nowa w miasteczku, większość życia spędziła w Trondheim, miała

mniej więcej trzydzieści pięć lat, długie, ciemne, kręcone włosy, zaczesane do góry i spięte dużą spinką w kwiatki. Miała też nieco zbyt mocno uszmkowane usta i okulary w oprawkach w kolorowe paski. Tego samego dnia, kiedy szli się z nią spotkać, Siri przeczytała w „Aftenposten” wywiad z nią i miała ochotę wszystko odwołać.

Wywiad przeprowadzono w związku z odnalezieniem Mille i aresztowaniem KB, podejrzanego o wręcz nieopisaną zbrodnię (gwałt i morderstwo, policja nie chciała komentować hipotezy, że Mille pogrzebano żywcem).

W jaki sposób lokalna społeczność radzi sobie z taką tragedią, spytał dziennikarz przeprowadzający wywiad, z tym, że zupełnie zwyczajny chłopak, którego wszyscy znali, może popełnić tak niepojęty czyn?

Bente wypowiadała się o złu. *Ono istnieje wszędzie, ale możemy trzymać się razem i z nim walczyć.* Wypowiadała się o dobru. Wypowiadała się o nowej Norwegii i trochę także o nowej Europie. Wypowiadała się o mediach społecznościowych. *Jakie znaczenie ma to, że możemy komunikować się z całym światem, skoro zapominamy o tym, że możemy komunikować się ze sobą i z Bogiem.* Wypowiadała się o żałobie. Wypowiadała się o przebaczeniu. Wypowiadała się także o zaangażowaniu. Ale przede wszystkim wypowiadała się o swojej roli w sytuacjach takich jak ta... *to ciężar, który należy unieść... to służenie wsparciem lokalnej społeczności pogrążonej w żalu i w szoku.*

Pozowała przed kościołem, spoglądała z powagą zza pasiastych okularów, a we włosach miała tę samą spinkę w kwiatki.

Siedzieli teraz we troje, Siri, Jon i Bente.

– Wiem, że *Jenny* wiele znaczyła dla lokalnej społeczności, kiedy pracowała w księgarni oferującej może najlepszy w kraju wybór tłumaczonej literatury pięknej, pomijając, oczywiście, wielkie miasta. Czy to się zgadza? – spytała Bente.

Siri zacisnęła usta i kiwnęła głową.

Bente wychyliła się nad stołem z laminatu i uśmiechnęła do Jona.

– *Jon.*

Jon wzdrygnął się, słysząc, jak wypowiada jego imię.

– *Jon* – powtórzyła. – Jesteś pisarzem, prawda?

Jon zerknął na Siri, nos i policzki miała czerwone.

- Tak, jestem pisarzem – odpowiedział.
- Czytałam jedną z twoich książek. Uważam, że była cudowna. Ta, która miała w tytule coś z włosami...? ...Twoje włosy? Coś z włosami.
- Bente uśmiechnęła się przepraszająco. – Wiesz, którą książkę mam na myśli, prawda?
- Nie. – Jon pokręcił głową. – Nigdy nie napisałem książki z włosami w tytule.
- Nie? – zdziwiła się Bente. – Ojej. Wobec tego coś pokręciłam.
- Możliwe. – Jon spojrzał na Siri. – Może porozmawiamy trochę o Jenny i o tym, co powiesz na pogrzebie?
- Dobrze, oczywiście. Chciałabym też porozmawiać trochę o wnukach. Macie dzieci, prawda?
- Mają na imię Alma i Liv – odezwała się Siri beznamiętnym tonem.
- *Alma i Liv* – uśmiechnęła się Bente. – Możecie trochę opowiedzieć o nich? I o tym, ile znaczyła dla nich babcia?

Później, w niemal pełnym kościele, Jon i Siri trzymali się mocno za ręce, a podczas kazania Bente jeszcze trochę mocniej, Jon nie miał odwagi spojrzeć na Siri, ale wyczuwał jej wściekłość i żal. No i lęk. Wyczuwał go jako drżenie tuż pod skórą. Kiedy przyszła kolej na niego, musiał siłą wyrwać dłoń z jej dłoni. Wstał i ruszył w stronę ołtarza, wydawało mu się, że czuje na sobie wzrok Siri. Przez chwilę zatrzymał się przy trumnie, po czym wszedł po jednym stopniu na mównicę i chrząknął.

– Usiłowałem to przetłumaczyć – powiedział – ale nie wyszło za dobrze. Dlatego przeczytam w języku oryginału. Strindberga należy czytać po szwedzku. Fragment pochodzi z powieści *Samotność* i zacznę w połowie zdania. Myślę, że to spodobałoby się Jenny.

Uśmiechnął się. I zaczął czytać:

– *...ale zarazem odkryłem, że już nie byli tak skorzy do śmiechu jak dawniej i przestrzegali pewnej oględności w wyrażaniu się. Nauczyli się cenić moc słowa i jego wartość. Życie nie złagodziło ich sądu, lecz rozum wykazał im, że wszystkie słowa wracają do nas na powrót; dlatego też doszli do przekonania, że ponieważ ludzie nie lubią całych tonów, należy*

używać i półtonów, zwłaszcza, gdy chodzi o wyrażenie swego sądu o kimś drugim²⁴.

Po pogrzebie Siri zaprosiła wszystkich żałobników na skromny poczęstunek w starej piekarni, a kiedy Jon i Siri razem z dziećmi wracali pieszo do Mailund w ten październikowy wieczór długą drogą pod górę, Jon spytał:

– Jak myślicie, co powiedziałyby Jenny, gdybyśmy mogli ją teraz usłyszeć?

– Mnie się wydaje, że: *Krieg ist ein Jammer* – powiedziała Alma.

– A mnie się wydaje, że: *Kto mieszka w tym domu?* – powiedziała Siri.

– A mnie się wydaje, że: *Całe to gadanie o miłości* – powiedział Jon.

– A mnie się wydaje, że: *Co błyszczysz i błyszczysz, i nigdy nie będzie księżniczką?* – powiedziała Liv.

Kilka tygodni później do grobu miała zostać złożona Mille. Siri i Jon zastanawiali się, czy powinni iść na pogrzeb, ale co mieli powiedzieć? Co mieli zrobić? To mogło zostać źle przyjęte.

– Źle się stało od początku – stwierdziła Siri. – Od samego początku. Powinniśmy byli zrobić więcej.

Dzień po pogrzebie Jon dostał SMS-a.

Znaleźli ją w ziemi, a teraz znów ją pogrzebaliśmy. Miała dziewiętnaście lat, kiedy nam zniknęła, a Ty ciągle tak samo milczysz. A.

Jon i Leopold doszli do końca drogi. Na nikogo się nie natknęli. Byli tylko on, Leopold, droga i śnieg, nic innego nie zostało ze świata. Ledwie jednak zaczęło się przejaśniać, przed Jonem ukazała się jakaś drobna postać. Potrzebował czasu, żeby ją rozpoznać. Postać. Ale szybko sobie przypomniał, kto to jest i jak się nazywa. Brakowało jedynie roweru.

– Cześć – przywitał go Simen.

– Cześć – odparł Jon. – Co zrobiłeś ze swoim rowerem? Bez niego prawie cię nie poznałem.

Simen przewrócił oczami i machnął ręką.

- Przecież ciągle pada śnieg.
- Wesołych świąt – powiedział Jon.
- I ja panu życzę wesołych świąt.
- Dostałeś coś fajnego? – spytał Jon.
- Tak.
- A co?

Simen ruszył w stronę przystani, ruchem głowy zachęcając Jona i Leopolda, żeby się do niego przyłączyli.

– Nie chcę rozmawiać o tym, co dostałem na Gwiazdkę – oświadczył Simen. – To nie ma znaczenia... Wie pan, że to ja znalazłem Mille jesienią? Ja z dwoma kolegami.

Jon odetchnął głęboko.

- No tak, oczywiście... To ty...
- On ją zakopał żywcem – powiedział Simen i przystanął.
- To akurat nie zostało potwierdzone – zauważył Jon.
- KB to zrobił. Wszyscy tak mówią. Zakopał ją. Mieszkał tutaj, w miasteczku, i ją zakopał.
- Tak.

Simen spojrzał na Jona.

- Leżała w ziemi. Nie powinna była tam leżeć.
- No nie.
- Szukaliśmy skarbu.
- Tak, czytałem o tym w gazecie.
- No bo latem ja, Gunnar i Ole Kristian zakopaliśmy w lesie kankę na mleko...
- Kankę na mleko? – powtórzył Jon, pytająco patrząc na Simena.
- Tak, kankę na mleko. To była taka nasza skrzynia skarbów. No i chodziło o to, żeby każdy włożył tam coś cennego. Coś naprawdę cennego. To miało *kosztować*. Na przykład Gunnar miał notes z autografami Stevena Gerrarda, Fernanda Torresa, Xabiego Alonsa i Jamiego Carraghera. To był jego wkład.
- A jaki był twój? – spytał Jon.

Simen nie odpowiedział, nachylił się, ulepił śnieżkę i rzucił nią w jedną z szop na przystani.

– Jaki był twój wkład? – powtórzył pytanie Jon.
– Klejnot – odparł Simen. – Taki krzyżyk.
– Twój?
– Nie. Mojej mamy. – Simen spojrzał na Jona. – Jej ciągle jest smutno, że go zgubiła.

– Nie możecie po prostu wykopać tego skarbu? To znaczy... Nie możesz po prostu wykopać tej kanki i oddać krzyżyka mamie? Mógłbyś przecież powiedzieć, że go znalazłeś. Nie musisz mówić, że... powiedzmy... pożyczyles go sobie na pewien czas.

Simen się uśmiechnął.

– Mówi pan, że mam kłamać?
– To białe kłamstwo. W każdym razie byłoby to białe kłamstwo.
– No tak, ale się nie da.
– Dlaczego się nie da?
– Po pierwsze, chodziło o to, żeby skarbu nie wykopywać. Bo to przez niewykopywanie stawał się skarbem.

– No tak, ale... – Jon nie był pewien, co na to odpowiedzieć.

– Po drugie, nie mam pojęcia, gdzie jest ten skarb. Właśnie na tym polega problem. Gunnar i Ole Kristian, moi koledzy, chcieli go wykopać i właśnie go szukaliśmy, kiedy znaleźliśmy Mille. – Simen pokręcił głową. – *Wiedziałem*, że jesteśmy w złym miejscu. *Wiedziałem*, że pojechaliśmy w złym kierunku. A teraz nie mam pojęcia, gdzie szukać.

Simen zatrzymał się i spojrzał na Jona. Potem popatrzył na Leopolda, który położył się płasko na śniegu i ciężko dyszał.

– Pana pies jest chory? Trochę wygląda na chorego.
– Tak – potwierdził Jon.
– A babcia Almy umarła?
– Tak.
– A Irma wyjechała?
– Zgadza się.
– Ona była niedobra – stwierdził Simen. – Moja mama mówi, że to cudowny człowiek, chociaż była wielka i świeciła w ciemności. Ale była niedobra.
– Może i tak.

– Z całą pewnością – oświadczył Simen, odwrócił się i pobiegł.
Leopold ciągle leżał na śniegu, czarna plama wśród całej tej bieli, więc Jon lekko pociągnął za smycz i powiedział:

– Chodź, Leopold. Chodź już.

A Leopold uniósł wielki psi łeb i tylko na niego popatrzył. Jon zapragnął móc się położyć przy nim na śniegu, przytulić się, poczuć ciepło jego ciała i sierści i tak leżeć.

– Chodź, idziemy – powtórzył, a Leopold wstał. Cicho jęknął, bo teraz już miał bóle, chociaż starał się tego nie okazywać. Jon chętnie wziąłby go na ręce, ale Leopold był za duży i za ciężki.

Wolno ruszyli drogą pod górę. Śnieg i cisza. Bez względu na to, jak wolno szedł Jon, Leopold i tak z trudem dotrzymywał mu kroku, Jon więc spytał, trochę jakby na pociechę, czy to nie dziwne, że ta droga nazywa się Zakręt, a nie Zakręty? Spojrzał na Leopolda.

– Zawsze jest o wiele, wiele dalej, niż się człowiekowi wydaje – dodał. – Ale niedługo będziemy w domu.

Przyszedł rok 2011. Jon, Siri i dzieci obchodzili spokojnego sylwestra w Mailund. O dwunastej Jon odebrał SMS-a. *Nie ma w co wierzyć. A.*

Liv dostała fajerwerki do wystrzelenia i wybiegła na śnieg. Alma stała obok rodziców i obserwowała ją przez okno. Nikt się nie odzywał. Jon zauważył, że Alma urosła. Okrągłość i pulchność zaczęły znikać, ustępowały miejsca innej twarzy. Innej Almie. Alma mocno malowała oczy i używała białego pudru, wyglądała dość dramatycznie. Jak chłopiec grający dziewczynę w jakimś średniowiecznym przedstawieniu. W tym roku kończyła szesnaście lat. Wciąż nazywali ją Kruszyną, ale niezbyt już to do niej pasowało, a ona sama nigdy nie usłyszała tego określenia z ust rodziców.

Wszyscy troje stali obok siebie i patrzyli na Liv na śniegu. Niebo było czarne.

Alma odetchnęła głęboko.

– Wiecie, że byłam na pogrzebie Mille? – spytała. – Poszłam. Wy nie poszliście, ale ja poszłam.

Jon i Siri odwrócili się do córki. Dalej wyglądała przez okno.

– Widziałam ją tamtej nocy – oświadczyła.

– Alma. – Siri zamknęła oczy i pokręciła głową. – Nie wiedzieliśmy...

– Siedziałam obok babci w samochodzie – ciągnęła Alma. – Pędziłyśmy drogą pod górę, ja powiedziałam: *Stop*, babcia się zatrzymała, a ja powiedziałam, że to Mille siedzi tam na skraju drogi, zabierzemy ją, a babcia spytała: *kogo*, a ja pomyślałam, że może Mille nie chce, żebyśmy ją widziały taką, siedzącą na poboczu, że chce być sama i że będzie jej głupio, jak zobaczy, że ją widzieliśmy, przecież do domu miała tylko kilka metrów, babcia spytała, kto tam siedzi na poboczu, a ja na to: *Nikt, jedź, to nikt taki, nie przejmuj się*, i babcia pojechała.

Siri i Jon patrzyli na Almę, a ona zaczęła płakać, ale wtedy przybiegła Liv i po raz tysięczny tego dnia zawołała:

– Szczęśliwego Nowego Roku!

Rano następnego dnia Siri spakowała plecaki i torby, zdjęła pościel z łóżek, opróżniła lodówkę, opróżniła spizarkę, opróżniła szuflady, całe jedzenie powkładała do papierowych toreb, żeby zabrać je do Oslo, niewiele zostało, ale Siri nigdy nie wyrzucała jedzenia, a potem umyła i odkurzyła podłogi, zamiotła schody, wszystkie stopnie, wzięła ścierkę i przeciągnęła nią po poręczy.

Jon poszedł sprawdzić, czy w garażu wszystko w porządku, poprawił plandekę leżącą na opłu, a potem wrócił na poddasze i schował notatniki, w których nic szczególnego nie zapisał, zerknął na kolekcję kompaktów należącą do niego i na kolekcję płyt, która musiała należeć do Jenny albo może do Bo Andersa Wallina, potem stał i wyglądał przez okno na łąkę, całą białą od śniegu. Pamiętał, że stał tak i patrzył na Almę, Liv i Mille, i na dziki taniec Almy, jakby wiedziała, że on tam stoi i ją obserwuje.

Powiedzieli jej, że nie mogła w niczym pomóc. Że to, co się stało z Mille, nie miało nic wspólnego z tym, że Jenny nie zatrzymała samochodu. Nie było żadnego związku między tymi zdarzeniami. Do domu zostało zaledwie kilka metrów. To oczywiste, że Mille mogła dojść sama. Alma nigdy, przenigdy nie może się o to obwiniać.

Alma długo patrzyła na oboje, a w końcu powiedziała, że to, co

mówią, to nieprawda.

– Przecież wy kłamiecie!

Jon się odwrócił. Usłyszał coś w korytarzu. Odkurzacz. Przestał warczeć.

– Jon! – zawołała Siri cicho. – Mamy gości.

Wolno zszedł na dół. Liczył każdy stopień, tym razem z nadzieją, że schody go pochłoną. Siri się odwróciła. Obok niej stały Liv i Alma. One też się odwróciły. Liv miała na sobie pelerynę niewidkę, którą kiedyś dostała od Siri, a którą Siri dostała od swojego ojca. Liv położyła palec na ustach, popatrzyła na Jona i szepnęła: *Pst!* Stali tam też mężczyzna i kobieta. Nieznajomi. Ale Jon wiedział, kim są. Siri nie musiała ich przedstawiać, lecz i tak to zrobiła.

– To rodzice Mille – powiedziała. – To Mikkel, a to Amanda.

– Dzień dobry – odezwał się Jon.

– Dzień dobry – odpowiedziała kobieta, która miała na ramieniu dużą brązową torbę.

Jon patrzył na Amandę i zastanawiał się, czy ma ją spytać o te SMS-y. Czy nie uważała, że już wystarczy. Zastanawiał się, czy nie spytać, co tu robią, tu, w korytarzu w Mailund, z jego żoną, z jego dziećmi, o co im chodzi, dlaczego przyjeżdżają w taki sposób? To atak. To robiło wrażenie ataku. Spojrzał na Almę. Patrzyła w podłogę. Spojrzał na Siri i na Liv w pelerynie niewidce, na Mikkela i na Amandę. Pomyślał o Leopoldzie śpiącym przy kominku. W tym tygodniu Siri miała go zawieźć do weterynarza i uspić. Dlaczego Amanda i Mikkel nie byli u siebie w domu? Dlaczego przyjechali tutaj? To nie miało żadnego znaczenia: ten pamiętnik, który ukradł z aneksu tamtej nocy, przeczytał, podarł na strzępy i wrzucił do jeziora. Zdjęcie, które jej zrobił, to, które tak jej się podobało, przecież nie miała żadnych swoich zdjęć jako dorosła. Jenny i Alma, które minęły ją na poboczu. Nic z tego nie miało związku z KB. To KB był winny. Chłopak, którego nazywano KB. Przed oczami stanął mu tamten wielki ślimak pod kołdrą Mille. Spojrzał na Amandę i już miał krzyknąć, nie bardzo wiedział co, ale chciał krzyknąć, żeby ona i jej mąż sobie poszli i zostawili ich w spokoju, ale zamiast tego podszedł

do nich i uściśnął im rękę, a Siri zaproponowała, że może zrobić coś do jedzenia. Powiedziała, że nie ma zbyt dużo, *ale trzeba coś zjeść, prawda? Czasami człowiek zapomina o jedzeniu i wtedy wszystko staje się takie niewiarygodnie trudne, a ja mam chleb i coś do chleba, mam trochę dobrej szynki i pyszne konfitury, które dostałam na Gwiazdkę od Liv.*

Zagoniła wszystkich do kuchni i wypakowała torby z jedzeniem. Wyjęła obrus, rozłożyła go na stole, wysunęła krzesła, powtarzając: *Siadajcie, siadajcie, zaraz coś zjecie*, a Amanda, Mikkel, Jon, Alma i Liv usiedli. Nagle Amanda otworzyła usta i powiedziała:

– Pomyślałam, że wypytam was trochę o tamto lato z Mille...

Mikkel wszedł jej w słowo:

– Po prostu chodzi o to, że... Po prostu o to, że budzę się co rano i mija ułamek sekundy, zanim sobie przypomnę, że ona nie żyje, a chciałbym, żeby ten moment trwał dłużej. – Zapatrzył się w stół. – Chciałbym, żeby to trwało dłużej – powtórzył.

Amanda z trzymanej na kolanach dużej, brązowej torby wyjęła jakąś książkę. Położyła ją na stole. Na okładce była czarno-biała fotografia małej dziewczynki z brązowymi kręconymi włosami i ciemnymi oczami, w trochę za dużych majtkach w kropki. Amanda wzięła głęboki wdech. Mówiła powoli:

– Ten album przygotowałam wiele lat temu przy okazji wystawy. Pomyślałam, że może chcielibyście go obejrzeć.

Zdjęcie musiało zostać zrobione latem, pomyślał Jon, dziewczynka była w samych majtkach w kropki, a skórę miała opaloną. (Można to było zobaczyć nawet na czarno-białej fotografii). Chudy brzuch, na którym lekko odznaczały się żebra, był opalony. Długie ręce i długie nogi były opalone. Małe brodawki, które kiedyś miały rozwinąć się w piersi, były opalone. Dziewczynka się nie uśmiechała, tylko patrzyła prosto w obiektyw.

– Dlaczego ten album ma tytuł *Moje, Amandy?* – spytała Liv, która właśnie nauczyła się czytać i wreszcie zdjęła pelerynę niewidkę.

Amanda spojrzała na nią i pokręciła głową.

– Ponieważ... ponieważ to ja zrobiłam te zdjęcia... mam na imię Amanda... Mille i ja zrobiłyśmy je, kiedy była troszkę młodsza od ciebie. – Amanda skinęła głową Liv. – Pewnego lata, dawno temu.

– Ja ją bardzo lubiłam – oświadczyła Alma, przeglądając album. – Ale ona wyglądała zupełnie inaczej niż na tych zdjęciach. – Odłożyła książkę i popatrzyła na Amandę i Mikkela. – Była fajna. Nauczyła mnie robić *smokey eyes*. Pamiętam, że razem tańczyliśmy. Mówiła mi, że wierzy w Boga i że często się do niego modli, opowiadała mi też, że bawiła się z panem w kamień, nożyce, papier.

Skinęła głową Mikkelowi, a on jej odpowiedział tym samym.

– Tak – powiedziała Siri. – Musimy porozmawiać. – Poruszyła ręką. – Ale może najpierw coś zjecie? Zobaczcie, wszystko gotowe. Zapraszam.

Jon spojrzał na stół, który Siri nakryła, podczas gdy oni siedzieli na krzesłach i oglądali album z czarno-białą dziewczynką, która się na niego patrzyła. Wziął kanapkę, ugryzł i przełknął. Smaczna. Świeży chleb.

– My przecież znaleźliśmy Mille tylko przez to jedno lato – powiedział i spojrzał na Amandę i Mikkela. – Ale może wy nam coś opowiecie? Nad tyloma rzeczami się zastanawiamy. Tylu rzeczy nie wiemy.

– My też się zastanawiamy – powiedziała Amanda. – My też mamy pytania. Właśnie dlatego tu jesteśmy. Musicie mi wybaczyć wszystkie te SMS-y, które do was słałam. I wszystkie telefony. Zwłaszcza ty, Jon. To przecież do ciebie je wysyłałam. Nie jestem taka. Musicie wybaczyć... Tylko że wszystko stało się... Wszystko było źle. Mam mnóstwo pytań. Mikkel też. I nie możemy sobie z tym poradzić. Nie możemy iść dalej.

Siri spojrzała na Almę. Spojrzała na Jona i Liv. Spojrzała na tych dwoje, którzy właśnie przyjechali, zobaczyła, że oni też nałożyli sobie jedzenie na talerze, i powiedziała:

– A nie możemy po prostu posiedzieć tu trochę, coś przekąsić i porozmawiać o Mille? Nie możemy? Tak – stwierdziła, kładąc obie ręce na stole. – Tak – powtórzyła. – Wydaje mi się, że właśnie tak zrobimy.

¹ Oscar Hammerstein II, *You'll Never Walk Alone*, piosenka z musicalu *Carousel*, 1945, hymn Liverpool FC. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

² (ang.) Mleko – niemal idealny pokarm naturalny.

³ Snus – popularna w krajach skandynawskich używka w postaci wilgotnego tytoniowego proszku, który po uformowaniu w grudkę umieszcza się pod wargą.

⁴ Bob Dylan, piosenka *Lay, Lady, Lay* z albumu *Nashville Skyline*, 1969.

⁵ Deborah Lipstadt's Blog, www.lipstadt.blogspot.com

⁶ Bob Dylan, *Sweetheart Like You*, piosenka z albumu *Infidels*, 1983.

⁷ Bertolt Brecht, *Jenny Piratka, czyli marzenia pomywaczki*, z: *Opera za trzy grosze*, przeł. Roman Kołakowski.

⁸ Fragment arii *What Power Art Thou* – nazywanej również *The Cold Song* – z opery *Król Artur* (1691) Henry'ego Purcella z librettem Johna Drydena.

⁹ *All work and no play makes Jack a dull boy* (ang.) – przysłowie angielskie: *Nie samą pracą żyje człowiek*.

¹⁰ (niem.) Wojna to nieszczęście.

¹¹ (ang.) Co taki skarb jak ty robi w takiej norze?

¹² (ang.) Mam na imię Alma, mam trzynaście lat, mieszkam w Oslo, chodzę do bardzo fajnej norweskiej szkoły, moje hobby to jazda konna i czytanie, moja mama nazywa się pani Brodal, mój tata nazywa się pan Dreyer. Jestem bardzo szczęśliwą uczennicą.

¹³ (ang.) Droga Pani Lund, bardzo przepraszam, że obciąłam Pani włosy. Z poważaniem, Alma Dreyer.

¹⁴ (ang.) Moja głowa, moja twarz, moje ramiona, moje ręce, mój brzuch, moje nogi, moje stopy, moje ciało.

¹⁵ Publiusz Wergiliusz Maro, *Georgiki*, przeł. Anna Ludwika Czerny, Warszawa 1956, s. 80.

¹⁶ Tamże, s. 78.

¹⁷ Tamże, s. 80.

¹⁸ (ang.) Kurczę, teraz mi niedobrze.

¹⁹ (ang.) Musisz nauczyć się ufać ludziom.

²⁰ (ang.) Jest wielki, jest rudy, jego stopy wystają poza łóżko – *Peter Crouch Song*.

²¹ Lewis Carroll, *Przygody Alicji w Krainie Czarów*, przeł. Maciej Słomczyński, Warszawa 1972, s. 22.

²² Tamże, s. 23.

²³ (ang.) Cześć, mam na imię Jon. Jak ty masz na imię? Mam na imię Siri.

Miałabyś ochotę napić się czegoś? Tak, chętnie, poproszę szklanę wody.

²⁴ August Strindberg, *Samotność*, przeł. Józefa Klemensiewiczowa, Warszawa 1905, s. 3.

Przekład: Iwona Zimnicka
Redakcja: Sylwia Bartkowska
Korekta: Katarzyna Pawłowska, Krystian Gaik

Projekt okładki: Tomasz Majewski
Fotografia wykorzystana na I stronie okładki: © Cultura RM/Frank and
Helena/Getty Images

Skład i łamanie: Plus 2 Witold Kuśmierczyk

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
00-372 Warszawa, ul. Foksal 17
tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-2309-3

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](http://www.gwfoksal.pl)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](http://www.virtualo.pl)

virtualo